

Mika Waltari

Czarny Anioł

(Przełożył: Zygmunt Łanowski)

Ujrzałem cię pierwszy raz i przemówiłem do ciebie. Było to tak, jakby przeszło przeze mnie trzęsienie ziemi. W głębi mej duszy przewróciło się wszystko, czeluście mego serca otwarły się i nie poznawałem już swej własnej natury.

Skończyłem lat czterdzieści i zdawało mi się, że osiągnąłem jesień życia.

Odbyłem dalekie wędrówki, dużo przeszedłem i przeżyłem wiele żywotów.

Pan przemawiał do mnie pod wieloma postaciami, aniołowie objawiali mi się, ale ja w nich nie wierzyłem.

Kiedy zobaczyłem ciebie, musiałem uwierzyć, skoro taki cud mnie mógł się wydarzyć.

Ujrzałem cię przed kościołem Mądrości Bożej, u brązowych bram. Było to w chwili, gdy wszyscy wyszli z kościoła w porządku przepisany ceremoniałem, po tym jak kardynał Izidor po łacinie i po grecku odczytał w lodowatej ciszy obwieszczenie o zjednoczeniu kościołów. Kiedy później odprawił wspaniałą mszę, odczytał także wyznanie wiary. A gdy doszedł do uzupełnienia "i od Syna", wielu ukryło twarze w dłoniach, a z empory dały się słyszeć gorzkie szlochania kobiet. Stałem w ścisku w bocznej nawie przy szarej kolumnie. Gdy jej dotknąłem, poczułem, że jest wilgotna, jak gdyby nawet kamienie w tej świątyni pociły się zimnym potem lęku.

Potem wszyscy wyszli z kościoła w porządku przepisany od wieluset lat, a pośrodku szedł bazyleus, cesarz Konstantyn, wyprostowany i poważny, z siwiejącą już głową pod złotymi pałakami korony. Wychodzili — każdy w tej barwie i ornacie, jaki był przepisany — dostojnicy z Blachern, ministrowie, logoteci i anthypathowie, senat w pełnym składzie, a następnie rodami archonci Konstantynopola. Nikt nie ośmielił się nie stawić, w ten sposób wyrażając swoje przekonania. Po prawej stronie cesarza poznałem aż nazbyt dobrze sekretarza stanu Francesa, który chłodnymi niebieskimi oczyma patrzył wokół siebie. Wśród łacinników dostrzegłem wenecjańskiego bailona i wielu innych, których rozpoznałem.

Ale megaduksa Łukasza Notarasa, wielkiego księcia i dowódcy floty cesarskiej, nigdy jeszcze poprzednio nie widziałem. Był to mąż smagły i wyniosły, wyższy o głowę od innych. Spojrzenie miał szydercze i mądre, ale w jego rysach odczytałem taką samą melancholię, wspólną wszystkim, którzy należeli do starych greckich rodów. Gdy wyszedł z kościoła, był wzburzony i zły, jak gdyby nie wytrzymał okropnej hańby, która dotknęła jego kościół i jego lud.

Gdy doprowadzono wierzchowce, powstał niepokój i ludzie zaczęli głośno przeklinać łacinników. Wołano: "Precz z niedozwolonym dodatkiem! Precz z władzą papieża". Nie mogłem tego słuchać. Nasłuchałem się już tego wszystkiego do znudzenia w dniach mojej młodości. Ale nienawiść i rozpacz ludu były jak grzmot i trzęsienie ziemi. Aż do chwili, gdy nawykłe do śpiewu głosy mnichów objęły przewodnictwo i sprawiły, że lud wspólnie i w takt wołał: "Nie od Syna, nie od Syna". Był to dzień świętego Spirydiona.

Gdy zaczęła się procesja wysoko urodzonych kobiet, część świty cesarskiej zmieszała się już z ludzką masą, która falowała i miotła się w takt na wespół śpiewanego krzyku. Tylko wokół świętej postaci cesarza było pusto. Siedział na swoim rumaku z twarzą pociemniałą od troski. Odziany był w haftowany złotem purpurowy płaszcz i purpurowe buty ozdobione dwugłowym orłem.

Byłem zatem świadkiem spełnienia wielowiekowego marzenia: połączenia kościoła wschodniego z zachodnim, ukorzenia się prawowiernego ortodoksyjnego kościoła przed papieżem i odstąpienia od pierwotnego, nie poszerzonego wyznania wiary. Odwlekana przez długi czas unia ta nabrała w końcu mocy obowiązującej przez to, że kardynał Izydor odczytał w kościele Mądrości Bożej list unijny. W katedrze florenckiej list ten odczytał przed czternastu laty po grecku wielki krągłogłowy uczonec, metropolita Bessarion. Został on, podobnie jak Izydor, podniesiony do godności kardynała przez papieża Eugeniusza IV w nagrodę za swoje zasługi przy ciężkim dziele pojednania.

A więc to już czternaście lat od tej chwili. W wieczór ów sprzedałem swoje książki i odzież, rozdzieliłem pieniądze między biednych i uciekłem z Florencji. W pięć lat później wziąłem krzyż. Okrzyki tłumu przypomniały mi dziś górską drogę do Asyżu i pobożowisko pod Warną.

Ale gdy wołania nagle ucichły, podniosłem wzrok i zobaczyłem, że megaduks Łukasz Notaras wjechał na podest przed pozółkłą marmurową kolumnadą. Gestem nakazał ciszę i przejmujący wiatr grudniowy poniósł jego okrzyk: "Lepszy turban turecki niż tiara papieska!" Tak samo wołali ongiś Żydzi: "Uwolnijcie nam Barabasa!"

Cała gromada rycerzy i archontów zebrała się wyzywająco wokół Łukasza Notarasa, żeby pokazać, że go popierają i otwarcie ważą się przeciwstawić cesarzowi. Aż wreszcie tłum rozstał się w końcu, tak że cesarz mógł stamtąd odjechać ze swoją przerzedzoną świtą. Procesja kobiet wypływała wciąż jeszcze przez potężne brązowe

wrota kościoła, ale rozpraszala się natychmiast na otwartym placu i znikala w niepokojnym tłumie.

Byłem ciekawy, jak lud przywita kardynała Izydora, ale jest on mężem, który wiele wycierpiał dla unii, i sam jest Grekiem. Dlatego też wcale nie wyszedł na dwór. Godność kardynała nie dodała mu tuszy. Jest nadal takim samym chudym, małym człowieczkiem o oczach jak ziarnka pieprzu i wydaje się jeszcze chudszy niż dawniej, odkąd zgolił brodę na sposób łański.

“Lepszy turban turecki niż tiara papieska”. Słowa te ksiązę Notaras wykrzyknął chyba z głębi serca, z miłości do swego miasta i swojej wiary oraz nienawiści do łacinników.

Ale bez względu na to, jak szczere uczucie dodało żaru jego słowom, nie mogę uważać ich na nic innego, jak tylko z zimną krwią uczynione otwarcie gry politycznej. Wśród wzburzonego ludu wyłożył swoje karty, żeby zyskać poklask zdecydowanej większości. Gdyż w głębi serca żaden Grek nie popiera przecież tej unii, nawet sam cesarz. Jest on tylko zmuszony podporządkować się i przypieczętować unię, by w ten sposób zawrzeć pakt przyjaźni i pomocy, który w chwili potrzeby ma dać Konstantynopolowi pomoc papieskiej floty wojennej.

Już zbroi się flota papieża w Wenecji. Kardynał Izydor zapewnia, że wypłynie ona na ratunek Konstantynopola, gdy tylko wieść o ogłoszeniu unii zdąży dotrzeć do Rzymu. Ale za cesarzem Konstantynem ludzie krzyczeli dzisiaj: “Apostata, apostata”. Najokropniejsze, najbardziej czcze, najbardziej niszczące słowo, jakie można wykrzyknąć do człowieka. To cena, którą musi on płacić za dziesięć okrętów wojennych. Jeśli okręty te w ogóle przyplyną.

Kardynał Izydor przywiódł już z sobą garść łuczników, których zwerbował na Krecie i innych wyspach. Bramy miasta są zamurowane. Turcy spustoszyli całą okolicę i zamknęli Bosfor. Ich mocny punkt to twierdza, którą sułtan ostatniego lata kazał wciągu kilku miesięcy wznieść koło najciaśniejszego miejsca Bosforu. Twierdza leży po stronie Pery, po stronie chrześcijan. Jeszcze na wiosnę stał na tym miejscu kościół archanioła Michała. Teraz kamienne kolumny kościoła wmurowane są jako podpory grubych na trzydzieści stóp murów tureckich wież i działa sułtana nadzorują cieśninę.

O wszystkim tym myślałem stojąc przy ogromnych brązowych wrotach kościoła Mądrości Bożej. Wtedy to zobaczyłem ją. Udało jej się wymknąć z tłumy i wejść z powrotem do kościoła. Oddychała gwałtownie, a welon jej porwany był w strzępy.

Dostojne Greczynki w Konstantynopolu mają zwyczaj zasłaniać twarze przed obcymi i żyją w odosobnieniu w swoich domach pod pieczę eunuchów. Gdy wsiadają na koń albo wchodzą do lektyk, przodem spieszą ich słudzy z rozpostartą płachtą, by chronić je przed spojrzzeniami przechodniów. Ich pleć jest mleczna i przezroczysta.

Spojrzała na mnie i czas zatrzymał się w biegu, słońce przestało wędrować wokół ziemi, przyszłość stopiła się z terażniejszością i nie było już nic więcej prócz tej chwili, tej jedynej żywej chwili, której nawet chciwy czas nie mógł połknąć.

Widziałem wiele kobiet za mego życia. Kochałem samolubnie i zimno. Doznawałem rozkoszy i sam dawałem rozkosz innym. Ale dla mnie miłość była zawsze pogardy godną żądzą cielesną, która zaspokojona, wprawiała duszę w przygnębienie. Tylko ze współczucia udawałem miłość, dopóki mogłem się na to zdobyć.

Wiele kobiet widziałem w moim życiu, aż wreszcie wyrzekłem się ich, podobnie jak wyrzekłem się wielu innych rzeczy. Kobiety były dla mnie czymś cielesnym, a ja nienawidzę wszystkiego, co uzależnia mnie od mojego własnego ciała.

Była niemal tak wysoka jak ja. Włosy miała jasne pod haftowanym kapturkiem. Płaszcz niebieski, przetykany srebrem. Oczy jej były brązowe, pleć jak złoto i kość słoniowa.

Ale ja nie na jej piękność patrzyłem. Nie wtedy właśnie. To spojrzenia jej oczu pojmały mnie, gdyż oczy te były mi dobrze znane, tak jakbym widział je już kiedyś we śnie. Brązowa otwartość tych oczu spaliła wszystko czcze i codzienne na popiół. Rozszerzyły się ze zdumienia, a potem uśmiechnęły się nagle do mnie.

Zachwył mój był tak żarliwie czysty, że nie mieścił w sobie żadnego ziemskiego pożądania. Czuję, jakby ciało moje zaczęło świecić w taki sam sposób, jak kiedyś na własne oczy widziane pustelnicze szałaszy świętych mnichów z Athos promieniujące nadmysłowym blaskiem niczym jasne latarnie wysoko na ogromnych górskich stromiznach. I oto moje porównanie nie stanowi żadnego świętokradztwa, gdyż w tym momencie moje nowonarodzenie się było świętym cudem.

Jak długo to trwało, nie wiem. Może nie dłużej niż tchnienie, które w naszej ostatniej chwili wyzwala duszę od ciała. Staliśmy o parę kroków od siebie, ale przez jedno tchnienie staliśmy także na progu między doczesnym i wiecznym i było to podobne do ostrza miecza. Potem wróciłem znów do czasu. Musiałem mówić. Powiedziałem:

— Nie bój się. Jeśli chcesz, odprowadzę cię do domu twego ojca.

Po jej kapturku widziałem, że nie jest kobietą zamezną. Nie żeby to w tej chwili coś znaczyło. Czy była mężatką, czy nie, oczy jej bliskie mi patrzyły na mnie ufnie.

Wciągnęła głęboko oddech, jakby go zbyt długo powstrzymywała, i rzekła pytająco:

— Jesteś łacinnikiem?

— Jeśli tak chcesz — odparłem.

Patrzyliśmy na siebie i wśród rozkrzyczanego tłumu byliśmy równie samotni ze sobą, jak gdybyśmy razem zbudzili się w raju u zarania czasów. Spłonęła rumieńcem wstydu, ale nie spuściła wzroku. Poznawaliśmy przecież swoje oczy. Aż nie mogła już dłużej opanować niepokoju i drżącym głosem zapytała:

— Kim jesteś?

I pytanie jej nie było wcale pytaniem. Swymi słowami zdradzała tylko, że mnie poznaje w swoim sercu tak, jak ja ją poznałem. Ale żeby dać jej czas się opamiętać, powiedziałem:

— Wzrastałem we Francji, w mieście Awinion, dopóki nie osiągnąłem trzynastu lat. Od tej pory wędrowałem po wielu krajach. Nazywam się Jean Ange. Tutaj nazywam się Johannes Angelos, jeśli ty tak chcesz.

— Angelos — powtórzyła. — Anioł. Czy to dlatego jesteś taki błydy i poważny? Czy to dlatego zlekłam się, gdy cię zobaczyłam? — Podeszła bliżej i dotknęła dłonią mego ramienia. — Nie, nie jesteś aniołem — powiedziała. — Jesteś z krwi i kości. Dlaczego nosisz turecką szablę?

— Przywykłem do niej — odparłem. — I ta stal jest twardsza niż kuta przez chrześcijan. We wrześniu uciekłem z obozu sułtana Mehmeda, który skończył właśnie budować twierdzę nad Bosforem i miał wracać do Adrianopola. Teraz, gdy wybuchła wojna, wasz cesarz nie wydaje już niewolników tureckich, którzy uciekli do Konstantynopola.

Rzuciła wzrokiem na mój strój i powiedziała:

— Nie chodzisz odziany jak niewolnik.

— Nie, nie chodzę odziany jak niewolnik — odparłem. — Przez blisko siedem lat należałem do orszaku sułtana. Sułtan Murad wywyższył mnie na dozorcę swoich psów i podarował mi potem swemu synowi. Sułtan Mehmed wypróbował mój rozum i czytał wraz ze mną greckie i rzymskie księgi.

— Jak zostałeś niewolnikiem u Turków? — zapytała.

— Mieszkałem przez cztery lata we Florencji — odrzekłem.

— W owym czasie byłem bogatym człowiekiem, ale znużyłem się handlem i wziąłem krzyż. A Turcy pojмали mnie do niewoli pod Warną.

Jej wzrok kazał mi mówić dalej:

— Byłem sekretarzem u kardynała Juliusza Cesariniego. Po klęsce koń jego utonął w bagnie i uciekający Węgrzy zakłuli kardynała. Ich młody król padł przecież w tej bitwie. Mój kardynał namówił go do złamania pokoju, który zaprzysiął utrzymywać z Turkami. Dlatego Węgrzy uważali, że ściągnął na nich przekleństwo, a sułtan Murad traktował nas jak krzywoprzysięzców. Mnie jednak nie uczynił nic złego, choć kazał stracić wszystkich innych jeńców, którzy nie chcieli uznać jego Boga i proroka. Pewnie mówię zbyt dużo. Przebacz mi. Długo milczałem.

Odparła:

— Nie nudzisz mnie. Chcę słyszeć więcej o tobie. Ale dlaczego nie pytasz, kim ja jestem?

— Nie pytam — rzekłem — wystarczy dla mnie, że istniejesz. Nie sądziłem, że coś takiego jeszcze może mi się zdarzyć.

Nie pytała, co mam na myśli. Obejrzała się i spostrzegła, że masa ludzka zaczyna się rozpraszać.

— Chodź ze mną — szepnęła, wzięła mnie za rękę i wciągnęła spieszenie z powrotem w wielki cień brązowych wrót. — Uznajesz unię? — zapytała.

Wzruszyłem ramionami:

— Jestem łacinnikiem.

— Przekrocz próg — nakazała.

Wewnątrz w przedsionku przystanęliśmy na miejscu, gdzie okute żelazem buty wartowników przez tysiąc lat wyłobiły dołek w marmurowej posadzce. Ludzie, którzy z obawy przed tłumem pozostali w kościele, zerkali na nas. Mimo to objęła mnie ramionami za szyję i pocałowała.

— To uroczystość świętego Spirydiona — rzekła i przeżegnała się znakiem krzyża na sposób grecki. —Tylko od Ojca, nie od Syna. Niech mój chrześcijański pocałunek będzie przypieczętowaniem przyjaźni między nami, abyśmy siebie nawzajem nie zapomnieli. Niebawem słudzy mego ojca będą tu, żeby mnie zabrać.

Policzki miała rozpalone, a jej pocałunek nie był chrześcijański. Pachniała hiacyntami. Wysoko sklepione brwi były cienkimi kresczkami, pomalowanymi na ciemnoniebiesko, usta miała umalowane na czerwono, jak to jest w zwyczaju wśród dostojnych kobiet w Konstantynopolu.

— Nie mogę tak się z tobą rozstać — rzekłem. — Jeśli byś nawet mieszkała za siedmiorgiem zawartych wrót, nie ustane, dopóki cię nie odnajdę. Jeśli nawet czas i przestrzeń rozdzieli nas, będę cię szukał na nowo. Nie możesz temu przeszkodzić.

— Dlaczegoż miałabym chcieć temu przeszkodzić? — zapytała unosząc drwiąco brwi. — Skąd możesz wiedzieć, że sama nie płonę niecierpliwością, by usłyszeć więcej o tobie i twoich dziwnych losach, panie Angelosie?

Jej drwina była przyjemna, a ton mówił więcej niż słowa.

— Wyznacz mi więc miejsce i czas — nalegałem.

Zmarszczyła czoło:

— Sam nie wiesz, jak niestosowne są twoje słowa. Ale takie są może obyczaje Franków.

— Czas i miejsce — powtórzyłem i chwyciłem ją za ramię.

— Jak śmiesz — wpatrzyła się we mnie i zbladła z zaskoczenia.

— Żaden mężczyzna jeszcze nigdy nie ośmielił się mnie dotknąć. Nie wiesz, kim jestem. — Ale nie próbowała nawet wyswobodzić się z uchwytu, tak jakby moje dotknięcie mimo wszystko było jej miłe.

— Ty jesteś ty — rzekłem. — To mi wystarczy.

— Może pošlę wiadomość — obiecała. — Cóż może znaczyć w tych niespokojnych czasach, czy coś jest stosowne, czy nie. Jesteś Frankiem, nie Grekiem. Ale spotkanie ze mną może być dla ciebie niebezpieczne.

— Wziąłem kiedyś krzyż, ponieważ brakło mi wiary — odparłem.

— Wszystko inne osiągnąłem. Dlatego myślałem, że przynajmniej potrafię umrzeć na cześć Boga. Od Turków uciekłem, żeby umrzeć dla Chrystusa na murach Konstantynopola. Nie możesz uczynić mego życia niebezpieczniejszym, niż ono jest.

— Milcz — rzekła. — Przrzeknij przynajmniej, że nie pójdziesz za mną. Dość już ściągnęliśmy na siebie uwagi. — Zasłoniła twarz podartym welonem i odwróciła się do mnie plecami.

Słudzy w niebieskich i białych szatach przyszli po nią. Poszła za nimi nie rzuciwszy mi nawet jednego spojrzenia, a ja tam zostałem. Ale gdy się oddaliła, poczułem się bezsilny, tak jakbym wykrwawił się z otwartej rany.

Przedstawiciele różnych nacji, zebrani w kościele Najświętszej Dziewicy Marii koło portu, postanowili pod przewodnictwem cesarza Konstantyna dwudziestu jeden głosami przeciw głosom Wenecjan skonfiskować dla obrony miasta weneckie okręty w porcie. Trevisano założył protest w imieniu armatorów. Pozwolono im zatrzymać ładunki, kiedy kapitanowie ucałowaniem krzyża potwierdzili przysięgę, że nie będą usiłowali uciec. Czynsz dzierżawny za okręty ustalono w wysokości czterystu bezantów miesięcznie. Jest to cena lichwiarska, ale Wenecja umie wykorzystać okazję, a zresztą na co przyda się tonącemu liczenie swego złota.

Cesarz naradzał się z Gregoriosem Mammase, którego lud zwie fałszywym patriarchą, z biskupami i z opatami klasztorów nad stopieniem klejnotów kościelnych i biciem z nich monet. To obrabowanie klasztorów i kościołów z naczyń złotych i srebrnych mnisi uważają za pierwszą prawdziwą oznakę połączenia kościołów i uznania unii.

Ceny nieruchomości osiągnęły dno. Odsetki nawet za krótkoterminowe pożyczki wzrosły w ciągu kilku dni do czterdziestu procent. Długoterminowych pożyczek w ogóle nie można dostać. Drogie kamienie stoją wysoko w cenie. Za jeden mały diament zakupiłem dywany i meble wartości sześćdziesięciu tysięcy dukatów. Urządzam i ozdabiam dom, który wynająłem. Właściciel gotów jest sprzedać go tanio, ale po cóż miałbym kupować dom. Przyszłość miasta można obecnie liczyć na miesiące.

Nie spałem wiele w ciągu ostatnich dwóch nocy. Powróciła moja dawna bezsenność. Niepokój pędzi mnie na ulice, ale nie wychodzę z domu na wypadek, gdyby ktoś pytał o mnie. Czytać nie mogę. Naczytałem się już dosyć, by zrozumieć, jak jałowa jest wszelka wiedza. Mój grecki służący czuwa nad każdym moim krokiem, ale jest to zupełnie naturalne i dotychczas mi to nie przeszkadzało. Jakżeż mogliby ufać człowiekowi, który był w służbie tureckiej. Mój sługa jest ubogim starym człowiekiem, którego mi żal. Chętnie pozwalam mu na ten jego uboczny zarobek.

15 grudnia 1452

Tylko mały zwitek papieru. Wędrowny sprzedawca warzyw przyniósł mi go tu dziś rano.

“W kościele Świętych Apostołów po południu”. Nic więcej tam nie było napisane. W południe powiedziałem, że wybieram się do portu, i posłałem mego sługę, żeby wysprzątał piwnicę. Wychodząc zamknąłem za nim drzwi. Dziś nie chcę czuć na sobie żadnych szpiegujących oczu.

Kościół Świętych Apostołów stoi na najwyższym wzgórzu w mieście. Było to miejsce dobrze wybrane na czułą schadzkę, gdyż tylko kilka odzianych na czarno kobiet, pogrążonych w modłach, klęczało przy balaskach przed świętymi ikonami. Moja odzież nie wzbudziła żadnego zdumienia, gdyż kościół ten odwiedzają często żeglarze łacinnicy, przychodzący obejrzeć groby królewskie i relikwie. Tuż na prawo od wejścia stoi, otoczony skromną barierką drewnianą, kawałek kamiennej kolumny, do której przywiązany był nasz Zbawiciel, gdy chłostali go rzymscy żołdacy.

Musiałem czekać w kościele przez dwie godziny i czas włókł się leniwie. Ale nikt nie zwracał uwagi na to, że tam siedzę. W Konstantynopolu czas nie ma już żadnego znaczenia. Modlące się kobiety oderwały się od świata i pogrążyły w ekstazie. Ocknąwszy się rozglądały się wokół siebie jak gdyby zbudzone ze snu. W ich wzroku wyrażał się cały niewypowiedziany smutek umierającego miasta. Zasłoniły twarze welonami i wyszły z opuszczonymi oczyma.

Po chłodzie na dworze w kościele było ciepło. Pod jego marmurową posadzką biegną przewody z ciepłym powietrzem na dawny rzymski sposób. Także lodowaty chłód w mojej duszy stajał. Żar oczekiwania sprawił, że padłem na kolana, by modlić się, czego nie robiłem już bardzo dawno. Ukląknąłem przed ołtarzem i modliłem się z całego serca:

“Święty wszechmocny Boże, który w postaci Swego Syna byłeś cieleśnie na ziemi w sposób niepojęty dla naszego rozumu, by zbawić nas od naszych grzechów, zmiłuj się nade mną. Zmiłuj się nad moim zwątpieniem i niewiarą, których ani Twoje własne słowo, ani pisma Ojców Kościoła, ani żadna świecka filozofia nie zdołały uleczyć. Stosownie do Twojej woli prowadziłeś mnie po świecie i dałeś mi zakosztować wszystkich Twoich darów, mądrości i głupoty, bogactwa i biedy, władzy i niewolnictwa, pasji i łagodności, pożądania i wyrzeczenia, pióra i miecza, ale nic nie zdołało mnie uleczyć. Gonileś mnie z rozpacz w rozpacz, tak jak bezlitosny myśliwy goni swoją słabnącą zwierzynę, dopóki w mym poczuciu winy nie miałem innej rady jak zaryzykować życie w obronie Twego imienia. Lecz nawet tej ofiary nie chciałeś ode mnie przyjąć. Czegoż zatem chcesz ode mnie, święty niepojęty Boże?”

A gdy odmówiłem tę modlitwę, poczułem, że to tylko moja niestrudzona duma zabarwiła te myśli, i zawstydzilem się, i modliłem się ponownie w głębi serca:

“Ty, który jesteś, zmiłuj się nade mną. Przebacz mi grzechy nie dla moich zasług, ale dla Twego miłosierdzia i uwolnij mnie od mojej straszliwej winy, zanim mnie ona złamie”.

A pomodliwszy się stałem się znowu zimny jak gład, jak kawałek lodu. Poczulem siłę w członkach i nieugiętą sztywność w karku i po raz pierwszy od wielu lat doznałem rozkoszy istnienia. Kochałem i czekałem, i wszystko minione obróciło się za mną w popiół, tak jakbym nigdy przedtem nie kochał i nie czekał. Tylko jako błądy cień pamiętałem jeszcze dziewczynę z Ferrary, która nosiła perły we włosach i wędrowała po ogrodzie filozofii z ptasią klatką ze złotych drucików uniesioną w białej dłoni tak, jakby niosła latarnię, by oświetać drogę.

A później pogrzebałem nieznaną zmarłą, której twarz wyzarły leśne lisy. Przyszła, by szukać swojej klamry od paska. Doglądałem zadzumionych w wysmołowanym baraku, dlatego że nie kończące się spory o literę wiary doprowadziły mnie do rozpaczy. Także i ona była zrozpaczona, ta piękna, nieosiągalna dziewczyna. Zdjąłem z niej skażone zarazą szaty i spaliłem w piecu handlarza soli. Potem spaliśmy z sobą i daliśmy sobie nawzajem ciepło, choć sądziłem, że coś takiego nie może mi się przytrafić. Była przecież księżniczką, a ja tylko tłumaczem w kancelarii papieskiej. To już wnet piętnaście lat od tego czasu. I teraz nic już nie drgało we mnie, gdy ją wspominałem. Musiałem szukać w pamięci, by choćby tylko przypomnieć sobie jej imię, Beatrycze. Książę podziwiał Dantego i czytał francuskie romanse rycerskie. Kazał ściąć własnego syna i własną córkę za rozpustę, a sam spółkował po kryjomu ze swoją córką. Niegdyś w Ferrarze. Dlatego to znalazłem dziewczynę z ogrodu w baraku zadzumionych.

Kobieta z twarzą osłoniętą welonem haftowanym perełkami podeszła i stanęła obok mnie w kościele. Była niemal tak wysoka jak ja. Odziana była w futrzany płaszcz z powodu zimna. Poczulem zapach hiacyntów. Przyszła, moja ukochana.

— Twoja twarz — prosiłem. — Pokaż mi twoją twarz, żebym mógł uwierzyć, że jesteś.

— Postępuję niesłusznie — rzekła. Była bardzo blada, w jej brązowych oczach malował się strach.

— Co jest słuszne, a co niesłuszne? — zapytałem. — Żyjemy przecież w dniach ostatecznych. Cóż znaczy jeszcze cokolwiek, co robimy?

— Jesteś łacinnikiem — rzekła z wyrzutem. — Takim, który spożywa nie kwaszony chleb. Tak może mówić tylko Frank. Słuszne i niesłuszne czuje człowiek w swoim sercu. Wiedział to już Sokrates. Ale ty jesteś szydercą podobnie jak Piłat, który pytał, co to jest prawda.

— Na rany Chrystusa! — zakląłem. — Kobieto, chcesz mnie uczyć filozofii? Doprawdy, jesteś Greczynką!

Rozszlochała się z lęku i napięcia. Pozwoliłem jej płakać, żeby się uspokoiła, gdyż była tak załęczniona, że drżała ustawicznie mimo ciepła w kościele i swego drogiego futrzanego płaszcza. Przyszła, płakała ze względu na mnie i na siebie samą. Czyż potrzebowałem lepszego dowodu na to, że wzruszyłem jej duszę, podobnie jak ona niczym trzęsienie ziemi odwaliła głazy z czeluści mego serca?

W końcu położyłem dłoń na jej ramieniu i rzekłem:

— Wszystko ma tylko znikomą wartość. Życie, wiedza, filozofia, nawet wiara. Wszystko tylko zapala się, płonie gwałtownie przez chwilę, a potem gaśnie. Bądźmy dwojgiem dorosłych ludzi, którzy cudem poznali wzajemne spojrzenia i mogą otwarcie rozmawiać ze sobą. Nie przyszedłem tutaj, żeby się z tobą kłócić.

— Dlaczego przyszedłeś? — zapytała.

— Kocham cię! — rzekłem.

— Choć nie wiesz, kim jestem, choć widziałeś mnie tylko jeden jedyny raz? — odparła.

Rozłożyłem ręce. Cóż mogłem na to odpowiedzieć. Opuściła wzrok, zaczęła znowu dygotać i szepnęła:

— Wcale nie byłam pewna, że przyjdiesz.

— O, ty moja ukochana! — powiedziałem, gdyż piękniejszego wyznania miłości nigdy jeszcze nie słyszałem z warg żadnej kobiety. I jeszcze raz zrozumiałem, jak nieskończenie mało człowiek może wyjaśnić słowami. A przecież ludzie, nawet mądrzy i uczeni, wierzą, że potrafią wytłumaczyć istotę Boga.

Wyciągnąłem do niej obie ręce. Bez chwili wahania pozwoliła mi ująć swe zimne dłonie. Palce miała smukłe i mocne, ale były to dłonie, które nigdy nie wykonywały żadnej pracy. Staliśmy długo trzymając się za ręce, zwróceni ku sobie. Nie potrzebowaliśmy żadnych słów. Jej brązowe zatroskane oczy spoglądały na moje czoło, nasadę włosów, policzki, brodę, szyję, jak gdyby w nie nasyczonej ciekawości chciała wbić sobie w pamięć każdy mój rys. Twarz miałem spaloną wiatrem, posty wydrążyły moje policzki, kąciki ust opadły mi od rozczarowań, a czoło zryte było

zmarszczkami od myśli. Ale nie wstydziłem się swego oblicza. Twarz moja była jak woskowa tabliczka, zrysowana przez życie twardym ryłcem. Chętnie jej pozwalałem z niej czytać.

— Chcę wiedzieć o tobie wszystko — powiedziała ściskając moje twarde palce.
— Golisz się. To czyni cię dziwnym, budzisz lęk jak łaciński ksiądz. Czy jesteś mężem uczonym, czy też wojownikiem?

— Błąkałem się z kraju do kraju, z ubogiego stanu do możnego, jak iskra na wietrze — odparłem. — Także w swoim sercu wędrowałem po głębinach i po wyżynach. Studiowałem filozofię z jej nominalizmem i realizmem, jak również pisma starych filozofów. Znużony słowami, określałem pojęcia literami i cyframi jak Raymondus. Ale nigdy nie doszedłem do jasności. Dlatego też wybrałem miecz i krzyż.

Po chwili ciągnąłem:

— Przez jakiś czas byłem także kupcem. Nauczyłem się podwójnej księgowości, która czyni bogactwo pozorem. W naszych czasach bogactwo stało się tylko napisem na papierze, podobnie jak filozofia i święte tajemnice.

Po chwili wahania zniżyłem głos i rzekłem:

— Mój ojciec był Grekiem, choć wzrosłem w papieskim Awinionie.

Drgnęła i wypuściła moje dłonie jakby przerażona.

— Tak myślałam — powiedziała. — Gdybyś miał brodę, twarz twoja byłaby twarzą Greka. Czy to tylko dlatego od pierwszej chwili wydałeś mi się taki znajomy, jak gdybym znała ciebie dawniej i szukała twojej byłej twarzy pod tą obecną?

— Nie — odparłem. — Nie, wcale nie dlatego.

Rozejrzała się bojaźliwie wokoło i schowała brodę i usta w welonie.

— Opowiedz mi o sobie wszystko — prosiła. — Ale spacerujmy równocześnie wokoło i udawajmy, że coś oglądamy, tak aby nie zwrócić niczyjej uwagi. Ktoś mógłby mnie rozpoznać.

Ufnie położyła dłoń na moim ramieniu i zaczęliśmy chodzić po kościele i oglądać cesarskie sarkofagi, ikony i srebrne relikwiarze. Zrównaliśmy nasze kroki. Gdy dłoń jej dotknęła mego ramienia, jak gdyby ognista sprężyna poraziła moje ciało. Ale ten ból był luby. Półgłosem zacząłem opowiadać:

— Dzieciństwo zapomniałem. Jest ono jak sen i nie wiem już na pewno, co jest snem, a co prawdą. Ale gdy bawiłem się pod murem miejskim albo nad brzegiem rzeki w Awinionie z innymi chłopcami, zwykłem być wygłaszać do nich długie kazania

po grecku i po łacinie. Nauczyłem się chyba na pamięć wielu rzeczy, których nie rozumiałem, gdyż odkąd ojciec mój stał się ślepcem, musiałem mu czytać głośno jak dzień długi.

— Ślepcem? — zapytała.

— Odbył długą podróż, kiedy miałem osiem czy dziewięć lat — odrzekłem szukając w pamięci. Przegnałem już to wszystko z duszy, tak jakbym nigdy tego nie przeżywał, ale teraz zmory dzieciństwa wróciły jak zły sen. — Przebywał poza domem przez cały rok. W drodze powrotnej wpadł w ręce rabusiów. Oślepił go, żeby nigdy już nie mógł ich poznać i świadczyć przeciw nim.

— Oślepił — zdumiała się. — Tu w Konstantynopolu oślepia się tylko usuniętych cesarzy albo synów, którzy zbuntowali się przeciw swemu ojcu. Tureccy władcy nauczyli się tego zwyczaju od nas.

— Mój ojciec był Grekiem — powtórzyłem jeszcze raz. — W Awinionie nazywano go Andronikosem Grekiem, a w ostatnich latach tylko Ślepym Grekiem.

— Jak ojciec twój znalazł się w kraju Franków? — zapytała ze zdziwieniem.

— Nie wiem — odparłem, choć wiedziałem. Ale zachowałem to dla siebie. — Mieszkał w Awinionie przez całe swoje życie. Miałem trzynaście lat, gdy pewnego dnia, będąc ślepcem, spadł ze zbocza za pałacem papieskim i skrzył kark. Pytasz o moje dzieciństwo. Jako dziecko miewałem często anielskie wizje, które brałem za rzeczywistość. Nazywam się przecież Johannes Angelos. Sam nie pamiętam tak dużo z tego, ale wszystko to policzono mi jako obciążenie przy procesie.

— Procesie? — zmarszczyła czoło.

— Kiedy miałem trzynaście lat, zostałem skazany za zamordowanie ojca — rzuciłem szorstko. — Przedłożono dowody, że zaprowadziłem mego ślepego ojca na urwisko i strąciłem go, żeby odziedziczyć po nim majątek. Naocznych świadków nie było. Dlatego chłostano mnie, żebym się przyznał. W końcu skazano mnie na ćwiartowanie, łamanie kołem. Miałem wtedy trzynaście lat. Takie było moje dzieciństwo.

Chwyciła szybko moją dłoń, spojrzała mi w oczy i rzekła:

— Twoje oczy nie są oczyma mordercy. Opowiadaj dalej. To ci przyniesie ulgę.

— Nie myślałem o tych sprawach od wielu lat — powiedziałem. — Nie miałem ochoty mówić o tym z kimkolwiek. Wykreśliłem te rzeczy z pamięci. Ale łatwo jest mówić do ciebie. To było dawno temu. Mam już czterdzieści lat. Od tego czasu przeżyłem wiele żywotów. Ale nie zabiłem swego ojca. Być może był on surowy i

porywczy i bijał mnie czasem, ale w swych najlepszych chwilach był dla mnie dobry. Kochałem go. Był przecież moim ojcem. O matce nic nie wiem. Umarła przy moim urodzeniu, ściskając na próżno w dłoni obdarzony cudowną mocą kamień.

Może ojciec był znudzony życiem dlatego, że był ślepcem — ciągnąłem — tak sądziłem później, kiedy dorosłem. Rankiem tego dnia prosił mnie, żebym się nie niepokoił, cokolwiek się stanie. Powiedział mi, że ma dużą sumę pieniędzy, nie mniej niż trzy tysiące dukatów, na przechowaniu u złotnika Gerolamo. Zapisał mi wszystko w testamencie i wyznaczył Gerolamo na mego opiekuna, dopóki nie ukończę szesnastu lat. Było to na wiosnę. Poprosił później, żebym go zaprowadził na urwisko za pałacem. Chciał posłuchać wiatru i krzyku kluczy ptaków przylatujących z południa. Powiedział, że się umówił na spotkanie z aniołami. Dlatego prosił mnie, żebym zostawił go samego i wrócił dopiero na wieczorną mszę.

— Czy ojciec twój zarzucił swoją grecką wiarę? — zapytała natychmiast dobitnie. Była córką Konstantynopola.

— Chodził na mszę, spowiadał się, spożywał łaciński chleb, i kupował opłatki, by skrócić czas czyśca — odparłem. — Nawet mi nie przyszło na myśl, by mógł mieć inną wiarę niż wszyscy. Powiedział, że umówił się na spotkanie z aniołami, i znalazłem go martwego u stóp urwiska. Był zmęczony życiem, ślepy i nieszczęśliwy.

— Ale jak ktoś mógł oskarżyć ciebie o to?... — rzekła.

— Wszystko zrzucono na mnie — odpowiedziałem. — Wszystko, wszystko. Mówiono, że chciałem pieniędzy. Mistrz Gerolamo świadczył przeciwko mnie najzarliwiej. Twierdził, że widział na własne oczy, jak ugryzłem ojca w rękę, kiedy mnie chłostał, i zaraz potem zapewnił, że żadnych pieniędzy nie było. To tylko mrzonki ślepego człowieka, coś, o czym bredził. Małą sumkę Gerolamo wprawdzie otrzymał, jak mówił, kiedy ojciec mój ośleplł, ale pieniądze te dawno już poszły na jego utrzymanie. Tylko z litości Gerolamo posyłał nam potem dalej żywność ze swoich dóbr, mówił. Ślepiec poprzestawał na małym i często pościł. A tego wsparcia nie można w żaden sposób uważać za spłatę odsetek od jakiegoś depozytu, jak on to sobie wyobrażał. Było to czyste miłosierdzie. Obracanie pieniędzmi na procent jest przecież ciężkim grzechem dla obu stron. Ale żeby okazać dobrą wolę, obiecał mistrz Gerolamo darować kościołowi srebrny świecznik ku pamięci mego ojca, mimo że jego księgowość wyraźnie i jasno wykazuje, iż ojciec z biegiem lat tylko coraz bardziej się u niego zadłużał. I w swej dobroci zgodził się też na to, żeby mi wolno było wyrównać dług książkami ojca, których i tak nikt nie umiał czytać. Ale pewnie cię nudzę.

— Nie, nie nudzisz mnie — odrzekła. — Opowiadaj, jak uratowałeś życie.

— Byłem synem Ślepego Greka, obcym — ciągnąłem. — Dlatego też nikt nie stanął w mojej obronie. Ale biskup dowiedział się o tych trzech tysiącach dukatów i zażądał, żeby postawiono mnie przed trybunał kościelny. Formalne oskarżenie dotyczyło widzeń, które miałem, kiedy mnie chłostano, gdyż wówczas byłem jakby odurzony bólem i majaczyłem o aniołach, tak jakbym był dzieckiem. W świeckim procesie szybko pominięto tę teologiczną stronę sprawy i zapisano tylko w protokole, że jestem umyślowo chory. Świeccy sędziowie uważali, że przykuwając mnie do ściany w wieży i chłoszcząc codziennie, sami doskonale potrafią wypędzić ze mnie kusiciela, zanim mnie stracą. Ale pieniądze powikłały sprawę i proces przeciwko mnie o morderstwo ojca przerodził się wnet w spór między władzami kościelnymi i świeckimi o prawo do sądenia, to znaczy o to, kto ma prawo wydać na mnie wyrok i skonfiskować majątek pozostawiony przez mego ojca.

— Ale jak się uratowałeś? — przynagliła.

— Nie wiem — wyznałem zgodnie z prawdą. — Nie mogę twierdzić, że to moje anioły mnie uratowały, ale pewnego dnia rozkuto mi kajdany, nie mówiąc dlaczego, i nazajutrz wczesnym rankiem zauważyłem, że drzwi wieży pozostały nie zamknięte. Wyszedłem stamtąd na dwór. Po dłuższym czasie spędzonym w ciemności byłem jakby oślepiiony światłem dziennym. Przy zachodniej bramie miasta spotkałem wędrownego przekupnia, który zapytał, czy nie chciałbym mu towarzyszyć. Wyglądało, jak gdyby czekał tam na mnie, gdyż wydawało się, że mnie zna, i natychmiast zaczął mi zadawać dociekliwe pytania o moje widzenia. Kiedy znaleźliśmy się w lesie, odszukał francuską książkę ukrytą w swoich gratach. Były to cztery Ewangelie przełożone na francuski. Prosił mnie, żebym czytał mu je głośno. W ten sposób stałem się członkiem bractwa wolnego ducha. Może to właśnie jego członkowie mnie oswobodzili, gdyż należy doń wielu takich, których się nawet o to nie posądza.

— Bractwo wolnego ducha? — zdziwiła się. — Co to za jedni?

— Nie chcę cię nudzić — rzekłem wymijająco. — Opowiem ci o tym innym razem.

— Skąd możesz wiedzieć, że spotkamy się jeszcze kiedyś? — zapytała. — Bardzo mi było trudno doprowadzić do tego spotkania, trudniej, niż może przypuszczasz, ty, nawykły do zachodnich swobodnych obyczajów. Nawet z turecką kobietą łatwiej umówić się na schadzkę niż z Greczynką, sądząc z opowieści Turków.

— W ich baśniach chytróść kobiety przewyższa zawsze rozum dozorczy — odparłem. — Powinnaś czytać pilnie baśnie. Może zdołasz się z nich czegoś nauczyć.

— Ty — rzekła. — Ty! Ty jesteś naturalnie w pełni wyuczony!

— Nie musisz być zazdrosna — odrzekłem. — W sułtańskim seraju zajmowałem się całkiem innymi sprawami.

— Ja miałabym być zazdrosna?! Zbyt wiele sobie przypisujesz — syknęła i poczerwieniała ze złości. — I skąd mogę wiedzieć, czy nie jesteś tylko uwodzicielem jak inni Frankowie. Może chcesz tak jak oni wykorzystać znajomość z ciekawą kobietą, by potem chełpić się po statkach i szynkach znamienitymi podbojami.

— Aha, więc to tak! — powiedziałem i ścisnąłem jej przegub.

— To takie znajomości miałaś wśród Franków. A zatem takiego rodzaju kobietą jesteś. Ale nie bój się. Będę milczał. Pomyliłem się tylko co do ciebie. Dlatego też najlepiej będzie, byśmy się więcej nie spotykali. Z pewnością łatwo znajdziesz jakiegoś kapitana czy łacińskiego oficera do towarzystwa na moje miejsce.

Wyrwała dłoń, by rozetrzeć przegub.

— Tak, tak — powiedziała. — Doprawdy najlepiej będzie, żebyśmy się więcej nie spotkali. — Oddychała głęboko i patrzyła na mnie pociemniałymi oczyma, z odrzuconą w tył głową. — Wracaj do portu — rzekła. — Jest tam pod dostatkiem łatwo dostępnych kobiet, które ci odpowiadają. Upijaj się, urządź awantury i bójki, jak to mają w zwyczaju Frankowie. Znajdziesz sobie chyba jakąś pocieszycielkę. Bóg z tobą zatem.

— I z tobą — odparłem kipiąc z gniewu.

Zaczęła gwałtownie iść po gładkiej jak szkło marmurowej posadzce. Chód miała piękny. Przelknąwszy ślinę poczułem smak krwi. Tak mocno zagryzłem wargi, żeby nie przywołać jej z powrotem. Potem zwolniła kroku. Koło drzwi nie mogła się już powstrzymać, żeby się nie obejrzeć. Gdy zobaczyła, że stoję nadal na tym samym miejscu, nie robiąc najmniejszego ruchu, by pospieszyć za nią, wpadła w taki gniew, że zawróciła, podbiegła do mnie i wymierzyła mi mocny policzek. Ogłuszył mnie i zapiekł, ale serce moje uradowało się. Gdyż uderzyła mnie nie bez zastanowienia, lecz najpierw rozejrzała się ostrożnie wokoło, czy nikt nas nie obserwuje.

Stałem spokojnie nic nie mówiąc. Po krótkiej zwłóce znów odwróciła się i poszła. Stałem nadal i patrzyłem za nią. Pośrodku kościoła wola jej zaczęła się załamywać, zwolniła kroku, zatrzymała się i znowu odwróciła w moją stronę. Teraz już uśmiechała się. Jej brązowe oczy promieniowały wesołością.

— Wybacz mi, drogi panie — powiedziała. — Jestem na pewno źle wychowana, ale teraz jestem pokorna i poskromiona. Niestety nie mam żadnej książki z tureckimi baśniami. Może byś mi pożyczył taką książkę, żebym mogła nauczyć się, jak chytróść kobiet tureckich przewyższa mądrość mężczyzn. — Ujęła moją dłoń, pocałowała ją i przycisnęła do swego policzka. — Dotknij, jakie mam rozpalone policzki!

— Nie rób tak! — ostrzegłem. — Zresztą jeden z moich policzków jest gorętszy niż twoje. I chytróści nie potrzebujesz studiować. Nie sądzę, by Turcy mogli cię tu czegoś nauczyć.

— Jak mogłeś pozwolić mi odejść nie spiesząc za mną? — zapytała. — Zraniłeś mnie głęboko jako kobietę.

— Wszystko jest jeszcze tylko igraszką — rzekłem z płonącymi oczyma. — Jeszcze możesz się wycofać. Nie napastuję cię. Nie idę za tobą. Sama możesz wybierać.

— Nie mam już przecież żadnego wyboru — broniła się. — Dokonałam wyboru już wtedy, kiedy napisałam te kilka słów na skrawku papieru. Dokonałam wyboru chyba w chwili, kiedy nie odprawiłam cię z niczym w kościele Mądrości Bożej. Dokonałam wyboru chyba w chwili, kiedy spojrzaleś mi w oczy. Nie mogę już wycofać się, nawet gdybym chciała. Ale nie utrudniaj mi wszystkiego.

Trzymając się za ręce wyszliśmy razem z kościoła. Przeraziła się zobaczywszy, że zmierzch już zapada. — Musimy się rozstać — powiedziała. — Natychmiast!

— Pozwól mi pójść z tobą kawalek — prosiłem nie mogąc się opanować.

I nie potrafiła mi odmówić, choć było to niezwykle nieostrożne. Szliśmy dalej ramię przy ramieniu, podczas gdy zmierzch spadał na zielone kopuły kościołów i latarnie zapalały się przed dostojnymi domami na głównych ulicach. Za nami pomykał żółty i chudy pies, który nie wiadomo dlaczego się do mnie przyczepił, towarzyszył mi od domu do kościoła Apostołów i marznąc czekał, aż wyjdę.

Nie skręciła w stronę Blachern, co brałem za rzecz pewną, lecz poszła prosto w przeciwną stronę. Szliśmy obok ruin Hipodromu. Na starym torze wyścigowym zwykli za dnia ćwiczyć się młodzi Grecy w strzelaniu z łuku albo grać w piłkę z koni za pomocą kijów. W wieczornym oświetleniu zrujnowane budynki wyglądały na jeszcze większe niż zwykle. Ogromna kopuła kościoła Mądrości Bożej wznosiła się na tle nieba. Olbrzymia kamienna masa dawnego pałacu cesarskiego piętrzyła się naprzeciw nas. Nie płonęło tam ani jedno światło. Jego pustych sal używano teraz tylko przy rzadkich ceremoniach. Zmierzch pokrywał miłosiernie fakt, że szliśmy przez

umierające miasto. Jego marmurowe kolumny pożółkły, jego mury popękały, jego fontanny nie grały już, a porośnięte mchem baseny w zaniedbanych ogrodach wypełnione były więdnącymi liśćmi platanów. Jakby w cichym porozumieniu zwolniliśmy kroku. Gwiazda wieczorna płonęła już na horyzoncie. Przystanęliśmy w cieniu utraconej kolumny dawnego pałacu.

— Muszę już iść — rzekła. — Dalej nie możesz mi towarzyszyć.

— Twój futrzany płaszcz może skusić rabusiów albo żebraków — protestowałem.

Podniosła dumnie głowę.

— W Konstantynopolu nie ma ani rabusiów, ani żebraków — powiedziała. — Może koło portu. Albo w Perze. Ale nie w samym mieście.

To prawda. W Konstantynopolu nawet żebracy są chudzi i dumni. Jest ich niewiele i siedzą tu i tam w pobliżu kościołów, wpatrując się przed siebie przyćmionym wzrokiem, jak gdyby patrzyli w tysiącletnią przeszłość. Kiedy dostaną jałmużnę od jakiegoś łacinnika, mruczą błogosławieństwo, ale gdy tylko odwróci się do nich tyłem, spluwają na ziemię i trą monetę o swoje łachmany, jakby chcieli ją oczyścić po jego dotknięciu. Kobiety i mężczyźni zubożali idą raczej do klasztoru, niż wybierają zawód żebraka.

— Muszę iść — powtórzyła, ale nagle objęła mnie ramionami i przycisnęła mocno głowę do mojej piersi, tak że poczułem w chłodnym powietrzu zapach hiacyntu od jej skóry.

Nie szukałem jej policzków ni ust. Nie chciałem obrazić jej jakimś tylko cielesnym dotknięciem.

— Kiedy spotkamy się znowu? — zapytałem. Usta miałem suche i głos ochrypły.

Powiedziała bezradnie:

— Nie wiem. Doprawdy nie wiem. Nigdy przedtem mi się to nie zdarzyło.

— Czy nie mogłabyś przyjść do mnie do domu? — zagadnąłem. — W tajemnicy, żeby nikt cię nie widział. Mam tylko jednego sługę, który mnie szpieguje, ale mogę go odprawić. Przywykłem dawać sobie radę bez służby.

Stała w milczeniu tak długo, aż ogarnął mnie strach.

— Chyba cię nie dotknąłem? — spytałem. — Myślę, że możesz mi zaufać. Nie chcę ci zrobić nic złego.

Powiedziała:

— Nie odprawiaj swego sługi. Wzbudzisz tylko podejrzenia. Każdy obcy jest pod nadzorem. Szpiegowano by tylko ciebie w inny i może niebezpieczniejszy sposób. Nie wiem doprawdy, co mamy zrobić.

— Na Zachodzie — rzekłem z wahaniem — kobieta ma zwykle jakąś przyjaciółkę i mówi, że chce ją odwiedzić. W razie potrzeby przyjaciółka przysięga, że tak było naprawdę, i sama może czasem liczyć na wzajemną przysługę. Także w łaźniach i przy łożu choroby mężczyzna i kobieta mogą swobodnie spotykać się i przestawać z sobą.

— Nie mam nikogo, komu mogłabym zaufać — odparła.

— A więc nie chcesz — stwierdziłem speszony.

— Od dziś za osiem dni przyjdę do ciebie do domu — obiecała unosząc głowę.
— Przyjdę w godzinach porannych, jeśli to możliwe. Zgubię moją towarzyszkę na targu albo w weneckich kramikach. Odpokutuję za to, wiem dobrze. Ale przyjdę. Przypilnuj swego sługi tak, jak uznasz za stosowne.

— Ale czy wiesz, gdzie mieszkam? — zapytałem spieszenie. — To tylko zwykły drewniany domek nad portem za dzielnicą wenecką. Poznasz go po kamiennym lewku nad drzwiami.

— Tak, tak — odparła z uśmiechem w głosie. — Poznam go po tym małym brzydkim kamiennym lwie nad drzwiami. Już wczoraj, gdy byłam na zakupach, kazałam nieść się koło tego domu, żeby zobaczyć cię choć przez okamgnienie. Ale cię nie widziałam. Niech Bóg błogosławi twój dom.

Poszła w swoją stronę szybkimi krokami i znikła w ciemności.

20 grudnia 1452

Byłem dziś na dole w porcie, kiedy odpłynął ostatni okręt do Wenecji. Cesarz upoważnił kapitana, by złożył Signorii oświadczenie o konfiskacie wielkich galer. Także do Węgier wysłał cesarz Konstantyn tajnymi drogami prośbę o pomoc. Ale Hunyadi, który jest teraz regentem, półtora roku temu potwierdził ucałowaniem krzyża trzyletni pokój z Mehmedem. Pod Warną w 1444 roku i pod Kosowem przed czterema laty przekonał go Murad, że zbyt wiele kosztuje Węgry prowadzenie wojny z Turkami. Nie ufam w tę pomoc, którą może nam dać chrześcijaństwo. Mehmed działa dużo szybciej niż chrześcijanie.

Ostatniego lata widziałem, jak młody sułtan, obsypany wapiennym pyłem, utaplanym w glinie rękami sam pracował przy budowie fortecy nad Bosforem, żeby własnym przykładem pobudzić swoich ludzi do jeszcze większych wysiłków. Nawet jego starzy wezyrowie musieli brać w tym udział i toczyć kamienie oraz mieszać zaprawę. Sądzę, że tak mocnej twierdzy nigdy jeszcze nie zbudowano w tak krótkim czasie. Gdy uciekałem z obozu sułtana, brakowało jeszcze tylko ołowianych dachów na wieżach.

Także wielkie brązowe armaty puszkarza Orbana wytrzymały swe potężne ładunki i udowodniły swoją siłę. Odkąd jedna kamienna kula zatopiła wenecką galere, żaden statek z Morza Czarnego nie zawinął do naszego portu. Kapitan galery odmówił spuszczenia żagli. Jego trup wisi jeszcze wciąż na palu koło twierdzy sułtana, a członki marynarzy leżą rozrzucone i gniją na ziemi wokół niego. Sułtan ułaskawił jedynie czterech ludzi i posłał ich do miasta, żeby opowiedzieli o tym, co się stało. Od tego czasu upłynął już miesiąc.

Wygląda jednak na to, że cesarz Konstantyn zamierza bronić się poważnie. Wzdłuż całego muru miejskiego trwają prace umocnieniowe. Wmurowuje się nawet płyty grobowe z podmiejskich cmentarzy. Co jest rzeczą mądrą, gdyż inaczej mogliby ich użyć Turcy, kiedy już zaczną oblężenie. Ale wśród ludzi krążą słuchy, że budowniczowie wykonują roboty niedbale i sprzeniewierzają ogromne sumy. I nikt tego nie potępia. Przeciwnie. Panuje złośliwe zadowolenie. Cesarz jest przecież apostatą i został łacinnikiem. Dlatego można go oszukiwać jak wszystkich łacinników. Zaiste, miasto to kocha bardziej Turków niż łacinników!

No i mają przecież Panaghię w Blachernach, cudowną Najświętszą Dziewicę, by oddawać się pod Jej opiekę. Z całą powagą opowiadała mi dziś połowica piekarza, że gdy Murad przed trzydziestu laty oblegał miasto, Najświętsza Dziewica objawiła się w niebieskim płaszczu na murach miasta i wypłoszyła Turków, tak że podpalili maszyny oblężnicze i cały swój obóz i wycofali się spod miasta w ciągu jednej nocy. Tak jakby Murad nie miał ważniejszych od tego powodów.

Jak długi może być tydzień! Jak dziwnie jest czekać, gdy już sądziłem, że nie mam żadnych nadziei. Samo oczekiwanie jest rozkoszą, gdy drażniąca gorączka i niecierpliwosć młodości dawno znikły. Ale nie mogę dłużej wierzyć. Może ona nie jest wcale taka, jak to sobie wyobraziłem. Może oszukuję tylko siebie samego. Mimo to nie czuję braku ciepła dzięki kociołkowi z żarem, choć dmie dziś lodowaty wiatr od morza

Marmara i w powietrzu bujają płatki śniegu. Ciało moje jest rozpalone jak rozgrzany piec, który promieniuje ciepłem.

22 grudnia 1452

Przed nami uroczystości narodzenia naszego Zbawiciela. Wenecjanie i Genueńczycy w Perze przygotowują się do obchodów. Ale Grecy nie przywiązują większej wagi do Bożego Narodzenia. Ich najważniejszym świętem jest Wielkanoc. Nie dla pamięci cierpienia Chrystusa, lecz jako święto zmartwychwstania. Ich wiara jest nabożna, ekstatyczna, mistyczna i pojednawcza. Nawet kacerzy nie palą na stosach, lecz pozwalają im wstępować do klasztoru, żeby odpokutowali grzech. Nie rzucali nawet kamieniami za kardynałem Izydorem.

Wołali tylko: "Zabieraj swój nie kwaszony chleb z powrotem do Rzymu!"

Takiej żarliwej wiary i nabożności, jaką widuje się tutaj na twarzach ludzi uczęszczających do kościołów, nie można już zobaczyć na Zachodzie. Tam kupuje się odpuszczenie grzechów za pieniądze.

Lecz miasto coraz bardziej pustoszeje. Ogromny mur miejski obejmował "niegdyś milion ludzi. Teraz miasto skurczyło się. Żyje tylko na wzgórzach koło centralnego targowiska i na spadzistościach koło portu. Zwalone domy, ruiny i puste parcele rozpościerają się między dzielnicami zamieszkanymi i murem i stanowią nędzne pastwiska dla kóz, osłów i koni. Szorstka, ostra trawa, kolczaste krzaki, opuszczone domy z zapadniętymi dachami. I wiatr od morza Marmara.

Dwa okręty wojenne przysłała Wenecja. Pięćdziesięciu najemników papież Mikołaj z Rzymu z kardynałem Izydorem. Cała reszta to przymusowo zarekwirowane statki i prośbą, i groźbą zwerbowani łacinnicy. Czyżbym zapomniał o pięciu cesarskich okrętach wojennych bizantyjskiego modelu? Chlupoczą w porcie wodą przeciekającą przez dna, żagle mają pozrywane i cuchną zgnilizną z daleka. Paszcze strzelnic na stewach są zielone i pokryte śniedzią. Dziś jednak można było widzieć na nich ludzi. Widocznie megaduks Notaras zamierza mimo wszystko na nowo doprowadzić je do porządku, choć cesarz nie ma na to środków. Okręty wojenne to droga rzecz.

Z wysp na morzu greckim przyszło kilka statków z ładunkiem zboża, oliwy i wina. Chodzą pogłoski, że Turcy spustoszyli Moreę. Stamtąd zatem nie można

oczekiwać żadnej pomocy, jeśli Konstantyn w ogóle może polegać na swoim bracie. W każdym razie Demetrios należał do przeciwników unii już we Florencji. Kiedy cesarz Johannes zmarł, było tylko zasługą ich matki, że nie wybuchła bratobójcza wojna.

Nie znam Greków. Nie mogę dotrzeć do ich serca. Zawsze pozostaną dla mnie obcy. Nawet ich rachuba czasu jest inna niż moja. Ten rok jest dla nich sześć tysięcy dziewięćset sześćdziesiątym od stworzenia świata. Dla Turków znowu jest to rok osiemset pięćdziesiąty szósty po ucieczce Proroka. Jaki zwariowany świat! A może jestem tylko nazbyt łaciński w moim sercu?

Złożyłem nawet wizytę w genueńskiej Perze po drugiej stronie zatoki. Nikt nie stawiał mi żadnych pytań. Nieustannie pływają tam i z powrotem wypełnione po brzegi łodzie. Handel Genueńczyków idzie dobrze. Gdybym chciał, szybko wzbogaciłbym się na handlu bronią. Może Grecy przyjmowałiby mnie lepiej, gdybym im oferował przestarzałą broń za zbójckie ceny. Może wówczas ufaliby mi i uważaliby mnie za uczciwego człowieka.

W każdej winiarni w Perze można sprzedać i wymienić informacje. Genueńczycy nie są przecież w stanie wojny z sułtanem. Także i to jest szaleństwem. Przez Perę sułtan Mehmed dowiaduje się o wszystkim, co się dzieje w Konstantynopolu. Podobnie jak my dowiadujemy się, jak przygotowania wojenne sułtana postępują z dnia na dzień.

Nie przysłała więc dzisiaj. Przypuszczalnie chciała tylko zyskać na czasie, żeby pozbyć się mnie w stosowny sposób i zatrzeć za sobą ślady. Nie znam przecież nawet jej imienia.

I jest Greczynką, tak jak ja sam jestem Grekiem z racji krwi mego ojca. Osłabionej, chytrej, zdradliwej, okrutnej krwi Bizancjum. Jeśli jest tak, że kobieta, chrześcijanka czy Turczynka, jest najchytrzejszą z wszystkich istot, to czyż Greczynka nie miałaby być najchytrzejszą z kobiet? Ma przecież dwa tysiące lat doświadczenia.

Z ołowiu jest moje serce, z ołowiu jest krew w moich żyłach. Nienawidzę tego umierającego miasta, które wpatruje się ślepo w swoją przeszłość i nie chce uwierzyć, że zagłada zbliża się do jego wrót.

Dlatego nienawidzę, że kocham.

Mój sługa zaskoczył mnie dziś rano przychodząc do mnie z ostrzeżeniem:

— Panie, nie powinieneś odwiedzać Pery zbyt często.

Po raz pierwszy przypatrzyłem mu się dokładnie. Dotychczas był dla mnie tylko złem koniecznym, które odziedziczyłem wraz z domem, gdy go wynająłem. Doglądał mojej odzieży i kupował mi pożywienie, pilnował domu dla gospodarza, zamiatał podwórze i zaopatrywał bez wątpienia Ciemny Pokój w Blachernach w informacje, co robię i z kim się spotykam.

Nie miałem nic przeciwko niemu. Jest starym człowiekiem, którego było mi żal. Nie miałem tylko nigdy ochoty na niego spojrzeć. Teraz to uczyniłem. Jest małym staruszkim z rzadką bródką. Ma bóle w kolanach i bezdennie smutne greckie oczy. Jego odzież jest zniszczona i pełno na niej tłustych plam.

Zapytałem:

— Kto cię prosił, żebyś mi to powiedział?

Odparł dotknięty:

— Myślę tylko o twoim dobru. Jesteś przecież moim panem, dopóki mieszkasz tu, w tym domu.

Odrzekłem:

— Jestem łacinnikiem.

Zaprzeczył gwałtownie:

— Nie, nie, nie jesteś nim. Poznają twoją twarz.

Ku memu bezgranicznemu zdziwieniu rzucił się przede mną na kolana, szukając mojej dłoni, by ją ucałować, i prosił:

— Nie gardź mną, panie! To prawda, że wypijam wino, które zostaje na dnie dzbana, i zwykłem także zbierać drobne monety, które siejesz wokół siebie, a część oliwy dałem mojej chorej ciotce, gdyż wszyscy jesteśmy bardzo ubodzy w naszej rodzinie. Ale jeśli nie chcesz, nie będę tego więcej robił, gdyż teraz poznałem ciebie.

— Nie skąpiłem pieniędzy na gospodarstwo — powiedziałem zdumiony. — To prawo biedaka żyć z okruchów, które spadają ze stołu bogacza. Jeśli chodzi o mnie, utrzymuj nawet całą swoją rodzinę, dopóki jestem twoim panem. Nie przywiązuję zbyt wielkiej wagi do pieniędzy. Rychła jest chwila, gdy i pieniądze, i dobra utracą znaczenie. Wobec śmierci jesteśmy wszyscy równi, a na wagach Boga cnota mrówki waży tyleż co cnota słońca.

Mówiłem do niego tak długo, żeby przez ten czas móc obserwować jego oblicze. Wydawało mi się, że wygląda uczciwie, ale twarz człowieka kłamie i czyż może jeden Grek ufać drugiemu?

Odparł:

— Kiedy indziej nie musisz mnie zamykać w piwnicy, gdybyś chciał, żebym nie wiedział, co robisz lub dokąd się udajesz. W tej piwnicy było tak zimno, że kości mi zdrętwiały na lód. Od tego czasu cierpię na katar i bóle w uszach, a stan moich kolan jest gorszy niż poprzednio.

— Wstań, głuptasie, i ulecz swoje dolegliwości winem — powiedziałem, wyjmując z sakiewki złotego bezanta. Była to dla niego fortuna, gdyż w Konstantynopolu ubodzy są bardzo biedni, a nieliczni bogacze bardzo bogaci.

Spojrzał na monetę w mojej dłoni i twarz jego rozjaśniła się, ale potrząsnął głową i rzekł:

— Panie, nie skarżyłem się, aby zebrać. Nie musisz mnie przekupywać. Kiedy tylko zechcesz, nie będę nic widział ani słyszał, czego nie będziesz chciał, bym widział lub słyszał. Rozkazuj mi.

— Nie rozumiem ciebie — odparłem.

Wskazał na złotego psa, który już zaczął tłuszczyć i leżał na swoim miejscu na szmaciaku pod drzwiami z nosem przy ziemi i śledził mnie wzrokiem.

— Czyż i ten pies nie słucha ciebie i nie idzie za tobą? — rzekł.

— Nie rozumiem twojej mowy — powtórzyłem rzucając złotą monetę na dywan. Schylił się i podniósł ją, a potem popatrzył mi w oczy.

— Nie musisz odsłaniać się przede mną, panie — powiedział. — Jakżeż mógłbym nawet dopuścić taką myśl. Twoja tajemnica jest dla mnie święta. Biorę tę monetę, bo tak nakazałeś. Sprawi ona mnie i mojej rodzinie wielką radość. Ale jeszcze większą radością dla mnie jest móc ci służyć.

Jego dziwne aluzje ukłuły mnie. Naturalnie podejrzewał, podobnie jak inni Grecy, że wciąż jeszcze potajemnie służę sułtanowi i tylko udaję, iż uciekłem od niego. Może spodziewał się wyciągnąć ze mnie jakieś korzyści i uniknąć niewoli po zajęciu miasta przez sułtana. Taka wiara u niego byłaby dla mnie pożyteczna, gdybym chciał coś ukryć. Ale jakże mógłbym ufać człowiekowi tak niskiego rodu!

— Mylisz się, jeśli wierzysz, że będziesz miał ze mnie jakąś korzyść — odparłem szorstko. — Nie jestem już na służbie u sułtana. Dziesięciokrotnie i do granic mojej

cierpliwości powtarzałem to tym, którzy cię wynajęli, żebyś mnie nadzorował. Nie służę już więcej sułtanowi.

Powiedział:

— Nie, nie, wiem dobrze o tym. Jakżeż ty mógłbyś być na służbie u sułtana! Poznałem cię i jakby piorun uderzył w ziemię przede mną.

— Czyś pijany? — zapytałem. — Bredzisz. Czy gorączka poszła ci do głowy? Nie rozumiem, o czym mówisz. — Ale w duchu poruszyło mnie to w dziwny sposób.

Skłonił się przede mną i rzekł:

— Panie, piłem wino. Wybacz. To się więcej nie powtórzy.

Lecz jego szalone słowa sprawiły, że poszedłem przypatrzeć się sobie w lustrze. Z jakiegoś powodu nie chciałem już więcej chodzić do balwierza, lecz postanowiłem golić się sam, staranniej niż przedtem. Z lenistwa i niedbalstwa pozwoliłem brodzie rosnąć przez wiele dni. Zmieniłem teraz także odzież, żeby jeszcze wyraźniej niż przedtem pokazać, że jestem łacinnikiem.

2 stycznia 1453

Przyszła. Przyszła do mnie mimo wszystko.

Odziana była w jasnobrązowy płaszcz i miękkie brązowe buciki. Może uważała, że jest dobrze przebrana, ale nawet najbardziej naiwny głupiec nie mógł być wziąć jej za kobietę niskiego rodu. Krój płaszcza, nakrycie głowy, już sam sposób, w jaki owijała głowę cienkim jak mgiełka welonem, żeby ukryć twarz, zdradzały jej pochodzenie i wychowanie.

— Bądź pozdrowiona w imię Boga — rzekłem nie mogąc powstrzymać łez, które cisnęły mi się do oczu. Żółty pies machał do niej radośnie ogonem.

— To szaleństwo — powiedziała — szaleństwo i czary. Odkryją mnie, ale nie mogłam się oprzeć, żeby nie przyjść. Musiałam przyjść, mimo że nie chciałam.

— Jak weszłaś do środka? — zapytałem spieszenie.

Wciąż jeszcze zasłaniała welonem usta.

— Mały kaszlący człowieczek otworzył mi, kiedy zapukałam — rzekła. — Powinienś dać swemu słudze lepsze szaty i kazać mu uczesać włosy i brodę. Tak wstydził się swego wyglądu, że odwrócił się tyłem nie patrząc na mnie. — Rozejrzała się dokoła. — Twojej izbie też przydałoby się sprzątanie. — Odwróciła szybko swoje

brązowe oczy od jednego z kątów. Narzuciłem kobierzec na moje posłanie i spiesznie wyszedłem z komnaty. Mój sługa stał na dziedzińcu i wpatrywał się w chmury.

— Piękny dzień — odezwał się i uśmiechnął się chytrze.

— Cudowny dzień — przyznałem robiąc znak krzyża na sposób grecki. — Najlepszy dzień w moim życiu. Biegnij i przynieś wina, pieczywa, słodczy, smażonego mięsa, konfitur. Przynieś dużo. Kup to, co najlepsze. Kup pełny kosz, tak żeby starczyło dla ciebie, a także dla twoich kuzynów i ciotek, dla całej twojej rodziny. A jeśli zobaczysz na drodze żebraków, daj im jałmużnę i błogosławieństwo.

— Czy to dzień twoich urodzin, panie? — zapytał udając, że nic nie wie.

— Mam tylko gościa — odparłem. — Prosta kobieta niskiego rodu przyszła, żeby uprzyjemnić mi moją samotność.

— Gościa? — zapytał z udanym zdziwieniem. — Nie widziałem żadnego gościa. To prawda, że wiatr zatrzęsł drzwiami, tak jakby ktoś w nie łomotał, ale gdy poszedłem je otworzyć, nie było tam nikogo. Chyba żartujesz.

— Rób, jak ci powiedziałem — ponagliłem go. — Gdybyś jednak pisnął komuś choćby słówko o moim gościu, wezmę cię za brodę i poderżnę ci gardło własnoręcznie.

— Kiedy już miał odejść po kosz, złapałem go za ramię i rzekłem: — Nigdy nie zapytałem, jak się nazywasz. Powiedz mi swoje imię.

— To wielki zaszczyt dla mnie — powiedział. — Nazywam się Manuel po starym cesarzu Manuelu. Mój ojciec służył mu jako nosiciel drzewa w Blachernach.

— Manuel! — wykrzyknąłem. — Jakie ładne imię. Manuelu, to jest najpiękniejszy dzień w moim życiu. Na imię Chrystusa! — Złapałem go za uszy i pocałowałem w oba brodate policzki wypychając go jednocześnie na drogę.

Gdy wróciłem do izby, gość mój zrzucił już brązowy płaszcz i odsłonił twarz. Nie mogłem napatrzeć się na nią do syta. Słowa więzły mi w gardle, a kolana ugiwały się pode mną, tak że osunąłem się na podłogę przed nią i przycisnąłem policzek do jej kolan. Płakałem z radości i ekstazy. Dotknęła nieśmiało dłonią mojej głowy i pogładziła mnie po włosach.

Gdy wreszcie podniosłem oczy, uśmiechnęła się. Jej uśmiech był jak słońce. Jej oczy jak złotobrzowe kwiaty. Jej niebieskie brwi zaokrąglały się wysoko i równo niczym cudowne łuki. Jej policzki były jak tulipany. Jej miękkie wargi jak płatki róż. Zęby miała jak perły. Byłem osłepiony od patrzenia na nią. Powiedziałem jej to wszystko.

— Serce moje ma siedemnaście lat — rzekłem. — Muszę pożyczać słów od poetów, gdyż własne mi nie wystarczają. Jestem tobą pijany. To tak, jakbym nigdy jeszcze nic nie przeżywał. To tak, jakbym nigdy jeszcze nie dotknął żadnej kobiety. A mimo to znam ciebie tak, jak gdybym znał ciebie całe życie.

Ty jesteś dla mnie całym Bizancjum — mówiłem. — Ty jesteś miastem cesarzy, Konstantynopolem. To z twego powodu tęskniłem tu przez całe moje życie. To o tobie marzę, gdy śnię o moim mieście. Tak samo jak twoje miasto jest tysiakkroć cudowniejsze, niż mogłem przypuścić, tak samo ty jesteś tysiakkroć piękniejsza, niż mogłem zapamiętać.

Jesteś piękniejsza, cudowniejsza, niż mogłem zapamiętać — mówiłem. — Dwa tygodnie to okropny szmat czasu. Dwa tygodnie to czas śmierci. Dlaczego nie przysłaś, tak jak obiecałaś? Dlaczego opuściłaś mnie? Sądziłem już, że moja śmierć jest bliska.

Przyjrzała mi się, lekko zmrużyła powieki i dotknęła koniuszkami palców kącików moich oczu, moich policzków i warg. Potem znowu otworzyła promienne, brązowe śmiejące się oczy i rzekła:

— Mów dalej. Mówisz pięknie. Tak dobrze jest słuchać, choć z pewnością zmyślasz to wszystko. Już pewnie mnie zapomniałeś. Byłeś bardzo zdziwiony, kiedy przyszłam. Ale jednak poznałeś mnie.

Nie, nie — broniła się, opierając obie dłonie o moją pierś. Ale ten opór był jakby zaproszeniem. Pocałowałem ją. Ciało jej stopiło się i zmiękło w moim uścisku. Aż odepchnęła mnie od siebie, odwróciła się do mnie tyłem i wzięła za głowę obiema rękami. — Co ty robisz ze mną?! — rzuciła ze skargą i wybuchnęła płaczem. — Nie po to tu przyszłam. Głowa mnie boli.

Nie omyliłem się. Była niedoświadczona i nie tknięta. Powiedziały mi to jej usta. Powiedziało to mojemu ciału jej ciało. Dumna, być może, namiętna, zapalczywa, kapryśna, zazdrośnie strzeżona, ale grzechu nie próbowała. Może w myślach, ale nie ciałem.

Z twarzy jej wyczytałem, że rzeczywiście boli ją głowa. Ująłem tę piękną głowę w obie dłonie i zacząłem gładzić jej czoło.

— Wybacz — powiedziała szlochając z bólu. — Jestem może zbyt wrażliwa. Mam takie uczucie, jak gdyby ktoś kłuł mnie rozżarzonymi szpilkami. Może przelekłam się, kiedy objąłeś mnie tak nagle.

Siła przechodziła ze mnie w nią. Siła z moich dłoni. Po krótkiej chwili westchnęła głęboko, członki jej odprężyły się i otworzyła oczy.

— Twoje dłonie są łagodne — rzekła, przekręciła głowę i pocałowała mnie w dłoń. — To dłonie cudownego uzdrowiciela.

Spojrzałem na swoje ręce.

— Cudownego uzdrowiciela. Raczej niszczyciela życia — rzekłem szorstko. — Ale wierz, nie chcę ci zrobić nic złego. I przed chwilą także nie chciałem. Powinnaś to była wyczuć.

Popatrzyła na mnie. Jej spojrzenie było znów otwarte i dobrze znane. Mogłem w nim utonąć, tak że wszystko dokoła mnie pociemniało i stało się nierzeczywiste.

— Chyba się myliłam — powiedziała. — Może sama chciałam czegoś złego, ale nie w głębi duszy. Teraz jednak czuję się znowu dobrze. U ciebie jest mi dobrze. Gdzie indziej nie. Mój własny dom stał się dla mnie obcy i nudny. Cały czas twoja siła ciągnęła mnie do ciebie. Przez mury, przez ściany, przez całe miasto. Czyś ty mnie zaczarował?

— Miłość jest zaczarowaniem — odparłem. — Miłość to najstraszliwsze czary. To ty mnie oczarowałaś, kiedy spojrzałaś mi w oczy w kościele Mądrości Bożej.

— To szaleństwo — powiedziała żałośnie. — Ojciec nigdy nie zgodziłby się, żeby wydać mnie za łacinnika. Nie znam nawet twojego rodu. Jesteś wędrowcem. Poszukiwaczem szczęścia. Nie, ojciec kazałby mnie zabić, gdyby wiedział.

Serce mi stanęło w piersi. By zyskać na czasie, chełpiłem się:

— Mój ród wypisany jest na mojej twarzy, miecz jest moim ojcem, gęsie pióro moją matką, myślące gwiazdy moim rodzeństwem, aniołowie i demony moją rodziną.

Spojrzała mi prosto w oczy i rzekła:

— Nie chciałam cię zranić. Mówiłam tylko prawdę.

Chełpliwe słowa ugrzęzły mi w gardle. Prawda była dużo skromniejsza.

— Jestem już żonaty — wyznałem. — Wprawdzie nie oglądałem swojej żony od niemal dziesięciu lat, lecz o ile wiem, jest ona przy życiu. Nasz syn ma już dwanaście lat. To chyba dlatego wzięłem krzyż, że nie mogłem już dłużej żyć z nimi. Myślał, że poległem pod Warną. I tak jest najlepiej.

Wzdrygnęła się gwałtownie na moje pierwsze słowa. Żadne z nas nie patrzyło na drugie. Przesunęła palcem po wycięciu u szyi i poprawiła broszę na piersiach. Jej szyja była bardzo biała.

— Cóż to właściwie znaczy — powiedziała w końcu chłodnym głosem. — To wszystko i tak nie mogło mieć dalszego ciągu. — Wciąż obracała w palcach broszę; patrząc na swoją dłoń rzekła: — A teraz muszę już iść. Zechciej mi podać płaszcz.

Ale ja nie chciałem pozwolić jej odejść. I chyba ona też tego nie chciała. Powiedziała tak pewnie tylko, żeby mnie zrazić.

— Oboje jesteśmy dorosłymi ludźmi — rzekłem i nie mogłem nic na to zaradzić, że głos mój brzmiał szorstko. — Nie bądź dziecinna. Wiesz chyba dobrze, co robisz.

Przyszłaś tu z otwartymi oczyma — ciągnąłem. — Co mnie obchodzi małżeństwo, co mnie obchodzą święte sakramenty kościoła. Nie, nie dbam ani o niebo, ani o piekło, kiedy ty istniejesz i ja cię wreszcie znalazłem. I tak nie są one takie, jak myślimy czy jak głoszą o nich kazania. Ty jesteś moja i tego nie możesz zaprzeczyć. Ale jeszcze raz powiem, nie chcę ci zrobić nic złego.

Stała w milczeniu wpatrując się uparcie w podłogę. Toteż mówiłem dalej:

— Może nie zdajesz sobie sprawy, co czeka nas wszystkich. Tylko śmierć albo niewola u Turków. Jedno z dwojga musisz wybrać. Nie mamy więcej jak tylko kilka miesięcy czasu, najwyżej pół roku. Potem przyjdą Turcy.

Cóż tedy znaczy, co wypada, a co nie wypada! — wykrzyknąłem i uderzyłem pięścią w oparcie fotela tak gwałtownie, aż zatrzeszczało mi w kostkach i ból na chwilę mnie oślepił. — O małżeństwie, domu, dzieciach może myśleć człowiek, który ma życie przed sobą. Ty i ja go nie mamy. Nasza miłość jest z góry skazana na zagładę. Nasz czas jest krótki. Ale jeśli chcesz, weź swój płaszcz i odejdz dlatego tylko, że dopust boży wiele lat temu zmusił mnie do ożenku z kobietą starszą ode mnie, kobietą, której jedynie z litości podarowałem moje ciało. Do serca mego nie dotarła nigdy.

— Co mnie obchodzi twoje serce! — krzyknęła z płonąłą twarzą. — Twoje serce jest łacińskie. Świadczą o tym twoje słowa. Konstantynopol nie może nigdy ulec zagładzie. Raz na każde pokolenie Turcy oblegali go na próżno. Najświętsza Matka Boska chroni nasze mury. Jakżeż mógłby je obalić jakiś młodzik, ten Mehmed, którym gardzą sami Turcy.

Ale wyglądało, jakby mówiła to tylko, żeby coś powiedzieć, tak oczywista była jej szalona ufność w mury Konstantynopola. Wolniej i z odwróconym wzrokiem zapytała:

— Coś ty powiedział przed chwilą o dopuszczeniu bożym? Rzeczywiście masz żonę starszą od siebie?

To pytanie ucieszyło na nowo moje serce. Wykazywało przecież, że w jej kobiecej duszy zrodziła się ciekawość. W tejże chwili wrócił do domu mój sługa, trzaskając drzwiami i ciężko stąpając po schodach. Wyszedłem i odebrałem od niego kosz.

— Nie potrzebuję cię już więcej dzisiaj, Manuelu — powiedziałem.

— Panie — odparł — będę pilnował domu z winiarni naprzeciwko. Wierz mi. Tak będzie najlepiej.

W swej gorliwości dotknął mego ramienia, przyciągnął moją głowę do siebie i szepnął mi do ucha:

— Na miłość Boską, panie, każ jej ubierać się inaczej. Tak jak teraz ściąga ku sobie wszystkie oczy i wzbudza większą ciekawość, niż gdyby chodziła z odsłoniętą twarzą i policzkami malowanymi jak u ladacznicy portowych.

— Manuelu! — ostrzegłem go. — Mój sztylet siedzi lekko w pochwie.

Ale on tylko chichotał, jakby powiedział jakiś dowcip, i zacierał dłonie jak do błogosławieństwa.

— Masz duszę kuplera, jakbyś był cyrulikiem — powiedziałem i odprawiłem go kopniakiem. — Wstydz się swoich myśli. — Ale mój kopniak był ostrożny, by Manuel łatwo mógł wywnioskować, że to tylko dowód łaski.

Wniosłem kosz do izby. Rozdmuchałem ognisko i dorzuciłem węgla. Nalałem wina do srebrnego pucharu. Nałamałem pszennego chleba. Napełniłem chińską wazę słodyczami. Podniosła dłoń odmownym gestem.

Ale potem przeżegnała się znakiem krzyża po grecku, upiła łyżeczek ciemnego wina, ugryzła kęsek chleba i zjadła lepki od miodu karmelek na patyczku. W taki sam sposób i ja pokosztowałem wszystkiego. Nie byłem wcale bardziej głodny niż ona.

— Więc piliśmy już z sobą wino i łamaliśmy chleb — powiedziałem. — Teraz wiesz, że nie mogę ci zrobić nic złego. Jesteś moim gościem i wszystko, co moje, jest też twoje.

Uśmiechnęła się i rzekła:

— Czy nie miałeś opowiedzieć o tym dopuszcie bożym?

— Zbyt dużo już mówiłem — odparłem. — Po cóż miałbym mówić, skoro jesteś u mnie. A poza tym ludzie używają przecież tych samych słów, ale mówią o odmiennych rzeczach. Posiewem słów jest nieporozumienie i nieufność. Dla mnie wystarczy, że jesteś u mnie. Nie potrzebuję żadnych słów, kiedy tu jesteś.

Ogrzałem jej dłonie nad kociołkiem z żarem. Palce miała chłodne, ale jej policzki płonęły.

— Moja ukochana — rzekłem powoli. — Moja jedyna, ukochana! Sądziłem, że nadeszła już jesień życia, ale tak nie było. Dzięki za to, że istniejesz.

Później opowiedziała mi, że matka jej zachorowała i że dlatego nie mogła przyjść wcześniej. Zauważyłem, że chętnie wyznałaby mi, kim jest, ale zakazałem jej tego. Nie chcę wiedzieć. Takie rzeczy powiększają tylko troski. Na wszystko jest czas. Wystarczyło mi, że była u mnie.

Gdy się rozstawaliśmy, zapytała:

— Poważnie myślisz, że Turcy będą oblegać Konstantynopol już na wiosnę?

Nie mogłem się powstrzymać, by nie wybuchnąć znowu:

— Czyście wszyscy szaleni, wy Grecy? A więc posłuchaj! Derwisze i święci mężowie wędrują od wioski do wioski w całej Azji. Oddziały europejskie, które podlegają sułtanowi, otrzymały już rozkaz wymarszu. W Adrianopolu odlewają nowe bombardy. Sułtan zamierza zebrać większe wojsko, niż zbierali jego przodkowie, by oblegać twoje miasto. Ale nawet ty pytasz tylko: czy zamierza on rzeczywiście przyjść?

Doprawdy, zamierza to uczynić — wykrzyknąłem — i bardzo mu się spieszy! Teraz, gdy unia weszła już w moc, może papieżowi uda się mimo wszystko sprawić, by książęta Europy zapomnieli o swoich sporach i wojnach i jeszcze jeden raz rozpoczęli krucjatę. Jeśli Turcy są śmiertelnym zagrożeniem dla was, to i Konstantynopol w sercu tureckiego państwa jest śmiertelnym zagrożeniem dla sułtana. Nie znasz jego wielkomocarstwowych planów. Uważa się za Aleksandra naszych czasów.

— Sza, sza — uciszyła mnie uśmiechając się z powątpiewaniem.

— Jeśli jest tak, jak mówisz, nie będziemy mogli się już spotkać wiele razy.

— Co chcesz przez to powiedzieć — zapytałem chwytając ją za rękę.

— Jeśli sułtan rzeczywiście wyruszy z Adrianopola, cesarz Konstantyn wyśle damy z cesarskiej rodziny chryżym statkiem w bezpieczne miejsce na Moreę. Dla wszelkiej pewności. Statek ten weźmie na pokład także inne damy wysokich rodów. I ja też mam tam miejsce.

Spojrzała na mnie swymi brązowymi oczami, zagryzła wargi i rzekła:

— Tego właściwie nie powinnam ci była powiedzieć.

— Nie — odrzekłem suchymi wargami i ochryłym głosem. — Mógłbym być przecież tajnym agentem sułtana. Czy to miałaś na myśli? Przecież wszyscy to podejrzewacie.

— Ufam ci — odparła. — Na pewno nie zrobisz złego użytku z tego, czegoś się dowiedział. Powiedz, czy mam jechać?

— Naturalnie — powiedziałam. — Musisz jechać. Dlaczego nie miałybyś uratować cnoty i życia, jeśli ci się nadarzy okazja. Nie znasz sułtana Mehmeda. Ja go znam. Twoje miasto ulegnie zagładzie. Całe jego piękno, cały ten gasnący blask, który nas otacza, cała ta moc i bogactwo szlachejnych rodzin, wszystko to jest już tylko cieniem i pozorem.

— A ty? — rzuciła.

— Ja przybyłem tu, by umrzeć na murach Konstantynopola — odrzekłem. — Za to, co minione i czego żadna siła na świecie nie może już przywrócić. Nadchodzą inne czasy. Nie zależy mi na tym, by zobaczyć.

Włożyła już brązowy płaszcz i stała mnąc w palcach welon.

— Nawet mnie nie pocałujesz, kiedy odchodzę? — bąknęła.

— Rozboli cię tylko głowa — powiedziałem.

Wspięła się na palce i całowała mnie w policzki miękkimi wargami, gładząc lekko dłonią moją brodę. Przycisnęła na chwilę głowę do mojej piersi, jakby chcąc zamknąć mnie w swoim objęciu.

— Napawasz mnie próżnością — rzekła. — Zaczynam sobie zbyt wiele przypisywać. Czy rzeczywiście nie zależy ci zupełnie na tym, by wiedzieć, kim jestem? Czy tylko jako kobietę chcesz mnie mieć za przyjaciela? To dla mnie lube uczucie, ale trudno mi w to uwierzyć.

— Przyjdiesz jeszcze raz, zanim wyjedziesz? — zapytałem.

Rzuciła spieszne spojrzenie po izbie, poklepała z roztargnieniem żółtego pieska.

— Dobrze mi tu u ciebie — rzekła. — Przyjdę, jeśli będę mogła.

6 stycznia 1453

Mimo wszystko Grecy zaczynają się niepokoić. Złowieszcze wróżby szerzą się z ust do ust. Kobiety opowiadają swoje sny. Mężczyznom zdaje się, że widzą znaki. Z płonącymi oczyma mnisi głoszą z gniewną pasją na otwartej ulicy śmierć i zniszczenie dla miasta, które porzuciło wiarę przodków.

Całe to podniecenie wychodzi z klasztoru Pantokratora. Stamtąd to mnich Gennadios wysłał do miasta listy, które odczytuje się ludowi. Kobiety wybuchają płaczem na dźwięk tych słów. Sam Gennadios, na rozkaz cesarza, nie ośmiela się pokazywać ludowi. Ale czytałem wezwanie, które kazał przybić na wrotach klasztoru.

Nieszczęśni! — pisze. — Dokąd się zabłąkali? Jak mogliście odstąpić od ufności w Boga i wiązać nadzieje z pomocą Franków? Wtrącacie swoje miasto w zagładę i wraz z nim utraciliście waszą wiarę. Boże, bądź mi miłoścy! Przed Twoim obliczem zaświadczam, że nie mam żadnego udziału w tej grzesznej przewinie. Zastanówcie się, nieszczęśni, co robicie. Zginiecie jako niewolnicy, zginiecie odstąpiwszy od wiary waszych przodków i przyznawszy się do herezji. Biada wam na sądzie ostatecznym!

Najważniejsze jest w rzeczy samej pytanie, czy flota papieska zdąży na czas i czy pomoc będzie dostateczna. W jakąś ogólną krucjatę trudno mi wierzyć. Do klęski pod Warną chrześcijaństwo przygotowywało się przez pięć lat. Węgry nie odważą się już tym razem zerwać rozejmu, jak wtedy. Jeśli pomoc nie przyjdzie na czas, uznanie unii było postępkem pochopnym, który wzbudził tylko rozgoryczenie i nieufność. Dlaczego lud Konstantynopola miałby w rzeczy samej odstąpić od tej pociechy, którą może im dać ich wiara?

Gennadios ma lud po swojej stronie. Kościół Mądrości Bożej świeci obecnie pustkami. Tylko cesarz ze swoim ceremonialnym orszakiem chodzi jeszcze tam na mszę. Dla polityków jest rzeczą obojętną, w co wierzą. I tak składają zawsze wyznania tylko ustami. Ale myślę, że pustka w kościele może ich przerazić. Także i część duchowieństwa odpadła. Tym, którzy zostali w kościele Mądrości Bożej, inni grożą ekskomuniką i wyklęciem.

8 stycznia 1453

Nowa pogłoska skłoniła mnie, bym jeszcze raz udał się do klasztoru Pantokratora, żeby spotkać się z tym Gennadiosem. Musiałem czekać długo. Modli się i biczuje cały dzień, aby odkupić grzech miasta. Ale przyjął mnie, gdy usłyszał, że należałem do świty sułtana. Zaprawdę, oni kochają Turków bardziej niż łacinników!

Gdy zobaczył moją gładko ogoloną brodę i łaciński strój, cofnął się wołając "anatema" i "apostata". To wcale niedziwne, że nie poznał mnie natychmiast, gdyż także i mnie trudno było rozpoznać go na pierwsze wejrzenie. Brodatego,

skudłaczanego, z oczyma zapadniętymi od postów i czuwania. Ale mimo to był tym dawnym Georgiose Scholariosem, sekretarzem i strażnikiem pieczęci nieboszczyka cesarza Johannesesa, tym samym, który wraz z innymi złożył podpis pod unią we Florencji. Młody, gwałtowny, uczony, żądny chwały, ambitny i miłujący życie Georgios.

— Jestem Jean Ange — powiedziałem. — Giovanni Angelo, Frank, któremu okazałeś swoją przyjaźń we Florencji, przed wielu laty.

Wpatrzył się we mnie, jakby zobaczył szatana.

— Może i znał ciebie Georgios, ale nie ma już więcej Georgiosa! — wykrzyknął. — Dla moich grzechów wyrzekłem się wszystkich świeckich godności, wszelkiej wiedzy i politycznej chwały. Tylko mnich Gennadios pozostaje, a on ciebie nie zna. Czego chcesz ode mnie?

Jego podniecenie i duchowy ból nie były udane. Doprawdy cierpiał i pot śmiertelny jego miasta i jego ludu wystąpił mu na czoło. Opowiedziałem mu pokrótce o moich losach, ażeby mógł mi ufać. A potem rzekłem:

— Jeśli to było grzechem, żeś wówczas podpisał, i jeśli dziś pokutujesz za ten grzech, dlaczego nie robisz tego tylko przed Bogiem? Dlaczego wciągasz cały lud z sobą w twój ból i siejesz rozdźwięki teraz, gdy wszystkie siły powinny się zjednoczyć?

Odparł:

— Moim językiem i moim piórem Bóg chce chłostać ich za okropne odstępstwo. Gdyby zaufali Panu i odrzucili pomoc z Zachodu, wówczas sam Pan walczyłby za nich. Dziś Konstantynopol jest zgubiony. Czczym działaniem bez znaczenia jest dalsze budowanie murów i zbieranie broni. Bóg odwrócił od nas oblicze i wydał nas w ręce Turków.

— Jeśli to nawet Bóg przemawiał przez twoje usta — odrzekłem — to i tak czeka nas bój. Sądziś, że cesarz Konstantyn dobrowolnie odda miasto?

Spojrzał na mnie badawczo i w jego pełnych ekstazy oczach zabłysło spojrzenie doświadczonego męża stanu.

— Któż to przemawia przez twoje usta? — zapytał — Tym, którzy się podporządkują, sułtan zapewnia życie, mienie i wykonywanie zawodu, a przede wszystkim ich wiarę. Nasz kościół będzie żyć i rozkwitać także i w państwie tureckim pod opieką sułtana. Nie prowadzi on wojny z naszą wiarą, lecz przeciw naszemu cesarzowi.

Kiedy nic na to nie odpowiedziałem, dodał:

— Przez swoje odstępstwo Konstantyn wykazał, że nie jest prawdziwym bazyleusem. Nie jest on przecież nawet zgodnie z prawem ukoronowany. Jest on gorszym wrogiem naszej wiary niż Mehmed.

— Obląkany, szalony mnichu — wybuchnąłem — sam nie wiesz, co mówisz!

Uspokoił się i powiedział:

— Nie tałem mojego poglądu. Powiedziałem cesarzowi Konstantynowi te same słowa. Nie mam nic do stracenia. Ale nie jestem sam. Za mną stoi lud, a także wielu, spośród wielmożów, którzy boją się gniewu boskiego. Powiedz to temu, kto cię tu posłał.

— Mylisz się — odparłem. — Nie służę już sułtanowi. Ale nie wątpię, że potrafisz sprawić, by słowa twoje doszły do uszu sułtana innymi drogami.

10 stycznia 1453

Wezwano mnie jeszcze raz do Blachern. Frances okazał mi szczególną uprzejmość i względy. Nalewał mi wina, ale nie spojrzał mi ani razu w oczy. Kręcił tylko na palcu sygnet, duży niczym głowa dziecka, i patrzył na swoje wypielęgnowane paznokcie. Bez wątplenia jest to mąż uczony i mądry, w którym nie ma już żadnej wiary. Jest tylko wierny swemu cesarzowi. Konstatnyn i on wzrosli razem od kolebki.

— Ta zima będzie decydująca — powiedział między innymi. — W Adrianopolu wielki wezyr Halil robi nadal wszystko, co w jego mocy, żeby zachować pokój. Jest on naszym przyjacielem. Jeszcze ostatnio otrzymaliśmy od niego przez Genuńczyków w Perze zachęcające wieści. Nie muszę tego chyba taić przed tobą. Wzywa nas, żebyśmy patrzyli ufnie w przyszłość i zbroili się, jak tylko możemy. Im lepiej się uzbroimy, tym pewniejsza będzie porażka sułtana, gdyby rzeczywiście odważył się na oblężenie.

— Ta zima będzie decydująca — przyznałem. — Im wcześniej sułtan odleje działa i wystawi armię, tym wcześniej padnie Konstantynopol.

— Nasze mury wytrzymały wiele oblężeń — uśmiechnął się znowu Frances. — Tylko łacinnikom udało się raz zdobyć Konstantynopol. Ale wtedy przyszli oni od morza. Od tej pory nie lubiliśmy krucjat. Wolimy raczej żyć w zgodzie z Turkami.

— Zabieram ci czas — rzekłem. — Nie chcę dłużej przeszkadzać.

— Ach tak — powiedział — i ja też mam przecież sprawę do ciebie. Mówią mi, że zbyt często jeździsz do Pery. I odwiedziłeś też mnicha Gennadiosa, mimo że z

cesarskiego rozkazu musi on przebywać w murach swego klasztoru. Do czego zmierzasz?

— Czuję się samotny — odparłem. — Wygląda na to, że nikt mi nie ufa. Chciałem tylko spróbować ożywić dawną przyjaźń. Ale Georgios Scholarios wyraźnie już nie żyje. A z mnicha Gennadosa nie mam żadnej pociechy.

Frances rozłożył obojętnie ręce.

— Dlaczego ja właściwie spieram się z tobą? I tak nie możemy zrozumieć się nawzajem.

— W imię Boga, wysoki kanclerzu! — wykrzyknąłem. — Uciekłem od sułtana. Porzuciłem stanowisko, którego wielu mi zazdrościło. Tylko po to, żeby bić się za Konstantynopol. Nie za ciebie. Nie za twojego cesarza. Tylko za to miasto, które kiedyś było sercem świata. Tylko to serce pozostało z potężnego mocarstwa. Bije ono ostatnimi, powolnymi uderzeniami. To serce jest także moim. Z tym sercem umrę. A jeśli zostanę wzięty do niewoli, sułtan wbije mnie na pal.

— Dziecinada — odrzekł krótko Frances. — Gdybyś miał dwadzieścia lat, mógłbym uwierzyć. Ty, Frank i łacinnik, co możesz mieć wspólnego z nami?

— Wolę walki — odparłem. — O marność, w obliczu zagłady, w obliczu potopu. W zwycięstwo nie wierzę. Walczę bez nadziei. Ale jakie to ma znaczenie, skoro chcę walczyć?

Przez chwilę czułem, że moje słowa na moment przekonały go, tak że gotów był skreślić mnie ze swoich politycznych rachub i traktować jako nieszkodliwego fantastę. Ale potem potrząsnął głową. Jego jasnoniebieskie oczy wypełniła melancholia.

— Gdybyś był kimś innym, gdybyś przybył z Europy z krzyżem na ramieniu, gdybyś zebrał o pieniądze jak wszyscy Frankowie, gdybyś domagał się przywilejów handlowych w nagrodę, wówczas może bym ci uwierzył, a nawet zaufał. Ale jesteś zbyt uczonym mężem, zbyt doświadczonym i jasno myślącym, żeby twoje zachowanie mogło wskazywać na coś innego jak ukryte zamiary.

Stałem nadal przed nim. Moje stopy zrobiły się niespokojne. Chciałem znów pójść swoją drogą. Ale on wciąż okręcał na palcu pierścień z sygnetem i zezował na mnie nie chcąc spojrzeć mi w oczy, tak jakby żywił do mnie najgłębszą niechęć.

— Skąd przybyłeś do Bazylei? — powiedział. — Jak udało ci się zyskać zaufanie doktora Mikołaja Cusani? Dlaczego popłynąłeś z nim do Konstatynopola? Już wówczas umiałeś mówić po turecku. Dlaczego tak uparcie trwałeś na synodach w Ferrarze i Florencji? Dokąd udałeś się stamtąd? Dlaczego kardynał Cesarini wybrał

cię na sekretarza? Czy to ty zgładziłeś go ze świata pod Warną, ażeby łatwiej móc powrócić do Turków?

I nie stój mi tu i nie wpatruj się we mnie! — ryknął nagle wymachując mi rękami przed twarzą. — Turcy mówią, że posiadasz siłę ducha, która sprawia, że nierozumne zwierzęta słuchają ciebie, i która pozwala ci pozyskać zaufanie każdego, jeśli zechcesz. Ale mnie nie możesz pokonać. Mam mój sygnet i mój talizman. To jednak bagatelka. Bardziej polegam na swoim rozumie.

Stałem w milczeniu. Nie było przecież nic do powiedzenia. Wstał. Uderzył mnie w pierś grzbietem dłoni, jakby rozgniewany, ale tylko po to, żeby mną zachwiać.

— Ty, ty... — powiedział — myślisz, że my nic nie wiemy? Jesteś jedynym, który zdołał konno nadążyć za sułtanem Mehmedem przez całą dobę jazdy z Magnezji do Galipoli, po zgonie jego ojca. Ten, kto mnie kocha — za mną, niech idzie za mną! Pamiętasz to? Ty poszedłeś za nim. I mówią, że nie wierzył swoim oczom, gdy właśnie ty dogoniłeś go przy cieśninie Galipoli.

— Miałem dobrego konia — odparłem. — I pobierałem nauki u derwiszów. Zahartowałem moje ciało na wszelkie niewygody. Jeśli chcesz, mogę wziąć do ręki rozżarzony węgiel z kociołka i nie sparzy mnie.

Podszedłem do niego o krok bliżej i udało mi się w końcu uchwycić jego spojrzenie. Wystawiłem go na próbę. I nie wytrzymał jej. Z udręczonym wyrazem twarzy odsunął mnie skinieniem na bok. Nie odważył się kazać mi spróbować. Gdyby mi się udało, nie wiedziałby już, co sądzić o mnie. Taki był zabobonny, dlatego że już w nic więcej nie wierzył.

— Tak, kochałem go rzeczywiście — powiedziałem — tak jak się kocha piękne dzikie zwierzę, mimo że zna się jego zdradzieckość. Jego młodość była jak wrzący kocioł, który wymagał ciężkiej pokrywy, żeby nie wygotowała się zawartość. Na rozkaz Murada bywałem czasem taką pokrywą. Ale Murad nienawidził go, dlatego że jego najukochańszy syn utonął. Nigdy nie zgadzali się z sobą jako ojciec i syn. Mimo to Murad był z niego dumny potajemnie.

Murad chciał, żeby on nauczył się umiaru, sprawiedliwości, opanowania — ciągnąłem. — Murad chciał, żeby on upokorzył się przed Jedynym i zrozumiał czczość władzy i życia ziemskiego. I Mehmed nauczył się wstrzeźliwości, żeby móc być nie nasyconym, sprawiedliwości, żeby móc jej nadużywać, opanowania, żeby móc folgować swoim żądom. Żeby móc panować nad tym wszystkim wolą. Odprawia modlitwy, ale w sercu jest bez wiary. Wszystkie religie są dla niego równie

bezwartościowe. Czyta po grecku i po łacinie, po arabsku i po persku. Zna matematykę, mapę świata, historię i filozofię. Konstantynopol jest jego kamieniem probierczym. Od lat młodzieńczych marzeniem jego było go zdobyć. Przez ujarzmienie tego miasta może udowodnić sobie samemu, że jest większy niż wszyscy jego przodkowie. Czy rozumiesz, co wróżą te znaki? On jest tym, który nadejdzie. I w jego epoce nie chcę żyć!

Frances zamrugnął i jakby ocknął się ze snu.

— Mehmed jest gwałtownym i niecierpliwym młodzieńcem — rzekł. — Po naszej stronie stoi polityka wypróbowana przez wiele stuleci. Tu w Blachernach, podobnie jak i w jego własnym seraju. Starzy i mądrzy czekają tam tylko, żeby skrzył się kark, i cieszą się na to z góry. Czas pracuje dla nas.

— Czas — odparłem. — Czas się skończył. Chwila, którą odmierzyłeś, zakończyła się. Piasek wysypał się z klepsydry. Pokój z tobą.

Odprowadził mnie do drzwi. Szedł nawet u mego boku przez zimny korytarz. Nasze kroki odbijały się melancholijnym echem o twarde ściany. Odrzwia ozdobione były podwójnym orłem z syczącymi głowami.

— Nie opuszczaj swego domu zbyt często — ostrzegał Frances. — Nie przepływaj cieśniny do Pery. Nie szukaj znajomości zbyt znaczących ludzi. Inaczej może się zdarzyć, że będziesz musiał zmienić swój drewniany domek na marmurową wieżę. To rada dana z przyjaźni, Johannesie Angelosie. Chcę tylko twego własnego dobra. Nagle chwycił mnie za pierś i rzucił mi w twarz pytanie:

— A megaduks Łukasz Notaras? Czy już ci ofiarował swoją przyjaźń?

Była to próba zaskoczenia mnie. Kiedy nic nie odpowiedziałem, dodał.

— Strzeż się, jeśli usłyszymy, że szukasz z nim kontaktu. Jeśli to da się udowodnić, będziesz zgubiony.

Odźwierny podprowadził mego wynajętego rumaka. Odjechałem główną ulicą pełnym galopem, nie bacząc na tłok i ścisk przechodniów. Ten, który nie zszedł mi z drogi, winien był sam sobie. Ale krzyżąc i nawołując się, klnąc i chłuszcząc swoje osły, ludzie skręcali na bok już z daleka, gdy usłyszeli tętent podkutych żelazem kopyt mego konia na wytartych i wyłobionych ciosowych kamieniach, którymi wymoszczona była ulica. Od pałacu urodzonych w purpurze aż do Hipodromu pędziłem puściwszy wodze, tak że piana zbryzgała wędzidło mego wierzchowca.

Byłem wzburzony, rozgorączkowany i przejęty grozą.

“Raczej turban turecki niż tiara papieska” — te słowa brzmiały w moich uszach. Wielki książę, głównodowodzący floty, najpotężniejszy po cesarzu człowiek w Konstantynopolu. Łukasz Notaras. A więc i on.

16 stycznia 1453

Przesiaduję w domu. Ale pogłoski krążą nieustannie. Nikt nie może ich powstrzymać. Przenikają przez ściany.

Sułtan buduje okręty we wszystkich portach Azji.

Serbowie zostali zmuszeni na mocy układu o przyjaźni i pomocy do zasilenia jazdą wojsk sułtana. Chrześcijanie mają oblegać chrześcijan.

Jestem samotny. Nie ufają mi. A więc jestem niepotrzebny.

Czas płynie. Nieubłagane przemija jeden bezpowrotny dzień po drugim. A zatem ona nie chce przyjść. Inaczej już byłaby przyszła.

A nawet najubożsi w słoneczne dni kładą się na zrudziałych zboczach Akropolu, na chłodnej ziemi pod drzewami, żeby obejmować się nawzajem. Mężczyźni i kobiety w łachmanach, nie bojąc się widzów. O, gdybyś przynajmniej była uboga, moja ukochana, obdarta i brzydka! Wówczas nikt by nam nie przeszkodził. Twoje oczy i tak bym rozpoznał. Twoje brązowe oczy poznałbym zawsze. Nawet gdybyś była stara. Nawet gdybyś była brudna i gdyby twoje dłonie były twarde od pracy.

Gdybyś rzeczywiście chciała, już byś przyszła.

21 stycznia 1453

Przez trzy dni byłem z robotnikami, którzy wzmacniają mur przy bramie św. Romana. Toczyłem głązy. Nosilem zaprawę murarską. Jestem pokryty kurzem i zadrapaniami. Włosy mam szorstkie od wapna.

Zamknięty w swojej izbie gnuśnieję. Muszę zachować siłę ciała i moc ramion, żeby móc napinać łuk i robić mieczem, gdy nadejdzie ta chwila. I budowałem przecież twierdzę sułtana nad Bosforem przez całe lato wraz z innymi.

Nie chcę przyjmować dniówek, które dostają robotnicy, ale dzielę z nimi ich chleb, oliwę i suszone mięso. Myślą, że oszalałem.

23 stycznia 1453

Cesarz Konstantyn przejeżdżał wzdłuż muru ze swoją świtą. Zatrzymał się koło nas, żeby zlustrować roboty. Rozmawiał życzliwie z budowniczymi i przodownikami. Twarz miał ubrudzoną i trzymałem głowę schyloną. Ale kiedy skończył już rozmawiać z innymi, zwrócił się prosto do mnie i powiedział:

— Idź do domu. Ta praca nie odpowiada twojej randze.

Nie był to wcale przypadek. W twarzy jego wyczytałem, że niechętnie wydał mi ten rozkaz. Nie ma w nim zdrady. Toteż nie doszukuje się tak od razu fałszu w innych. Ale jest całkowicie na pasku Francesa i swoich doradców. Ażeby mnie pocieszyć, dodał:

— Są dla ciebie godniejsze zadania.

Lecz to nie było prawdą. Nie myślał tak. Chciał tylko ułatwić mi zniesienie upokorzenia.

Przed piętnastu laty był szorstki i wyniosły tak jak inni bracia Paleologowie. Ale czas go oszlifował. Ma teraz czterdzieści dziewięć lat. Broda mu posiwiła.

Jest też bezdietny. Stracił dwie młodziutkie małżonki. Od czasu śmierci cesarza Johannesasa nosił się z planami trzeciego małżeństwa. Mówiono, że nawet starał się o wdowę po sułtanie Muradzie, Mare, której Mehmed pozwolił wrócić do kraju, do Serbii. Ona jednak wolała pójść do klasztoru. Murad pozwolił jej przecież zachować wiarę chrześcijańską. Wolno jej było nawet nauczyć młodego Mehmeda greckich modlitw.

Lata nie spłynęły bez śladu po Konstantynie. Jest on bardzo samotnym człowiekiem. I wszystko w jego życiu przychodzi na późno. Doża wenecki gotów był oddać mu swą córkę. Wraz z tym uzyskałby potężne poparcie na Zachodzie. Ale nie, nie odważył się poślubić łacińskiej kobiety. Cesarz Trebizondy był znów zbyt ubogi i już sprzymierzony z sułtanem.

W końcu znaleźli księżniczkę barbarzyńską daleko nad Morzem Czarnym. Księżę Gruzji wyznaje prawdziwą wiarę i wyznaczył dostateczne wiano. Był nawet gotów wysłać swoich słynnych wojowników na pomoc Konstantynopolowi. Lecz było już za późno. Frances zdążył jeszcze wrócić z podróży z oświadczeniami tuż przedtem,

zanim twierdza sułtana stanęła gotowa. Teraz Bosfor jest zamknięty. Żadna księżniczka nie może już przybyć tu z Morza Czarnego, żadne wiano, żadni dzicy wojownicy z Gruzji.

Konstantyn urodził się pod nieszczęśliwą gwiazdą. Jest znienawidzony przez swój własny lud z powodu unii. Ale nie ma w nim zdrady. I nie jest też okrutny. Po wybuchu wojny kazał uwięzić wszystkich Turków w mieście, lecz już trzeciego dnia pozwolił im swobodnie odejść.

Mogli byli uwięzić także i mnie. Mogli byli kazać dręczyć mnie na wszystkie odwieczne sposoby, by zmusić moje usta do wyznań, które chcieli uzyskać. Ale Konstantyn nie chciał tego. I Frances nie odważa się na to. Może przecież być prawdą, że jestem tajnym posłańcem sułtana. Takiego męża nie wlecze się do izby tortur, gdy oblężenie tuż.

Ale tępy, tępy. Konstantyn jest tępy. Strzeże swojej godności bazyleusa. Jakżeż mógłby boski cesarz zsiąść z konia i wlec kamienie albo wziąć do ręki kielnię ramię przy ramieniu ze zwykłymi robotnikami, aby zagrzać ich, tak jak to robił młody sułtan nad Bosforem. Lecz jakież by to było tempo w robocie! Tak jak obecnie jest to tylko bezduszne odrabianie dniówek, powolne i gnuśne.

Nie mam zatem nawet pozwolenia, by nosić kamienie i zaprawę murarską do wzmacniania tych odwiecznych murów. Nie nienawidzę Konstantyna, ale trudno mi jest mu to wybaczyć.

Wróciłem do domu, wykąpałem się i kazałem Manuelowi umyć mi włosy, po czym znowu odziałem się we własne szaty.

Kiedy opowiadałem, jak spotkałem cesarza Konstantyna i stałem twarzą w twarz z boskim bazyleusem, mój sługa Manuel zaczął śmiać się swym chytrym i piskliwym śmiechem. Napilem się wina i też dałem mu się napić. Opowiedział mi o komnacie, której ściany pokryte są pierwszymi porfirowymi płytami, jakie przywieziono z Rzymu. Tylko kilka osób ją widziało. W tej purpurowej komnacie rodzą się cesarze Bizancjum i z małego balkoniku wysoko na ścianie fasadowej obwieszczą się ludowi o ich urodzeniu.

— Za twoje cesarskie imię, Manuelu — powiedziałem nalewając wina do jego glinianego kubka.

— Za twoje własne imię, panie Johannesie — odparł i pił tak gorliwie, że się oblewał winem.

24 stycznia 1453

Gdyby wyjechała, z pewnością bym się o tym dowiedział. Nawet gdyby statek odpłynął potajemnie, plotki o tym i tak by się rozeszły. Ze wzgórz każdy może widzieć, co dzieje się w porcie. W tym mieście nic długo nie utrzymuje się w tajemnicy.

Brzegi Azji błękitnieją po drugiej stronie wody. Tęsknota rozdziera mi serce.

Gdybym był bez nazwiska, bez czci, bez przeszłości, mógłbym utopić się w ludzkim morzu. Żyć z dnia na dzień. Zadowalać się tym, co jest, wyczekiwać. Ale ja zakosztowałem gorzkiego chleba wiedzy...

26 stycznia 1453

Nieoczekiwane wydarzenie. Na wydętych żaglach wpłynęły dziś do portu dwa wielkie okręty wojenne. Podczas gdy żeglarze zwijali żagle, ludzie zbiegali się na zbocza i na mury miejskie, by wołać i wymachiwać na przywitanie. Największy z tych okrętów wygląda rzeczywiście potężnie w porównaniu z weneckim.

Dowódcą jest Giovanni Giustiniani, Genueńczyk. Były podesta w Kaffie, wypróbowany żołnierz zawodowy. Przybywa z siedmiuset nawykłymi do boju żołnierzami. Ludzi ogarnęła ekstatyczna radość, mimo że to łacinnicy. Ich uzbrojenie jest nienaganne. Wielu ma dwuręczne miecze. Zakuci w pancerze, każdy z nich z łatwością dorównuje dziesięciu lekko zbrojnym mężom w skórzanych zbrojach. Przywykli do twardej dyscypliny i posłuchu. Widać to było po nich, gdy schodzili na ląd w dobrym szyku, a potem szcękając zbrojami ciągnęli przez miasto w stronę Blachern.

Cesarz dokonał przeglądu oddziału. Jeśli zawczasu wiedział o ich przybyciu, potrafi dobrze zachować tajemnicę. Zazwyczaj już po kilku dniach nawet najtajniejsze narady przenikają z pałacu na zewnątrz. Przynajmniej do tego, kto płaci najwięcej.

Być może Zachód nie zapomniał jeszcze o Konstantynopolu. Giustiniani musiał tu przybyć za wiedzą i zgodą rządu genueńskiego; skąd by inaczej uzyskał środki na uzbrojenie okrętów i żołd dla swoich ludzi.

Ale samych tylko sułtańskich janczarów jest dwanaście tysięcy. Pod Warną nie zdołała ich powstrzymać nawet zakuta w żelazo konnica.

27 stycznia 1453

Przyszła. Przyszła mimo wszystko, przyszła jeszcze raz. Nie zapomniała mnie.

Zeszczuplała i była bardzo blada. W jej brązowych oczach płonął niepokój. Widać było, że cierpi. Słowa i pytania zamarły mi na ustach. O cóż miałem pytać? Przecież przyszła.

— Moja ukochana! — powiedziałem tylko. — Moja ukochana!

— Dlaczegoś tu przybył? — rzekła oskarżająco. — Dlaczego nie zostałeś u sułtana? Czemu mnie dręczysz? Dlaczego mnie uzależniasz od swojej woli?

To haniebne — ciągnęła. — Dawniej byłem radosna i pewna siebie. Teraz jestem bezwolna. Moje stopy niosą mnie tam, dokąd nie chcę iść. I ty, łacinnik, żonaty, awanturnik, sprawiasz, że zaczynam nienawidzić siebie samej.

Tak mało zatem znaczy najlepsze wychowanie — biadała. — Tak mało znaczy wiedza, krytycyzm, pochodzenie, duma i majątek. Jestem wydana na twoją łaskę jak niewolnica. Wstydę się każdego kroku, który mnie tu przywiódł.

I nawet mnie nie dotknąłeś! — wołała. — A mimo to krążą ciemne wiry w mojej krwi. Mrok w głębi mego własnego ciała woła. Dawniej byłem jasna. Dawniej byłem czysta. Dziś nie wiem już, czym jestem i czego chcę.

Sztylet w twojej piersi, trucizna w twoim pucharze! — wołała. — Byłoby lepiej, żebyś nie żył. Przyszłam, by ci to powiedzieć.

Wziąłem ją w ramiona i pocałowałem w usta. Nie narzekała już na ból głowy. Przez te dni rozstania rozwinęła się w kobietę. Drżała w moich objęciach.

O, jak ja nienawidziłem tego drżenia. Jak nienawidziłem rumieńca pożądania, który zabarwił jej policzki. Wszystko to przeżyłem już aż nazbyt wiele razy. Nie ma jednak żadnej miłości bez ciała. Nie, nie ma żadnej miłości bez pożądania.

— Wcale nie mam zamiaru iść z tobą do łóża — rzekłem. — Na wszystko jest czas. To nie dlatego tak mi ciebie brakowało.

— Gdybyś mnie zhańbił, zabiłabym cię — wybuchnęła. — Tyle jestem jednak winna sobie samej i mojej rodzinie. I nie mów do mnie takim tonem.

— Oszczędzaj swój wianek dla Turków — powiedziałem. — Nie miałem zamiaru go uszczknąć.

— Nienawidzę cię — dyszała ściskając mnie za ramię. — Johannesie Angelosie, Johannesie Angelosie, Johannesie Angelosie — powtarzała przyciskając mocno twarz do mego barku i wybuchnęła gwałtownym szlochaniem.

Wziąłem jej twarz w dłonie, śmiałem się, całowałem jej oczy i policzki, pocieszałem ją tak, jakby była małą dziewczynką. Nakłoniłem ją, by usiadła. Podałem jej wina. Także i ona zaczęła z wolna się uśmiechać.

— Nie umalowałam sobie policzków, nim tu przyszłam — rzekła. — Byłam taka mądra. Już cię znam. Zmuszasz mnie zawsze do płaczu. A wtedy niedobrze mieć umalowane policzki. Naturalnie bardzo chcę być piękna w twoich oczach, ale to nie ma żadnego znaczenia. Przecież tylko moich oczu pożądasz.

Weź je więc sobie — ciągnęła przechylając się ku mnie. — Masz je. Może potem zostawisz mnie w spokoju.

Było to o zachodzie słońca. Dzień oblewał się czerwienią i w mojej izbie zmierzchało.

— Jak ci się udało przyjść? — zapytałem.

— Całe miasto jest w poruszeniu — zaśmiała się. — Radują się i świętują z powodu przybycia Genuńczyków. Pomyśl, siedmiuset zakutych w żelazo wojowników. To przechyli szczęście na naszą stronę. Któż mógłby nadzorować i ochraniać swoją córkę w dzień taki jak dziś. Nawet gdyby spotkała się z łacinnikiem, można to wybaczyć.

— Dotychczas nie pytałem cię o nic w Konstantynopolu — powiedziałem. — Teraz jednak chciałbym to uczynić. Nie dlatego, że jest to takie ważne, ale z pewnych względów jestem ciekawy. Czy znasz megaduksa Łukasza Notarasa?

Wzdrygęła się gwałtownie i wpatrzyła się we mnie przerażona.

— Dlaczego o to pytasz?

— Chciałbym wiedzieć, jakiego to rodzaju człowiek — odparłem. A gdy nadal wpatrywała się tylko we mnie, dodałem niecierpliwie: — Czy rzeczywiście przedkładałby sułtana nad własnego cesarza? Sama słyszałaś, jak wołał do ludu w dniu, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Powiedz mi zatem, jeśli go w ogóle znasz, czy istotnie mógłby stać się zdrajcą?

— Co ty powiadasz? — szepnęła. — Na co ty się ważysz? To przecież o megaduksie mówisz.

Znam go dobrze — ciągnęła z żarem — i także jego rodzinę znam. Jest ze starego rodu, ambitny, żądny zaszczytów i gwałtowny. Córka jego otrzymała cesarskie

wychowanie. Zamierzał wydać ją za cesarza, ale kiedy Konstantyn został bazyleusem, córka wielkiego księcia nie nadawała się już na małżonkę. Była to zniewaga, którą trudno wybaczyć. I megaduks nie uznaje polityki, którą prowadzi cesarz. Ale człowiek, który przeciwstawia się unii, nie musi jeszcze z tego powodu być zdrajcą. Nie, zdrajcą nie jest i nigdy nim nie zostanie. Gdyby nim był, nie wyjawiłby chyba tak otwarcie i uczciwie swoich poglądów.

— Nie znasz namiętności, które rządzą mężczyznami — rzekłem. — Władza to straszliwa pokusa. Podstępny i żądny władzy mąż, który nie pochwała polityki Konstantyna, mógłby w swoich rachubach wyobrazić sobie Konstantynopol rządzony przez megaduksa jako wasala sułtana. Rebelianci i uzurpatorzy istnieli i dawniej w tym mieście. I nawet mnich Gennadios głosi otwarcie poddanie się.

Szepnęła:

— Twoje słowa przerażają mnie.

— Ale myśl ta jest ponętna — ciągnąłem. — No, czy nie? Krótkotrwały bunt, nieco rozlewu krwi i bramy otwarłyby się dla sułtana. Czy nie lepiej, żeby zginęło tylko niewielu ludzi niż wszyscy i zarówno wasza, jak i nasza kultura poszła w ślad za miastem na zagładę? Wierz mi, właściwy mąż umiałby usprawiedliwić swoje postęпки wieloma ważnymi przyczynami.

— Kim jesteś? — zapytała odsuwając się ode mnie. — Dlaczego mówisz tak, jak mówisz?

— Dlatego, że odpowiednia chwila już minęła — odrzekłem. — Dziś cesarz ma siedmiuset zakutych w żelazo łacinników oprócz własnej gwardii przybocznej. Przeciw nim bezsilna byłaby choćby największa masa ludzka. Nawet gdyby Gennadios pobłogosławił bunt i sam megaduks Notaras osobiście poprowadził lud na Blacherny.

Tak już jest — ciągnąłem — przybycie Giovanniego Giustinianiego przypieczętowało los Konstantynopola. Odtąd zagłada jest nieunikniona. Możemy odetchnąć z ulgą. Gdyż sułtan Mehmed nie jest podobny do swego ojca Murada. Na jego słowach nigdy nie można polegać. Ten, kto mu się oddaje ufając jego obietnicom, dobrowolnie klęka przed swoim katem.

Odparła:

— Nie rozumiem cię. Doprawdy nie rozumiem ciebie. Mówisz, jak gdybyś chciał, żeby nasze miasto zginęło. Mówisz jak anioł śmierci.

Zorza zachodu słońca znikła. W izbie było tak ciemno, że twarze nasze majaczyły tylko niczym blade plamy.

— Skąd wiesz, że nie jestem aniołem śmierci? — odrzekłem. — Czasem sam siebie o to pytam.

Pewnego dnia, dawno już temu, wystąpiłem z bractwa wolnego ducha — ciągnąłem w ciemności. — Ich fanatyzm był niczym ciasna cela. Ich nietolerancja była jeszcze bardziej niepomiarowana niż nietolerancja mnichów i kapłanów. Kiedy rozstałem się z nimi, ocknąłem się wczesnym rankiem pod starym drzewem przy murze cmentarnym. Na murze tym ktoś namalował taniec śmierci. Gdy się zbudziłem, pierwszą rzeczą, którą zobaczyłem, był kościotrup. Prowadził w tańcu biskupa. Prowadził w tańcu cesarza. Prowadził w tańcu kupca. Prowadził w tańcu piękną kobietę. Było to pewnego rzeńskiego od rosy poranka, kiedy słowik śpiewał nad bystrym Renem. W chwili tej doznałem objawienia. Od tego poranka śmierć była moją siostrą i nie boję się jej.

Twoje miasto jest niby stara szkatułka na klejnoty, z której odpadły już zdobiące ją drogie kamienie i której rogi i kanty są uszkodzone. Ale zamyka w sobie wszystko, co niegdyś było piękne. Ostatnich filozofów Grecji. Uniesienia wiary. Pierwotny kościół Chrystusa. Stare pisma. Mieniące się złotem mozaiki. Nie chcę, by zginęło. Kocham je boleśnie i beznadziejnie całym moim sercem. Chwila zagłady jednak nadeszła. Któż oddałby dobrowolnie rabusiowi swoją szkatułkę na klejnoty? Lepiej niech ulegnie zniszczeniu w krwi i popiołach. To ostatni Rzym. W tobie i we mnie oddycha tysiąc lat. To już raczej korona śmierci, Chrystusowa cierniowa korona, niż turban turecki. Rozumiesz, co mam na myśli?

— Kim jesteś? — szepnęła. — Dlaczego mówisz do mnie w ciemności?

Powiedziałem, co miałem do powiedzenia. Skrzesalem ogień i zapaliłem świecę. Żółte topazy w naszyjniku zaczęły migotać na jej białej szyi. Żółte topazy spod znaku Strzelca. Chronią one swego właściciela przed podłością.

— Kim jestem? — rzekłem. — Człowiekiem żonatym, łacinnikiem, awanturnikiem, jak sama powiedziałaś. Dlaczego więc pytasz?

Poprawiła niezgrabnie kołnierz.

— Twój wzrok parzy mnie w szyję — skarżyła się.

— To moja samotność parzy cię — odparłem. — Moje serce spala się na popiół, gdy patrzę na ciebie w blasku świec. Twoja płeć jest jak srebro. Twoje oczy są jak ciemne kwiaty.

Tak mówisz — ciągnąłem. — Mam wiele słów, pięknych słów. Mogę pożyczyć je od starych i od nowych. Kim jestem? Jestem Zachodem i Wschodem. Jestem krwią Grecji w żyłach Zachodu. Czy mam mówić dalej?

— Muszę już iść — powiedziała, podniosła się i otuliła płaszczem nie czekając, aż jej dopomogę.

— Wezmę latarnię i pójdę z tobą — rzekłem. — Na ulicach jest niespokojnie. Nie chcę, byś spotkała się z pijanymi Genueńczykami. Wnet zaczną się bójkі. To zwyczaj najemników. Dziś wieczorem nie możesz iść sama. Są łacinnicy.

Zawahala się.

— Jak chcesz — rzekła w końcu krótko. Jej głos był martwy. Jej twarz jak skamieniała. — Teraz już wszystko jedno.

Przypiąłem do pasa swój turecki krzywy miecz. Jego ostrze mogło rozciąć bujający w powietrzu puszek. Jego ostrze mogło wyszczerbić miecz zachodni. Takie miecze wykuwają janczarowie.

— Dziś wieczór — powiedziałem i słowa uwięzły mi w gardle — dziś wieczór... — powtórzyłem, ale nie mogłem mówić dalej. Z tajemnego źródła mego serca spłynęła nagle gorąca fala na moje chłodne rozczarowanie. Przez wiele lat chodziłem na nauki do derwiszów, unikałem mięsa, nie chciałem nigdy uszkodzić żadnego żywego stworzenia, w które tchnięto ducha. Ale w ten wieczór chciałem bić i zabijać. Zabić człowieka, bliźniego. Barbarzyńskie ciało buntowało się przeciwko mej duszy. Moja grecka krew nienawidziła łacinników. Było mi tak, jakby coś we mnie rozszczepiło się na dwoje gwałtowniej niż kiedykolwiek przedtem. W mojej duszy żarzyła się żądza mordu. Nigdy jeszcze tego nie czułem. To przyszło z miłością. Miłość jak trzęsienie ziemi wyrzuciła we mnie na wierzch wszystko, co było utajone. Nie, nie poznawałem już własnej istoty.

Chwyliła mnie mocno za ramię. Odżyła znowu:

— Nie bierz miecza — powiedziała. — Tylko tego pożałujesz.

Dziwna zwycięska radość drżała w jej głosie. Znała mnie lepiej, niż sam siebie znałem. To było wręcz niewiarygodne. Gdy dotykała mego ramienia, wyciekała ze mnie siła. Gwałtownie odpiąłem miecz i rzuciłem go ze szczękiem na podłogę.

— Jak chcesz — powiedziałem. — Jak chcesz. Jak tylko chcesz.

Poszliśmy z boczem w górę. Koło portu zataczali się i wrzeszczeli genueńscy żołdacy krocząc długimi szeregami w poprzek ulicy. Sięgali po kobiety i witali wszystkich napotkanych grubiaństwami w wielu językach. Ale nie okazywali żadnej

niezyczliwości. Nikt ich nie rozdrażnił. Broń zostawili w koszarach. Nam obojgu otworzyli przejście w milczeniu. Po jej postawie i wysoko niesionej głowie można było poznać kobietę wysokiego rodu, choć twarz miała zasłoniętą welonem. Mnie zaś ustępowali z drogi nawet najbardziej pijani żołnierze już na długo przed Warną.

Grecy wycofali się do domów. Gdy weszliśmy na wzgórze, było cicho wokół nas. Tylko nocni stróże z latarniami przechodzili okrzykując się z dala. W zatoce portowej maszty okrętów ozdobione były latarniami i krzykliwa muzyka rozlegała się echem na wodzie. Na nabrzeżach dźwięczały bębny i piszczałki. Także zbocza Pery po drugiej stronie zatoki błyszcząły jak usiane robaczkami świętojańskimi.

A na cichym wzgórzu wznosiła się majestatycznie i milcząco ku niebu kopuła świątyni Mądrości Bożej. Znów leżały przed nami ciemne masywy domów dawnego pałacu cesarskiego. Sierp księżyca wisiał nad hipodromem, którego niepowtarzalne rzeźby łacińscy krzyżowcy dawno już zrabowali i przekuli na monety. Ale pośrodku wciąż jeszcze szczyrzyły się węzowe głowy kolumny delfickiej, odlanej po bitwie pod Salaminą z brązu z perskich okrętów wojennych.

Przystanąłem.

— Jeśli chcesz, możesz bezpiecznie iść stąd dalej sama — odezwałem się. — Zatrzymaj latarnię. Ja i tak trafię do domu.

— Powiedziałaś przecież, że teraz to już nie ma znaczenia — odparła. — Po tym wieczorze. To niedaleko, jeśli lękasz się, że zmęczysz nogi.

Wąska i wijąca się droga wiodła nas w dół brzegiem morza Marmara w pobliżu muru. Szliśmy obok potężnych łuków, które dźwigają hipodrom od strony morza. Zbliżyliśmy się do zrujnowanego i nieczynnego portu, który nazywają Bukoleon. Tuż obok wznosi się wysokie wzgórze, które greccy przewodnicy chętnie pokazują łacinnikom. To wzgórze z kości po zachodnich krzyżowcach, którzy wracali do domu przez Konstantynopol. Grecy zwabili ich nie uzbrojonych w uliczkę między murami i wybili do ostatniego. W zemście za przemoc i chępliwość, grabieże i gwałty. Tak mówią Grecy.

W pobliżu tego wzgórza, przy murze nad morzem, stał jej dom. Była to okazała i piękna budowla z kamienia. Pochodnie, które migotały w uchwytach nad okutą żelazem bramą, oświetlały wąskie łukowate okna górnego piętra. Dolne nie miało okien, jak w twierdzy. Przystanęła i wskazała na tarczę herbową wiszącą nad drzwiami.

— Jeśli jeszcze tego nie wiedziałeś, to teraz już wiesz — powiedziała. — Jestem Anna Notaras.

Jestem Anna Notaras — powtórzyła. — Jedyna córka megaduksa Łukasza Notarasa. Teraz zatem już wiesz.

Głos jej był ostry jak szkło. Chwyliła gwałtownie za kołatkę u wrót i uderzyła trzykrotnie. Zabrzmiało to tak samo głucho, jak dźwięczą łopaty ziemi rzucane na trumnę najdroższej osoby.

Nie, nie szukała żadnych bocznych drzwi, by niepostrzeżenie dostać się do domu. Ciężkie wrota otwarły się. Biało-niebieski kaftan odźwiernego ciężki był od srebrnych szamerowań. W drzwiach odwróciła się jeszcze raz z wysoko podniesioną głową i rzekła do mnie jak do kogoś obcego:

— Dziękuję ci, panie Johannesie, żeś odprowadził mnie bezpiecznie do domu mego ojca. Idź z Bogiem.

Drzwi zamknęły się za nią. Teraz więc wiedziałem: jej matka jest serbską księżniczką, bratanicą dawnego despoty. Anna jest zatem kuzynką wdowy po sułtanie. Ma dwóch młodszych braci, ojciec jest megaduksem, wielkim księciem. Wychowana została na cesarską małżonkę, ale Konstantyn zerwał zaręczyny. Dlaczego, dlaczego musiałem spotkać właśnie ją?

Anna Notaras. Straszliwa igraszka Boga zaprowadziła mnie tutaj. Po to więc żyłem. Wszystkie czeluści mojej duszy otwarły się.

Mój ojciec wyruszył, by spotkać anioły. Ale jego syn powrócił. Jako dorosły mężczyzna. Czterdziestoletni. Nie oślepiiony.

Dlaczego to jestem taki zdziwiony? Wiedziałem to przecież od pierwszej chwili, kiedym ją ujrzał. Wzbraniałem się tylko myśleć o tym. Teraz zabawa już przeminęła, niech nastanie powaga.

1 lutego 1453

Po wielu bezsennych nocach poszedłem na forum Konstantyna Wielkiego. Marmurowe płyty placu zmielone zostały na żwir kołami wozów. Budynki kruszyły się. Poszarzałe drewniane domy czepiały się niczym gniazda jaskółcze gruntu przy pozółkłych marmurowych murach.

Wspiąłem się po wyżłobionych krętych schodach na szczyt kolumny. Od czuwania i postu byłem tak zmęczony, że brakło mi tchu. Kręciło mi się w głowie i musiałem kilkakrotnie przystanąć i szukać oparcia. Na wpół zwalone schody są niebezpieczne. Gdy stanąłem tam wysoko, miałem Konstantynopol na wzgórzach pod stopami.

Dawniej kolumna ta nosiła olbrzymi pomnik cesarza na koniu. Błyszczał on w słońcu jak złoty znak nawigacyjny daleko na morzu Marmara, migotał złościście aż do brzegów Azji i wskazywał mieczem na wschód.

Ćwierć tysiąclecia temu łacińscy krzyżowcy stracili ten pomnik po zdobyciu Konstantynopola. Ich panowanie trwało tylko przez jeden żywot ludzki, krótki dzień w tysiącletniej historii mego miasta. Potem używano kolumny długo jako miejsca straceń. Z tej zawrotnej wysokości strącano zdrajców na płyty rynku. W końcu świątobliwy mnich obrał sobie kolumnę za miejsce zamieszkania i nie opuścił jej, dopóki jego wysuszonego od słońca i zwiędłego od wiatrów ciała nie spuszczone w dół na linach. Głosił gniew Boga i swoje własne objawienia ludzkim tłumom, które zwykły zbierać się na placu, by gapić się na niego. Jego ochryply głos, jego przekleństwa i błogosławieństwa tonęły w szumie wiatru. Ale przez jedno pokolenie i on należał do osobliwości mego miasta.

Teraz nie ma już nic na szczycie kolumny, zupełnie nic. Jej kamienie zaczynają rozluźniać się w spojeniach. Czas świata doszedł do zorzy wieczornej. Pod naciśnięciem mojej stopy jakiś kamień spadł za brzeg kolumny. Po długiej chwili usłyszałem głucho uderzenie, gdy dosięgnął ziemi. Plac był pusty.

Moje miasto dotarło do swego wieczora. Znikł żar porfiru i blask złota. Znikła świętość. Ucichł śpiew chórów anielskich. Pozostały tylko żądza ciała i śmierć serca. Chłód, obojętność, chciwość handlu, intrygi polityki. Moje miasto było umierającym ciałem, które już wyzionęło ducha. Duch uleciał w zatęchłe powietrze klasztoru. Duch skrył się w żółtych kodeksach biblioteki, których karty przewracają siwowłosi starcy.

Czarny welon nocy otulił moje miasto. Cienie nocy rozpostarły się ku Zachodowi.

Rozpłomień się, moje miasto! — zawołałem z pieczary mego serca. — Rozpłomień się i zapłoń jeszcze raz! Ostatni raz. Rozpał się u bram nocy i zapal płomień twej świętości. Tysiąc lat zmieniło w kamień twego ducha. Ale wyciśnij ducha z kamienia, po raz ostatni. Wyciśnij z kamienia ostatnie krople twego świętego oleju.

Włóż cierniową koronę Chrystusa na skroń. Odziej się po raz ostatni w purpurę, żeby stać się godnym siebie samego.

Głęboko pod moimi stopami spoczywały nieruchomo zachodnie okręty w długiej zatoce portowej. Niespokojne fale ścigały się nawzajem po morzu Marmara. Krzyczące stada ptaków wisiały nad wyłożonymi przez rybaków sieciami. U moich stóp wznosiły się zielone kopuły kościołów. Od zbocza do zbocza rozpościerała się wokół nich szara masa domów. I mury, niezwykłe mury ze swymi wieżami, rozpinają łuk od brzegu do brzegu i zamykały moje miasto w swym chroniącym objęciu.

Nie, nie rzuciłem się z kolumny na kamienie placu. Zadowolilem się tym, by być człowiekiem. Zadowolilem się moimi niewolniczymi kajdanami, kajdanami czasu i miejsca. Jakże mógłby niewolnik coś posiadać. Nie chciałem nic mieć. Moja wiedza jest ograniczona, moje słowa są niewystarczające, niepewność jest moją jedyną pewnością. Dlatego też nie wahałem się.

Żegnaj, Anno Notaras — powiedziałem w swym sercu. — Żegnaj, moja ukochana. Nie wiesz, kim jestem, i nigdy się nie dowiesz. Niech ojciec twój rządzi jako pasza Konstantynopola i wasal sułtana, jeśli taki jest jego wybór. Mnie to obojętne. Konstantyn nie chciał ciebie, ale może sułtan Mehmed wynagrodzi tę zniewagę i zaprowadzi cię do łóżnicy, by związać z sobą twego ojca. Ma wiele małżonek. Wśród nich znajdzie się miejsce i dla ciebie, Greczynki.

Potem znów odzyskałem spokój duszy po nie przespanych nocach i wielkiej pokusie, serce moje rozplynęło się w pustce Boga i nawet moja gorycz stopniała. W miarę jak moje kolana z wolna stawały się bez czucia i serce zwalniało tempo uderzeń, osunąłem się do pozycji, której się nauczyłem, schyliłem głowę i zamknąłem oczy.

Żegnaj, moja ukochana, jeśli mam cię już nigdy nie zobaczyć — powiedziałem w sercu — żadna inna nie była do ciebie podobna. Jesteś siostrą mojej krwi. Jesteś jedyną gwiazdą mojej błogości. Błogosławię cię za to, że dane mi było ciebie spotkać. Błogosławię twoje ziemskie oczy. Błogosławię twoje ziemskie ciało. Wszystko w tobie błogosławię.

Z zamkniętymi oczyma wpatrywałem się w gwiazdę w głębi mojej istoty. Granice czasu i przestrzeni znikły. Mój puls osłabł. Moje członki ochłodziły.

Ale Bóg nie jest chłodem.

Gwiazda we mnie rozprysła się w olśniewającą nieskończoność. Gorąca ekstaza spłynęła na mnie drżącymi falami.

Ale Bóg nie jest gorącem.

Wtopiłem się w olśniewające światło, byłem jasnością jasności, światłem światła.

Ale Bóg nie jest światłem.

I przyszła ciemność. Ciemniejsza niż ziemską ciemność. Cichsza niż cisza. Miłosierniejsza niż śmierć.

Ale Bóg nie jest ciemnością.

I nie było już ani chłodu, ani gorąca, ani światła, ani ciemności. Tylko niebyłe było. Bóg był we mnie. Ja byłem w Bogu.

Bóg był.

Trzymałem w dłoni kamyczek. Gdy palce rozwarły się, spadł na ziemię między moje kolana. Szczęk kamienia o kamień zbudził mnie. Tylko tę chwilę, którą zabrał upadek kamienia, trwała beczasowość mojej ekstazy. Kiedy człowiek doznaje Boga, nie ma różnicy między okamgnieniem i trwającym przez dobę letargiem. Bóg nie zna czasu.

Być może zostałem odmieniony. Być może uszła ze mnie siła. Być może w tej chwili mógłbym uzdrawiać chorych i przywoływać umarłych znowu do życia. Ale nie potrzebowałem robić nic takiego, by udowodnić sobie, kim jestem. Przekonywać siebie samego to wątpić. Zwątpienie i niepewność są cechami człowieka. Ja nie wątpiłem. Byłem równy aniołom. Ale zawróciłem z mojej swobody do kajdan czasu i przestrzeni. I moje niewolnictwo nie było już dla mnie obciążeniem, lecz darem.

2 lutego 1453

Przespawszy się aż do wieczora, wyszedłem, by poszukać Giovanniego Giustinianiego, dowódcy Genuńczyków. Nie było go na okręcie ani też w Blachernach. Znalazłem go w końcu w arsenale, przy rozgrzanych piecach odlewniczych. Stał oparty o dwuręczny miecz, szeroki w barach, dobrej tuszy męczyzna z wielkim brzuchem, o głowę wyższy od innych, nawet ode mnie. Głos dudnił mu jak z beczki, gdy wykrzykiwał polecenia do cesarskich techników i odlewaczy. Cesarz Konstantyn mianował go już protostratorem, głównodowodzącym obrony miasta. Był w doskonałym nastroju, gdyż cesarz obiecał mu mitrę książęcą i wyspę Lemnos w dziedziczne lenno, jeśli uda mu się odeprzeć Turków. Ufa samemu

sobie i zna się na swoim fachu. Widać to było po jego rozkazach i pytaniach, gdy dowiadywał się, ile i jak wielkich dział i balist arsenał może sporządzić, gdyby pracowali dzień i noc do przyjscia Turków.

— Protostratorze — zwróciłem się do niego. — Przyjmij mnie do służby. Uciekłem od Turków i umiem władać mieczem i napinać łuk.

Miał twarde i bezlitosne oczy, choć się uśmiechał. Zwrócił ku mnie nalaną twarz bacznie mi się przyglądając.

— Nie jesteś zwykłym żołnierzem — stwierdził.

— Nie, nie jestem zwykłym żołnierzem — odparłem.

— Masz akcent tokański — zauważył podejrzliwie, gdyż przemawiałem do niego po włosku, żeby wzbudzić w nim zaufanie.

— Mieszkalem we Florencji przez kilka lat — rzekłem. — Ale urodzony jestem w Awinionie. Umie mówić po francusku i po włosku, po łacinie i po grecku, po turecku i trochę po arabsku, i po niemiecku. Potrafię sporządzać listy zapasów. Wiem dość dużo o prochu i o działach. Potrafię nastawiać balistę na różne odległości. Nazywam się Jean Ange. Umie też leczyć psy i konie.

— Jean Ange — powtórzył wpatrując się we mnie swymi wypukłymi oczyma wołu. — Jeśli to wszystko, co mówisz, jest prawdą, to jesteś cudem. Ale dlaczego nie kazałeś zapisać swego nazwiska na liście werbunkowej cesarza? Czemu szukasz służby u mnie?.

— Ty jesteś protostratorem — odrzekłem.

— Coś przede mną taisz — powiedział. — Widocznie na próżno szukałeś służby u cesarza. I teraz przychodzisz do mnie. Ale dlaczego ja miałbym ci ufać bardziej niż bazyleus.

— Nie robię tego dla żołdu — kusilem go. — Nie musisz mi płacić ani nawet miedziaka. Nie jestem ubogi. Nie żądam pieniędzy. To dla Chrystusa. Dla Konstantynopola. Noszę krzyż na ramieniu, choć tego nie widać.

Wybuchnął śmiechem i walnął się w otwartą dłoń w udo.

— Nie pleć bredni! — krzyknął. — Mądry chłop w twoim wieku nie szuka korony męczeńskiej. Mnie i moim ludziom kardynał Izydor naturalnie poprzysiął na wszystkie świętości, że każdego, kto polegnie na murach, święty Piotr wciągnie za uszy do królestwa niebieskiego. Mnie jednak wystarczy, jeśli dostanę Lemnos i książęcą koronę zamiast cierniowego wieńca. Do czego zatem zmierzasz? Powiedz otwarcie albo zabieraj się stąd i nie przeszkadzaj mi. Inne już teraz czasy.

— Giovanni Giustiniani — zakląłem go. — Mój ojciec był Grekiem. W moich żyłach płynie krew tego miasta. Gdybym wpadł w ręce Turków na nowo, sułtan Mehmed każe mnie wbić na pal. Dlaczego więc nie miałbym raczej sprzedać tanio mego życia?

Ale on mi nie wierzył. W końcu musiałem zniżyć głos, rozejrzeć się ukradkiem dokoła i powiedzieć:

— Uciekając od sułtana ukradłem woreczek klejnotów. Nie odważyłem się tego nikomu wyjawić. Teraz rozumiesz już, dlaczego nie chcę wpaść w jego moc.

Był Genuńczykiem, złapał się na haczyk. W jego oczach pojawił się zielonkawy błysk. I on też rozejrzał się wokoło i ujął mnie potem przyjaźnie za ramię. Dysząc mi oparami wina prosto w twarz, pochylił się do przodu i szepnął mi do ucha:

— Może bardziej ci uwierzę i będę mógł żywić do ciebie zaufanie, jeśli pokażesz mi te klejnoty.

— Dom, który wynajmuję, stoi przy drodze do portu — odparłem. — Wszak mieszkasz jeszcze na pokładzie swego okrętu.

Wsiadł niezdarnie na dużego bojowego rumaka. Dwóch gońców z pochodniami szło przed nami, by oświetlać nam drogę. Straż przyboczna maszerowała za nami ze szczękiem pancerzy. Kroczyłem z szacunkiem u jego boku z ręką na strzemieniu.

Mój sługa Manuel otworzył nam wystraszony, gdy żołdacy załomotali do drzwi. Giustiniani potknął się na kamiennym lewku i zaklął. Latarnia zadrżała w ręku Manuela.

— Podaj cielęcinę i ogórki — nakazałem. — Wino i duże puchary.

Giustiniani wybuchnął głośnym śmiechem i rozkazał żołnierzom czekać na ulicy. Schody trzeszczały pod jego ciężarem. Skrzesałem ogień i zapaliłem wszystkie świece, zanim wyjąłem ze schowanka mały skórzany woreczek. Wywróciłem go na drugą stronę. Rubiny, szmaragdy i diamenty rozbłysły czerwonymi, zielonymi i białymi blaskami w świetle świec.

— Święta Matko Boska — zaszeptał Giustiniani, rzucił na mnie wzrokiem i wyciągnął z wahaniem grubą pięść nie waząc się jednak dotknąć klejnotów.

— Weź sobie, który chcesz — rzekłem. — Nie zobowiązuje cię to do niczego. Tylko jako znak mojej przyjaźni. Nie staram się bynajmniej kupić twoich względów ani twego zaufania.

Nie wierzył mi zrazu. Potem wybrał rubin w kolorze krwi gołębia. Nie największy, ale najładniejszy. Nie po raz pierwszy miał do czynienia ze szlachetnymi kamieniami.

— Postępujesz jak księżę — powiedział podziwiając rubin trzymany między koniuszkami palców. Głos jego zmienił się. Nie wiedział już, co ma o mnie myśleć.

Nie odpowiedziałem. Przyglądał mi się znowu badawczo błyszczącymi, wypukłymi oczyma, potem zniżył wzrok i pogładził dłonią wytarte skórzane pludry.

— Należy do mego zawodu umieć oceniać ludzi — ciągnął — ażeby odsiewać plewy, a zachowywać ciężkie ziarna. Coś mi mówi, że nie jesteś złodziejem. Coś mnie zmusza, żeby ci ufać. I powodem tego nie jest tylko ten rubin. Takie uczucie jest niebezpieczne.

— Napijmy się wina — powiedziałem. Manuel wszedł z mięsem, drewnianą faską z ogórkami, winem i moim największym pucharem. Giustiniani wypił, wyciągnął puchar i rzekł:

— Na twoje powodzenie, księżę.

— Kpisz sobie ze mnie? — zapytałem.

— Bynajmniej — odparł. — Zawsze wiem, co mówię. Nawet kiedy piję. Zwykły człowiek taki jak ja może postarać się o koronę, by ozdobić nią głowę, ale nie będzie jeszcze z tego powodu żadnym księciem. Inni noszą koronę księżęcą w sercu. Twoje czoło, twoje spojrzenie, twój sposób bycia świadczą o tym, czym jesteś. Ale nie niepokój się. Potrafię milczeć. Czego więc chcesz ode mnie?

Zapytałem:

— Protostratorze, czy rzeczywiście wierzysz, że potrafisz obronić Konstantynopol?

Odpowiedział mi pytaniem na pytanie:

— Czy masz talię kart, panie Jeanie Ange?

Wyjąłem talię kart, tłoczonych z drzeworytów, takich, jakie żeglarze zwykli sprzedawać w portach. Zmieszał je z roztargnieniem i zaczął układać przed sobą obrazkami do góry. A potem powiedział:

— Nigdy bym nie dożył tego wieku i nie osiągnął takiej pozycji, jaką mam, gdybym nie umiał grać w karty. Los rozdaje nam karty. Doświadczony człowiek bierze je, sprawdza i ocenia, nim zdecyduje, czy weźmie udział w grze, czy nie. Nie jest konieczne grać w każdym rozdaniu. Można zawsze odłożyć swoje karty i czekać na lepsze. Prawdziwego gracza nie skusi nawet największa stawka, jeśli spostrzeże, że

jego karty są zbyt kiepskie. Nie można wprowadzić widzieć kart przeciwnika, ale można je zawsze wyliczyć i odgadnąć. A oprócz dobrych kart potrzebna jest biegłość w grze. Nade wszystko zaś szczęście. Dotychczas miałem szczęście, panie Jeanie Ange!

Tak, dotychczas miałem szczęście w grze — ciągnął i opróżnił puchar kilkoma głębokimi łykami. — Dotychczas, jak powiedziałem. I nawet książęca korona nie może zwabić mnie do złej gry. Ale zbadalem mury. Przez wiele pokoleń oparły się Turkom. Dlaczego nie miałyby się oprzeć i tym razem. Przejrzałem arsenały i sprawdziłem żołnierzy cesarza. Dopiero po głębokim namyśle postawiłem na kartę moją sławę i życie. Jak z tego widzisz, myślę, że mam dość przydatne karty.

— Ponadto masz swoje okręty — dorzuciłem.

— Słusznie — przyznał bez wstydu. — Ponadto mam swoje okręty. Ostatnią kartę, w najgorszym wypadku. Ale nie obawiaj się. Jeśli Giovanni Giustiniani postanawia się bić, to się bije. Tak jak nakazuje mu jego cześć i rozsądek. Aż do ostatniej możliwości. Ale nie więcej. Nie, nie więcej.

Życie jest wysoką stawką — ciągnął. — Wyższej nikt nie może wymagać. Nawet najmocniejszy pancerz nie powstrzyma ołowianej kuli. Oszczep zawsze może się wślizgnąć pod pancerz. Podnosząc miecz do ciosu, trzeba odsłonić pachę. Strzała może wtargnąć przez przyłbicę u hełmu. Pancerz nie przyda się na nic na miotacze ognia i roztopiony ołów. Wiem, w co się wdaję. To mój zawód. Mam także swój honor. Bić się do ostatniej możliwości. Ale nie poza nią, nie dalej niż do niej.

Nalałem mu więcej wina.

— Giustiniani, co chcesz za zatopienie swoich okrętów? — zapytałem, tak jakby to była całkiem powszednia sprawa.

Wzdrygnął się i przeżegnał krzyżem na sposób łaciński.

— Też pleciesz — powiedział. — Tego nie uczynię.

— Te oto kamienie... — rzekłem zgarniając błyszczące klejnoty w małą kupkę na stole — za nie mógłbyś wystawić dziesięć nowych okrętów w Genui.

— Być może — przyznał, patrząc chciwie na blask rubinów i białoniebieskie iskrzenie się diamentów między moimi palcami. — Być może. Gdybym miał je w Genui. Nie, Jeanie Ange. Nie jesteśmy w Genui. Gdybym zatopił moje statki, te kamienie nie miałyby może dla mnie wcale wartości. Nawet gdybyś mi zaofiarował dziesięć czy sto razy tyle, ile warte są moje okręty, nigdy bym ich nie zatopił.

— Tak mało zatem ufasz swoim kartom? — zapytałem.

Odparł:

— Ufam im. Będę nimi grał. Ale jestem rozsądnym człowiekiem.

Przeciagnał dłonią po nabrzmiałej twarzy, uśmiechnął się lekko i stwierdził:

— No, no zaczynamy pewnie być troszkę pijani, ponieważ gadamy takie rzeczy.

— Ale to nie było prawdą. Mógłby wlać w swoje bycze ciało cały antalek wina nie upijając się zbytnio.

Zebrałem kamienie w obie dłonie.

— Dla mnie są one bezwartościowe — rzekłem. — Ja zatopiłem swoje okręty.

Tak oto bez wartości są one dla mnie — powtórzyłem chrapliwie i cisnąłem je, aż zagrzechotały jak grad o ścianę i podłogę. — Masz je! Weź je sobie, jeśli chcesz. To przecież tylko kamienie.

— Jesteś pijany! — wykrzyknął. — Nie wiesz, co czynisz. Jutro rano będziesz się trzymał za głowę obiema rękami i gorzko tego żałował.

Palilo mnie w gardle. Nie mogłem wykrztusić słowa. Potrząsnąłem głową.

— Weź je — udało mi się w końcu powiedzieć. — To cena za moją krew. Każ mnie zapisać na listę twoich żołnierzy. Pozwól mi bić się wraz z twoimi ludźmi. Niczego więcej nie żądam.

Wpatrzył się we mnie z szeroko otwartymi ustami. Potem w oczach jego zapalił się błysk powątpiewania.

— Czy to prawdziwe klejnoty? — zapytał potrząsając głową.

— A może to tylko farbowane szkiełka, takie jakimi Wenecjanie zwykli oszukiwać Murzynów?

Schyliłem się po z grubsza i niezdarnie oszlifowany diament, podszedłem do okna i przeciagnałem głęboką rysę po zielonkawej powierzchni szyby z góry do dołu, aż zazgrzytało mi w uszach. A potem odrzuciłem diament.

— Jesteś szalony — powiedział i potrząsnął ponownie swoją potężną głową. — Byłoby niesłuszne, gdybym wykorzystał twój stan zamroczenia. Wyśpij się i niech ci się przejaśni w głowie. Potem możemy spotkać się znowu.

— Czy widziałeś kiedykolwiek samego siebie w widzeniu na jawie? — zapytałem. Być może upiłem się trochę winem, jako że nie byłem przyzwyczajony. — Ja widziałem. Raz, na Węgrzech, przed Warną, przeżyłem trzęsienie ziemi. Konie ponosiły i łamały dyszle. Ptaki wzlatywały przerażonymi stadami. Namioty przewracały się. Ziemia trzęsła się i falowała. Wówczas po raz pierwszy ukazał mi się anioł śmierci. Był mężem bladym i smagłym. Był moim odbiciem. Tak jakbym widział siebie samego idącego mi naprzeciw. Powiedział: "Spotkamy się znowu".

Na bagnach pod Warną widziałem go po raz drugi — ciągnąłem. — Stał za mną, gdy uciekający Węgrzy zakłuli kardynała Cesariniego. Gdy odwróciłem głowę, ujrzałem anioła śmierci, który był moim odbiciem. “Spotkamy się znowu, powiedział, spotkamy się przy bramie Świętego Romana”. Teraz zaczynam go rozumieć.

Nie jestem żadnym złodziejem — mówiłem dalej. — Łaska sułtańska może uczynić niewolnika bogatszym od niejednego zachodniego księcia. Po bitwie przyprowadzono mnie przed sułtana Murada, wraz z innymi jeńcami. Jego zwycięstwo wisiało na włosku. Obwisłe policzki i worki pod oczyma drżały mu jeszcze z napięcia i strachu, przez które przeszedł. Był przysadzisty, o głowę niższy ode mnie i przedwcześnie ociążały od bezczynności i wygodnego życia. Wielu wyciągało do niego ręce i głośno wołało ofiarując wykup za swoje życie. Ale w jego oczach byliśmy wszyscy krzywoprzysięzcami i gwałcicielami pokoju. Ufając w pokój zdążył już zrezygnować z tronu na korzyść Mehmeda i osiedlić się na starość w parkach i ogrodach Magnezji. Teraz kazał nam wybierać tylko między islamem a śmiercią. Ziemia ociekała krwią, gdy jeden po drugim, wedle wieku i godności, klękali przed mieczem katowskim. Wielu przelękło się na widok toczących się głów. Wybuchali płaczem i wyznawali głośno Boga islamu i jego Proroka. Nawet i niektórzy mnisi wyznali, że stracili wiarę, odkąd Bóg dał zwycięstwo Turkom.

Ale Murad był zmęczony i przedwcześnie postarzały — ciągnąłem. — Jego najukochańszy syn utopił się i od tej pory sułtan nie troszczył się już zbyt o sprawowanie rządów. Nabrał zwyczaju topienia smutku w winie wspólnie z uczonymi i poetami. Nie kochał rozlewu krwi. Gdy przyszła moja kolej, spojrzał na mnie, spodobała mu się moja twarz i rzekł: “Jesteś jeszcze młody, dlaczego miałbyś zakosztować śmierci? Wyznaj więc wiarę w Proroka”. Odparłem: “Jestem jeszcze młody, ale gotów jestem zapłacić ludzki dług, podobnie jak i ty kiedyś go zapłacisz, wielki sułtanie”. Słowa moje spodobały mu się. “Masz słuszość, powiedział, kiedyś przyjdzie dzień, gdy nieznana ręka zrówna moje boskie prochy z ziemią”. Dał znak, że chce mi darować życie. Był to tylko kaprys, gdyż słowa moje wyzwoliły w jego duszy poetyckie natchnienie. Chcesz usłyszeć wiersz sułtana Murada po bitwie pod Warną, Giovanni Giustiniani?

Giovanni potrząsnął swoją byczą głową na znak, że nie troszczy się zbyt o poezję, dolał sobie wina i zaczął gryźć plaster zimnej cielęciny. Podsunąłem mu bliżej ogórki i przeczytałem po turecku ten niezapomniany wiersz, odmierzając strzelaniem w palce takt, jakbym szarpał struny lutni. Potem przełożyłem go mu:

*Podczaszy, nalej mi znowu wczorajszego wina,
przynies mą lutnię, daj zapomnienie memu sercu,
krótką chwilę trwa życie, rozkoszne są tej chwili spoczynek i radość
pewnego dnia nieznana ręka zrówna me boskie prochy z ziemią.*

Takie było serce sułtana Murada — mówiłem. — Umocnił on potęgę Turków i prowadził jedną wojnę po drugiej, by stworzyć trwałą pokój. Dwa razy przekazywał tron Mehmedowi. Za pierwszym razem zmusili go do powrotu chrześcijanie. Za drugim razem przywołał go z powrotem wielki wezyr Halil, po tym jak janczarowie spalili bazar w Adrianopolu. Od tej pory Murad pogodził się z losem i panował aż do śmierci nie prowadząc więcej wojen. Dwa razy w tygodniu upijał się z poetami i filozofami. Wtedy zwykł był obdarzać przyjaciół honorowymi kaftanami, dobrami ziemskimi i szlachebnymi kamieniami. I nigdy nie domagał się ich zwrotu następnego dnia. Kilka z tych klejnotów to dary sułtana Murada. Zatrzymaj je, Giovanni, jeśli chcesz. Ja ich nie potrzebuję i też nie będę domagał się ich zwrotu jutro.

Gustiniani wetknął do ust pół ogórka, otarł ręce z kwasu o skórzane pludry, przeżegnał się pobożnie i padł niezdarnie na czworaki u moich stóp.

— Jestem ubogim człowiekiem i zwykłym wojownikiem — powiedział. — Nie mogę sobie pozwolić na chępliwość. Korzę się chętnie dla dobrej sprawy.

Zaczął czołgać się po ziemi i zbierać klejnoty, a ja przyświecałem mu świecą, aby żaden kamień nie uszedł jego uwagi. Sapał czołgając się, ale mówił:

— Tylko nie zacznij mi pomagać, na wszystko cię proszę. Ten wysiłek jest bardziej luby dla moich członków niż zapasy z najpiękniejszą kobietą na świecie.

Podąłem mu czerwony skórzany woreczek. Zebrał do niego starannie klejnoty, podniósł się w końcu z ziemi, zawiązał woreczek i wetknął go ostrożnie za pazuchę.

— Wcale nie jestem chciwy — powiedział — któryś z mniejszych kamieni mógł łatwo wpaść w szparę podłogi albo potoczyć się pod dywan, ale znajdzie go chyba twój służący przy sprzątanii. Dziękuję ci.

Przekrzywił głowę i przyglądał mi się łaskawszymi oczyma.

— W moim życiu — powiedział — natknąłem się na mężów świętych, mających przywidzenia, i na wielu innego rodzaju szaleńców. Byłbym chyba i sam szalony, gdybym nie przyznawał, że na świecie dzieje się dużo rzeczy, których znikomy rozum człowieka nie może pojąć. Takim wydarzeniem jest to, że spotkałem ciebie.

Wyciągnął do mnie szeroką łapę i uściśnął mi dłoń nie ukrywając wdzięczności.

— Od dzisiejszego dnia jesteś moim przyjacielem, panie Jeanie Ange — zapewniał. — I nie dam ucha żadnym plotkom, które może będę słyszeć o tobie. Jutro rano, zaraz po pobudce, każę cię wpisać do moich list zaciężnych. Ale wtedy musisz być obecny. Dostaniesz konia i rynsztunek, i możesz być pewny, że dam ci dostatecznie dużo roboty, żebyś przyzwyczaił się do mojej dyscypliny. Żołnierzy ćwiczę surowiej niż Turcy.

Lecz nie walnął mnie w plecy ani nie uderzył po ramieniu, jak może by to zrobił ktoś mniej doświadczony. Przeciwnie, skłonił z szacunkiem głowę odchodząc i powiedział:

— Zachowaj swoją tajemnicę. Nie jestem ciekawy. Nie postępowałbyś tak, jak czynisz, gdybyś miał złe zamysły. Ufam ci.

Grecy odrzucili mnie, łacinnik mnie przyjął. Zrozumiał mnie lepiej niż Grecy. Giovanni Giustiniani.

5 lutego 1453

Dostałem wierzchowca i rynsztunek. Przez pierwsze dni Giustiniani wystawiał na próbę mnie i moje umiejętności. Musiałem towarzyszyć mu przy lustrowaniu murów i nie wyćwiczonej załogi, która składała się z greckich rzemieślników i młodych mnichów. Potrząsał swoją byczą głową i śmiał się patrząc na nich.

Odbył narady z cesarzem, z Francesem, z szyprami statków z Wenecji i wysp greckich, z podestą Pery i weneckim bailonem.

Z każdym rozmawia wyczerpująco i bez pośpiechu i opowiada wiele historii z wypraw wojennych i oblężeń, w których brał udział.

Toruje sobie drogę przez niezgodę, zawiść i przesady niczym duży i brzuchaty statek. Ufają mu. Trzeba mu ufać. Jest jak kamień węgielny, jak fundament, na którym, jak to z dnia na dzień coraz wyraźniej widać, opiera się obrona miasta. Pije bardzo dużo wina, wychyla największy puchar paru haustami. Poznać to jedynie po lekkiej opuchliznie pod oczyma.

Jego powolność i nie kończące się gadanie, za którym skrywa swoją doświadczoną i mądrą znajomość ludzi, drażniły mnie zrazu. Potem jednak zacząłem widzieć sprawy i wydarzenia jego wypukłymi wolimi oczyma. A teraz jakbym ujrzał

wymyślony przez biegłego matematyka mechanizm, który rusza z piskiem i zgrzytem, opornie trzeszcząc trybami, ale coraz to pewniej. I celowo, tak że każda część wspiera i wzmacnia inne.

Muszę go podziwiać, zupełnie tak jak jego ludzie podziwiają go i słuchają ślepo każdego jego słowa, mając pewność, że żaden z jego rozkazów nie jest niepotrzebny.

Również i ja nie jestem niepotrzebny. Opowiedziałem mu o wyszkoleniu janczarów, o ich dyscyplinie, uzbrojeniu i sposobie walczenia. Opowiedziałem mu o charakterze sułtana Mehmeda i o jego otoczeniu, o partii wojennej i partii pokojowej w seraju, o przepaści, jaka otworzyła się między starymi i młodymi po śmierci sułtana Murada, którą Mehmed świadomie poszerza i pogłębia, żeby strącić Halila ze stanowiska wielkiego wezyra.

— Nie potrafi zapomnieć, że jako młody chłopiec, w wieku dwunastu i czternastu lat, dwa razy zmuszony był zrzec się tronu, którego nie umiał utrzymać, choć ojciec jego dobrowolnie ustąpił — opowiadałem. — To klucz do jego rozgoryczenia, fanatyzmu i żądzy sławy. Pierwszy raz, kiedy hufce chrześcijańskich krzyżowców niespodziewanie zbliżyły się do Warny, załamał się w Adrianopolu, płakał, krzyczał, dostał konwulsji ze strachu i ukrył się w haremie. Tak mówią. I gdyby stary sułtan Murad nie powrócił z Magnezji i w kilka dni nie wydobył nowego wojska spod ziemi, państwo tureckie uległoby zagładzie.

Za drugim razem — ciągnąłem — wzburzył się jego własny lud, jego weterani. Janczarowie odmówili posłuszeństwa chudemu i nerwowemu chłopcu, który nie nadawał się, by prowadzić ich na wojnę. Splądrowali i spalili bazar w Adrianopolu. Mehmed zmuszony byłby jeszcze raz szukać schronienia w nietykalnym haremie. Halil z własnej inicjatywy wezwał Murada. Sprawy tej Mehmed nigdy nie mógł mu wybaczyć.

Nie znasz Mehmeda — powiedziałem powtarzając to, co już tyle razy mówiłem na próżno innym. — Zraniona miłość własna chłopca może urosnąć w siłę, która miażdży królestwa. Pamiętaj, że stało się to dwa razy. Od tego czasu Mehmed przeszedł swoje lata nauki. Jego ambicja jest niezmiernie wielka. By zatrzeć zniewagi, których doznał, musi zaćmić swoich przodków. Konstantynopol ma stać się tego dowodem. Jego zdobycie planował już od wielu lat, poświęcając spokój swoich dni i odpoczynek swoich oczu. Jeszcze zanim umarł jego ojciec, nauczył się każdego szczegółu z planów naszych murów, tak aby z pamięci umieć narysować każdą z wież. W Konstantynopolu trafi wszędzie z zawiązanymi oczyma. Powiadają, że był tu kiedyś

jako młodzik i włączył się w przebraniu po mieście. Umie przecież po grecku i zna zwyczaje i modlitwy chrześcijan.

Nie, ty nie znasz Mehmeda — powtórzyłem. — Nie ma więcej jak dwadzieścia dwa lata, ale już w chwili śmierci swego ojca nie był naiwnym chłopcem. Emir Karamanii podniósł naturalnie natychmiast bunt, jak to zwykle bywa, i zajął na próbę parę tureckich prowincji w Azji. Jest on przecież spokrewniony z Mehmedem. Ten zebrał wojsko i w dwa tygodnie dotarł z janczarami do granicy Karamanii. Emir uznał za stosowne ustąpić, wyjechał z wielką świtą Mehmedowi na spotkanie i śmiejąc się oświadczył, że żartował tylko, by wystawić na próbę młodego sułtana. A Mehmed wyuczył się sztuczki ukrywania swoich uczuć. Nie postępuje już nierozważnie. Potrafi pnieć się z furii. Ale także i to czyni w sposób rozważny i przemyślany, by wywrzeć wrażenie na przeciwniku. Jest aktorem, jakiemu równego jeszcze nie widziałem.

Moje słowa wywarły pewne wrażenie na Giustinianim. Z pewnością już z góry wiedział większą część z tego, co opowiadałem, ale nie słyszał tego przedtem od naocznego świadka.

— A Janczarowie? — zapytał. — Nie chodzi mi o prostych żołnierzy, lecz o dowódców.

— Janczarowie pragną naturalnie wojny — wyjaśniłem. — To przecież ich jedyny zawód. Są to synowie chrześcijan, ale wychowani w islamie. Nie mają prawa żenić się ani też opuszczać swoich kwater, nie wolno im nawet uczyć się żadnego rzemiosła czy zawodu. Naturalnie byli bardzo rozgoryczeni, gdy emir Karamanii podporządkował się sułtanowi i nie doszło do wojny, której się spodziewali. Mehmed pozwolił im awanturować się i kopniakami przewracać kotły. Sam zamknął się w namiocie na całe trzy dni. Pewni kupcy sprzedali mu grecką niewolnicę porwaną z którejś z wysp. Była to osiemnastoletnia dziewczyna, piękna jak dzień. Nazywała się Irena. W jej towarzystwie sułtan spędził trzy doby nie pokazując się nikomu. Janczarowie hałasowali i obrzucali go obelgami przed jego namiotem. Nie chcieli mieć sułtana, który zamiast wojny wybrał rozkosze miłości i który nawet zaniedbywał modlitw dla niewolnicy. Dowódcy nie mieli już na nich żadnego wpływu. Przypuszczalnie nie chcieli ich nawet hamować.

— Słyszałem o tym wydarzeniu — wtrącił Giustiniani. — Dowodzi ono tylko okrucieństwa i porywczosci Mehmeda.

— Okrucieństwo, ale nie porywczosc — odrzekłem. — Był to z zimną krwią przemyślany gest wielkiego aktora. Gdy rozjuszeni Janczarowie w ślepej furii

przewrócili swoje kotły, wyszedł on w końcu z namiotu z różą w dłoni i ciężkimi od snu powiekami i grał każdym ruchem zmieszanego i skłopotanego młodzika. Janczarowie ryczeli ze śmiechu patrząc na niego: zaczęli rzucać grudami ziemi i końskim łajnem, starannie jednak bacząc, by go nie trafić, i krzyczeli: "Coś ty za sułtan, skoro zamieniasz miecz na różę?" A Mehmed odkrzyknął w odpowiedzi: "Ach, bracia, bracia, nie wiecie, co mówicie! Gdybyście mogli ją zobaczyć, nie ganilibyście mnie". Janczarów podnieciło to tylko jeszcze bardziej i zaczęli wołać: "Pokaż nam swoją Greczynkę, pokaż nam ją, a może ci uwierzymy". Mehmed ziewnął leniwie, wrócił do namiotu i wywłócił z niego zawstydzoną i przerażoną dziewczynę, na wpół nagą i usiłującą ze wstydem ukryć twarz w dłoniach.

Widoku tego nigdy nie zapomnę — ciągnąłem. — Łyse, ozdobione kosmykami włosów czaszki janczarów, gdyż nawet swoje filcowe czapki rzucili na ziemię i podeptali. Lubieżna twarz i mieniające się żółto drapieżne oczy Mehmeda. Dziewczyna piękniejsza jak wiosna w Karamanii. Mehmed rozerwał siłą jej dłonie i zdarł z niej ostatnie szatki, po czym popchnął ją ku janczarom, aż cofnęli się osłepieni pięknnością jej twarzy i białą doskonałością jej ciała. "Napatrzcie się do syta! — krzyknął Mehmed. — Patrzcie i przyznajcie, że godna jest miłości sułtana". Potem twarz jego pociemniała od furii, odrzucił różę i rozkazał: "Przynieście mój miecz!" Dziewczyna klęczała na ziemi ze schyloną głową i osłaniała swą nagość rękami. Gdy Mehmed dostał miecz, chwycił ją za włosy i jednym cięciem obciął jej głowę, tak że krew z szyi trysnęła na najbliższych janczarów. Nie wierzyli swoim oczom i krzyknęli ze zgrozy. Potem cofnęli się ślepo między towarzyszy, by odsunąć się możliwie jak najdalej od Mehmeda. A ten powiedział tylko: "Mój miecz może przeciąć nawet więzy miłości! Ufajcie mojemu mieczowi". A potem zapytał: "Gdzie wasz dowódca?" Janczarowie przyprowadzili swego dowódcę, który ukrył się w namiocie. Gdy przybył, Mehmed wyrwał mu srebrną chochlę, oznakę dowództwa, i uderzył go na oczach wszystkich janczarów z całej siły w twarz, tak że złamał mu nos i wybił jedno oko. Ale Janczarowie milczeli przerażeni i nie kiwnęli palcem w obronie swego dowódcy.

Janczarowie nie podniosą już buntu — stwierdziłem. — Mehmed zreorganizował ich oddziały i powiększył je o sześć tysięcy swoich sokolników, co jest sprzeczne z regulaminem. Janczarowie awansują według wieku. Dlatego nie mógł odprawić całego ich dawnego dowództwa, jakkolwiek w nocy kazał stracić wielu z nich. Ale możesz być pewny, że przyzna im honorowe miejsce przy oblężeniu Konstantynopola. Sam odniesie z tego korzyść na wiele sposobów. Ci z oficerów i

weteranów świadomych, czego chcą, których zapisał sobie w pamięci, padną pod naszymi murami. Mehmed nie przebacza nigdy zniewagi, której doznał. Ale nauczył się on czekać na odpowiedni moment.

Nie wiedziałem, czy mam mówić dalej. Nie byłem pewny, czy Giustiniani zrozumie, o co mi chodziło. Ale w końcu powiedziałem:

— Mehmed nie jest człowiekiem.

Giustiniani zmarszczył czoło i wpatrzył się we mnie nabiegłymi krwią oczyma. Jego dobroduszny, huczący śmiech uwiązał mu w gardle.

— Mehmed nie jest człowiekiem — powtórzyłem. — Może jest aniołem ciemności? Może jest tym, który ma przyjść? Nosi wszystkie znaki.

Nie zrozum mnie źle — dodałem szybko. — Jeśli jest on człowiekiem, to jest nowym człowiekiem. Pierwszym w swoim rodzaju. Rozpoczyna nowy okres, epokę, która wychowuje innego rodzaju ludzi niż przedtem. Władców nad ziemią, władców nad nocą, którzy w swej krnąbrności i pysze odrzucają niebo i wybierają ziemię. Nie wierzą w nic poza tym, co mogą udowodnić ich oczy i rozsądek. W swym sercu nie uznają praw ludzkich ani boskich, dlatego że cel jest dla nich jednym prawem. Przynoszą chłód i żar piekielny na powierzchnię ziemi i zmuszają siły natury, by im służyły. Nie lękają się nieskończoności morza ani głębi niebios. Podporządkowawszy sobie całą ziemię i całe morze, budują sobie skrzydła w zapamiętałej żądzy wiedzy, by latać ku gwiazdom i także nimi zawładnąć. Mehmed jest pierwszym człowiekiem z tego pokolenia. Jak możesz wierzyć, że zdołasz mu się oprzeć?

Giustiniani złapał się za głowę:

— Na święte rany Chrystusa! — żalił się. — Czyż nie wystarczy, że mnisi tego miasta głoszą koniec świata, aż piana im występuje na usta? Musi także oficer z mojego zaciągu miewać objawienia i wizje i pleść niestworzone bzdury? Głowa mi pęknie, jeśli powiesz jeszcze choćby tylko jedno słowo.

Ale nie mówi już więcej o Mehmedzie jako o porywczym młodziku, który chce głową przebić mur. Zrobił się ostrożniejszy i zakazał swoim ludziom chełpić się zbyt w tawernach i ostrzegł ich przed niedocenianiem siły Turków. Poszedł nawet na łacińską mszę, wyspowiadał się i kornie przyjął odpuszczenie grzechów, mimo że kardynał Izydor już oświadczył, iż wszystkie grzechy zostały zeń zdjęte w chwili, gdy przyjął godność protostratora w Konstantynopolu. By być całkiem pewnym swojej sprawy, poprosił, by mu dano odpuszczenie grzechów na piśmie, i zawsze nosi ten dokument przy sobie.

— W ten sposób będę miał coś do okazania świętemu Piotrowi, gdy pewnego dnia zapukam do bram niebieskich — bronił się. — Powiadają, że staruszek z jakichś powodów stał się surowszy dla nas, Genuńczyków. Może przekupili go Wenecjanie.

7 lutego 1453

W Adrianopolu oddano z działa strzał, który wprawił cały świat w drzenie.

Węgier Orbano dotrzymał obietnicy, udało mu się odlać największe działo wszystkich czasów.

Gdy wróciłem do domu po wyczerpującym dniu, wyszedł mi naprzeciw mój służący Manuel, policzki drgały mu i dygotały i załamując ręce zapytał:

— Panie, czy to prawda, że Turcy mają działo, które może skruszyć mury Konstantynopola jednym jedynym wystrzałem?

Tak szybko szerzą się słuchy w tym mieście. Dziś rano Giustiniani otrzymał pierwsze dokładne wiadomości o próbnym strzelaniu.

— To nieprawda — odparłem. — Takiego działa nikt nie potrafi zrobić. By zwalić mury Konstantynopola, trzeba trzęsienia ziemi.

— Ale mówią, że kula armatnia przeleciała tysiąc kroków i w miejscu, gdzie padła, wyrwała lej wielki jak dom — wyjąkał Manuel. — A ziemia trzęsła się na dziesięć tysięcy kroków wokoło. Wiele domów zważyło się w Adrianopolu, a liczne kobiety poroniły.

— Babskie gadanie, Manuelu — powiedziałem. — Rozumiesz chyba sam dobrze.

— Ależ to prawda — zapewniał. — Już tamto działo, które Orbano odlał dla twierdzy sułtana, mogło zatopić cały statek jednym strzałem. Przybył tu kupiec z Pery, który był w Adrianopolu, i sam mierzył kamienną kulę z nowego działa. Powiedział, że nawet największy mąż nie może objąć kuli ramionami. Jest wciąż jeszcze ogłuszony wystrzałem i drży jak staruszek, choć nie skończył jeszcze pięćdziesięciu lat.

— Drży nie od armatniego strzału, lecz od wina i skutków przepicia! — ryknąłem. — Znalazł zbyt wielu ciekawych słuchaczy, którzy wlewali w niego wino. I działo rosło o kilka stóp z każdym nowym kielichem. Jutro będzie pewnie takie długie jak wieża kościelna.

Manuel padł przede mną na kolana. Broda trzęsła mu się, szukał moich rąk, by je całować, i powiedział po prostu:

— Panie, boję się.

Jest już starym człowiekiem. Jego wodniste oczy odzwierciedlały całą bezdenną melancholię Konstantynopola. Rozumiałem go. Turcy zabiją go, gdyż jest zbyt stary, by nadawać się na niewolnika.

— Wstań i bądź mężczyzną — powiedziałem. — Znamy wymiary działa i cesarscy technicy obliczają właśnie wagę jego kul i ich działanie na mury. Bez wątplenia jest to straszliwa broń, która może wyrządzić sporo szkód, ale nie jest ono wcale takie wielkie, jakim uczyniły je słuchy. Ponadto Orbano jest mężem nieuczonym, który nie umie obliczać donośności strzałów i torów pocisków. Technicy cesarscy uważają za niemożliwe, żeby mógł on odgadnąć prawidłowe wymiary komory prochowej w proporcji do długości lufy i wagi kuli. Jego działo wytrzyma może kilka strzałów, ale później nieuchronnie pęknie szerząc większe spustoszenie wśród Turków niż wśród nas. Orbano był przecież poprzednio w służbie cesarza. Technicy znają go i wiedzą, co umie i czego nie umie. Opowiedz to wszystko ciotkom i kuzynom, i całej swojej rodzinie i proś ich, by podawali to dalej, tak aby ludzie zaczęli się uspokajać.

— Dlaczego oni mieliby opowiadać coś, czego nie rozumieją? — westchnął Manuel. — Cóż oni wiedzą o komorach prochowych i torach pocisków. Opowiadają raczej to, co rozumieją i co brzmi straszliwie. Jakaś kobieta w mieście miała już podobno poronienie na samą wieść o tym dziale. Cóż dopiero będzie, gdy zacznie ono grzmieć pod naszymi murami i kruszyć je na proch.

— Powiedz im, żeby szukali pomocy u swojej Panaghii! — huknąłem, żeby się go pozbyć.

Ale w Manuelu zakorzeniły się wątpliwości.

— Chyba nawet Najświętsza Dziewica nie pokaże się już na murach i nie odstraszy Turków swym niebieskim płaszczem — orzekł. — Poprzednim razem Turcy nie mieli takich wielkich dział. Mogą przecież nastraszyć nawet Najświętszą Dziewicę. — Uśmiechnął się drżącymi wargami. — Czy jest w tym jakaś prawda, że ta armata jest już w drodze tutaj z Adrianopola? Że ciągnie ją pięćdziesiąt par wołów, a tysiąc ludzi oczyszcza drogę i buduje mosty. A może to też tylko przesada?

— Nie, Manuelu — przyznałem. — To prawda. Armata jest w drodze. Wiosna jest w powietrzu. Niebawem zaczną gruchać gołębie i niespokojne stada ptactwa przelatywać będą nad naszym miastem z południa na północ. Gdy wiosna rozkwitnie,

sułtan stanie u bram Konstantynopola. Temu nie zdoła już przeszkodzić żadna moc na świecie.

— I jak długo — zapytał — jak długo, sądzisz, wszystko potem potrwa?

Czemu miałem mu kłamać. Jest już stary. Jest Grekiem. Nie jestem lekarzem. Jestem człowiekiem. Jego bliźnim.

— Może miesiąc — powiedziałem — albo dwa. Giustiniani to wspaniały wojownik. Trzy miesiące, jeśli podoła zadaniu, w co wierzę. Ale chyba nie więcej. Chyba nie więcej niż tyle, nawet w najlepszym wypadku.

Manuel już nie drżał. Patrzył mi prosto w oczy.

— A Zachód? — zapytał. — Unia?

— Zachód? — powtórzyłem. — Wraz z Konstantynopolem także i Zachód utonie w nocy. Konstantynopol jest ostatnią lampą i nadzieją chrześcijaństwa. Jeśli pozwolą jej zgasnąć, to znaczy, że sami zasłużyli na swój los.

— I jakież to będzie los Zachodu? — zapytał. — Wybacz mi, panie, ale jestem ciekawy, ażeby moje serce mogło się przygotować.

— Ciało bez ducha — odparłem. — Życie bez nadziei, zniewolenie człowieka, niewola tak beznadziejna, że niewolnicy nie wiedzą już nawet, iż są niewolnikami. Bogactwo bez radości, obfitość bez możliwości korzystania z niej. Śmierć ducha.

10 lutego 1453

Wszystkich innych spotkałem, ale nie megaduksa Łukasza Notarasa. Jak gdyby rozmyślnie mieszkał możliwie jak najdalej od Blachern, na drugim końcu miasta. W starej dzielnicy, w cieniu kościoła Mądrości Bożej, dawnego placu cesarskiego i Hipodromu. Izuluje się. Obaj jego młodzi synowie piastują ceremonialne godności honorowe na dworze, ale nigdy się tam nie pokazują. Widziałem ich, jak grali konno w piłkę na płycie Hipodromu. Są to dorodni młodzi ludzie, z taką samą mroczną i dumną melancholią w rysach twarzy, co ich ojciec.

Jako dowódca floty megaduks odmawia współpracy z Giustinianim. Z własnych środków wystawił pięć leciwych dromonów cesarskich. Dziś, ku zdumieniu wszystkich, wysunęły one wiosła i wypłynęły z portu obok wielkich zachodnich okrętów. Na morzu Marmara wciągnęły swoje nowe żagle, przybrały formację bojową

i wzięły kurs w stronę brzegu azjatyckiego. Był szary, chmurny dzień z porywami wiatru. Żeglarze jeszcze nie nawykli do manewrów. Wioślarze wypadali z taktu, tak że wiosła najczęściej odbijały się o siebie.

Ostatnia flota Konstantynopola wyszła w morze. Weneccy i kreteńscy szyprowie śmieli się i bili po udach.

Jaki jednak jest sens tego ćwiczenia bojowego. Nie mogły to być tylko manewry w żeglowaniu i tworzeniu formacji, gdyż wieczorem dromony nie wróciły jeszcze do portu.

Giustiniani pojechał do pałacu, złamał wszelki ceremoniał, odepchnął z drogi przyboczną straż i eunuchów i wtargnął do prywatnych komnat cesarza. Uczynił to, żeby pokazać, jak jest wzburzony. W gruncie rzeczy był tylko ciekawy. Nie przywiązuje wielkiej wagi do okrętów cesarza. Jeden jedyny ciężki zachodni okręt wojenny mógłby zatopić je wszystkie. Ale jako protostrator jest naturalnie poirytowany, że flota nie została podporządkowana jego rozkazom.

Cesarz Konstantyn bronił się przed nim:

— Megaduks Notaras nie chciał siedzieć z założonymi rękami. Turcy spustoszyli nasz kraj i oblegają Selymbrię i inne nasze ostatnie warownie. Dlatego megaduks chce przejść do natarcia i odplacić im taką samą monetą, dopóki morze jest jeszcze otwarte.

Giustiniani rzekł:

— Kazałem otworzyć luki wypadowe w murach. Prosiłem cię wielokrotnie o pozwolenie, by pójść do natarcia na luźne bandy zbójckie Turków. Stały się już zbyt bezczelne i grasują na odległość strzału z łuku od murów i wykrzykują obelgi do moich żołnierzy grożąc im owałaszeniem. Takie rzeczy osłabiają dyscyplinę.

Cesarz odparł:

— Nie możemy sobie pozwolić na stratę ani jednego człowieka. Turcy mogliby zwabić twoje oddziały w zasadzkę i zniszczyć je.

Na to Giustiniani:

— Dlatego usłuchałem twojej woli. Ale megaduks Notaras nie liczy się z nią zupełnie.

Cesarz odpowiedział:

— Kazał mnie nagle zawiadomić, że zamierza wypłynąć na manewry. Nie mogłem przecież rozkazać weneckim i kreteńskim okrętom, by go zatrzymały. Ale samowola nie powtórzy się więcej.

Frances wtrącił pojednawczo:

— Megaduks sam wyposażył galery i płaci żołd załogom. Nie możemy go rozgniewać.

Ale to wszystko to były tylko słowa. Wiedzieli o tym sami. Giustiniani uderzył laską protostratora o stół i zawołał:

— A skąd wiesz, czy on wróci ze swymi okrętami i ludźmi?

Cesarz Konstantyn schylił głowę i rzekł cicho:

— Może byłoby dla nas wszystkich lepiej, gdyby nie wrócił.

Giustiniani powtórzył mi później całą tę rozmowę i powiedział:

— Nie wyznaję się na zawikłanej polityce Greków. Dotychczas bazyleus surowo powstrzymywał się od wszelkich działań zaczepnych. W nadmiarze chrześcijańskiej cierpliwości, za każdym razem kiedy otrzymał policzek od sułtana, nadstawiał mu także drugi policzek. Rozumiem przecież, że chciał przez to zarówno przed Zachodem, jak i przed potomnością wykazać, że to sułtan jest napastnikiem, a on sam mężem pokoju. Ale po co to wszystko. Każdy rozsądny człowiek i tak rozumie. Teraz zaś megaduks Notaras odbiera inicjatywę cesarzowi i wszczyna działania wojenne. Wierz mi, on wróci ze swymi okrętami. Ale do czego zmierza, nie rozumiem. Wytlumacz mi to ty, który znasz Greków.

— Łukasza Notarasa nie znam — odparłem. — Któż może wiedzieć, co kieruje człowiekiem dumnym i ambitnym. Może chce zmyć jakąś plamę ze swojej opinii. Po ruchawce pod kościołem Mądrości Bożej zaczęto go w Blachernach uważać za niegodnego zaufania i przyjaznego Turkom. Może dlatego chce być pierwszym, który przejawia grecką wolę walki, w przeciwieństwie do chwiejności cesarza.

— Ale jaki pożytek z takiej wyprawy łupieżczej na tureckie wybrzeże? — narzekał Giustiniani. — Właśnie teraz, kiedy derwisze głoszą wojnę po całej Azji i sułtan zbiera wojsko. Niczego lepszego sułtan nie mógł sobie życzyć. On działa przecież wyraźnie na korzyść sułtana.

— Nie możesz tego udowodnić — odparłem. — Możemy tylko oceniać każde wydarzenie z osobna i tłumaczyć je jak najkorzystniej, dopóki rzeczywistość nie zada nam kłamu.

Giustiniani spojrział na mnie swymi wypukłymi oczyma, podrapał się w kark i zapytał:

— Dlaczego bierzesz w obronę Łukasza Notarasa? Byłoby mądrzej, gdybyś milczał — ciągnął życzliwie. — Także i tym razem wziął mnie Frances na stronę, gdy

miałem odejść, i zaklinał, żebym miał ciebie na oku. Jesteś niebezpiecznym człowiekiem, twierdził. Miałeś swobodny dostęp do sułtana Mehmeda w dzień i w nocy. Ostrożność nie zaszkodzi, mówił Frances.

Potem Giustiniani podał mi miedziane przybory do pisania i mianował swoim adiutantem. Od tej pory miałem więc dostęp także i do jego sekretnych papierów.

11 lutego 1453

W nocy zbudził mnie mój sługa Manuel i szepnął przerażony:

— Panie, w mieście jest niepokój.

Po ulicach poruszały się latarnie i pochodnie. Na wpół odziani ludzie wychodzili z domów i stawali przy drzwiach. Wszyscy patrzyli na łunę na nocnym niebie.

Narzuciłem na siebie futrzany płaszcz i udałem się unoszony rzeką ludzi na wzgórze Akropolu. Po drugiej stronie morza ciemne i zachmurzone niebo barwiły dalekie pożary. Wiatr był wilgotny. Mokra ziemia mocno pachniała. Ciemność była ciemnością wiosenną.

Czarno odziane kobiety klękały do modlitwy. Mężczyźni zegnali się znakiem krzyża. A potem w szeptach rozeszło się z ust do ust jedno imię.

— Łukasz Notaras — szeptali ludzie. — Megaduks Łukasz Notaras.

Tureckie wioski po drugiej stronie morza stały w płomieniach.

Ale lud nie wiwatował. Przeciwnie, było tak, jakby czarne przygnębienie sparaliżowało ich wszystkich. Tak jakby dopiero teraz zrozumieli, że wojna się zaczęła. Ostry wiatr nocny utrudniał oddychanie.

Kto mieczem wojuje, od miecza ginie. I niewinni zginą wraz z winnymi.

12 lutego 1453

Flota jeszcze nie powróciła.

Doszła wieść, że przednie oddziały Turków wzięły więź św. Stefana i wycięły garnizon, który ośmielił się bronić.

Straszliwy grad zmusił wszystkich do szukania schronienia w domach. Zmiażdżył wiele dachów. Z podziemnych cystern słychać nocą dziwne dudnienie,

ziemia się trzęsie. Wiele osób widziało, jak błyskawice prują nieboskłon bez grzmotów i rozżarzone dyski przelatują po niebie.

Oprócz wielkiego działła, także cała artyleria sułtana ruszyła spod Adrianopola na Konstantynopol. Dziesięć tysięcy jazdy stanowi oddział ochronny.

W Adrianopolu sułtan wygłosił wielką mowę przed zebraniem Dywanem. Zachęcał młodych i odebrał przysięgę od starych i ostrożnych. Zarówno wenecjański bailon, jak i podesta w Perze otrzymali dokładne wiadomości o treści tej mowy.

Oto co powiedział Mehmed:

— Władztwo bazyleusa jest już złamane. Pozostaje tylko dokonać ostatniego wysiłku, który zniszczy tysiącletnie państwo następców Konstantyna. Konstantynopol jest królem miast. Zdobycie go szturmem jest obecnie możliwe i powodzenie pewne dzięki naszym nowym broniom i duchowi naszych wojsk. Ale musimy się spieszyć, zanim chrześcijaństwo nie powstanie i nie pośle floty na odsiecz bazyleusowi. Teraz jest odpowiednia chwila. Nie może ona wymknąć nam się z rąk.

Mówią, że przed tą mową Mehmed w środku nocy kazał wezwać do siebie wielkiego wezyra Halila, przywódcę partii pokojowej, żeby się z nim porozumieć. I przynajmniej tym razem Halil nie odważył się otworzyć ust w obronie pokoju.

Gdy otrzymałem dostęp do dokumentów w żelaznej skrzyni Giustinianiego, mogłem się przekonać, że Halil wciąż jeszcze potajemnie koresponduje z cesarzem Konstantynem. Inaczej nie wiedzielibyśmy wszystkiego, co wiemy teraz o uzbrojeniu Turków i finansowaniu napaści.

Po tym jak flota wypłynęła na morze, cesarz pospieszył wysłać ostatni apel do Adrianopola. Napisał go własnoręcznie, nie prosząc o radę Francesa. Jest kopia tego listu w skrzyni Giustinianiego. Czytałem ją wielokrotnie z dziwnym wzruszeniem i mrozącym przynębieniem. Wykazuje on bardziej niż jakikolwiek inny postępek Konstantyna, że jest on prawdziwym cesarzem. Oto co napisał do sułtana Mehmeda:

“Jest już wyraźne, że bardziej pragniesz wojny niż pokoju. Niech więc się stanie tak, jak chcesz, ponieważ nie udało mi się przekonać cię o moich pokojowych zamiarach, mimo że nie splamiłem się fałszem i wyraziłem gotowość przyjęcia tytułu twego wasala. Teraz zwracam się do Boga i szukam oparcia tylko w Nim. Jeśli jest Jego wola, by miasto moje popadło w twoją władzę, jakżeż mógłbym się temu przeciwstawiać. Jeśli natomiast On skłoni cię do zawarcia pokoju, byłbym szczęśliwy. Ale zwracam ci niniejszym każde twoje słowo, wszystkie obietnice i porozumienia, które z obu stron dawaliśmy sobie nawzajem. Zamknąłem bramy miasta i będę bronić

mego ludu do ostatniej kropli krwi. Obyś panował szczęśliwie aż do dnia, kiedy sprawiedliwy Bóg, nasz najwyższy sędzia, wezwie nas obu przed siebie".

Jest to list sztywny i niewiele zawiera z wielkiej greckiej retoryki, nic z kunsztownych zwrotów Francesa. Wzrusza on jednak mój umysł. To list cesarza. I nadaremny, tak, nadaremny. Ale być może Konstantyn w swym opustoszałym pałacu chciał tylko skierować go do potomności. Może w swej prostocie list ten zawiera wyraźniejsze świadectwo o nim, niż wszystkie opisy historyków. To nie jego wina, że urodził się pod nieszczęśliwą gwiazdą.

13 lutego 1453

Flota nie wróciła. Pałac Notarasa nad morzem strzeże ponuro swoich tajemnic. Nie mogę już dłużej znieść tej niepewności. Minęło ponad dwa tygodnie od czasu, kiedy się spotkaliśmy. Nie wiem przecież nawet, czy ona jest jeszcze w mieście.

Na próżno jeździłem konno po mieście i wzdłuż murów. Nadaremnie starałem się utopić niepokój serca w gorączkowej pracy. Nie mogę się od niej uwolnić. Jej promienne oczy nawiedzają moje sny. Jej duma i chłodna hardość pieką me serce.

Obojętne, że jest córką wielkiego księcia i serbskiej księżniczki. Obojętne, czy jej ród jest jeszcze starszy niż ród samego cesarza. Ja jestem synem mego ojca.

Czterdzieści lat. Sądziłem, że doszedłem już do jesieni życia.

Dlaczego nie miałbym spróbować spotkać się z nią. Pozostały nam przecież tylko te krótkie dni. A czas mija nieodwołalnie. Szybkie jak strzały są te dni. Zadania, ćwiczenia, listy zapasów. Pustka.

Z mroku w moim domu wyszedłem tego poranka w jasność. Słońce świeciło promiennie. Niebo było rozpięte nad Konstantynopolem niczym niebieski baldachim. Przepełniło mnie głębokie uniesienie.

Nie konno, lecz pieszo, jak najbiedniejszy pielgrzym. Daleko, daleko błękitniała marmurowa wieża Złotej Bramy.

Potem ujrzałem znów gładką kamienną ścianę i wąskie łukowate okienka na górnym piętrze. Tarczę herbową nad bramą. Zastukałem.

— Jean Ange, przyboczny protostratora.

— Megaduks jest na morzu. Obaj jego synowie są z nim. Pani domu chora i leży w łóżku.

— Chcę widzieć się z jego córką, Anną Notaras.

Przyszła, w towarzystwie leciwego eunucha, z zamkniętej części domu. Otrzymała cesarskie wychowanie. Jest wolną Greczynką. Eunuch był szary i pomarszczony jak stare jabłuszko, przygłuchy i bezzębny. Ale strój nosił bardzo kosztowny.

— Czekałam na ciebie — rzekła. — Czekałam na ciebie długo. Ale nie jestem już dumna, że przyszedłeś. Usiądź, Jeanie Ange.

Eunuch potrząsnął markotnie głową, podniósł błagalnie ramiona ku niebu, ukrył twarz w dłoniach i osunął się na stół w kącie komnaty. Uwolnił się od wszelkiej odpowiedzialności.

Przyszła służąca ze złotym pucharem na srebrnej tacy. Puchar był prastarej greckiej roboty. Na jego ścianach satyr gonił kilka uciekających nimf. Był to frywolny puchar. Umaczała w nim wargi i podała go potem mnie.

— Za naszą przyjaźń — powiedziała. — Chyba nie przybyłeś ze złym zamiarem do naszego domu.

Napiłem się wina jej ojca.

— Za rozpacz — odrzekłem. — Za zapomnienie i ciemność. Za czas i przestrzeń. Za nasze więzy. Za nasze lube kajdany, za to, że istniejesz, Anno Notaras!

Na porfirowej posadzce leżały cudowne dywany we wszystkich kolorach Wschodu. Za wąskimi łukowatymi okienkami błyszczało morze Marmara. Jej brązowe oczy promieniały. Jej płeć była jak złoto i kość słoniowa. Uśmiechała się nadal.

— Mów — nakazała — powiedz cokolwiek. Mów żywo i poważnie, jak gdybyś miał mi do powiedzenia coś ważnego. Eunuch nie może cię słyszeć, ale czuje się spokojniejszy, jak żywiej mówisz.

To było trudne. Wołałem tylko patrzeć na nią.

— Twój hiacyntowy zapach — powiedziałem. — Hiacyntowy zapach twoich policzków.

— Znów zaczynasz — zachnęła się rozdrażniona.

— Tak, zaczynam na nowo — rzekłem. — Twoja suknia, mieniąca się od złotych nici, jest cudowna. Ale ty sama jesteś o wiele cudowniejsza. Ta suknia strzeże zbyt zazdrośnie twojej piękności. Czy to mnisi rysowali ten wzór? Wasza moda zmieniła się od mej młodości. We Francji piękne damy obnażają nawet piersi na podziw mężczyznom, tak jak piękna Agnes Sorel, faworyta króla Karola. A wy tu kryjecie wszystko, nawet twarz.

O, gdybyśmy tylko mogli kiedyś podróżować razem na wolnym Zachodzie — mówiłem. — Pierwszą kobietę, która nauczyła mnie tajników miłości cielesnej, spotkałem nad basenem kąpielowym w Źródle Młodości w pobliżu Renu. Stało się to tego dnia, kiedy rankiem śpiewał słowik i moja siostra Śmierć tańczyła na murze cmentarnym. Była kwitnącą kobietą, starszą ode mnie, i wcale nie kryła swej piękności. Siedziała naga na brzegu basenu pogrążona w lekturze, podczas gdy szlacheni panowie i damy igrali z sobą w wodzie i jedli przy pływających stolikach. Nazywała się pani Dorotea. Od niej dostałem list polecający do Eneasza Sylwiusza w Bazylei, jeśli wiesz, kto to taki. Wszystko to stało się po tym, jak wystąpiłem z bractwa wolnego ducha. Dotychczas uprawiałem miłość tylko w krzakach i w ciemności. Ale ta szlachetna dama zaprowadziła mnie na puchowe poduszki i zapaliła świece wokół łoża, tak żeby nie uszedł jej najmniejszy drobiazg.

Anna Notaras poczerwieniała. Wargi jej zaczęły drżeć.

— Dlaczego mówisz mi o tym? — zapytała. — To niepodobne do ciebie. Nie podejrzewałam ciebie o to.

— Dlatego, że cię pożądam — powiedziałem. — Pociąg cielesny nie jest może miłością, ale nie ma miłości bez pociągu cielesnego. Zwróć jednak uwagę, że tak nie mówiłem, kiedyśmy byli sami z sobą i byłaś w mojej mocy. Nie, nie, nie wbiłabyś mi sztyletu, gdybym cię wówczas dotknął. Nie uczyniłabyś tego. Widzę to po twoich oczach. Ale moje pożądanie jest czyste jak płomień. Sama mi podasz swój kwiat. Ja go nie uszczknę gwałtem.

Anno Notaras — ciągnąłem — Anno Notaras. O, jak ja cię kocham! Nie słuchaj mnie, bo sam nie wiem, co mówię. Jestem tylko szczęśliwy. Czynisz mnie szczęśliwym.

Bractwo wolnego ducha — mówiłem dalej. — Uznają oni tylko cztery ewangelie. Odmawiają chrztu. Wszelka własność jest wspólna. Znajdują się pośród biednych i pośród bogatych, także tam, gdzie nie można się ich spodziewać. Poznają się nawzajem po tajemnych znakach. Są we wszystkich krajach pod różnymi imionami. Także wśród derwiszów. Im to zawdzięczam życie. Dlatego wziąłem udział w wojnie we Francji, gdyż wielu z nich przyłączyło się do Dziewicy. Ale gdy skończyłem dwadzieścia cztery lata, odszedłem od nich. Ich fanatyzm i nienawiść były gorsze niż wszelka inna nienawiść. Odtąd chodziłem wieloma drogami.

— A potem odszedłeś od wszystkiego, żeby się ożenić — rzekła uszczypliwie. — To już wiem. Opowiedz także o swoim małżeństwie i jaki byłeś szczęśliwy. Może

jeszcze szczęśliwszy niż w basenie kąpielowym z nagą kobietą, co? Opowiadaj! Nie wstydz się.

Przypomniała mi się upalna Florencja, żółte wody rzeki i spalone na brąz wzgórze. Moja radość zgasła.

— Opowiadałem ci już przecież o Florencji i Ferrarze — odrzekłem. — O tym, jak najbardziej uczeni mężowie naszych czasów spierali się o parę liter przez całe dwa lata.

— Czemu się wykręcasz, Johannesie Angelosie — przerwała mi. — Czy tak cię jeszcze boli myśl o twoim małżeństwie? Jakąż rozkoszą jest sprawiać ci ból, tak jak ty mi sprawiałeś ból.

— Dlaczego musimy zawsze mówić tylko o mnie? — odparłem niechętnie. — Dlaczego nie możemy mówić o tobie?

Podniosła głowę, jej brązowe oczy zabłysły.

— Jestem Anna Notaras — rzekła. — To wystarczy. Nic innego nie można o mnie powiedzieć.

Miała słuszość. Żyła swoim życiem pod ochroną murów pałacu i ogrodów nad Bosforem. Noszono ją w lektyce, by brud ulicy nie splamił jej trzewików. Uczyli ją starzy filozofowie. Z roztargnieniem przerzucała karty starych foliantów, oglądając ich płomienne malunki w kolorze złota, błękitu i cynobru. Jest Anną Notaras. Została wychowana na małżonkę cesarza. Nie można o niej nic innego powiedzieć.

— Nazywała się pani Ghita — zacząłem. — Mieszkała przy uliczce, która prowadziła do klasztoru franciszkanów. W szarej ścianie jej domu było jedno tylko zakratowane okno i okute żelazem drzwi. Za zakratowanym okienkiem mieszkała w izbie skromnej jak cela mniszki. Przez cały dzień odmawiała głośno modlitwy. Śpiewała psalmy i krzykliwym głosem obrzucała przez okno obelgami przechodniów. Twarz miała przerażającą. Przeszła jakąś chorobę, która czyniła jej twarz dziobatą i martwą. Była jak brzydka maska. Tylko jej oczy miały życie.

Dla spędzenia czasu chodziła często na zakupy do miasta, zabierając wtedy z sobą czarną niewolnicę, która niosła jej koszyk — ciągnąłem. — Przywdziewała zawsze płaszcz uszyty z kolorowych szmatek, a jej nakrycie głowy i płaszcz były tak obwieszane małymi podobiznami świętych i świętymi medalikami, że już na odległość rozlegało się wokół niej pobrzękiwanie. Idąc uśmiechała się i mruczała coś pod nosem do siebie. A gdy ktoś stanął i patrzył na nią, wpadała w furię i obsypywała go okropnymi obelgami. Nazywała siebie błaznem bożym. Franciszkanie ochraniaли ją,

gdyż była bogatą kobietą. Krewni pozwalali jej żyć, jak chciała, ponieważ była wdową i jej majątek był bezpiecznie ulokowany w prowadzonym przez nich handlu wełną i przedsiębiorstwach bankowych. Wszyscy we Florencji znali ją, z wyjątkiem mnie, który byłem obcym.

Nie, nie wiedziałem o niej nic, gdy się poznaliśmy — zapewniłem. — Zobaczyła mnie pewnego dnia na Ponte Vecchio i zaczęła iść za mną. Myślałem, że jest szalona. Chciała mi wmusić prezent, małą statuetkę z kości słoniowej, którą podziwiałem na jednym ze straganów. Nie, nie potrafisz tego zrozumieć. Jakże mógłbym ci wytłumaczyć, co zaszło między nami.

Byłem jeszcze młody. Miałem dwadzieścia pięć lat. Stałem u progu mojej męskości. Ale nie miałem już żadnych nadziei. Rozczarowany, zacząłem nienawidzić czarnych kapturów i brodatych twarzy Greków. Nienawidziłem okrągłej głowy i potężnego cielska Bessariona. Zapachu pergaminu i inkaustu. Tam gdzie mieszkałem, budziłem się co rano w smrodzie potu, brudu i odchodów. Było rozpalone upalne lato. W Ferrarze przeżyłem zarazę i miłość. Obecnie nie wierzyłem już w nic. Nienawidziłem nawet siebie samego. Niewolnictwa, kajdan, więzienia ciała. Ale czy ty możesz to zrozumieć?

Zaprosiła mnie do siebie do domu — ciągnąłem. — W jej celi mniszki była drewniana prycza, na której sypiała, woda w glinianym dzbanku i cuchnące resztki jedzenia na podłodze. Ale za celą miała wiele pięknie i wspaniale urządzonych izb i otoczony murem ogród z szemrzącą wodą, zieleniejącymi drzewami i klatkami świergocących ptaszków. Tak samo jej bełkot i chichot krył mądrość rozpaczonej kobiety, która z bólu zrobiła z siebie błązna bożego.

Jako młoda była bardzo piękną — mówiłem dalej — bogatą i szczęśliwą kobietą. Ale jej mąż i dwoje dzieci umarli w ciągu kilku dni od tej samej zarazy, która zniszczyła jej piękność. Poznała kruchość żywota ludzkiego i tę straszliwą niepewność, która czyha za wszelkim pozornym szczęściem. Jakby na urągowisko Bóg powalił ją na ziemię i wcisnął jej twarz w błoto. Przypuszczalnie przez jakiś czas była umyślowo chora, potem jednak, jak wyzdrowiała, dalej zachowywała się w taki sam sposób. Czyniła tak z rozpaczy i buntu wobec Boga i ludzi. Błęźniła modląc się. Modliła się błuźniąc. Spojrzenie jej oczu było kłujące i udręczone. Nie, nie wiem, czy rozumiesz to dobrze. Miała najwyżej trzydzieści pięć lat, ale twarz robiła z niej wysuszoną starą kobietę. Wargi miała spękane, a gdy mówiła, w krwawiących kąciakach ust zbierała się piana. Ale jej oczy!

Anna Notaras spuściła wzrok i słuchając zaciskała mocno splecione palce. Światło dzienne rozżarzało czarne i czerwone figury na dywanach. Eunuch w kącie wyciągał ku nam pomarszczoną i poszarzałą twarz, patrząc to na mnie, to na nią i mruczając usiłował odczytać słowa z moich warg. Mówiłem dalej:

— Dała mi jeść i pić, oczyma chłoneła moją twarz. Gdy ją odwiedziłem kilka razy i porozmawiałem z nią, zrodziło się we mnie niewypowiedziane współczucie. Współczucie nie jest miłością, Anno Notaras. Ale czasem miłość może być współczuciem, gdy człowiek swoją bliskością zmiłuje się nad innym człowiekiem. Pamiętam też, że jeszcze nie wiedziałem, iż jest bogata. Domyślałem się tylko, że musi być dosyć zamożna, gdyż franciszkanie chronili ją. Chciała mi dać nową odzież. Kazała ją posłać tam, gdzie mieszkalem, a wraz z nią kieszkę pełną srebrnych monet. Ale ja nie chciałem przyjmować jej darów. Nawet żeby sprawić jej radość.

Potem pewnego dnia pokazała mi swój portret z młodości. Zobaczyłem, jaka kiedyś była, i zrozumiałem ją wreszcie. Bóg rozbił jej szczęście doszczętnie, a potem zamknął ją w piekle własnego jej ciała. A kiedy spotkała mnie na moście, ślepo się we mnie zakochała i zaczęła mnie pożądać, choć nie ważyła się od razu przyznać do tego nawet przed sobą.

Tak, tak, więc dobrze już, dobrze! — wykrzyknąłem i fala gorącego wstydu uderzyła mi do głowy. — Spałem z nią, zlitowałem się nad nią moim ciałem, dlatego że sam nie przywiązywałem do niego żadnej wagi. Dzieliłem z nią jej piekło i sądziłem, że wyświadczam dobro. Trzy noce byłem u niej. A potem sprzedałem wszystko, co miałem, strój pisarza, nawet mojego Homera, rozdałem pieniądze między ubogich i uciekłem z Florencji.

Dopóki wyrok boski nie dosięgnął mnie tej samej jesieni na górskiej drodze do Asyżu — zakończyłem. — Pani Ghita udała się w moje ślady w lektyce. Miała z sobą ojca franciszkanina i biegłego prawnika. Byłem zarośnięty, brudny i rozczochrany. Kazała mnie umyć i ogolić i odziała w nowe szaty. Zostaliśmy poślubieni w Asyżu. Zaszła ode mnie w ciążę. Uważała to za cud boży. I dopiero wtedy dowiedziałem się, kim była i jaką pętlę Bóg zarzucił na moją szyję. Jeszcze nigdy w życiu nie czułem się taki ogłuszony.

Musiałem podnieść się. Wyjrzałem przez zielonkawe okna na groźne blanki muru od strony morza i na błyszczące morze Marmara poza nimi.

— Ostrzeżono mnie, bym nie wchodził w żadne związki z tym domem — powiedziałem. — Może zamkną mnie za tę wizytę w marmurowej wieży. Może nie

uratuje mnie nawet zaciąg u Giustinianiego. Ale i tak masz mnie już w swojej mocy. Gdyż o tej części mego życia nikt nic nie wie. Gdyż ożeniłem się z nią, stałem się jednym z najbogatszych ludzi we Florencji. Samo nazwisko sprawiało, że każdy wekslarz, od Antwerpii do Kairu, od Damaszku do Toledo, kłaniał mi się w pas.

Nie chciałem nigdy wiedzieć, ile musiała zapłacić mnichom i samemu papieżowi za ochronę siebie i majątku przed swymi krewniakami i za uzyskanie prawomocności naszego małżeństwa. Gdyż ja sam nie miałem przecież nawet nazwiska. Dokumenty, które dotyczyły mego ojca i mego pochodzenia, znajdowały się u złotnika Gerolamo w Awinionie. On zaś przeczył, by kiedykolwiek je otrzymał. Ale jurysta załatwił wszystko. Otrzymałem nowe nazwisko. Jean Ange popadł w zapomnienie. Zrazu osiedliliśmy się w jej dworku w Fiesole, dopóki nie urodził się nasz syn. Kiedy zapaściłem brodę i kazałem utrefić włosy, kiedy odziałem się jak szlachcic i zacząłem nosić u boku miecz, nikt już nie mógł we mnie poznać ubożego francuskiego pisarza z synodu kościelnego. Przez cztery lata wytrzymałem. Miałem wszystko, czego serce mogło zapragnąć. Sokoły do polowania, wierzchowce, książki. Wesole towarzystwo i uczone rozmowy. Nawet Medyceusze tolerowali mnie. Ale nie ze względu na mnie samego. Ja byłem tylko ojcem mego synem. Mój syn był jednym z Bardich.

A pani Ghita uspokoiła się, zmieniła się całkowicie po urodzeniu syna. Stała się pobożną kobietą. Nie bluźniła już więcej Bogu. Ufundowała kościół. Przypuszczalnie kochała mnie. Ale najbardziej kochała naszego syna.

Cztery lata wytrzymałem. Potem wziąłem krzyż, by pójść za kardynałem Cesarinim na Węgry. Zostawiłem dla mojej żony list i uciekłem potajemnie. Często uciekałem potajemnie, Anno Notaras. Moja żona i syn myślą, że poległem pod Warną.

Ale nie opowiedziałem jej wszystkiego. Nie opowiedziałem, że przed podróżą na Węgry udałem się do Awinionu, złapałem złotnika Gerolamo za brodę i przyłożyłem mu nóż do gardła. Nie opowiedziałem o tym i nie miałem nigdy zamiaru opowiedzieć. Jest to tajemnica tylko między Bogiem i mną, gdyż Gerolamo nie umiał czytać po grecku i nie odważył się pokazać dokumentów nikomu, kto znał ten język.

Cóż pozostało jeszcze do opowiedzenia:

— Moje małżeństwo było zrządzeniem boskim — rzekłem. — Musiałem poznać największe ziemskie bogactwa w całym ich blasku, żeby móc z nich zrezygnować. Złote kraty jeszcze trudniej skurszyć niż więzienne kraty książek, rozumu i filozofii. Jako dziecko zamknięto mnie w ciemnej wieży w Awinionie. Od tej pory życie moje

było uciekaniem z jednego więzienia do drugiego. Ale teraz pozostaje mi tylko jedno. Więzienie mojego ciała. Więzienie mojej wiedzy, mojej woli, mojego serca. Wiem jednak, że niebawem także z niego zostanę uwolniony. To już niedługo nastąpi.

Anna Notaras potrząsnęła lekko głową.

— Dziwny z siebie człowiek — powiedziała. — Nie rozumiem ciebie. Wzbudzasz we mnie lęk.

— Lęk jest tylko pokusą — odparłem. — Także od lęku człowiek może się wyzwolić. Podziękować za wszystko, pożegnać się i odejść. W przekonaniu, że nie ma nic innego do stracenia prócz swoich kajdan. Cóż jednak posiada niewolnik?

— A ja? — zapytała cicho. — Dlaczego przyszedłeś do mnie?

— Wybór należy do ciebie — odrzekłem — nie do mnie. Takie to proste.

Zacisnęła mocno skrzyżowane dłonie i potrząsnęła gwałtownie głową.

— Nie, nie — zaprzeczyła. — Nie możesz myśleć tego, co mówisz.

Wzruszyłem ramionami.

— Jak sądzisz, dlaczego opowiedziałem ci tyle o sobie? — rzekłem. — Dla zabicia czasu czy żeby stać się interesującym w twoich oczach? Sądziłem, że znasz mnie lepiej. Nie, chciałem ci wykazać, że nie ma żadnego znaczenia to, w co wierzysz ani w czym cię wychowano. Bogactwo i ubóstwo, władza i strach, honor i hańba, wiedza i głupota, brzydota i piękność, dobro i zło — nic nie ma znaczenia samo przez się. Jedynie ważne jest to, co chcemy zrobić z siebie i czym chcemy być. Jedynym prawdziwym grzechem jest zdrada: znać prawdę i nie dotrzymać jej wiary. Sam pozbyłem się wszystkiego. Jestem niczym. Dla mnie jest to czymś największym, co człowiek może osiągnąć. To spokojne poczucie mojej mocy i mojego królestwa. Nic innego nie mam do zaoferowania. Wybór należy do ciebie.

Wzburzyła się. Zacisnęła poblądłe wargi. W jej brązowych oczach pojawiła się zimna nienawiść. Nawet ona nie była już piękna.

— No a ja? — zapytała jeszcze raz. — Czego właściwie chcesz ode mnie?

— Kiedy ujrzałem twoje oczy, wiedziałem, że człowiek mimo wszystko potrzebuje drugiego człowieka — odparłem. — Nie oszukuj się sama. I ty to wiesz. Coś takiego zdarza się tylko raz. Niektórym nie zdarza się to nigdy. Opowiedziałem ci o sobie, żeby wykazać, że wszystko, co do tej pory miałaś i co jak sądziłaś, posiadasz, jest tylko urojeniem i niepewnością. Niczego nie stracisz, jeśli się tego wyrzekniesz. Kiedy Turcy tu przyjdą, będziesz musiała stracić dużo. Życzę ci, żebyś już przedtem w swym sercu wyrzekła się wszystkiego, co i tak musisz stracić.

— Słowa! — wykrzyknęła i zaczęła drżeć. — Słowa, słowa, tylko słowa!

— I ja mam już dość słów — rzekłem. — Ale nie mogę wziąć cię w ramiona, kiedy twój czcigodny eunuch patrzy na nas. Sama wiesz, że zrozumiałabyś wszystko, gdybym wziął cię w ramiona. Wówczas nie potrzebowałabyś już więcej żadnych słów.

— Jesteś szalony — powiedziała cofając się. Ale nasze oczy się spotkały. Tak samo jak pod kościołem Mądrości Bożej. Nasze oczy patrzyły na siebie nagie.

— Anno, moja ukochana — zakląłem ją. — Nasz czas ucieka. Piasek przesypuje się daremnie. Kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz, znałem cię już. To musiało się stać. Może urodziliśmy się już raz przedtem na ziemi i spotkaliśmy się w poprzednim życiu. Może urodzimy się jeszcze raz, by spotkać się ponownie. Ale o tym nie wiemy nic. Tylko to jest pewne, że spotkaliśmy się teraz. Że to musiało się stać. Niemniej może to być nasza jedyna okazja. Jedyne miejsce i jedyna chwila w kosmosie, kiedy możemy się spotkać. Dlaczego więc wahasz się? Dlaczego oszukujesz siebie samą?

Podniosła dłoń, by zasłonić oczy. Wróciła do domu. Do swoich dywanów, okien, porfirowej posadzki, do swego własnego czasu. Do swego wychowania, swojej wiedzy.

— Ojciec stoi między nami — rzekła cicho.

Przegrałem. I ja wróciłem do czasu.

— Wyłynął na morze — powiedziałem. — Dlaczego?

— Dlaczego? — wzburzyła się. — I ty o to pytasz? Dlatego że ma dość beznadziejnej polityki niezdarne go cesarza. Dlatego że nie zgina grzbietu przed sułtanem tak jak Konstantyn. Prowadzi wojnę, ponieważ jest wojna. Dlaczego, pytasz. Dlatego że jest jedynym prawdziwym mężczyzną w mieście, jedynym prawdziwym Grekiem. Nie ucieka się do pomocy łacinników. Polega na sobie samym i na swoich dromonach.

Cóż mogłem jej na to odpowiedzieć? Słusznie czy niesłusznie, kochała swego ojca. Jest przecież Anną Notaras.

— Dokonałaś więc wyboru — stwierdziłem. — Opowiesz o mnie ojcu?

— Tak — odrzekła. — Opowiem o tobie ojcu.

Dobrowolnie wszedłem w pułapkę. Nie powiedziałem nic więcej. Nie chciałem nawet patrzeć na nią. Ale i to musiało się stać.

Flota powróciła wczoraj. Wszystkie pięć dromonów. Proporce powiewały. Żeglarze bili w bębny i grali na piszczałkach. Małe brązowe armatki oddawały saluty. Ludzie biegli do portu i wymachiwali białymi płachtami z murów.

Dziś sprzedawano na targu tureckich niewolników. Rybaków, długobrodych starców, chudych chłopców, płaczące kobiety, które usiłowały chować twarze w rąbkach ubogich szat. Wspaniałe doprawdy zwycięstwo odniósł nad Turkami megaduks Łukasz Notaras.

Zdążył on zaskoczyć parę wiosek na wybrzeżu azjatyckim i wziąć do niewoli mieszkańców. W innych wioskach ludność uciekła, ale on spalił ich domostwa. Pożegłował aż do Gallipoli i udało mu się zatopić turecki statek transportowy. Gdy wypłynęły na morze tureckie galery wojenne, zawrócił do domu.

Co za triumf! Jakież hołdy oddawano greckim żeglarzom! Jak lud wywoływał imię megaduksa, kiedy jechał konno do swego domu! Giustiniani i łacińscy żołnierze znaleźli się w jego cieniu. Stał się na jeden dzień bohaterem Konstantynopola.

Ale na targu nie było chętnych do kupowania tureckich niewolników. Nikt nie drwił ani nie lżył jeńców. Ciekawi rozpierzchli się szybko. Z zawstydzeniem spuszczano oczy na widok tych bezradnych, ubogich ludzi, którzy przerażeni czepiali się siebie nawzajem i dla dodania sobie otuchy mruczeli wersety Koranu.

18 lutego 1453

Z Adrianopola odpowiedziało echo. Sułtan kazał odczytać list cesarza Konstantyna na dowód greckiego fałszu i podeptał go stopami. Jego gońcy w sandałach okutych żelazem zanieśli posłanie do wszystkich tureckich miast. Derwisze i kapłani głoszą zemstę. Partia pokojowa zmuszona została do milczenia. Mehmed bierze za świadka także Zachód.

“Raz po raz Grecy łamali zaprzysiężone obietnice i porozumienia, gdy tylko mieli korzystną okazję. Oddając swój kościół we władzę papieża cesarz Konstantyn zerwał ostatnie węzły przyjaźni między Turkami i Grekami. Jego jedynym zamiarem jest podjudzić Zachód przeciwko Turkom. Fałszywymi słowami i udaną uczciwością usiłuje on wciąż jeszcze przesłonić swoje zamiary. Ale osmańskie wioski, które stoją obecnie w płomieniach nad brzegami morza Marmara, oświectliły i zdemaskowały jego

krwawe plany agresji. Żądza podbojów Bizancjum jest zagrożeniem całego naszego bytu. Podstępność i okrucieństwo Greków woła o zemstę. By położyć kres ustawicznemu zagrożeniu, by uwolnić państwo od wiecznie czyhającego greckiego niebezpieczeństwa, obowiązkiem każdego prawowiernego jest stanąć do świętej wojny. Ten, kto wciąż jeszcze bierze Greków w obronę, demaskuje się jako wróg państwa. Niech wzniesie się karzący miecz sultana do zemsty za mordowanych, dręczonych, palonych żywcem i branych w niewolę prawowiernych!"

Aby usunąć resztki wahania, sultan kazał odczytać we wszystkich meczetach w związku z piątkowymi modlitwami nazwiska Turków, których zamordowali żeglarze cesarza.

Manewry floty dały sułtanowi Mehmedowi ostateczną broń, której potrzebował, by skruszyć zaciekły opór partii pokojowej i wielkiego wezyra Halila. Ten, kto jeszcze ośmiela się przeciwstawić oblężeniu, ryzykuje własną głową. Nawet Halil, mimo że jest wielkim wezyrem i potomkiem dwóch wielkich wezyrów, nie jest bezpieczny.

21 lutego 1453

W Pantokratorze dzieją się cuda. W wilgotne poranki mgła zagęszcza się w krople wody na świętych ikonach. Mnisi mówią, że to śmiertelny pot świętych. Któraś z mniszek zakłęła się, że widziała, jak Najświętsza Dziewica w Blachernach płacze krwawymi łzami. Ludzie jej wierzą, mimo że cesarz kazał kardynałowi Izydorowi i nieprawemu patriarsze Gregoriosowi, wspólnie z uczonymi filozofami, zbadać obraz, i ci nie znaleźli na nim żadnych śladów krwi. Lud nie wierzy odstępcom. Jego nieuczone, fanatyczne trzymanie się pierwotnego wyznania wiary jest silniejsze niż kiedykolwiek.

Młodzi mnisi, rzemieślnicy, mieszczenie i kupcy, którzy nie umieli odróżnić jednego końca miecza od drugiego, ćwiczą się teraz karnie w używaniu broni w grupach po dziesięciu i stu ludzi pod kierownictwem wypróbowanych wojaków Giustinianiego. Chcą walczyć o swoją wiarę. Płoną zapałem, by okazać się równymi łacinnikom, gdy przyjdzie do walki. Zamierzają utrzymać miasto.

Być może uczą się oni napinać łuki, ale ich strzały fruwały jak popadnie. Z zapałem biegną, by wbić oszczepy w zawieszony worki z sianem. Ale brak doświadczenia czyni ich niezdarnymi. Paru z nich zacięło się w nogę, potykając się o

własne płaszcze. Jest jednak wśród nich kilku silnych mężczyzn. Najlepiej nadawać się będą do rzucania kamieni z murów, gdy Turcy pójną do szturmu.

Ochotnicy i ci, których cesarz wezwał pod broń, nie mogą wszyscy otrzymać hełmów ani nawet skórzanych zbroi. A ci, którzy dostali hełmy, zdejmują je przy pierwszej okazji z głów i narzekają, że gniotą ich i uwierają w czoła. Rzemienie pancerzy wpijają im się w ciało. W nagolenicach w ogóle nie potrafią się poruszać.

Nie ganię ich. Robią, co mogą. Zostali wychowani do innych zawodów, w ufności do swoich murów bronionych przez cesarskich najemników. W otwartym polu jeden janczar w okamgnieniu poradziłby sobie z dziesięcioma takimi ochotnikami.

Widziałem to po ich delikatnych białych dłoniach, które tak cudownie umieją rzeźbić kość słoniową. Widziałem oczy, które wyostrzyła praca nad wycinaniem obrazów świętych w karneolu. Mężów, którzy umieją czytać i pisać, mężów, którzy cieniutkimi pędzelkami malują promienne inicjały w cynobrze i złocie w liturgicznych manuskryptach.

To oni mają teraz uczyć się kłuć i rąbać mieczem w nie osłonięte pachwiny, kierować oszczep w twarz człowieka, wystrzeliwać strzałę w oko, które widzi niebo i ziemię.

Zwariowany świat. Zwariowane czasy.

Z arsenału zabrano na mury nowo odlane małe hakownice, a także grube, kute żelazne działa, ponieważ cesarz nie ma środków na odlewanie ich z brązu. Niedoświadczeni rekruci boją się armat bardziej niż Turków. Rzucają się na ziemię i zatykają dłońmi uszy, gdy pada strzał. Narzekają, że łoskot ich ogłusza, a ogień z wylotów luf oślepia. Na domiar nieszczęścia zaraz pierwszego dnia pękło małe żelazne działko i poszarpało na sztuki dwóch ludzi.

24 lutego 1453

Giustiniani ma gotowy plan obrony. Łacinników dzieli on według obywatelstwa i przydziela na najbardziej wystawione na zagrożenie odcinki murów i do bram. Wenecjanie i Genuńczycy będą ze sobą współzawodniczyć o sławę. Nawet z Pery przybyło kilku młodzików, którzy zaciągnęli się do oddziałów Giustinianiego. Ich

sumienie nie mogło znieść hańby bezczynności w wojnie, która w ostatecznym rozrachunku rozstrzygnie o losach Zachodu.

Giustiniani polega jedynie na łacinnikach i na cesarskich puszkarzach i technikach. Inni Grecy stanowią tylko uzupełnienie na murach. Ale są oni niezbędni. Sam mur lądowy, który jest największy, mierzy przecież dziesięć tysięcy kroków i ma sto wież. Mur morski i mur portowy w potężnym trójkącie obronnym są równie długie, ale chyba nie będą tak zagrożone. Port chroniony jest przez zachodnie okręty wojenne, które zdecydowanie górują nad okrętami tureckimi. Murowi od strony morza Turcy nie mogą chyba poważnie zagrozić. Ogień grecki może podpalić ich lekkie okręty na odległość strzału z łuku. Cesarscy technicy mają do tego specjalne pociski, podobne do małych latających armatek. Ale strzegą oni zazdrośnie swoich tajemnic wojennych i nie wydają ich łacinnikom.

W każdym razie Giustiniani liczy się z tym, że właściwy bój będzie się toczył wzdłuż muru lądowego. Pośrodku niego w dolinie Lykos jest brama św. Romana. Jej obronę zastrzegł dla siebie i swoich zakutych w żelazo Genuńczyków. Stąd może też najszybciej słać posiłki do zagrożonych punktów na murze. Ale ostateczny podział sił obronnych zależeć będzie od kroków przedsięwziętych przez sułtana.

Najgorszy pośpiech już za nami. Mury wzmacnia się wciąż, wszystko jednak idzie planowo i każdy zna swoje zadanie na cały dzień. Tak samo przebiegają ćwiczenia z bronią. Ale ogromny obszar miasta sprawia, że wydłużają się przerwy na posiłki. Ochotnicy jedzą w swoich domach.

Giustiniani przestał nosić skórzane pludry, kazał sobie utrefnić włosy w kunsztowne fale na sposób grecki, ufarbował brodę na czerwono i splata ją w warkocze złotą nitką. Nie maluje jednak kącików oczu na niebiesko i ust na czerwono jak młodzi greccy oficerowie z gwardii przybocznej cesarza. Ale obnosi się z wieloma różnymi złotymi łańcuchami na szyi i zaczął czuć się dobrze w greckim towarzystwie. Szlachetne damy z Blachern okazują mu pochlebny uwagę. Jest przecież silnym i roslą mężczyzną, o głowę wyższym niż większość Greków. Poleruje swój pancerz do połysku. Na wieczór zmienia łańcuch protostratora, który dał mu cesarz, na ametystowy naszyjnik, w nadziei, że ametysty uchronią go przed upiciem się.

Cesarz potwierdził złotą bullą obietnicę o oddaniu mu Lemnos jako lennego księstwa, jeśli uda mu się odeprzeć Turków. Sam sygnet jest wart wiele bazantów, a cesarz własnoręcznie nakreślił swój potrójny krzyż na dokumencie.

Megaduks Łukasz Notaras po wyprawie przebywa zamknięty w domu. Za radą Giustinianiego cesarz zakazał mu stanowczo wyruszać dalej na morze z dromonami. On ze swej strony równie stanowczo utrzymuje, że działa słusznie, i obwinia cesarza o tchórzostwo i płaszczenie się przed łacinnikami.

Dał do zrozumienia, że oczekuje Giustinianiego na naradzie na temat obrony miasta i podziału załogi. Jako megaduks i dowódca floty cesarskiej uważa siebie za co najmniej równego stopniem Giustinianiemu, mimo jego rangi protostratora. Przede wszystkim jest naturalnie ciekaw, jakie miejsce Giustiniani przydzielił mu w planie obrony. I nie można go pominąć. Jest na to osobistością zbyt wysoko postawioną i wpływową. Ale łacińscy kapitanowie mają mimo wszystko pełną władzę nad swoimi okrętami i przyjmują rozkazy wprost od cesarza. W rzeczy samej ma zatem Notaras pod swoim dowództwem tylko te pięć zmurszałych i powolnych dromonów. Nawet one tytułarnie są cesarskie, jakkolwiek to megaduks kazał je naprawić i wyposażyć własnym kosztem.

Mimo popularności, jaką osiągnął, jest on w tych dniach bardzo samotnym człowiekiem, ten Łukasz Notaras. Przynajmniej patrząc na sprawy z Blachern.

Giustiniani daje mu czekać. Jest rycerzem szczęścia, który został wyniesiony na protostratora, i przez to jeszcze bardziej świadomy swej rangi niż dziedziczny wielki książę. Ma więc taka straszliwie dziecinna rywalizacja panować także między tymi mężami? W gruncie rzeczy miasto jest całkowicie we władaniu łacinników i Grecy nie mają już nad nim żadnej władzy, choć cesarz zdaje się tego nie rozumieć. Port opanowany jest przez okręty łacińskie. Zakute w żelazo oddziały Giustinianiego i Wenecjan władają miastem i kluczowymi pozycjami na murach.

Czy jest możliwe, że Giustiniani potajemnie knuje wielkie plany polityczne? Nawiązał stosunki, także poprzez kobiety, z najbardziej wpływowymi prołacińskimi Grekami. Jeśli oblężenie Turkom się nie uda i sułtan Mehmed poniesie porażkę, jeżeli floty papieska i wenecka z łacińskimi oddziałami pomocniczymi zdążą na czas, Konstantynopol stanie się chyba niczym innym, jak tylko łacińskim punktem oparcia dla zdobycia handlu na Morzu Czarnym i podbicia rozszczępionego państwa tureckiego. Unię już ogłoszono. Czyżby cesarstwo jeszcze raz miało stać się łacińskie, mimo że greckiemu marionetkowemu cesarzowi pozwolono by zasiadać dalej na tronie?

Czyż zwycięzca pokornie zadowolił się tym, że zostanie wasalem na Lemnos?

Moja grecka krew nie wierzy już, że coś jest takie, jak się wydaje. Noszę wątpliwości we krwi nawykłej od tysiąca lat do intryg politycznych. Z dnia na dzień opada ze mnie w strzępach moja łacińskość. Jestem synem mego ojca. Krew wraca do domu.

25 lutego 1453

Wygląda na to, że strach opanował miasto. Ludzie stali się małomówni i zezują podejrzliwie na siebie nawzajem. W kościołach mnóstwo modlących się. Bogacze pakują mienie do skrzyń, zakopują cenneści do ziemi, chowają skarby w studniach i zamurują sklepienia piwniczne. Niejeden archont chodzi z dłońmi popuchniętymi od pracy, do której nie przywykł, ma w spojrzeniu błysk świadomości winy, a na rękawach wiele mówiące plamy od murarskiej zaprawy.

— Coś się dzieje — powiedział dziś mój sługa Manuel. — Widać to, słysząc to, czuć to węchem. Ale co to jest, nie wiem. Powiedz, panie.

Także i ja czuję coś obcego w powietrzu. W porcie panuje niepokój. Łodzie płyną od okrętu do okrętu. Wenecka Rada Dwunastu odbywa posiedzenia za zamkniętymi drzwiami.

26 lutego 1453

Zdażyłem już rozebrać się, kiedy mój sługa Manuel oznajmił mi, że młody grecki chłopak pyta o mnie. Nie chciało mi się wstać z łóżka. Byłem męczony.

Chłopak wszedł nie zginając się w ukłonie i rozejrzał się ciekawie wokół, marszcząc nos od zapachu skóry, papieru, laku i środków do czyszczenia metalu. Poznałem go. Widziałem go na koniu w Hipodromie. Był to najmłodszy z braci Anny Notaras.

Ogarnął mnie chłód. Gwałtowny wiatr na dworze trząsał okiennicami.

— Na dworze jest ciemno — odezwał się chłopak. — Niebo jest pochmurne. Z trudem widzi się własną rękę. — Ma siedemnaście lat, jest pięknym młodzieńcem, świadomym swej urody i znakomitego pochodzenia, ale w ujmujący sposób. Był bardzo ciekawy mojej osoby.

— Uciekłeś wszak od Turków — ciągnął. — Wiele się mówi o tobie w mieście. Także i mnie pokazywano cię raz, kiedy przejeżdżałeś konno. Ojciec mój chciałby się z tobą zobaczyć, jeśli nie byłoby to dla ciebie zbyt uciążliwe.

Odwrócił wzrok:

— Jak powiedziałem, noc jest ciemna. Nikt nie może zobaczyć własnej ręki.

— Niechętnie wychodzę w ciemności — odparłem. — Ale naturalnie nie mogę nie usłuchać rozkazu twego ojca.

— To wcale nie jest rozkaz — odrzekł. — Jakżeż mógłby mój ojciec ci rozkazywać? Przecież zaciągnąłeś się do Giustinianiego. Ojciec mój nie chce spotkać się z tobą jako żołnierz. Będiesz jego gościem. Może jego przyjacielem. Możesz mieć dla niego cenne informacje. Zastanawia się, dlaczego go unikasz, i jest ciebie ciekaw. Ale naturalnie nie chce ci sprawiać żadnych przykrości, jeśli uważasz, że najlepiej będzie nie przyjść.

Mówił żywo i wesoło, by ukryć, jak był zakłopotany zadaniem, które otrzymał. Był otwartym i pociągającym młodzieńcem. I on też nie wychodził chętnie w ciemności. Dlaczego ojciec jego uważał to proste zaproszenie za tak tajne, że nie ufał nawet sługom, lecz posłał po mnie właśnie syna?

Jagnię ofiarne — pomyślałem. — Dobrze wyrosnięty koziołek na ołtarzu żądzy władzy. A więc w razie potrzeby gotów jest poświęcić nawet własnego syna.

Był bratem Anny Notaras. Uśmiechnąłem się do niego życzliwie i lekko musnąłem dłonią jego ramię, gdy już się odziałem. Wzdrygnął się i zaczerwienił, ale uśmiechnął się w odpowiedzi. Nie wziął mnie więc za mężczyznę niskiego rodu.

Północny wiatr dął w nocy, odbierał nam dech i przyciskał odzież mocno do ciała. Było ciemno choć oko wykol. Między mknącymi po niebie chmurami przebłyskiwało od czasu do czasu czarne niebo usypane gwiazdami. Żółty pies szedł za mną, mimo że nakazałem mu zostać w domu. Ale wymknął się za mną w ciemność. Wziąłem od Manuela latarnię i podałem ją chłopcu. Trudno mu było to przelknąć, ale mimo to oświetlał nam drogę nie szmerząc. Za kogo mnie brał? Przez całą drogę towarzyszył nam pies, jak gdyby po to, by czuwać nade mną nawet wbrew mojej woli.

W pałacu Notarasa było ciemno. Weszliśmy przez tylne drzwi w rogu koło muru od strony morza. Nikogo nie było widać. A jednak noc była jakby pełna ukrytych spojrzeń. Szumiący, jęczący wiatr mówił do mnie, ale jego słów nie mogłem rozróżnić. Szumiało mi też w głowie. Tak jakby ten gwałtowny wiatr mnie oszołomił.

W korytarzach było śmiertelnie cicho. Ciepłe powietrze owiewało nas. Weszliśmy na schody. W izbie, do której mnie zaprowadzono, znajdował się pulpit do pisania, pióra, papier i duże, pięknie oprawne księgi. Przed ikoną z Trzema Królami płonęła lampa z pachnącą oliwą.

Jego głowa była pochylona jakby od ciężkiej troski. Nie uśmiechał się. Przyjął moje pozdrowienia jako oczywiście mu należny dowód czci. Do syna powiedział tylko:

— Nie potrzebuję już ciebie. — Młodzieniec poczuł się urażony, ale starał się tego nie okazywać. Był bardzo ciekawy, co mieliśmy sobie nawzajem do powiedzenia. Skłonił ujmująco piękną głowę, życzył mi dobrej nocy i opuścił komnatę.

Gdy tylko chłopak poszedł, Łukasz Notaras ożywił się, przyjrzał mi się badawczo i rzekł:

— Wiem wszystko o tobie, panie Johannesie Angelosie. Dlatego też zamierzam mówić otwarcie.

Zdałem sobie sprawę, że wie o moim greckim pochodzeniu. Nie było to samo w sobie zaskakujące. Mimo to dotknęło mnie mocno.

— Chcesz mówić otwarcie — odparłem. — Tak mówi tylko ten, kto zamierza ukryć swoje myśli. Czy odważysz się być otwartym choćby tylko przed samym sobą?

— Byłeś doradcą sultana Mehmeda — powiedział. — Uciekłeś z jego obozu w jesieni. Człowiek, który osiągnął takie stanowisko, nie robi tego bez jakiegoś zamiaru.

— To o twoje zamiary teraz chodzi, megaduksie — odrzekłem.

— Nie o moje. Nie wezwałbyś mnie tutaj potajemnie, gdybyś nie sądził, że mogę być użyteczny dla twoich zamiarów.

Zrobił niecierpliwy ruch ręką. I on nosił sygnet duży jak dłoń dziecka. Rękawy zielonego wierzchniego płaszcza sięgały mu do łokci. Rękawy płaszcza pod spodem były z haftowanego złotem purpurowego jedwabiu, jak u cesarza.

— Ty sam od początku szukałeś kontaktu ze mną — mówił.

— Byłeś bardzo ostrożny. To rzecz zrozumiała i słuszna. Zarówno z twego własnego, jak i z mojego punktu widzenia. Bardzo sprytne było z twojej strony, że jakby przypadkiem zawarłeś znajomość z moją córką. Potem odprowadziłeś ją do domu jeszcze raz, kiedy zgubiła swoją towarzyszkę. Gdy byłem na morzu, odważyłeś się przyjść tutaj w biały dzień. Chciałeś przecież tylko spotkać się z moją córką. To było bardzo chytre.

— Przyrzekła opowiedzieć ci o mnie — przyznałem.

— Moja córka jest w tobie zakochana — uśmiechnął się. — Nie wie, kim jesteś, i nie domyśla się twoich zamiarów. Jest wrażliwa i dumna. Nie wie nic. Rozumiesz.

— Jest bardzo piękna — rzekłem.

Megaduks zbył ruchem ręki moje słowa.

— Stoisz chyba ponad tego rodzaju pokusami. Moja córka nie jest dla ciebie.

— Nie bądź tego taki pewny, megaduksie — odparłem.

Po raz pierwszy pozwolił sobie na to, by udać zdziwienie.

— Czas pokaże, jak się to wszystko skończy — rzekł. — Twoja gra jest zbyt trudna i niebezpieczna na to, by mieszać do niej kobietę. Może tylko dla pozorów. Inaczej nie. Chodzisz po ostrzach mieczy, Johannesie Angelosie. Nie możesz sobie pozwolić na zachwianie się.

— Dużo wiesz, megaduksie — oświadczyłem. — Ale mnie nie znasz.

— Dużo wiem — przyznał. — Więcej, niż sądzisz. Nawet namiot sułtana nie jest bezpiecznym miejscem do rozmów. Nawet tam są uszy. Wiem, że nie rozstałeś się z sułtanem w gniewie. Wiem, że dał ci wielki dar w szlachetnych kamieniach. Niestety, wie o tym także bazyleus i jego strażnik pieczęci, Frances. Dlatego każdy twój krok, odkąd przybyłeś do Konstantynopola, jest nadzorowany. Nie chcę wiedzieć, ile musiałeś zapłacić, żeby wpisano cię na listę zaciągów Giustinianiego. Wszystkich łacinników można kupić. Ale nawet Gius-tiniani nie może cię ochronić, jeśli popełnisz najmniejszy błąd.

Rozłożył znowu rękę.

— To śmieszne — powiedział. — Tylko autorytet sułtana Mehmeda chroni cię. Tu w Konstantynopolu. Tak nisko upadł ostatnio Rzym. Nie ważą się podnieść ręki na ciebie, bo nie dowiedzieli się, jakie są twoje zamiary.

— Masz słuszość — odparłem. — To doprawdy śmieszne. Nawet po tym, jak uciekłem od sułtana i zdradziłem go, chroni mnie jeszcze jego moc. Odczuwam to w każdej chwili. Żyjemy w zwariowanym świecie.

Uśmiechnął się wąskimi wargami.

— Nie jestem tak szalony, bym sobie wyobrażał, że odważysz się odsłonić swoje zamiary nawet przede mną. Jestem przecież Grekiem. I nie jest to też konieczne. Mój własny rozum mówi mi, że po zdobyciu miasta w każdym razie osiągniesz jeszcze wyższe stanowisko w służbie u sułtana niż poprzednio. Jeśli nie otwarcie, to potajemnie. Dlatego porozumienie, więcej — nawet współpraca między nami, w pewnych granicach, mogłaby być z pożytkiem dla nas obu.

Przyglądał mi się pytająco.

— To ty tak mówisz — odrzekłem ostrożnie.

— Istnieją tylko dwie możliwości — ciągnął. — Albo oblężenie się uda i sułtan zdobędzie Konstantynopol szturmem. Albo też nie uda się i wtedy staniemy się lennem łacińskim na zawsze.

Wstał i podniósł głos prostując grzbiet:

— Raz już przeżyliśmy panowanie łacinników. Trwało ono przez jedno pokolenie i Konstantynopol nawet po trzystu latach nie mógł się potem podnieść. Łacinnicy to rabusie, bardziej bezwzględni niż Turcy, i sfalszowali prawdziwą wiarę. Turcy pozwolą nam przynajmniej zachować naszą wiarę i nasze odziedziczone obyczaje. Dlatego sama Panaghia stoi tym razem po stronie Turków, choć płacze krwawymi łzami nad naszą słabością.

— Nie do tłumy przemawiasz, megaduksie — przypomniałem.

Odpowiedział na to z naciskiem:

— Nie zrozum mnie źle. Przede wszystkim nie zrozum mnie źle. Jestem Grekiem. Będę bić się o moje miasto, dopóki będzie jakaś nadzieja na jego niezawisłość. Ale nigdy nie pozwolę popaść Konstantynopolowi we władzę łacinników. Nie oznaczałoby to niczego innego, jak tylko mordercze boje, dziesięciolecie po dziesięcioleciu, w których stalibyśmy się przedmurzem Europy z pożytkiem dla łacinników, i przez to wyczerpałyby się nasze ostatnie siły. Jesteśmy znużeni Europą, mamy dość łacinników. W porównaniu z łacińskimi barbarzyńcami nawet Turcy są narodem kulturalnym dzięki swemu dziedzictwu arabskiemu i perskiemu. Potęga sułtana doprowadzi Konstantynopol do nowego rozkwitu. Na granicy między Wschodem i Zachodem Konstantynopol jeszcze raz panować będzie nad światem. Sułtan nie żąda, żebyśmy wyrzekli się naszej wiary, tylko żebyśmy żyli w przyjaźni i pojednaniu z Turkami. Dlaczego nie mielibyśmy wespół z nimi podbić świata i natchnąć ich żywotności naszą prastarą grecką kulturą? Niech więc zrodzi się trzeci Rzym. Rzym sułtanów, gdzie Grecy i Turcy będą sobie braćmi i szanować będą wzajemnie swoją wiarę.

— Twoje marzenie jest wzniosłe — rzekłem. — Nie chcę bynajmniej oblewać zimą wodą żaru twego serca, ale marzenia są tylko marzeniami. Trzymajmy się rzeczywistości. Nie znasz Mehmeda. Ale pragniesz, żeby twoje miasto zostało zdobyte i popadło w jego moc.

— Nie pragnę tego — odparł — wiem, że Konstantynopol padnie. Nie na darmo jestem strategiem.

Żywy pies jest lepszy niż nieżywy lew — ciągnął. — Cesarz Konstantyn wybrał sobie własny los, gdyż inaczej nie potrafi działać. Bez wątpienia będzie szukał śmierci na murach, gdy zobaczy, że wszystko stracone. Ale w jaki sposób nieżywy patriota może przynieść korzyść swojemu ludowi? Jeśli jest moim przeznaczeniem polec, polegnę na murach Konstantynopola. Lecz wolę zachować życie, by móc działać dla dobra mego ludu. Czas Paleologów przeminął. Sułtan będzie jedynym cesarzem. Ale by rządzić Grekami i prowadzić sprawy greckie, potrzebuje on greckich mężów. Będzie to nieuniknione po zdobyciu miasta. Wtedy musi obsadzić także i najwyższe godności ludźmi obeznanymi ze sposobem rządzenia i pracą rządową. I dlatego Konstantynopol potrzebuje patriotów, którzy kochają swój lud, którzy kochają spadek po dawnej Grecji bardziej niż własny zawód. I jeśli mogę służyć mojemu narodowi jak pies, nie potrzebuję śmierci lwa. Muszę tylko umieć przekonać sułtana o mojej dobrej woli. Gdy na murach rozlegnie się wołanie: "Miasto jest stracone!", wtedy przyjdzie moja chwila: ujmę los mego ludu w swoje ręce i poprowadzę go we właściwym kierunku. — Umilkł i patrzył na mnie z nadzieją.

— Twoja mowa była długa, piękna, przekonywająca i przynosi ci wielką chwałę — odrzekłem. — Wprawdzie spadek po dawnej Grecji obejmuje także Leonidasa i Termopile, ale ja rozumiem, o co ci chodzi. Chcesz przekonać sułtana o twojej dobrej woli. Ale czyż nie dałeś mu jeszcze tego dostatecznie jasno do zrozumienia?

Stanąłeś na czele przeciwników unii — ciągnąłem. — Podsycaliś nienawiść do łacinników i inne spory w mieście i przez to osłabiłeś jego obronę. Wypłynąłeś na morze, by przez bezmyślną wyprawę łupieżczą dokonać prowokacji, której sułtan tak bardzo potrzebował. Dobrze. Dlaczego więc nie napiszesz wprost do sułtana i nie zaofiarujesz mu swoich usług?

Odpowiedział:

— Wiesz dobrze, że mąż na moim stanowisku nie może tak postąpić. Jestem Grekiem. Muszę bić się o moje miasto, nawet jeśli wiem, że walka ta będzie daremna. Ale zachowuję sobie prawo, by działać stosownie do okoliczności dla dobra mojego narodu. Dlaczego lud mój ma umrzeć albo popaść w niewolę, jeśli mogę temu zapobiec?

— Nie znasz Mehmeda — powtórzyłem.

Moje nieprzejednanie zdawało się go kłopotać.

— Nie jestem zdrajcą — powiedział. — Jestem tylko politykiem. Ty i sultan musicie to zrozumieć. Wobec mojego ludu, mego sumienia i trybunału boskiego odpowiadam za moje postęпки i przemawiam nie obawiając się oszczerców. Mój rozum polityczny mówi mi, że mąż taki jak ja będzie potrzebny w chwili dziejowej. Moje motywy są czyste i niesamolubne. Lepiej, żeby mój naród przeżył w jakiejś formie, niż żeby zginął. Duch Grecji, jej kultura i wiara to nie tylko mury Konstantynopola, pałac cesarski, forum, senat i archontowie. Są to jedynie zewnętrzne formy, a formy mogą zmieniać się z czasami, jeśli duch pozostaje.

Powiedziałem:

— Boski i polityczny rozum to dwie różne rzeczy.

Poprawił mnie:

— Jeśli Bóg dał człowiekowi zdolność politycznego myślenia, to jest także Jego zamiarem, żeby człowiek z niej korzystał.

— Mówiłeś dostatecznie wyraźnie, megaduksie Łukaszu Notarasie — rzekłem gorzko. — Kiedy Konstantynopol padnie, ludzie twego pokroju rządzić będą na świecie. Mogę zapewnić cię, że sultan Mehmed zna twoje stanowisko i przypisuje twoim motywom taką wartość, na jaką one zasługują. Bez wątpienia powiadomi on ciebie w odpowiednim momencie tak czy inaczej o swojej woli i zawiadomi cię, w jaki sposób możesz najlepiej służyć mu podczas oblężenia.

Schylił lekko głowę, jak gdyby uznał mnie za posłańca Mehmeda, a moje słowa za jego posłanie. Do tego stopnia człowiek jest niewolnikiem swoich pragnień.

Jego napięcie ustąpiło i zrobił przyjazny gest obu rękami, gdy chciałem odejść.

— Nie, nie odchodź jeszcze — prosił. Rozmawialiśmy z sobą wysoce formalnie. Pragnąłbym także pozyskać twoją przyjaźń. Służysz przecież panu, którego wolę, stanowczość i dalekowzroczność wysoko poważam mimo jego młodych lat.

Podszedł spieszenie do stołu, nalał wina do dwóch pucharów i wręczył mi jeden. Nie przyjąłem go.

— Piłem już twoje wino — rzekłem. — Współ z twą piękną córką wypilem puchar wina w twoim domu. Pozwól mi tym razem zachować chłodną głowę. Nie przywykłem do wina.

Uśmiechnął się i mylnie wytłumaczył sobie moją odmowę.

— Nakazy i zakazy Koranu mają swoje dobre strony — powiedział z ożywieniem. — Nie wątpię, że Mahomet był wielkim prorokiem. W naszych czasach każdy myślący człowiek uznaje zalety obcych religii, nawet jeśli trzyma się swojej

własnej. Potrafię zrozumieć chrześcijan, którzy dobrowolnie przeszli na islam. Szanuję wszelkie uczciwe przekonania w sprawach wiary.

— Nie nawróciłem się na islam — odparłem. — Z ostrzem miecza przyłożonym do karku zachowałem swoją chrześcijańską wiarę. Nie jestem obrzezany. Ale mimo wszystko wolałbym zachować chłodną głowę.

Spochmurniał na nowo.

— Poza tym zapewniam cię, że porzuciłem służbę u sułtana, i czynię to ponownie — rzekłem lekko. — Przybyłem do Konstantynopola, żeby umrzeć za to miasto. Żadnych innych zamiarów nie mam. Dziękuję ci za twoje zaufanie i nie nadużyję go. Każdy ma prawo snuć polityczne kalkulacje. To nie jest żadne przestępstwo. Sam odpowiadasz za to, co dzieje się w twojej głowie. Nikt nie może cię o to oskarżyć. Dopóki to się dzieje tylko tam. Bez wątplenia także cesarz Konstantyn i jego doradcy liczyli się z możliwością takich kalkulacji. Bądź zatem ostrożny jak dotychczas.

Odstawił swój puchar nie umoczywszy w nim ust.

— Nie ufasz mi dostatecznie — powiedział z wyrzutem. — Masz naturalnie swoje własne zadania, które mnie nie obchodzą. Bądź więc i ty ostrożny. Może zechcesz spotkać się ze mną znowu, kiedy uznasz, że czas dojrzał. Wiesz, jakie jest moje stanowisko. Wiesz, czego można ode mnie oczekiwać. Ale powiedziałem ci też, czego nie warto ode mnie oczekiwać. Jestem Grekiem. Będę walczyć o moje miasto.

— Tak jak i ja — odrzekłem. — Przynajmniej to mamy wspólne. Obaj zamierzamy walczyć, mimo iż wiemy, że Konstantynopol padnie. Nie spodziewamy się już cudu.

— Czas jest stary — powiedział. — Czas cudów przeminął. Bóg nie wkracza już. Ale jest świadkiem naszych myśli i naszych czynów.

Odwrócił się do świętych Trzech Króli i wonnej lampy i podniósł rękę do przysięgi.

— Na Pana Boga i Jego jedyne Syna, na Ducha Świętego, na świętą Matkę Boską i na wszystkich świętych przysięgam, że moje zamiary są niesamolubne i mam na celu tylko dobro mojego ludu. Nie dążę do władzy. Wszystko to jest dla mnie ciężkim dopustem. Ale dla przyszłości mojego rodu, mojego plemienia, mojego miasta muszę działać tak, jak zamierzam.

Złożył tę przysięgę z takim przekonaniem, że musiałem mu wierzyć. Nie był tylko wyrachowanym politykiem. Wierzył naprawdę, że postępuje słusznie. Znosił

obelgi, jego wrażliwa duma była zraniona, nienawidził łacinników, został odsunięty na bok. Dlatego stworzył sobie własną wizję i wierzył w nią.

— Twoja córka — rzekłem — Anna Notaras. Czy pozwolisz, żebym jeszcze ją zobaczył?

— Na co by to się przydało? — zapytał zaskoczony. — Wzbudziłoby to tylko niepotrzebną sensację. Jakżeż mogłaby pokazywać się w towarzystwie człowieka, którego wszyscy podejrzewają, że jest tajnym wysłannikiem sułtana.

— Nie siedzę jeszcze w marmurowej wieży — rzekłem. — Jeśli Giustiniani bawi się w towarzystwie wysokich dam w Blachernach, dlaczegoż ja nie miałbym okazywać swoich względów córce megaduksa.

— Córka moja musi uważać na swoją opinię — głos jego był chłodny i niechętny.

— Czasy się zmieniają — powiedziałem. — Wraz z łacinnikami przychodzą swobodniejsze zachodnie formy obcowania. Twoja córka jest dorosła i wie sama, czego chce. Dlaczego nie mógłbym kazać śpiewakom i lutnistom zabawiać jej. Dlaczego nie mógłbym jechać konno obok jej lektyki do kościoła. Dlaczego nie mógłbym zaprosić jej na przejażdżkę łódką w porcie w słoneczny dzień? Twój dom jest ponury. Dlaczego nie miałbyś jej pozwolić radować się i śmiać, zanim zaczną się dni próby? Co masz przeciw temu, megaduksie?

Rozłożył ręce.

— Za późno — powiedział. — Lada dzień wysyłam moją córkę z miasta.

Spuściłem głowę, by ukryć twarz. Wiedziałem o tym. Mimo to kipiałem z goryczy z powodu tej straty.

— Jak chcesz — rzekłem. — A jednak zamierzam spotkać się z twoją córką jeszcze raz, nim wyjedzie.

Rzucił mi szybkie spojrzenie swoich dużych błyszczących oczu. Nabrały one roztargnionego wyrazu, jak gdyby przez chwilę rozważał pewne możliwości, których poprzednio nie wziął w rachubę. Ale potem jeszcze raz zrobił odmowny ruch ręką i spojrzał ku oknu, jakby usiłował wyrzeć na morze przez zasłaniające szyby okiennice.

— Za późno — powtórzył. — Ubolewam nad tym, ale myślę, że statek już odpłynął. Dziś w nocy wiatr jest najpomyślniejszy. Już dziś po południu przewieziona została potajemnie łodzią na statek kreteński ze swoimi rzeczami i służącymi.

Odwrociłem się i odszedłem na wpół ślepiący łzami, porwałem moją latarnię z haka przy wejściu, niezdarnie otwarłem drzwi i wypadłem w ciemność. Wiatr wył,

morze szumiało po drugiej stronie muru, fale opryskiwały wzmocnione palami nabrzeże. Sztorm przyciskał mi płaszcz mocno do ciała i wypierał ze mnie dech. Całe moje opanowanie znikło. Odrzuciłem w gniewie od siebie migającą latarnię, tak że poleciała łukiem przez ciemność, stłukła się ze szczękiem i zgasła.

Uratowało mi to życie. Mój anioł czuwał. I mój pies. Nóż świsnął, wśliznął się od tyłu pod moje lewe ramię i zboczył ku żebrom. Ale napastnik potknął się o psa, krzyknął, kiedy ten go gryzł, kłuł nożem na ślepo wokół siebie. Żalospny pisk oznajmił mi, że pies otrzymał śmiertelną ranę. Ogarnęła mnie wściekłość. Złapałem śliski kark w turecki uchwyt. Czułem odór czosnku w dyszącym oddechu i smród brudnych łachmanów. Potem przycisnąłem napastnika do ziemi i wbiłem sztylet w trzepocące się ciało. Wydał straszliwy krzyk.

Schyliłem się nad psem. Usiłował lizać mnie po ręce. Potem głowa mu opadła.

— Czemu poszedłeś za mną, choć ci zakazałem — rzekłem cicho. — To nie ty, lecz mój anioł mnie uratował. Zginąłeś za mnie niepotrzebnie, przyjacielu. — Był to tylko żółty pies, kundel. Przyłączył się do mnie z wolnej woli. Znał mnie. Zapłacił za to życiem.

Zabłysło światło w jednym z okien pałacu. Rygle drzwi odsunięto z hukiem. Zacząłem biec, ale oślepiiony łzami wpadłem prosto na mur i podrapałem sobie twarz. Otarłem krew i zacząłem po omacku posuwać się w stronę Hipodromu. Mój lewy bok był wilgotny od krwi. Między mknącymi po niebie chmurami od czasu do czasu majaczyła grupka gwiazd. Oczy przyzwyczyły się stopniowo do ciemności. W głowie ogłuszonej uderzeniem tłukła się tylko jedna myśl: To Frances, nie Konstantyn, to Frances, nie Konstantyn.

Czyżby rzeczywiście uważali mnie za tak niebezpiecznego, że woleli raczej zamordować mnie skrytobójczo niż zamurować w marmurowej wieży? Frances ostrzegł mnie przed domem Notarasa.

Ale porzuciłem te bezpłodne domysły, gdy tylko okrążyłem łuk Hipodromu i znalazłem się na wzgórzu. Obok ciemnej olbrzymiej kopuły kościoła Mądrości Bożej zszedłem na chwiejnych nogach w dół do portu przyciskając ręką bok. Puls mi łomotał. Nie ma jej, nie ma jej.

Anna Notaras wyjechała. Dokonała wyboru. Jest posłuszną córką swego ojca. Czegóż to się po niej spodziewałem? Bez posłania, bez pożegnania.

Mój służący, Manuel, czuwał czekając na mnie i trzymał światło płonące w mojej izbie. Nie zdziwił się na widok mojej podrapanej twarzy i krwi na moich

szatach. W okamgnieniu przyniósł czystą wodę, opatrunki i masę na rany. Pomógł mi zdjąć odzież i przemył cięcie. Rozciągało się od łopatki w dół po lewej stronie. Rama piekła i bolała silnie, ale to pieczenie robiło mojej duszy tylko dobrze.

Dałem mu felcherską igłę i jedwabną nitkę i pokazałem, jak ma zeszyć ranę. Prosiłem, by przepłukał ją mocnym winem i zebrał pleśń i pajęczynę, by zapobiec gorączce. Dopiero gdy mnie opatrzył i pomógł mi położyć się, zacząłem drżeć. Dygotałem tak, że łóżko się trzęsło.

— Piesku — powiedziałem drżącym głosem. — Chudy, żółty piesku, ciekawym, kim byłeś?

Długo leżałem beczynn timer. Więc znowu jestem sam. Nie prosiłem jednak nikogo o zmiłowanie. Anna Notaras dokonała wyboru. Kimżeż jestem, żeby potępiać ją za to?

Ale w dniu mojej śmierci usnę w hiacyntowym zapachu twoich policzków. Temu nie zdołasz przeszkodzić.

28 lutego 1453

Podczas nocnego sztormu uciekło z portu sporo statków. Duży okręt Wenecjanina Piero Davenzo i sześć kreteńskich statków z pełnym ładunkiem. Przysięgi, całowanie krzyża i groźba grzywien nie wystarczyły zatem. Kapitanowie ratowali tysiąc dwieście skrzyń sody, miedzi, indygo, wosku, mastyksu i korzeni dla Wenecji i kreteńskich armatorów.

Ponadto uratowali oni setki bogatych uchodźców, którzy płacili za podróż, ile tylko od nich zażądano. Mówią, że ucieczka była już od wielu dni w porcie niemal publiczną tajemnicą.

Turcy w Gallipoli nie oddali ani jednego strzału do tych statków i nie atakowali ich też wojennymi galerami. Także i to było więc ułożone z góry. Przez neutralnych agentów z Pery. Miałby zresztą sułtan troszczyć się o kilka skrzyń miedzi i korzeni, jeśli w ten sposób może zmniejszyć liczbę statków będących do dyspozycji cesarza i osłabić przez to obronę portu?

Megaduks, głównodowodzący floty, wiedział zatem o ucieczce i wysłał córkę w bezpieczne miejsce na tych statkach. Ale również i damy z rodziny cesarskiej opuściły miasto. Kiedy, nie wie nikt.

Od pozostałych statków cesarz zażądał nowej przysięgi i zapewnienia, że nie opuszczą portu bez jego zezwolenia. Cóż mógłby zrobić innego. Wenecjanie odmówili w każdym razie wyładowania swoich cennych ładunków. A to byłby chyba jedyny sposób, by na pewno zatrzymać ich w porcie.

/ marca 1453

Przyszedł odwiedzić mnie sam Giustiniani, gdyż nie chcę jeszcze pokazywać się poza domem. Moje rany swędzą, twarz mam rozpaloną, jakby stała w płomieniach, i czuję gorączkę.

Gdy zsiadł ze swego dużego bojowego rumaka, zebrała się natychmiast wokół niego gromada ludzi. Grecy podziwiają go, choć jest łacinnikiem. Chłopcy dotykali z szacunkiem wędzidła i wodzów wierzchowca. Cesarz podarował Giustinianiemu okute złotem siodło i wysadzany drogimi kamieniami paradny czaprak. Jego wizyta była dla mnie wielkim zaszczytem. Odbyliśmy długą rozmowę. Wyłożyłem mu moją filozofię, myśli mego mistrza i nauczyciela doktora Cusaniego: że słuszne i niesłuszne, prawda i kłamstwo, dobro i zło nie wykluczają się nawzajem. Wszystko jest względne na tym świecie i wyrównuje się dopiero w wieczności. Ale on tego nie rozumiał.

Potrząsnął głową i mlasnął z zachwytem językiem, gdy wszedł do izby i zobaczył moje poranione czoło i odarty ze skóry nos.

— To tylko bójka w tawernie — rzekłem.

— Dotrzymałeś placu? — zapytał.

— Przeszedłem do przeciwnatarcia, a potem wyplątałem się z walki — odparłem.

— Jeśli to prawda, unikniesz kary porządkowej — powiedział.

— Przynajmniej dotychczas nikt nie skarżył się, jakobyś był pijany i zakłócił porządek publiczny. Pokaż ranę.

Kazał Manuelowi rozwiązać opatrunek i szturchał bezceremonialnie grubym paluchem wskazującym nabrzmiąle brzegi rany.

— Cios w plecy — powiedział. — O włos od śmierci, nie, to nie była żadna bójka w tawernie, mimo że twoja twarz mówi o czymś w tym rodzaju.

— Nie mam zbyt wielu przyjaciół w tym mieście — przyznałem.

— W takim razie powinieneś chodzić w kolczudze — rzekł.

— Lekka kolczuga albo karacena łamią ostrze miecza i przeszkadzają nawet najcięższemu sztyletowi wdrzeć się zbyt głęboko.

— Nie potrzebuję tego — odrzekłem. — Jestem twardy, jeśli tylko mogę zachować opanowanie.

Zainteresował się.

— Rzeczywiście jesteś twardy? — zapytał. — Masz jakiś talizman czy też dałeś się zaczarować, a może nosisz w mieszkaniu werbenę? Wszystkie sposoby są dobre, byle tylko w nie wierzyć.

Wziąłem długą srebrną szpilkę ze stolika przy łóżu.

— Patrz — powiedziałem i zacząłem mamrotać półgłosem jedno z arabskich zaklęć derwiszów. A potem przekłułem szybko szpilką mięsień ramienia, tak że szpic wyszedł po drugiej stronie. Ani jedna kropla krwi nie wypłynęła.

Potrząsnął znowu dużą głową.

— Dlaczego więc wdała się gorączka w ranie? — zapytał z powątpiewaniem. — Dlaczego nie leczy się ona sama z siebie i nie zrasta, jeśli tak wierzysz, że jesteś twardy?

— Podnieciłem się. Zapomniałem się — odparłem. — Bądź spokojny. Rana się zgoi. Pojutrze będę znowu zdalny do służby.

2 marca 1453

Słońce przygrzewa. Na rogach ulic i w ogrodach palą odpadki. Jasnozielone źdźbła strzelają ze szczelin w pożółkłym marmurze. Stoki Akropolu lśnią kolorowym wiosennym kwieciem. W porcie zgiełk trwa co wieczora do późnej nocy. W wieczornym spokoju słychać muzykę aż w moim domu. Nigdy, nigdy jeszcze nie widziałem tak wspaniałych zachodów słońca jak w te wieczory, kiedy kopuły stoją w płomieniach, a zatoka portowa między wzgórzami i wyżynami staje się czarna jak atrament. Po drugiej stronie błyszczą purpurowym blaskiem mury i wieże Pery i odbijają się w ciemnej wodzie.

Kiedy siedziałem tak wpatrując się w zachód słońca, z sercem zgorzkniałym od tęsknoty, przyszedł do mnie mój sługa Manuel i przemówił wymownie:

— Panie, wiosna nadeszła, a Turcy jeszcze się nie pojawili. Nerozumne ptaki łopocą skrzydłami z namiętności polując na siebie nawzajem. Gruchanie gołębi zakłóca ludziom nocny spokój. Osły w stajni patriarchy rżą tak przeraźliwie, że nawet ludzie szaleją. Panie, nie jest dobrze dla człowieka być samotnym.

— Cóż to takiego! — wykrzyknąłem zdziwiony. — Chyba nie zamierzasz się ożenić mimo twojej osiwiąlej brody. A może chcesz ze mnie wydusić datek na posag dla córki którejś z twoich kuzynek?

— Panie, myślę tylko o twoim własnym dobru — odrzekł dotknięty. — Znam ciebie i wiem, jaką masz ranę, i zdaję sobie sprawę, co ci wypada czynić, a co nie wypada. Ale wiosna może wzbudzić niepokój we krwi nawet najwyżej postawionego człowieka i w tej sprawie nie ma różnicy między cesarzem a ubogim pastuchem kóz. Nie chciałbym zaprawdę, żebyś jeszcze raz wrócił do domu chwiejąc się na nogach, w okrwawionej odzieży, tak że o mało nie dostałem sercowego ataku ze strachu i zgrozy. Wierz mi, ciemne sklepienia bram i otoczone murem dziedzińce są niebezpieczne w tym mieście.

Zacierał dłonie i unikał mego wzroku zastanawiając się z wahaniem, jak się ma wyrazić.

— Ale wszystko można załatwić — powiedział znacząco. — Jesteś przygnębiony i śpisz niespokojnie nocami. Sprawia to ból memu sercu. Naturalnie nie należę do ludzi, którzy chcieliby podstępnie poznać twoje sprawy. Znam swoje miejsce. Ale nie mogło ująć mojej uwagi, że już od dawna nie miałeś odwiedzin tego mile widzianego gościa, który dawniej sprawiał, że twoja twarz promieniała z radości. Przeciwnie, wróciłeś do domu sam, okrwawiony od stóp do głów, z czego wnioskuję, że wszystko się wydało, i teraz znosisz męki przymusowej rozłąki. Czas leczy jednak wszelkie rany i dla wszystkich ran istnieją maści łagodzące, nawet dla ran serdecznych.

— Skończ już — powiedziałem. — Gdyby ten zachód słońca nie sprawił, że jestem chory z tęsknoty, dawno dałbym ci po pysku, Manuelu.

— Nie rozum mnie źle, mój panie — pospiesznie odpowiedział. — Ale mężczyzna w twoim wieku potrzebuje kobiety, jeśli nie jest mnichem albo w inny sposób nie poświęcił się nabożnym medytacjom. To prawo natury. Dlaczego nie miałbyś używać życia w tym krótkim okresie, który jeszcze nam pozostał. Mam dla ciebie propozycję, a nawet dwie, jeśli tylko źle mnie nie zrozumiesz.

Odsunął się ostrożnie, zrobił się jeszcze mniejszy niż zwykle i ciągnął:

— Córka mojej kuzynki, młoda wdowa w najlepszych latach, straciła przypadkiem męża tak nagle, że faktycznie jest prawie nietknięta. Widziała ciebie na koniu, w mieście, i tak ślepo się w tobie zakochała, że wciąż dręczy mnie prośbami, żebym ją wpuścił do twego domu i zapoznał z tobą. To cnotliwa i dobrze ułożona dziewczyna. Byłaby szczęśliwa i wyświadczyłbyś całej naszej rodzinie wielki honor, gdybyś okazał jej życzliwość przez jedną albo dwie noce. O nic więcej nie prosi i ty sam najlepiej ocenisz, co zechcesz dać jej w darze, kiedy ci się sprzykrzy. W ten sposób zrobiłbyś dobry uczynek, a jednocześnie zapewniłbyś swemu ciału spokój, jakiego potrzebuje.

— Manuelu — odrzekłem. — Doceniam twoją dobrą wolę, ale gdybym miał ulec pokusie ze strony każdej kobiety, która ściga mnie wzrokiem, nigdy nie opędziłbym się od kobiet. Od młodości ciążyło na mnie przekleństwo, że pożądały mnie więcej, niż ja pożądałem którejs z nich. Za każdym razem jednak kiedy z całego serca pragnąłem czegoś, ta druga osoba nie pragnęła tego samego co ja. To moja kara. Wierz mi, przysporzyłbym tylko córce twej kuzynki smutku i bólu, gdybym, nie pragnąc jej, wziął ją do łóża, by ogrzać sobie ciało.

Manuel przytaknął natychmiast:

— I ja też starałem się wybić jej to z głowy, ale wiesz, jak to jest z kobietami. Są uparte. Mam jednak inną propozycję. Jedna z moich ciotek ma znajomego, uczciwego i delikatnego człowieka, który chętnie pomaga i wysoko, i nisko postawionym w ich różnych kłopotach. W tym celu kazał w pobliżu Blachern zbudować od zewnątrz bezpretensjonalny, ale wewnątrz gustownie urządzony dom. W domu tym są młode niewolnice z wielu rozmaitych krajów. Można tam wziąć gorącą kąpiel i masaż. Nawet wyżyci i bezsilni starzy archontowie wychodzili stamtąd zadowoleni z usług, których tam doznali, i potem na wiele sposobów okazywali swą wdzięczność temu, kto im dopomógł. Dom jest godzien twojej rangi i nic byś nie stracił wypróbując różne możliwości, które tam proponują.

Zauważył moje spojrzenie, stracił animusz i pospieszył wyjaśnić:

— Wcale nie myślę, że jesteś wyżyty albo bezsilny, panie. Przeciwnie, jesteś mężczyzną w najlepszych latach życia. Właśnie dlatego, mój panie. W tym domu można także, dyskretnie i w najgłębszej tajemnicy, spotkać dostojne damy, które potrzebują odmiany w życiu albo które z powodu skąpstwa swoich mężów chętnie widzą mały przyczynik do wydatków na kosmetykę i stroje. Może mi nie uwierzysz, ale nawet damy z Blachern odwiedzały ten dom i nie przysporzyły sobie żadnych

przykrości. Przeciwnie. Szanowany przyjaciel mojej ciotki jest doświadczonym znawcą ludzi i osobą bardzo wyrozumiałą. Potrafi on dobierać krąg klientów z największą wybrednością.

— Nie chcę przyczyniać się do upadku obyczajów w tym umierającym mieście — odparłem. — Nie, Manuelu. Ty mnie nie rozumiesz.

Ale Manuel wydawał się głęboko zraniony.

— Jak możesz mówić o upadku obyczajów, panie, skoro chodzi tu tylko o nieprzymuszone życie towarzyskie między wykształconymi, oświeconymi i wolnymi od przesądów ludźmi tego samego stanu. Czyż więc jest w twoich oczach coś naturalniejszym i mniej zepsutym przełazenie przez mur w ciemne noce albo szeptanie ukradkiem haniebnymi propozycji znakomitym damom? Jeśli już człowiek zmuszony jest grzeszyć, dlaczego nie grzeszyć wesole, kulturalnie i bez wyrzutów sumienia. Jesteś bardzo łaciński, skoro tego nie rozumiesz.

— Nie tęsknię za grzechem, Manuelu — powiedziałem. — Tęsknię za miłością, którą straciłem.

Manuel potrząsnął głową i mina jego stała się znów uniżenie melancholijna:

— Grzech jest zawsze grzechem, bez względu na to, jakie włoży przybranie. Wszystko jedno, czy nazwie się go miłością, czy rozkoszą. Rezultat jest ten sam. Męczysz się tylko, panie, rozpalając swoje uczucia. Nawet najbardziej ponętny grzech nie jest wart takich poświęceń. Sprawiasz mi zawód, panie. Sądziłem, że jesteś rozsądniejszy. Ale zdrowego rozsądku człowiek nie otrzymuje w prezencie chrzestnym, nawet jeśli urodzi się w purpurowych butach.

W tym momencie chwyciłem go za kark i zmusiłem do klęknienia w kurzu dziedzińca. Mój sztylet zabłysnął czerwono w świetle zachodzącego słońca. Ale opanowałem się:

— Coś powiedział? — zapytałem. — Powtórz, jeśli masz odwagę.

Manuel był bardzo przestraszony. Jego chudy kark drżał w moim uchwycie. Mimo to jednak wydawało się, jakby po pierwszym strachu uważał moją brutalność tylko za zaszczyt. Podniósł ku mnie wodniste spojrzenie i zakurzoną brodę, z chytrą i upartą miną.

— Nie miałem zamiaru cię urazić, panie — zapewniał. — Nie sądziłem, że rozgniewasz się o żart.

Ale ułożył swoje słowa zbyt podstępnie, żebym mógł mu wierzyć. Na samym końcu długiej oracji ukrył chytrą przynętę, żeby zobaczyć, czy się na nią wezmę. Gdzie

znikło moje opanowanie? Gdzie podział się mój spokój ducha? Wetknąłem sztylet z powrotem do pochwy z lekkim stukiem.

— Nie wiesz, co mówisz, Manuelu — powiedziałem. — Anioł śmierci stał przez chwilę za twymi plecami.

Kłęczał przede mną tak, jakby lubował się w tej upokarzającej sytuacji.

— Panie! — wykrzyknął. Oczy zaczęły mu błyszczeć, a szare policzki zaczerwieniły mu się z wolna. — Położyłeś mi dłoń na głowie. Mój ból uszu znikł. Nie bolą mnie już kolana, choć kłęczę tu na wilgotnej ziemi. Panie, czyż to nie dowód kim jesteś?

— Bredzisz — rzekłem. — Przeląkłeś się mego sztyletu. Nagły przestrasch sprawił, że inne dolegliwości znikły.

Schylił głowę, wziął garść ziemi i znowu ją upuścił. Głos jego był tak cichy, że ledwie mogłem rozróżnić słowa.

— Jako mały chłopak widziałem wiele razy cesarza Manuela — wyszeptał. — Panie, nigdy cię nie zawiodę.

Poniósł dłoń, jakby chciał dotknąć mego biodra, i wpatrywał się jak urzeczony w moje stopy.

— Purpurowe buty — szeptał sam do siebie. — Położyłeś dłoń na mojej głowie i wszystkie cielesne dolegliwości znikły.

Ostatnia krwawa łuna zachodu zgasła. Przyszedł wieczór ze zmierzchem i chłodem. Nie odróżniałem już twarzy Manuela. I nic nie powiedziałem. Byłem bardzo samotny. Odwróciłem się i wszedłem w ciepło mego domu.

Atrament i papier. Dawniej kochałem słodki zapach atramentu i suchy szelest papieru. Obecnie nienawidzę ich. Słowa są zwodnicze jak wszystko, co ziemskie. Są tylko niezdarnymi wyobrażeniami doczesności, które każdy rozumie i tłumaczy sobie, jak chce, wedle własnego uznania i natury. Wieczności nie można wyrazić żadnymi słowami.

Jeszcze stoją statki w porcie. Przy odrobinie szczęścia może jeszcze zachodni statek przemknąć się obok Gallipoli na Morze Greckie. Nie ma takiego łacinnika, którego nie dałoby się przekupić. Ale żar mego serca kazał mi cisnąć klejnoty Giustinianiemu. Żar mego serca kazał mi jeszcze raz zrzucić z siebie bogactwo niczym przyciasną szatę. Teraz jestem zbyt ubogi, by móc przekupić cały statek i pożegłować za nią. Czy tego się bałem odrzucając moje klejnoty? Nic nie dzieje się przypadkiem,

nic! Wszystko idzie tak, jak powinno. Nikt nie może uciec od swego losu. Człowiek urzeczywistnia sam swój los, pewnie jak lunatyk, kiedy już raz dokona wyboru.

Czyżbym więc bał się siebie samego? Czyżbym nie ufał sobie samemu? Czyżby Mehmed znał mnie lepiej, niż sam siebie znałem, kiedy wtykał mi czerwony skórzany woreczek na pokusę, gdy się rozstawaliśmy? Czy to dlatego musiałem się uwolnić od jego daru?

Sułtan Mehmed, zwycięzca. Wystarczy tylko, żebym kazał się przewieźć łodzią do Pery i wszedł do domu z gołębnikiem. Zdradzić. Zdradzić jeszcze raz.

Tak głębokiego i beznadziejnego uczucia rozpacz jak obecnie jeszcze nigdy nie doznawałem. Wybór nie ustaje nigdy. Trwa wiecznie. W każdej chwili. Aż do ostatniego tchnienia. Drzwi stoją zawsze otwarte. Zawsze. Wrota ucieczki, zdrady, samooszukiwania.

Na bagnach pod Warną powiedział mi anioł śmierci: "Spotkamy się przy bramie św. Romana".

Dotychczas słowa te były dla mnie pociechą. Ale nie mówił, o której stronie tej bramy myślał. Nie powiedział mi tego.

Nie, i nie musiał też mówić. Przez całe moje życie wyłamywałem się z jednego więzienia, by trafić do drugiego. Z tego ostatniego więzienia nie ucieknę, nie ucieknę z tego więzienia, którego murami są mury Konstantynopola. Jestem synem mego ojca. To więzienie jest moim jedynym domem.

7 marca 1453

Wczesnym rankiem, przed wschodem słońca, do kościoła klasztoru Chora w pobliżu Blachern i bramy Charisiosa szła gromada mnichów w czarnych kapturach, mniszek i ubogich kobiet z płonącymi świecami w rękach. Śpiewali, ale ich śpiew tonął w ciszy miasta i ciemności poranka. Poszedłem za nimi. Dach i ściany kościoła były jedną wielką mozaiką. Kolorowe kamyczki błyszczały na złotym tle w blasku niezliczonych świec woskowych. Pachniało kadzidło. Żarliwość modlących się koła moje serce.

Dlaczego poszedłem za nimi? Dlaczego ukląknę u ich boku? Mnichów i mniszki widywałem przecież już przedtem. Chodzą parami od domu do domu ze

swymi żebraczymi miseczkami, żeby zebrać grosik dla ubogich uchodźców, którzy napłynęli do miasta w ucieczce przed Turkami.

Wszystkie mniszki są do siebie podobne z powierzchowności i nie można ich rozróżnić. Są wśród nich i szlachetne damy, i kobiety niskiego rodu. Samotne kobiety z zamożnych rodzin, które zakupiły sobie miejsce w jakimś klasztorze. Siostry służebne, które ofiarują pracę swoich rąk nie biorąc welonu. Korzystają one z większej swobody niż mniszki na Zachodzie. Ale Grecy pozwalają także swoim kapłanom żenić się i nosić brody.

Wszystkie mniszki są do siebie podobne. Takie same czarne habity, które kryją zarysy ciała, takie same welony, które zakrywają twarz aż po uszy. Ale nieświadomie, choć nic nie rzuciło mi się w oczy wyraźnie, zwróciłem uwagę na mniszkę, która szła za mną na ulicy i zatrzymywała się, kiedy się odwracałem. W towarzystwie drugiej mniszki przeszła też obok mego domu i przystanęła koło małego kamiennego lewka, by popatrzeć na moje okna. Ale nie zastukała do drzwi i nie prosiła o jałmużnę.

Od tego czasu uważnie przyglądałem się wszystkim mniszkom, jakie spotykałem. Coś w trzymaniu głowy, w chodzie, w dłoniach, które kryją się w szerokich rękawach, sprawia, że rozpoznałbym ją pośród innych. Śnię, widzę na jawie. Moja rozpacz czyni mnie ślepy. Wierzę w niemożliwe. Nadzieja, do której nie ważę się przyznać przed samym sobą, pali mi duszę jak płomień świecy.

10 marca 1453

Dni te przeżywałem jak we śnie, jak w malignie. Tego ranka obie mniszki przeszły znowu obok mego domu i przystanęły, by popatrzeć w okna, tak jakby spodziewały się, że zobaczą mnie wychodzącego. Zbiegłem po schodach, rozwarłem bramę. Zdyszany stanąłem przed nimi nie mogąc wykrztusić słowa. Odsunęły się, pochyliły głowy. Jedna wyciągnęła drewniany żebraczy talerzyk i wymamrotała zwykłą modlitwę.

— Wejdźcie w moje progi, siostry — wezwałem je. — Sakiewkę mam w domu.

Schowana za starszą kobietą, trzymała głowę pochyloną, tak abym nie mógł widzieć jej spojrzenia. Usiłowały cofnąć się. Straciłem opanowanie. Chwyłem ją za ramię i nie zdołała stawić mi oporu. Manuel nadbiegł przerażony.

— Panie, jesteś zamroczony na umyśle! — wykrzyknął ostrzegawczo. — Ludzie cię ukamieniają, jeśli użyjesz siły wobec mniszki.

Starsza mniszka uderzyła mnie w twarz kościstą pięścią i zaczęła mnie tłuc po głowie drewnianym talerzykiem. Ale nie odważyła się krzyknąć.

— Wejdźcie — powiedziałem. — Wywołamy zbiegowisko.

— Twój dowódca każe cię powiesić — rzekła starsza mniszka z pogroźką, ale odwróciła się z wahaniem i spojrzała na swoją towarzyszkę. Ta skinęła głową. Nie mogła inaczej postąpić. Trzymałem ją mocno za ramię.

Kiedy Manuel zamknął za nami bramę, powiedziałem:

— Poznałem cię. Poznałbym cię wśród tysięcy. Czy to rzeczywiście ty? Jak to możliwe?

Drżąc wyrwała się z mego uchwytu i rzekła spiesźnie do swej towarzyszki:

— To jakaś pomyłka albo nieporozumienie. Muszę to wyjaśnić. Zostań tutaj.

Wynioskowałem z tego, że nie jest prawdziwą mniszką, która złożyła śluby. Inaczej bowiem nie mogłaby zostać sam na sam ze mną. Zaprowadziłem ją do mojej izby. Zarygłowałem drzwi. Zerwałem welon, który nosiła, i wziąłem ją w objęcia.

Zamknąłem ją w ramionach.

Dopiero wtedy zacząłem sam drzeć i wybuchnąłem płaczem. Tak przeraźliwa była moja rozpacz, moje pożądanie i moje zwątpienie. Teraz wszystko we mnie pękło. Mam czterdzieści lat. Jestem na progu jesieni. Ale płakałem szlochając gwałtownie, jak dziecko, które budzi się z koszmarnego snu w bezpiecznym spokoju domu.

— Moja ukochana — mówiłem — jak mogłaś mi to zrobić?

Pozwoliła, by kapuza ześliznęła jej się z głowy, odrzuciła czarny płaszcz z kapturem, jak gdyby się go wstydziła. Była bardzo blada. Nie dała sobie ściąć włosów. Nie drżała już. Oczy jej były przejrzystozłote, dumne i ciekawe. Gładziła mnie koniuszkami palców po policzku i patrzyła na nie jakby zdumiona, dlaczego wilgotnieją.

— Co się stało, Johannesie Angelosie? — zapytała. — Płaczesz? Dlaczego płaczesz? Czy byłam aż tak niedobra?

Zabrakło mi słów. Patrzyłem tylko na nią. Czulem, że twarz mi promienieje jak w dniach mojej młodości. Spuściła przede mną swoje brązowe oczy.

— Doprawdy sądziłam, że już się ciebie pozbyłam — usiłowała ciągnąć dalej. Ale słowa uwięzły jej w krtani. Rumieniec pojawił się na szyi i policzkach. Odwróciła się do mnie plecami.

Odwróciła się do mnie tyłem i poddała się. Położyłem ręce na jej ramionach. Moje dłonie ześliznęły się na jej piersi. Z zapartym tchem chłonałem jej wdzięk i urok, i drżące przebudzenie ciała. Pocałowałem ją w usta. Było to tak, jak gdyby oddała mi całą duszę w tym pocałunku. Jasna i wibrująca radość przeniknęła mnie do głębi. Nie pozostało we mnie żadnej ciemności. Moje pożądanie było jasne jak źródło, czyste jak płomień.

Powiedziałem:

— Wróciłaś do mnie.

— Puść mnie — prosiła. — Drżą mi kolana. Nie mogę ustać na nogach.

Osunęła się na krzesło, oparła łokcie na stole i czoło na dłoniach. Po chwili podniosła wzrok. Niewypowiedzianie dobrze znane niewypowiedzianie nago patrzyły jej brązowe oczy w moje oczy.

— Już mi jest lepiej — rzekła drżącym głosem. — Przez chwilę lękałam się, że umrę w twoich ramionach. Nie wiedziałam. Nie przypuszczałam, że to może być takie uczucie.

A może wiedziałam — ciągnęła patrząc na mnie tak, jakby nie mogła się do syta napatrzeć. — Bo chyba dlatego zostałam w mieście. Mimo że poprzysięgłam, iż nigdy już ciebie nie zobaczę. Przynajmniej to sobie, żeby mieć odwagę zostać. Tak dziecinnie usiłowałam oszukać samą siebie.

Potrząsnęła głową. Włosy jej były ze złota. Płeć z kości słoniowej. Brwi jak wysokie niebieskie łuki. W jej spojrzeniu złotobrązowa czułość.

— Unikałam ciebie, chciałam od ciebie stronić, ale i tak musiałam widzieć cię od czasu do czasu, przynajmniej z daleka. Niebawem chyba przyszłabym do ciebie z własnej woli. Jako mniszka jestem swobodniejsza, niż byłam kiedykolwiek w życiu. Mogę poruszać się swobodnie, mogę swobodnie rozmawiać z ubogimi ludźmi, czuć kurz uliczny pod stopami, wyciągać przed siebie skromny drewniany talerzyk i dostawać jałmużnę za błogosławieństwo. Johannesie Angelosie, dużo się nauczyłam przez te dni. Przygotowywałam się na spotkanie z tobą, choć sama o tym nie wiedziałam.

Wysunęła bosą stopę. Skórzana podeszwa sandałów przymocowana była rzemykami do kostek. Rzemienie odcisnęły czerwone znaki na białej skórze. Stopa była pokryta kurzem ulic. Była to żywa stopa żywej kobiety. Nie była już tylko malowanym bożkiem. Zmieniła się.

— Ale jak to możliwe? — zapytałem. — Spotkałem się z twoim ojcem właśnie owej nocy. Wezwał mnie do siebie. Mówił, że wyjechałaś.

— Ojciec nie wie o tym — rzekła po prostu. — Wciąż myśli, że wyjechałam. Kupiłam sobie miejsce w klasztorze, dokąd szlachetne damy usuwają się czasem na nabożne ćwiczenia. Mieszkam jako płacący za siebie gość o imieniu Anna. Nikt nie pyta mnie o nazwisko ani o rodzinę. Klasztor miałby tylko przykrości, gdybym została zdemaskowana. Dlatego moja tajemnica jest także ich tajemnicą. Gdybym chciała tam pozostać na resztę dni życia, otrzymałabym inne imię, narodziłabym się na nowo i nikt nie musiałby nigdy wiedzieć, kim niegdyś byłam. Tylko ty to wiesz. Temu nie mogłam przeszkodzić.

— Nie zamierzasz chyba pozostać w klasztorze? — zapytałem przerażony.

Spojrzała na mnie figlarnie przez rzęsy.

— Popełniłam wielki grzech — rzekła z udanym poczuciem winy. — Oszukałam ojca. Może muszę odbyć pokutę.

Ale wciąż jeszcze nie rozumiałem, w jaki sposób ona, tak zazdrośnie pilnowana, zdołała uciec. Opowiedziała, że ojciec chciał ją wysłać na Krete, aby nie dostała się do niewoli u Turków czy u łacinników. Ale matka leżała chora i nie mogła jej towarzyszyć. Dlatego cały ten plan był dla niej odstręczający od samego początku. Z pakunkami i służącymi przewieziono ją o zmierzchu łodzią na statek. Był on pełny uchodźców, którzy zapłacili zawrotne sumy za miejsca. W powszechnym zamieszaniu wymknęła się z powrotem do łodzi i kazała żeglarzom zawieźć się do portu. Dużo czasu upłynię, zanim ojciec dowie się, że znikła.

— Jestem wolna — powiedziała. — Niech myślą, że wypadłam za burtę i utonęłam. Jeszcze większą przykrością byłoby dla ojca, gdyby kiedyś się dowiedział, że go oszukałam. Nie śmiem nawet myśleć o tym.

Długo siedzieliśmy w milczeniu patrząc na siebie. To wystarczyło. Czuję, że tylko odrobina więcej, choćby przelotny uśmiech czy dotknięcie sprawiłyby, iż serce by mi pękło. Zrozumiałem, co miała na myśli mówiąc, iż bała się, że umrze w moim objęciu.

Potem kościaste palce zastukały do drzwi. Szorstki głos starszej mniszki zawołał ze wzburzeniem:

— Jesteś tam jeszcze, siostró Anno?

Usłyszałem, jak Manuel na próżno stara się ją uspokoić.

— Zaraz przyjdę — odkrzyknęła Anna Notaras w odpowiedzi. Odwróciła się potem do mnie, dotknęła dłonią policzka i rzekła z promiennym spojrzeniem: — A teraz muszę już iść. — Ale tak od razu nie mogła odejść. Wspięła się na palce, aby jeszcze lepiej móc mi zajrzeć w oczy, i zapytała cicho: — Czy jesteś szczęśliwy, Johannesie Angelosie?

Odparłem:

— Jestem szczęśliwy. A ty, Anno Notaras? Czy i ty jesteś szczęśliwa?

Rzekła:

— Jestem bardzo, bardzo szczęśliwa.

Otworzyła drzwi i starsza mniszka wpadła do izby z drewnianym talerzykiem podniesionym do ciosu. Anna uspokajająco wzięła ją pod ramię i wyprowadziła z domu.

Wziąłem głowę Manuela w dłonie i ucałowałem go w oba policzki.

— Niech cię Pan błogosławi i strzeże — powiedziałem.

— I ciebie, i niech będzie łaskaw dla twojej duszy — odpowiedział otrząsnąwszy się z zaskoczenia. — Mniszka — dorzucił z uśmiechem w oczach i pokiwał głową — mniszka w twojej izbie. Czyż wreszcie zostawisz łacinników i przejdziesz na jedną prawdziwą wiarę?

15 marca 1453

Wiosna rozwinęła się wszędzie w mieście. Bose dzieciaki sprzedają kwiaty na rogach ulic. Chłopcy dmą w fujarki na polach ruin. Nie ma nic, co brzmiałoby piękniej i bardziej melancholijnie. Błogosławię każdy dzień, który przemija. Błogosławię każdy dzień, który dane jest mi przeżyć.

Starsza mniszka nazywa się Charykleja, co znaczy urocza. Jej ojciec był szewcem i umiał czytać. Ale twarz jej nie uzasadnia imienia, jak mówi mój sługa Manuel. Przy jedzeniu odsłania bowiem chętnie przed nim swoje oblicze. Lubi mięso i wino. Jest tylko siostrą służebną i cieszy się, że małym zachodem może sobie napęłnić talerzyk na jałmużnę. Manuel wyjaśnił jej, że przed przyjściem Turków chcę wyrzec się swoich łacińskich herezji, aby móc się cieszyć ciałem Chrystusa w kwaszonym chlebie i czytać jedyne prawdziwe apostołskie wyznanie wiary bez dodatków. W tym celu, mówi, korzystam z nauki u siostry Anny.

Nie wiem, co ona myśli o nas. Ale wzięła Annę pod swoją opiekę i uważa ją za uczoną i szlachetną damę, której siostra służebna nie ma prawa robić uwag co do zachowania się.

Dziś Giustiniani posłał mnie do Złotej Bramy, bym nadzorował tam ćwiczenia bojowe. Anna i Chartykleja przyniosły mi koszyk z jedzeniem. Nie wzbudziło to żadnego poruszenia. Wielu innych tak samo dostało posiłek, gdyż daleka jest droga do miasta z marmurowej wieży Złotej Bramy. Młodzi mnisi musieli jadać posiłki w klasztorze świętego Jana Chrzciciela. Dostali dyspensę od postu i zrobili się w czasie ćwiczeń bojowych silni i ogorzali. Chętnie zakasują rękawy i odchylają czarne kaptury słuchając chełpliwych historii instruktorów. W wolnych chwilach śpiewają na wiele głosów greckie psalmy. To bardzo piękne.

Przez Złotą Bramę mogą przeciągać tylko cesarskie pochody triumfalne. Nie otwierano jej za ludzkiej pamięci. Teraz ostatecznie ją zamurowano na czas oblężenia. Usiedliśmy na trawie, w cieniu muru. Łamaliśmy chleb, pili i jedli ze sobą. Chartykleja zrobiła się senna, odeszła kawałek na bok i położyła się na spoczynek z twarzą zasłoniętą welonem. Anna zdjęła sandały. Twarda skóra obtarła jej stopy do krwi. Białe palce stóp wsunęła głęboko w trawę.

— Tak wolna i szczęśliwa jak obecnie nie czułam się od dzieciństwa — powiedziała.

Na promiennym wiosennobłękitnym niebie krążył wysoko w górze sokół. Cesarscy sokolnicy wypuszczają czasem swoje ptaki, żeby polowały na tureckie gołębie pocztowe. Tak jakby to się na coś przydawało. Powoli, wypatrując czegoś, krążył sokół po niebie.

Anna przeciągnęła smukłym palcem wskazującym po trawie i powiedziała nie patrząc na mnie:

— Nauczyłam się współczucia dla ubogich ludzi.

Ludzie mają zaufanie do mnisiego kaptura — ciągnęła po chwili, wciąż nie patrząc na mnie. — Zwierzają się ze swoich trosk i ze swojego strachu. Mówią do mnie jak do równiej sobie. Nigdy przedtem tego nie przeżywałam. Na co to wszystko, mówią. Wojownicy sultana są nieprzeliczeni. Jego działa mogą skruszyć najgrubsze mury jednym strzałem. Cesarz Konstantyn jest odstępca i oddał się we władzę papieżowi. Sprzedał pierworództwo i swoje miasto łacinnikom za miskę soczewicy. Po co to wszystko? Sultan nie zagraża naszej wierze. W jego miastach greckim kapłanom wolno opiekować się swoimi gminami. Zabrania tylko używania dzwonów kościelnych

i kołatek klasztornych. Pod opieką sułtana wiara nasza byłaby zabezpieczona przed heretyckimi łacinnikami. Turcy nie niepokoją biednych ludzi, dopóki posłusznie płaci się podatki, których żądają. A podatek, którego domaga się sułtan, jest dużo mniejszy od cesarskiego. Dlaczego lud ma zginąć albo pójść w niewolę tylko dla korzyści cesarza i łacinników? Jedyne bogacze i wielmoże mają powody bać się Turków. Tak otwarcie mówi wielu zmartwionych ludzi.

Wciąż jeszcze nie patrzyła na mnie. Zesztywniałem. Czego właściwie chciała ode mnie? Dlaczego mówiła tak ze mną?

— Czy rzeczywiście jest konieczne, by nasze miasto zostało zniszczone i splądrowane albo też stało się lennem łacinników? — zapytała. — Wszyscy ci mali ludzie pragną tylko żyć, pracować własnymi rękami, wydawać dzieci na świat i zachować swoją wiarę. Czyż jest w końcu sprawa tak wielka, by warto było dla niej umrzeć? Oni mają tylko to jedno życie. To jedno skromne ziemskie życie. Żal mi ich.

— Mówisz jak kobieta — wtrąciłem.

Zesztywniała.

— Jestem kobietą. Cóż w tym złego? — zapytała. — Kobieta też ma rozum i mądrość. Były czasy, kiedy miastem tym rządziły kobiety. Zawsze były to czasy lepsze niż za rządów mężczyzn. Gdyby kobieta mogła stanowić i dziś, odesłalibyśmy stąd łacinników z ich bronią i galerami i niechby sobie zabrali i cesarza.

— Raczej turban turecki niż mitra papieska, nieprawdaż? — zapytałem drwiąco. — Mówisz językiem swojego ojca.

Spojrzałem na nią i powziąłem straszliwe podejrzenie.

— Anno — powiedziałem. — Sądziłem, że cię znam, ale może tak nie jest. Czy to prawda, że zostałeś w mieście bez wiedzy ojca? A może twój ojciec wie o tym? Czy możesz na to przysiąc?

— Obrażasz mnie! — wykrzyknęła. — Czemuż miałabym przysięgać? Czy moje słowa nie wystarczą? I jeśli mówię językiem mego ojca, to dlatego że zaczęłam go lepiej rozumieć niż dawniej. Jest większym mężem stanu niż cesarz. Kocha swój lud bardziej niż ci, którzy dla sprawy łacinników gotowi są obrócić miasto w ruinę i pozwolić narodowi zginąć. Jest moim ojcem. Nikt inny nie odważył się przeciwstawić cesarzowi i głośno wykrzyknąć swego zdania w dniu, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Pozwól mi być dumną z mego ojca.

Twarz jakby mi zdrętwiała, nawet wargi miałem zimne i sztywne.

— To była nędzna i tania demagogia — odrzekłem wolno. — Niegodne szukanie popularności. Wcale się nie przeciwstawił. Przeciwnie, poszedł z prądem. Wygrał chwilową korzyść, ale poniósł szkodę na duszy. Gdyż nie był to strzał przypadkowy, lecz wyrozumno-wana próba podburzenia ludu.

Anna wpatrywała się we mnie, jak gdyby nie wierząc własnym oczom.

— Czyż więc rzeczywiście jesteś zwolennikiem unii? — zapytała. — Czyż więc jesteś w sercu łacinnikiem? A więc twoja grecka krew to kłamstwo?

— A gdyby tak było? — zapytałem. — Kogo wybrałabyś wtedy, swego ojca czy mnie?

Patrzyła na mnie mając policzki tak blade i kąciki ust tak ściągnięte, że zbrzydła w moich oczach. Przez moment zdawało mi się, że mnie uderzy. Ale opuściła rękę i strzepnęła nią bezradnie:

— Nie wierzę ci. Nie jesteś łacinnikiem. Ale co w takim razie masz przeciwko memu ojcu?

Całe moje opanowanie znikło zmiecione zazdrosnym powątpiewaniem i wściekłością.

— Czy to ty pytasz, czy też on? — krzyknąłem szorstko. — Czy to on posłał cię, żeby mnie wypróbować, ponieważ sam nie zdołał przeciągnąć mnie na swoją stronę?

Anna poderwała się i strąciła gwałtownie kilka źdźbeł trawy z drogi, tak jakby chciała otrząsnąć się ze mnie. Bliska była łez. Brązowa pogarda w jej oczach paliła mi duszę.

— Tego nie przebaczę ci nigdy! — wykrzyknęła i pobiegła na oślep, zapominając o sandałach: uderzyła bosą stopą o kamień, potknęła się, upadła i wybuchnęła szlochem. Nie pobiegłem za nią. Nie czułem żadnego współczucia dla jej płaczu. Nieufność wrzała we mnie mętными wirami i podchodziła mi do gardła niczym żółć. Może udawała. Może miała nadzieję, że ustąpię i ugnę się, żeby osuszyć jej oszukańcze łzy.

Po chwili podniosła się z opuszczoną głową i otarła łzy z twarzy rękawem. Charykleja usiadła i przyglądała się nam zdumiona.

— Zapomniałam o sandałach — rzekła Anna zgaszonym głosem i schyliła się po nie. Postawiła na nich stopę. Jej stopy krwawiły. Odwróciłem od nich wzrok.

— Poczekaj — powiedziałem. — Musimy o tym pomówić obszerniej. Znasz mnie, ale nie wiesz o mnie wszystkiego i nigdy się nie dowiesz. Mam prawo nie ufać ludziom, nawet tobie.

— Sama przecież to sobie wybrałam — odparła z zaciśniętymi zębami, usiłując wyrwać mi sandały. — Ja, głupia, sama to sobie wybrałam. Wyobrażałam sobie, że mnie kochasz.

Wziąłem jej głowę w obie ręce i podniosłem siłą ku sobie, mimo że się opierała. Była silniejsza, niż sądziłem, ale zmusiłem ją, aby odwróciła do mnie twarz. Zamknęła oczy, żeby mnie nie widzieć. Tak gorzko nienawidziła mnie w tej chwili. Prawdopodobnie naplułaby mi w twarz, gdyby nie była tak dobrze wychowana.

— Musimy to zbadać od podstaw — powtórzyłem. — Nie ufasz mi więc, Anno Notaras?

Syknęła do mnie w swej bezsilności. Łzy pociekły jej spod powiek i toczyły się wolno po policzkach. Ale zdołała powiedzieć:

— Jakże mogłabym tobie ufać, skoro ty mnie nie ufasz? Nigdy cię o to nie podejrzewałam.

— Dlaczego powiedziałaś przed chwilą to, co powiedziałaś? — odparłem. — Może nie mówiłaś za swego ojca. Cofam to i proszę cię o wybaczenie. Ale czy w takim razie podejrzewasz w głębi serca, że mimo wszystko jestem na służbie sultana? Tak jak w to wierzy twój ojciec? Jak sądzą wszyscy? Z wyjątkiem Giustinianiego, który jest mądrzejszy od was wszystkich. Inaczej nie mówiłabyś tego. Chciałaś wystawić mnie na próbę?

Zmięknęła trochę.

— To, co powiedziałaś, było rozsądne — odrzekła. — Chciałam uporządkować własne myśli. Może chciałam też dowiedzieć się, co ty myślisz. Ale nie uczyniłam tego w żadnym złym zamiarze. Tak w każdym razie mówią ludzie. Nie możesz tego zmienić.

Puściłem ją. Żałowałem swojej gwałtowności. Schyliła się po sandały.

— Temu gadaniu trzeba położyć kres — rzekłem gwałtownie. — Ten, kto tak mówi, jest zdrajcą, nawet jeśli czyni to nieświadomie. Przynosi to korzyść tylko sultanowi. Nie zna on miłosierdzia. Nie wątpię, że nie szczędzi aluzji i obietnic, które każe rozgłaszać swoim wysłannikom. Ale nie zamierza dotrzymać więcej jak to, co odpowiada jego celom. Jedyne, co szanuje, to odwaga. Uległość uważa tylko za tchórzostwo, a dla słabych i tchórzliwych nie ma miejsca w jego państwie. Kto mówi o poddaniu albo pokłada nadzieję w sultanie, kopie sobie własny grób.

Czyż nie rozumiesz tego ukochana — wykrzyknąłem potrząsając nią za ramiona — że on zamierza zrobić z Konstantynopola swoją stolicę, miasto tureckie, i

przemienić kościoły w meczety?! W jego Konstantynopolu nie ma miejsca dla Greków, chyba że dla niewolników. Dlatego musi on zniszczyć greckie państwo do gruntu. Tego właśnie chce. Niczym mniejszym się nie zadowoli, bo i dlaczego. Chce panować i nad Wschodem, i nad Zachodem. Dlatego nie ma innego wyboru, jak bić się, bić się do ostatniej kropli krwi, bić się nawet, jeśli nie ma żadnej nadziei. Jeżeli tysiącletnie królestwo ma zginąć, niech ginie przynajmniej z honorem. To jedyna prawda. Byłoby lepiej, gdyby matki w tym mieście rozbijały dzieciom głowy o kamień, zamiast mówić o poddaniu. Ten, kto schyli głowę przed sułtanem, schyla się przed mieczem katowskim, czy jest bogaty, czy biedny. Wierz mi, ukochana, wierz mi. Znam sułtana Mehmeda. Dlatego wolę szukać śmierci u was, niż iść za nim. Nie chcę żyć dłużej niż grecki Konstantynopol.

Potrząsnęła głową. Łzy gniewu i upokorzenia błyszczały jeszcze w jej brązowych oczach. Policzki jej gorzały. Była jak młoda dziewczyna, która dostała nie zasłużone cięgi od nauczyciela.

— Wierzę ci — rzekła. — Muszę ci chyba wierzyć. Ale nie rozumiem tego.

Wyciągnęła z wahaniem rękę. Daleko, w kierunku, który wskazywała, ponad bezkresnym morzem szarych i żółtych domów, majaczyła błękitem olbrzymia kopuła kościoła Mądrości Bożej. Zatoczyła ręką wokoło. Po drugiej stronie pola ruin widniały niezliczone inne kopuły kościelne nad morzem budynków. A tuż obok nas wznosił się stary oświetlony słońcem mur, złotobrazowy od starości, wyższy niż najwyższe domy kamienne, i ciągnął się na północ aż poza zasięg widzenia, przez wzgórza i doliny, zamykając olbrzymie miasto w swoim opiekuńczym objęciu.

— Nie rozumiem cię — powtarzała. — To miasto jest zbyt duże, zbyt stare, zbyt bogate, nawet w ubóstwie i upadku, by można je było zniszczyć i splądrować. Setki tysięcy ludzi mają tu swoje domostwa. Wszystkich nie można przecież zabić ani sprzedać jako niewolników. Konstantynopol jest zbyt duży, by można go było zapełnić Turkami. Przed stu, dwustu laty byli rozbójnikami i pastuchami. Potrzebują nas, żeby móc zbudować trwałe państwo. Sułtan jest człowiekiem oświeconym, który mówi po grecku i po łacinie, dlaczego miałby nam życzyć źle, jeśli uda mu się zdobyć miasto? Tego nie rozumiem. Nie żyjemy już w czasach Czyngis-chana czy Tamerlana.

— Nie znasz Mehmeda. — Nie mogłem inaczej odpowiedzieć, bez względu na to, jak mało przekonywająco to brzmiało. — Czytał on wszystko o Aleksandrze Wielkim: greckich dziejopisów, arabskie baśnie. Węzeł gordyjski był zbyt zawikłany, by można go było rozwiązać. Konstantynopol jest węzłem gordyjskim Turków.

Nierozwiązalny splot Wschodu i Zachodu, greckości i łacińskości, nienawiści i nieufności, tajnych i jawnych intryg, złamanych i dotrzymanyh układów, całej wieloletniej krętej polityki Bizancjum. Ten węzeł można rozwiązać tylko cięciem miecza. Nie ma winnych ani niewinnych. Jest tylko lud, który idzie pod miecz.

Pamiętam rozpalone oblicze Mehmeda i błysk w jego żółto mieniących się oczach, kiedy czytał greckie opowiadanie o węźle w Gordion i od czasu do czasu pytał mnie o jakieś słowo, którego nie rozumiał. Sułtan Murad żył wtedy jeszcze. Tłusty, melancholijny, obrzmiały od trunków człowieczek o sinich wargach i policzkach i ciężkiej zadyszce. Zmarł przy stole w czasie uczty wśród swoich drogich poetów i uczonych mężów. Był prawy i miłosierny i wybaczał nawet wrogom, gdyż był zmęczony wojną. Zdobył Tessalonikę, był zmuszony oblegać Konstantynopol, zwyciężył pod Warną, ale sam nigdy nie chciał wojny. Wojna była dla niego odstręczająca. Ale na następcę tronu spłodził bestię. W ostatnich latach życia sam był tego świadomy. Trudno mu było patrzeć synowi w oczy, tak obcy był dla niego Mehmed.

Jakżeż jednak mogłem być mówić o tym wszystkim i wytłumaczyć to, w co sam wrosłem mocno w ciągu siedmiu lat?

— Sułtan Murad nie wierzył we władzę — powiedziałem. — W jego oczach władca był niczym więcej jak ślepcem wyznaczonym do prowadzenia innych ślepców. Instrumentem, środkiem dla narastających sił i nacisków, narzędziem, które nie zdoła ani pokierować zdarzeniami, ani ich powstrzymać. Cieszył się pięknem życia, kobietami, poezją i winem. Na starość zwykł był chodzić z różą w dłoni i głową zamroczoną winem i nawet piękność stawała się czężą marnością w jego oczach. Wierzył, że jest tylko pyłem i prochem. Wierzył, że cały wszechświat jest tylko pyłkiem kurzu w topieli pustki. Odprawiał jednak modły, szanował islam i jego nauczycieli, kazał budować meczety i założył uniwersytet w Adrianopolu. Jego współcześni patrzyli na niego jak na męża pobożnego i budowniczego państwa. On sam jednak uśmiechał się tylko melancholijnie, gdy ktoś chwalił jego politykę i zwycięstwa.

Murad nie wierzył we władzę — powtórzyłem. — W jego oczach życie, nawet życie władcy, było tylko iskrą, którą wiatr niesie w ciemność i gasi. Ale Mehmed wierzy. Wierzy, że swoją wolą może panować nad wydarzeniami. Ma więcej inteligencji i intuicji od Murada. Wie. Dla niego nie ma ani tego, co słuszne, ani co niesłuszne, ani prawdy, ani kłamstwa. Gotów jest brodzić w krwi ludzkiej, jeśli to sprzyja jego zamiarom.

Anna uniosła dłoń.

— Co chcesz mi udowodnić? — zapytała niecierpliwie.

— Ukochana — powiedziałem — usiłuję tylko w ubogich i niewystarczających słowach wyrazić, że kocham cię nade wszystko na świecie. Kocham cię rozpaczliwie i niepokieszenie. Jesteś moją Grecją. Jesteś moim Konstantynopolem. W spełnianiu się czasów Konstantynopol musi ulec zagładzie, podobnie jak twoje ciało zostanie kiedyś zniszczone, gdy przyjdzie twój czas. Dlatego miłość ziemiska jest przeraźliwie smutna. Kiedy kochamy się nawzajem, jesteśmy więźniami czasu i przestrzeni w sposób bardziej gorzki niż kiedykolwiek indziej. W tobie mieszka tęsknota czasu, rozpaczliwa tęsknota do wszystkiego, co doczesne, do trwania.

Ukochana — ciągnąłem — kiedy widzę przed sobą twoją twarz, trupia czaszka prześwieca przez twoje policzki. Przez delikatną skórę widzę odznaczający się szkielet, tak jak wtedy, gdy w miłości budził mnie słowik pod murem cmentarnym. Miłość jest powolną śmiercią. Kiedy cię obejmuję, kiedy całuję twe usta, całuję śmierć. Tak szaleńczo, tak straszliwie kocham cię.

Ale ona nie rozumiała. Toteż powiedziałem:

— Uderzyłaś się w stopę z mego powodu. Przysparzam ci tylko bólu i cierpienia. Pozwól mi dopomóc ci.

Podniosłem jej sandały. Oparła się na moim ramieniu i zaprowadziłem ją opodal do wielkiej cysterny z wodą. Trudno jej było iść, osty kłuły miękkie podeszwy jej stóp. Podpierałem ją i chyliła się ku mnie. Jej ciało ufało mi, choć myśli krnąbrnie i dumnie wzburzyły się przeciwko mnie.

Usadowiłem ją na skraju cembrowiny i umyłem jej nogi. Zmyłem krew z jej poranionych stóp. Oplukałem je. Aż nagle okropnie pobladła, jak gdyby przejął ją jakiś ból, i odsunęła się ode mnie.

— Nie rób tak — powiedziała. — Nie rób tak. Nie wytrzymam tego.

Była w mojej nocy. Gdzieś w dali grał jakiś pastuch na fujarce. Przenikliwy, cienki dźwięk krajał mi serce. Słońce paliło. Musnąłem dłonią jej białą łydkę. Jej skóra była żywa i ciepła. Gdybym przycisnął ją do siebie i pocałował, nie mogłaby się bronić. Nawet gdyby chciała. Ale ona nie bała się mnie. Patrzyła na mnie swym nagim brązowym spojrzeniem.

— Wstań — powiedziałem. — Oprzyj się o moje plecy, zawiążę ci sandały.

— Pali mnie twarz — rzekła. — Cera mi szcerwieniła, bo nie ukryłam twarzy przed tobą. Moje stopy poczerwieniały, bo chodziłam bosą bez względu na pogodę.

Błogosławię każdy dzień, który mi dany jest przeżyć.

Gdy już poszła, i dalej ćwiczyliśmy po południu, daliśmy ognia z ciężkiego działa na koronie muru. Giustiniani chciał oswoić nieprzywykłych rekrutów z hukiem, błyskiem i zapachem prochu, by zobaczyli, że strzał armatni jest bardziej przeraźliwy niż niebezpieczny. Jeden z techników cesarskich kazał ustawić i umocować działo na murze. Strzał został też oddany według wszelkich obliczeń i działo wyrzuciło kulę kamienną dużą jak ludzka głowa wysokim łukiem ponad murem zewnętrznym i fosą, po drugiej stronie której kula upadła tak, aż ziemia zadrżała. Ale jeszcze mocniej zadrżał wielki mur. Pojawiła się w nim szczelina i posypały się na ziemię duże kamienie. Nikt nie został zraniony, ale w jakiś sposób potwierdziło to przecież opinię Giustinianiego, że wszelkie armaty są niebezpieczniejsze dla tych, co ich używają, niż dla wroga. Mimo to wydarzenie owo wywarło przygnębiające wrażenie. Mnisi i rzemieślnicy patrzyli na szczelinę w murze nie wierząc własnym oczom. Dowodziła ona, że przekonanie, jakoby mur był nie do zdobycia, jest tylko złudzeniem.

Za murami cała okolica jest pusta jak okiem sięgnąć. Drzewa zwalono, żeby poprawić widoczność, i pniaki po cyprysach i platanach bielą się na brązowej i zielonej ziemi. Nawet drzewa owocowe ścięto, a wszystkie domostwa zrównano z ziemią, ażeby nie zostawić oblegającym osłony ani drewna. Gdzieś daleko za horyzontem wznosił się ku wiosennemu niebu czarny słup dymu, jak z płonącego domu. Ale poza tym nie było widać ani znaku życia w pustym krajobrazie.

Mostu zwodzonego jeszcze nie zerwano. Kazałem więc otworzyć częściowo zamurowaną bramę i wysłałem kilku ludzi po kule armatnie. Nawet najbieglejszy kamieniarz potrzebuje więcej niż dnia, by uformować twarde kamień w kulę takiej średnicy. Umieściłem łuczników w wieży i za blankami zewnętrznego muru zupełnie tak, jakby chodziło tu o prawdziwy wypad. Wysłani czuli się niepewnie i rozglądali się przestraszeni wokoło, gdy tylko znaleźli się poza osłoną murów. Ale szybko nabrali odwagi i wykopali kulę i przynieśli ją z sobą z powrotem.

Kilku z nich wykopało się dla ochłody w fosie wciąż jeszcze świeżej i czystej, gdyż dopiero niedawno została wykopana i napełniona wodą. Ma ona ponad trzydzieści kroków szerokości i tyleż głębokości. Napełniono ją przez zręcznie wymurowane podziemne przewody wodą z morza i z wielkich cystern w różnych częściach miasta. Fosa przegrodzona jest w wielu miejscach za pomocą tam, tak że nie

może opróżnić się skutkiem upływu wody, i oddziela mury i miasto od lądu stałego niczym długi rząd sadzawek. Pod Blachernami kończy się, grunt spada tam zbyt stromo ku zatoce portowej. Zamiast tego mury i wieże są tam potężniejsze, a budynki pałacowe wchodzi w skład fortyfikacji obronnych i tworzą jedną całość z twierdzą aż do samego brzegu.

Ale ten wielki mur pękł dzisiaj od jednego tylko wystrzału oddanego z działa na jego koronie.

18 marca 1453

Nie rozmawiamy już ze sobą o polityce. Zachowujemy swoje myśli dla siebie. Jej ciało mi wierzy. Jej serce nie.

Uważałem za swój obowiązek powiedzieć Giustinianiemu, co ludzie mówią. Nie poruszyło go to wcale. Patrzył na mnie jak na durnia.

— Naturalnie, żaden rozsądny człowiek nie chce wojny — powiedział. — To całkiem oczywiste, że kobiety chcą zachować swoich mężczyzn, domy i dobytek. Gdybym ja sam był kupcem czy chłopem, snyczerem czy przedzalnikiem jedwabiu, nie wszczynałbym wojny za nic w świecie. Ale w rzeczywistości lud nie znaczy nic. Dziesięciu zakutych w żelazo mężów może utrzymać w ryzach tysiąc ludzi. To pokazali nam już Rzymianie. Lud nie ma żadnego znaczenia. W razie potrzeby krzyczy to, czego został nauczony. Jest jak wół, prowadzony do szlachtuza z zawiązanymi oczami.

Pierwszą rzeczą, którą zrobiłem otrzymawszy buławę protostratora, było zwołanie zebrania i spisanie wszelkiej broni w mieście — ciągnął. — Konfiskata dotyczyła w równej mierze wysoko, jak i nisko postawionych. Synowie archontów musieli oddać inkrustowane kością słoniową kusze, a rzeźnicy topory. Co dzień po ćwiczeniach zbiera się broń na nowo. Tylko strażnikom na posterunkach wolno zatrzymać uzbrojenie. Każdy inny może ćwiczyć taką bronią, jaką zechce, ale nie wolno mu jej zabierać do domu. Nie uzbrojony lud nie jest niebezpieczny. Przybyłem do miasta, które kipiało nienawiścią i nieufnością do łacinników. Przemieniłem je w spokojne i miłujące porządek miasto, którego ludność pilnie ćwiczy się, by go bronić pod łacińskim przywództwem. Już to samo jest militarnym osiągnięciem, nieprawdaż? Nie, nie troszcz się o lud, Jeanie Ange. Będzie on bić się o swoje życie, a ja dopilnuję, by nikt nie miał czasu pomyśleć o zdradzie, gdy walka już się zacznie.

To nasi żeglarze, którzy tylko się wałkonią, stanowią o wiele większe zagrożenie — ciągnął. — Ich samowola wyrządza szkody i drażni i łacinników, i Greków. — Rzucił mi rozbawione spojrzenie i zatarł swoje duże łapska. — Kosztowało mnie wiele trudu namówienie cesarza, by zaprzęgnął żeglarzy do roboty — mówił. — Dlaczego miałby najmować bezużytecznych ludzi za trzy tysiące dukatów miesięcznie? Greccy robotnicy chcą zapłaty za każdy kamień, który podnoszą na mury, i za każdy koszt ziemi, który przenoszą z miejsca na miejsce. Jest to całkiem słuszne i naturalne. To biedni ludzie, którzy muszą wyżywić siebie i swoje rodziny. Ale każda łopata kosztuje cesarza pieniądze, podczas gdy żeglarze dmuchają tylko we flety i biją w bębny i dzień w dzień hasają na swoich okrętach. Cesarz nie chce poróżnić się z weneckimi szyp-rami, a ci ze swej strony chronią swych ludzi przed wszelkim wysiłkiem, który nie służy samym okrętom. Teraz jednak wreszcie doprowadziłem do tego, że Aloisio Diego mianowany został głównodowodzącym floty.

Głównodowodzącym całej floty i portu — powtórzył z naciskiem nowinę. — A to oznacza, że jutro wczesnym rankiem wszystkie wielkie galery wpłyną do Złotego Rogu i zakotwiczą pod Blachernami, w Kynegionie. Tam leżą przygotowane łopaty, kilofy i kosze na ziemię. I zadaniem załóg będzie wykopanie fosy od Bramy Drzewnej aż do wieży Anemasa, gdzie teren jest równy. Byłoby szaleństwem z naszej strony pozwolić Turkom tak blisko portu podczołgać się prawie aż do murów Blachern. Albo też kopać chodniki pod pałacem. Dowiedziałem się, że sułtan posiał nie tylko po serbskich jeźdźców, ale także po serbskich górników.

Bez wątpienia Giustiniani dostał także inne wiadomości o sułtanie, skoro jeszcze w ostatniej chwili uważa za konieczne rozpoczęcie tak olbrzymiej pracy jak wykopanie nowej fosy. Ale ja nie przywiązywałem do tego zbyt wielkiej wagi. Najbardziej zaskakującą nowiną było, że Łukasz Notaras został pominięty w dowództwie. W gruncie rzeczy jest samo przez się zrozumiałe, że armatorzy i szyprowie łacińskich statków nie godzą się na greckie dowództwo. Ale dziwiło mnie to, że cesarz właśnie teraz ważył się wyrządzić wielkiemu księciu tak krwawą obelgę.

— Łukasz Notaras tydzień po tygodniu czekał na próżno na naradę z tobą — powiedziałem. — Nie pytając go o zdanie pominąłeś go teraz. Jak śmiałeś to zrobić?

Giustiniani rozłożył ręce i wykrzyknął żywo:

— Przeciwnie, przeciwnie. To w pełnym porozumieniu z cesarzem Konstantynem jego doradcy i ja doszliśmy zgodnie do wniosku, że tak doświadczony i ważny strateg jak Łukasz Notaras powinien dostać godne siebie miejsce w obronie

miasta. Cóż mógłby on zdziałać w czasie oblężenia ze swoimi zgniłymi dromonami, skoro łacinnicy chcą sami dysponować własną flotą? Nie, Notaras dostał awans. Otrzymuje do obrony poważną część muru.

Nie wierzyłem uszom.

— Czyście poszaleli?! — wykrzyknąłem. — Dlaczego wiedziecie go na pokuszenie? To niesłuszne i wobec niego, i wobec miasta. Wypowiedział się przecież otwarcie, że wołałby podlegać sułtanowi niż papieżowi.

Giustiniani łypnął wesoło okiem na mnie i na moją wzburzoną minę.

— Nie możemy nic na to poradzić — rzekł. — To całkiem dobrowolna i jednogłówna decyzja. Łukasz Notaras otrzyma dowództwo nad więcej niż czwartą częścią muru miejskiego. Kimżeż jesteśmy, żebyśmy mieli kogoś odrzucać z powodu jego uczciwych przekonań! Wszelka wewnętrzna nieufność musi ustąpić. Podajemy mu braterską dłoń, żeby wspólnie, ramię przy ramieniu, bronić tego cudownego miasta.

— Czyś pijany? — zapytałem. — Czy cesarz Konstantyn stracił resztkę rozumu?

Giustiniani udał, że uciera łzę z kącika oka. Trudno mu było opanować się.

— Po tym wywyższeniu będzie z pewnością łatwiej megaduksowi Łukaszowi Notarasowi przełknąć utratę dromonów — ciągnął dalej wykrzywiając twarz. — Pierwszym krokiem Aloisia Diego w sprawie obrony portu będzie usunięcie wszystkich małych i z innych względów niezdatnych okrętów. Dlatego też galery cesarskie zostaną pozbawione takielunku i wyciągnięte na ląd. Załoga ich będzie pożądanym wzmocnieniem odcinka murów oddanego pod dowództwo Notarasa. Nie sądzę bowiem, bym mógł wyzbyć się dla niego jakichś innych oddziałów.

Nie niepokój się — kontynuował. — Jest wiele innych statków, które zostaną zatopione albo osadzone na mieliźnie przy brzegu. Gdyby miały one wyrwać się z portu albo ulec pożarowi w czasie walk, mogłyby uszkodzić okręty wojenne. A zatopione albo niezdatne do użytku nie będą też wodzić nikogo na pokuszenie, zachęcając do ucieczki z miasta, gdyby sprawy miały ułożyć się źle. W ten sposób wychodzimy z wolna na czyste wody. Aloisio Diego to mądry chłop, choć to Wenecjanin.

— Ależ to znaczy pchnąć megaduksa prosto w ramiona sułtana — powiedziałem. — Zwabicie go na drogę, na którą może mimo wszystko jako Grek i patriota wahałby się wkroczyć. Odbieracie mu port i okręty, które wystawił własnym

kosztem. Wprowadzacie już rozgoryczonego człowieka w jeszcze większe rozgoryczenie. Nie rozumiem cesarza i twojej polityki.

— Wcale nie zabieramy mu portu — bronił się Giustiniani udając niewinność. — Przeciwnie, będzie bronił właśnie muru portowego. Od koncesji weneckiej aż do Blachern, całego wewnętrznego muru. Co najmniej pięć tysięcy kroków. Ja sam zadowolę się całkiem skromnie może tysiącem kroków muru lądowego.

Nie musiałem patrzeć na mapę, by zrozumieć, co miał na myśli. Gdyby łańskie okręty broniły wejścia do portu, żaden atak nie mógłby zagrozić muirowi portowemu wzdłuż Złotego Rogu. Całego tego długiego odcinka mogła strzec garść wartowników, którzy by nadzorowali ruch w porcie. Ta część muru byłaby najbezpieczniejsza w czasie oblężenia, chyba że Turcy mieliby skrzydła. Dowództwo nad nią było bez znaczenia.

Kiedy wreszcie zrozumiałem sens tego wszystkiego, Giustiniani wybuchł donośnym śmiechem, skręcał się i stękał, i bił się obiema pięściami po kolanach.

Rozumiesz teraz — wyjąkał ocierając łzy. — To ogromna część fortyfikacji obronnych. O ile większa niż ktokolwiek inny może dostać pod swoje dowództwo. Notaras zmuszony jest robić dobrą minę, choćby nawet w głębi duszy zdawał sobie sprawę, o co tu chodzi. I naturalnie on to rozumie. Nie jest przecież głupi.

— Okazujecie mu największą nieufność pod pozorami honorowego wyróżnienia — powiedziałem. — Może to i mądrze. Być może! Giustiniani przestał się śmiać i spojrzał na mnie pytająco.

— Pozbawiamy Notarasa możliwości zdrady — rzekł poważnie.

— Kiedy oblężenie już się zacznie, będzie on przywiązany do swego odcinka muru i nie może nam zadać ciosu sztyletem w plecy, nawet gdyby zechciał. Dlaczego nie jesteś zadowolony? Przecież ty sam ostrzegałeś mnie przed Notarasem?

Według wszelkiego rozumowania miał słuszość. Według wszelkiego rozumowania znalazł najdelikatniejszy sposób unieszkodliwienia Notarasa. Dlaczego więc mimo wszystko nie jestem zadowolony?

19 marca 1453

Wpłynęły więc wielkie galery do portu Kynegion z powiewającymi proporczykami, rykiem rogów i łomotem bębnow. Żeglarze i żołnierze okrętowi zesli

na ląd w dobrym szyku, dostali kilofy, łopaty i kosze i w zwartych oddziałach wymaszerowali pod własnymi banderami przed mur koło pałacu Hebdomona. Tam czekał na nich cesarz, na koniu, odziany z złoto i purpurę, i przywitał ich.

Trasa, ponad dwieście kroków, była z góry odmierzona i szyprowie wbili sztandary w ziemię w wyznaczonych miejscach. Fosa miała mieć osiem stóp głębokości, nie była to więc zbyt wielka robota dla blisko dwóch tysięcy ludzi. Na znak cesarza słudzy wybili dna z dziesiątków beczek i każdy mógł przyjść i wziąć sobie miarkę wina. Nic zatem dziwnego, że ludzie przystąpili do pracy śpiewając i zaczęli współzawodniczyć ze sobą w kopaniu i napełnianiu ziemią koszy, które inni znów zabierali i biegiem odnosili, by wzmacniać mur zewnętrzny. Zrobił się ruch i ożywienie i zebrało się dużo ludności, by się przyglądać. Obecność cesarza zachęciła szyprów, szturmanów i właścicieli statków, tak że osobiście brali udział w pracach.

O zachodzie słońca wszystko było prawie gotowe i tylko niewielkie pasmo lądu dzieliło fosę od wody. Co prawda nie może ona mierzyć się z wielką fosą, której grube ściany są obmurowane cegłą, ale i tu boki mają być wzmocnione palami i kamieniami, żeby woda ich nie podmyła.

25 marca 1453

Dwie doby temu sułtan wyruszył z Adrianiopola. Teraz jest to już tylko kwestia dni.

26 marca 1453

Anna Notaras powiedziała do mnie:

— Tak dalej być nie może.

Nie spieramy się już. Zbyt ciężkie chmury zebrały się nad naszymi głowami. Oczekiwanie dławi każdego i ciąży na sercu jak kamień. W ten sposób czekałem raz na kata przykuty do kamiennego muru. Ale wtedy nie miałem nic do stracenia i nic do oplakiwania. Teraz miałbym stracić Annę.

— Tak, to prawda — przyznałem. — Ktoś się wreszcie zacznie zastanawiać. Mogą cię rozpoznać. Ulica ma oczy, a kolumny uszy. Twój ojciec każe zabrać cię z powrotem do domu.

— Ojca się nie boję — odrzekła. — Chroni mnie moja suknia mniszki. Nie, nie o tym myślałam.

Spacerowaliśmy po przylądku, w cieniu platanów Akropolu, i odpoczywaliśmy na słońcu wyciągnięci na poźółkłych marmurowych schodach. Jaszczurka przebiegła po kamieniach. Morze Marmara błyszczało jak srebro. Bosfor otwierał się przed nami jak ciemnoniebieska wstęga między pokrytymi wiosenną zielenią wzgórzami. Po drugiej stronie portu wznosiły się mury Pery. Na wieży powiewała flaga genueńska z krzyżem.

Charykleja nie dotrzymywała nam towarzystwa. Prała odzież i zabawiała Manuela strumieniem pobożnych legend o świętych. Dużo wina szło w moim domu w tych dniach. Ale Anna i ja nie czuliśmy się już dobrze w mej izbie. Niepokój wypędzał nas pod gołe niebo. Ufaliśmy szczęściu. Tak łatwo mogła przecież zostać rozpoznana.

— Nie, to nie o tym myślałam — powtórzyła. — Rozumiesz dobrze, co mam na myśli.

Słońce spaliło jej czoło na czerwono. Przeciągnęła opalone na brąz ramiona i przebierała palcami nóg w trawie. Jej policzki płonęły, a usta uśmiechały się. Ale jej brązowe oczy były smutne.

— Moja szata mniszki jest przecież przebraniem — powiedziała. — Nie jestem żadną mniszką. Teraz kiedy porzuciłam mój dom, obyczaje, rodzinę, wychowanie, jestem zdrowsza i szczęśliwsza niż kiedykolwiek przedtem. Jedzenie smakuje mi lepiej. Nigdy nie czułam tak rozkosznie wiatru w płucach. Żyję. Istnieję. Posiadam ciało. Wypełnia mnie jego niepokój.

— Szanowałem twoją suknię — bąknąłem sztywno.

— Aż nadto — rzekła z wyrzutem. — Szanowałeś moją sukienkę aż za bardzo. Boisz się popełnić świętokradztwo. Nie śmiesz mnie dotknąć.

— Wystarczy mi to, co jest — odparłem. — Jesteśmy ze sobą. Mam czterdzieści lat. Kocham cię. Nie ma miłości bez pożądania. Ale moje pożądanie jest jak jasny, czysty płomień. Nie muszę cię dotykać.

Mięła swój rękaw.

— Nie ma miłości bez pożądania. Może masz słuszość. Może to niewarte zachodu. Ale moje bezwstydné ciało wmawia mi, że jednak warte. Kiedy kładziesz dłoń na moim kolanie, drzę na całym ciele. Dlaczego teraz już tego nie robisz?

— Nie jestem aniołem — rzekłem. — Nie wierz w to.

— Twoje opanowanie jest bardzo silne — odparła. — A więc już na ciebie nie działałam?

Uniosła nogę i pogładziła, jakby dotykając drogiej tkaniny, gołe kolano, przypatrując mi się przy tym spod opuszczonych powiek. Ale gdybym jej był dotknął, wyrwałaby mi się. Wiedziałem. Mówiła tak tylko po to, by mnie dręczyć.

— Popeliłam wielki grzech, kiedy zawiodłam zaufanie ojca — ciągnęła. — Sądziłam, że zdołam to odkupić przywdziewając strój mniszki i uczestnicząc w modłach w klasztorze. Nie zamierzałam spotkać się z tobą. Łudziłam się, że po jakimś czasie dam sobie ostrzyć włosy i przyoblekę welon. Powiedz mi, ukochany, czy ludzie zawsze kłamią przed sobą, żeby uzyskać to, czego pragną.

— Człowiek jest niepoprawnym kłamcą — powiedziałem. — Wierzy w to, na co ma nadzieję, i uważa za słuszne to, czego pragnie. Ale w sercu nie może jednak oszukać siebie samego.

— Johannesie Angelosie — rzekła z namysłem. — Uważam, że byłoby najlepiej dla nas obojga, gdybyś chciał się ze mną ożenić.

— Położyła mi dłoń na ustach, żebym nie mógł mówić. — Wprawdzie kościół łaciński udzielił ci sakramentu ślubu, a żona twoja żyje, ale to nic nie znaczy. Jeśli zechcesz wyrzec się herezji i wygłosić jedyne prawdziwe wyznanie wiary, możesz otrzymać chrzest na nowo. Jest mnóstwo kapłanów, którzy chętnie uznaliby twoje poprzednie małżeństwo za nieważne i dali ci ślub choćby po to, by podrażnić łacinników.

— I jakież miałyby to wtedy znaczenie? — zapytałem. — W sercu jestem poślubiony pani Ghicie. Nie chcę złamać sakramentu. Mego serca nawet sam papież nie może zwolnić z małżeństwa, skoro kiedyś zawarłem je z wolnej woli.

Anna patrzyła na mnie spod spuszczonego rzęsu z nienawiścią we wzroku.

— Więc ona znaczy dla ciebie więcej niż ja — powiedziała. — Cóż mogę poradzić na to, że przetrwonileś życie w ramionach innej kobiety i że ci się to sprzykrzyło. Nie potrafisz się nawet śmiać. Nie, nie umiesz się śmiać. Gdybyś umiał, ożeniłbyś się ze mną. Dlaczego nie chcesz mi dać spokoju sumienia? Sam nie masz przecież nigdy spokojnego sumienia bez względu na to, co robisz.

— Nie miałybyś wcale spokoju sumienia — odparłem. — Małżeństwo bez zgody twego opiekuna, pod fałszywym albo niepełnym nazwiskiem, nie miałyby żadnego znaczenia. Zarówno przed świeckim, jak i przed kościelnym trybunałem mogłoby w każdej chwili zostać unieważnione.

— Unieważnione, tak — odparła — ale byłby to spór prawny. A nie zbrodnia. Dlaczego nie moglibyśmy zawrzeć małżeństwa w dobrej wierze, choćby nawet potajemnie. Mogłabym wtedy przenieść się do ciebie do domu. Rankami budziłabym się naga pod tą samą kołdrą, co ty. Czy nie warto, żebyś dla tego nagiął trochę twoje sztywne sumienie.

Wpatrywałem się w nią.

— Jesteś moim grzechem — rzekłem. — Mój grzech stanie się tylko większy, jeśli złamię dla ciebie święty sakrament. W sercu popełniam cudzołóstwo, gdy tylko patrzę ci w oczy albo dotykam twojej dłoni. Już kiedy zobaczyłem twoje oczy po raz pierwszy, poznałem cię i serce otwarło mi się dla grzechu. Dlaczego nie chcesz mnie zrozumieć?

— Dlaczego nie możesz być tylko człowiekiem i potargować się trochę ze swoim sumieniem? — nie ustępowała. Ale równocześnie czerwieniła się coraz silniej i silniej. Rumieniec rozszerzył się na całą jej szyję.

— Kocham cię za każdym razem, kiedy patrzę na ciebie — wyznała. — Chyba tak jest. W sercu moim zgrzeszyłam już z tobą, jakkolwiek według świeckiego prawa jeszcze nie zrobiłam nic złego. Czy nie rozumiesz, że chcę zabezpieczyć ciebie i siebie, tak żeby nikt nie mógł nas oskarżyć przed prawem, gdyby doszło do czegoś między nami?

— Bóg niech będzie nam miłościwy! — wykrzyknąłem. — Jeśli pójdziemy z sobą do łoża, grzech nasz nie będzie chyba ani większy, ani mniejszy od tego, że kościół pobłogosławi nasz związek. To sprawa między tobą i mną. Tylko wobec siebie nawzajem jesteśmy odpowiedzialni. Ale czy choć jeden raz próbowałem zwabić cię do łoża? Przynajmniej za to nie możesz mnie obarczać winą.

— Oczywiście, żeś próbował. Oczywiście. Dłońmi. A zresztą ta sprzeczka jest głupia i niepotrzebna, gdyż mówimy o różnych rzeczach. Ty wsiadasz zaraz na wielkiego konia, jak wszyscy mężczyźni, i mówisz o zasadach, podczas gdy ja, jako praktyczna kobieta, mówię o tym, jak najlepiej można by tę sprawę załatwić bez naruszenia moralności i dobrych obyczajów bardziej, niż to konieczne.

Wpatrywałem się w nią zdumiony.

— Uważasz więc poza tym sprawę za rozstrzygniętą?

— Naturalnie — odparła zezując na mnie przez rzęsy, jakby delektowała się moim wzburzeniem.

— W takim razie — rzekłem — co nas u diabła obchodzą moralność i dobre obyczaje. Jesteśmy przecież dorosłymi ludźmi. Wnet Turcy staną pod bramą miasta. Potem zagrzmia działa. Potem przyjdzie strach i śmierć. To chyba obojętne, czy będziemy formalnie poślubieni, czy nie, kiedy spotka nas śmierć.

— Dziękuję, mój ukochany, dziękuję — odparła z udaną radością. — Jeśli to dla ciebie obojętne, w takim razie ja jako kobieta wybieram naturalnie małżeństwo.

Sięgnąłem po nią, ale rzuciła się w bok i pociągnęła mnie za sobą w trawę. Jej oczy uśmiechały się drwiąco. Śmiała się głośno, opierając mi się ze wszystkich sił. A kiedy przygniotłem ją do ziemi, napięła całe ciało, przycisnęła dłonie do mojej piersi i szeptała z zamkniętymi oczyma:

— Nie, Johannesie Angelosie, nigdy w życiu. Gwałtem nie dostaniesz mnie nigdy. Nie prędejj, nim odrzucisz swą łacińską herezję i pobłogosławi nas grecki kapłan.

Nasze zapasy były podniecające i rozkoszne. Aż nagle zeszytniała i zbladła, otworzyła oczy i wpatrzyła się we mnie rozszerzonymi czarnymi źrenicami. Naraz wbiła zęby w moje ramię i ugryzła mnie z całej siły, jak gdyby chciała wyrwać kawał ciała. Krzyknąłem z bólu i puściłem ją.

— Masz — wymamrotała. — Teraz mi wierzysz. Chcesz mnie dręczyć?

Usiadła, przyglądała włosy i siedziała spokojnie z dłońmi przyciśniętymi do policzków.

— Czy to ja — mruczyła wpatrując się przed siebie — czy to ja jestem Anną Notaras? Ja, co tarzam się w trawie pod łacinnikiem jak dziewczka z tawerny w stajni. Nigdy, nigdy bym tego o sobie nie pomyślała.

Potrząsnęła głową. Nagle uderzyła mnie w twarz i szybko się poderwała. Zrozumiałem ją. Wina była po mojej stronie.

— Nigdy, nigdy więcej nie chcę cię oglądać — powiedziała przez zaciśnięte zęby. — Nienawidzę cię bardziej niż czegokolwiek na świecie. Nienawidzę twoich oczu i twoich ust, i twoich dłoni. Ale najbardziej nienawidzę twego sumienia. I tego jasnego płomienia. Jak możesz pozwolić sobie na to, by pleść takie bzdury.

Poprawiłem na sobie odzież. Milczałem.

— Masz słuszość, Anno — powiedziałem w końcu. — Tak dalej być nie może.

Czy napisałem, że już się więcej nie kłócimy?

31 marca 1453

Ostatni dzień w tym miesiącu. Niebawem wszystko przeminie.

Cesarz nie waży się czekać dłużej. Dziś żeglarze wykopali ostami kawałek fosy i napełnili ją wodą. Może prowizoryczna obudowa z pali i kamieni wytrzyma tak długo, jak będzie potrzeba.

W trakcie roboty żeglarze zerkali często w stronę wzgórza. Nie było już słychać fletów ani bębnow i nawet flag nie było. Cesarz miał na sobie srebrny hełm i pancerz i wjechał sam na jedno ze wzgórz razem z oddziałem strażniczym. Ale Turków nie było widać. Ich wojsko jest wielkie i porusza się powoli.

Wenecjanie ze swoją dwunastoosobową radą na czele wkroczyli dziś do pałacu cesarskiego. Cesarz powierzył im obronę czterech bram Blachern i oddał im klucze. Sam odpowiada nominalnie za bramę św. Romana. W rzeczywistości broni i jej, i doliny rzeki Lykos aż do bramy Charisiosa Giustiniani. Od dziś panuje pełne pogotowie, a warty zostały wielokrotnie wzmocnione. Mimo to większość załogi mieszka jeszcze w kwaterach wewnątrz miasta.

Po naszym ostatnim spotkaniu Anna Notaras nie opuszczała klasztoru przez trzy dni. Nie wiem, czy to mnie, czy siebie chciała ukarać. Trzeciego dnia przyszła sama Charykleja ze swoim drewnianym talerzykiem, usiadła swobodnie przy stole w kuchni i zaczęła żałośnie narzekać na kapryśność młodych kobiet. Manuel przyniósł jej jedzenie z tawerny naprzeciwko i po dłuższym certowaniu się zjadła je z apetytem. Wyglądało to tak, jakby uważała, że nadużywa naszej gościnności, jeśli jest bez Anny. Toteż osobiście nalałem jej wina, aby pokazać, że jest mile widziana nawet sama. Wzbraniała się przerażona, przeżegnała się znakiem krzyża i wypła trzy duże puchary.

— Siostra Anna modli się o wskazanie jej drogi — wyznała. — Siostra Anna boi się pokusy w twoim domu.

— Ten, kto się boi pokusy, już się jej poddał — odparłem.

— Bardzo mi przykro to słyszeć, siostrzo Charyklejo. Pozdrów ją i powiedz, że w żaden sposób nie zamierzam nikogo wodzić na pokuszenie ani gorszyć. Powiedz jej, że jeśli chodzi o mnie, może trzymać się z daleka od mego domu.

— E, tam — prychnęła siostra Charykleja. Moje słowa wcale nie przypadły jej do gustu. — To tylko kaprysy. Któraż kobieta wie właściwie, czego chce. Udziałem kobiety jest znosić różne pokusy na tym świecie. I najlepiej też spotykać je dzielnie, z wysoko podniesioną głową, i nie schodzić im tchórzliwie z drogi.

Ojciec Charaklei opowiadał jej wszystkie stare greckie baśnie i mity, jakie znał. Ma ona żywą wyobraźnię i lubuje się z całej duszy w snuciu dalej wątku baśni o Annie i o mnie. W głębi serca jest urodzoną kuplerką tak jak wszystkie kobiety. Ale bez złych zamiarów.

Nie wiem, co powiedziała Annie, ale nazajutrz Anna przysła z nią znowu. Gdy tylko weszła do mojej izby, odrzuciła głowę do tyłu i zsunęła kaptur mniszki. Znowu odziała się jak szlachetna światowa dama. Umalowała wargi i policzki i ufarbowała brwi i rzęsy na niebiesko. Minę miała wyniosłą i zwracała się do mnie jak do kogoś obcego.

— Siostra Charakleja twierdzi, że cierpiałeś z powodu mej nieobecności — powiedziała chłodno. — Mówiła, żeś schudł i pobladł przez te parę dni, tak że nawet w oczach pojawił ci się dziki i gorączkowy blask. Nie chcę naturalnie, żebyś chorował z mojego powodu.

— W takim razie kłamała — odparłem równie chłodno. — Niczego mi nie brakowało. Przeciwnie, po raz pierwszy od dawna odczuwałem błogi spokój. Nie musiałem słuchać docinków, które raniły niepotrzebnie moje serce.

— To prawda, to prawda — syknęła zaciskając zęby. — Co ja tu właściwie robię. Nie wygląda na to, żeby ci czegoś brakowało.

Najlepiej pójdę już sobie. Chciałam tylko na własne oczy przekonać się, że nie jesteś chory.

— Nie odchódź tak zaraz — poprosiłem szybko. — Manuel przygotował dla Charyklei konfitury i ciasto. Pozwól biednej kobiecie się pożywić. Wikt klasztorny jest chudy. Sama masz też zapadnięte policzki i wyglądasz na niewyspaną.

Podeszła spiesźnie do mego weneckiego zwierciadła.

— Nie widzę żadnej skazy na mojej twarzy — rzekła.

— Tak ci błyszczą oczy — bąknąłem. — Nie masz chyba gorączki? Pozwól, że dotknę twojej szyi.

Cofnęła się.

— Oczywiście, że nie pozwolę — oburzyła się. — Spróbuj tylko, a uderzę cię.

W chwilę potem leżała w moich ramionach. Całowaliśmy się i pieścili w dzikim pragnieniu. Całowaliśmy się tak, że zapomnieliśmy o czasie i miejscu. Kaptur mnisi nie chronił jej już. Dysząc całowała mnie żarliwie, pieściła moją głowę i ramiona, obejmowała mnie mocno w pasie. Ale moje pożądanie płonęła na próżno. Jej wola i dziewiczość czuwały nawet wtedy, gdy miała oczy mocno zamknięte. Dopiero gdy zacząłem słabnąć, otwarła je, odsunęła mnie od siebie i rzekła ze zwycięską dumą:

— Widzisz, przynajmniej mogę cię dręczyć, jeśli już nic więcej.

— Dręczysz w równym stopniu samą siebie — odparłem z oczyma jeszcze wilgotnymi od łez namiętności.

— Nie wierz w to — odparła. — Dopóki wiem, że potrafię przemienić twą radość w ból, rozkoszuje się tym, co robię. Zobaczysz, kto z nas dwojga jest silniejszy. Z początku byłam zbита z tropu skutkiem braku doświadczenia, ale stopniowo nauczyłam się trochę twoich zachodnich obyczajów.

Drżącymi rękami zaczęła porządkować odzież i układać włosy przed zwierciadłem.

— Nie myśl, że jestem tak naiwna, iż możesz zrobić ze mną, co zechcesz — mówiła z przekornym uśmiechem. — Tę pomyłkę popełniłam na początku i wtedy grałeś na mnie jak na kitarze. Teraz moja kolej grać na tobie. Zobaczymy, jak długo to wytrzymasz. Jestem kobietą dobrze wychowaną i dorosła też jestem, jak na to wiele już razy wskazywałeś. Mnie nie uwiedzisz tak, jak uwodzi się pierwszą lepszą dziewczkę z oberży.

Była jak odmieniona. Sam jej głos był ostry i pełen drwiny. Wciąż dygotałem. Nie mogłem jej nic odpowiedzieć. Patrzyłem tylko na nią. Rzuciła mi kokieteryjne spojrzenie przez ramię. Smukła biała szyja. Niebieskie łuki brwi. Jej głowa wychylała się jak kwiat z drogocennej szaty. Hiacyntowy zapach jej policzków trwał jeszcze na moich dłoniach.

— Nie poznaję cię — rzekłem w końcu.

— I ja sama siebie dobrze nie poznaję — przyznała w przystępie szczerości. — Nie wiedziałam, co się we mnie kryje. Widocznie zrobiłeś ze mnie kobietę, panie Jeanie Ange.

Podbiegła, chwyciła mnie obiema rękami za włosy, potrząsnęła mocno moją głową i pocałowała mnie w usta. Potem równie nagle mnie odepchnęła.

— To ty mnie taką zrobiłeś — rzekła miękko. — Budzisz do życia wszystkie moje złe cechy. Ale to wcale nie jest przykre obudzenie. Jestem ciekawa siebie samej.

Ujęła moją bezwładną dłoń i zaczęła w zamyśleniu pieścić ją koniuszkami palców.

— Słyszałam o obyczajach na Zachodzie — powiedziała. — Sam mi o nich opowiadałeś. Szlachetni panowie i damy mogą całkiem otwarcie kąpać się i igrać ze sobą. Piękne damy chodzą z odsłoniętymi piersiami i pozwalają, by ich przyjaciele witali je dworskim pocałunkiem w sam kwiatusek. Swawolne towarzystwa zabawiają się parami przy fletach i winie. Nawet żonaci pozwalają swoim żonom iść do łóżka i poddawać się pieścizdom dobrego przyjaciela, dopóki nic gorszego się nie dzieje.

— Masz dziwne pojęcie o zachodzie — powiedziałem. — W każdym kraju są ludzie lekkomyślni i zepsuci i ci mają swoje własne obyczaje. I to zarówno chrześcijanie, jak Turcy. W Wenecji i w Konstantynopolu. Dlaczego też ludzie tego pokroju tak chętnie podróżują pod różnymi pretekstami z kraju do kraju. Nawet pielgrzymki są tylko pretekstem dla wielu w tych trudnych i zepsutych czasach, kiedy wiara jest martwa i została z niej tylko powłoka. Im bardziej człowiek szuka rozkoszy, tym trudniej mu znaleźć rozrywki nowego rodzaju. W takich sprawach istnieją granice dla ludzkiej wynalazczości i człowiek jest zmuszony zadowalać się mocno ograniczonym światem swoich zmysłów. Kto nie pragnie niczego innego, pozostaje wiecznie nie zaspokojony.

Doprawdy dziwne pojęcie masz o Zachodzie — powtórzyłem. — Spotkałem tam wielu świętych mężów, bogaczy, którzy rozdali majątek biednym i poszli do klasztoru, szlachetnie urodzonych, którzy wyrzekli się swej pozycji, żeby żyć z jałmużny, uczonych, którzy niszczą sobie wzrok odczytując stare manuskrypty, książąt, którzy płacą fortuny za stary nadzarty przez szczury rękopis, astrologów, którzy spędzają życie na obliczaniu orbit ciał niebieskich i ich wpływu na los człowieka, kupców, którzy wynaleźli buchalterię, żeby w każdej chwili mieć obraz swego majątku. Śpiewający i grający głupcy są w każdym kraju. Tylko formy obcowania między mężczyznami i kobietami się zmieniają.

Wydawało się, że prawie nie słyszy moich słów. Wierciła się i obracała przed zwierciadłem, odpięła broszę i zsunęła sukienkę z ramion, obnażając piersi i przyglądając się przy tym z głową przekrzywioną krytycznie swemu odbiciu. Równocześnie obserwowała mnie bacznie w lustrze.

— Nie — rzekła — nie, moja wstydlivość zakazuje mi chodzić tak na oczach mężczyzn. Przynajmniej musiałabym najpierw zobaczyć, jak robią to inne kobiety. Może wówczas można by się szybko przyzwyczaić i nie byłoby już w tym nic złego.

— Kusisz mnie — rzekłem. W gardle zrobiło mi się sucho.

— Ależ skąd — odparła obojętnie i szybko podciągnęła suknię.

— Jakżeż bym mogła! Ciebie, który jesteś taki nieugięty i czysty? Jak taka niedoświadczona kobieta może ciebie kusić? Sam przecież mówisz, że musisz znaleźć nowego rodzaju rozrywki. Jakąż ja mogłabym ci zgotować odmianę?

Jej złośliwość oburzyła mnie, choć postanowiłem zachować spokój.

— Nigdy tego nie powiedziałem! — wykrzyknąłem. — To nie o sobie mówiłem. Przeciwnie. Zawsze raczej unikałem kobiet, niż czułem do nich pociąg. Zamącały mi tylko umysł, zaciemniały jasność myślenia. Dlatego chciałem trzymać się od nich z dala. Zacząłem nienawidzić ich błyszczących oczu i duszących pieszczot.

Anna Notaras odwróciła się i splotła ręce za plecami.

— Duszących pieszczot — powtórzyła. — Nienawidzę cię!

— Nie ciebie miałem przecież na myśli! — krzyknąłem przerażony. — Panie Boże, naturalnie nie myślałem o tobie!

— Wyżyty łacinniku! — syknęła. — Wydmuchana skorupko!

— Porwała swój mnisi habit i owinęła się nim, naciągnęła kaptur na głowę i welon na twarz. — Żegnaj — powiedziała — i dzięki ci za wszystkie dobre rady. Następnym razem będę mądrzejsza.

Nie była na mnie zła. Wiedziałem to, choć celowo rozdarła mi serce swoimi słowami. Nie odeszła w gniewie, lecz z zadowoleniem i z wysoko podniesioną głową. Sama powiedziała: następnym razem. I ja, nieborak, sądziłem, że znam ją tak, jakby była częścią mojej własnej istoty.

1 kwietnia 1453

Od wczesnego ranka brzmiały dzwony kościelne i kołatki klasztorne wzywając ludzi do modłów za miasto. Był promienny, piękny dzień, precudny poranek wiosenny. Olbrzymi łańcuch zaporowy leżał już gotów pod murem portowym. Pale zapory odnowiono, a ogniwa łańcucha naprawiono i wzmocniono. Leży on w zwojach na brzegu, ale mimo to sięga od wieży Eugeniusza aż do wieży św. Marka. Po nabożeństwie wielu niedzielnych spacerowiczów przyszło na brzeg, żeby popatrzeć na zapórę portową. Okrągło ociosane pale, które mają dźwigać łańcuch na powierzchni wody i wzmocnić go, są tak grube, że dorosły mężczyzna nie może ich objąć

ramionami. Ogniw są grubości mojej łydki, a postawione na sztorc sięgają mi do pól uda. Pale poszczepiano grubymi hakami. Słynny łańcuch zaporowy Joannitów przed wejściem do portu na Rodos to zabawka w porównaniu z tym. Nawet największy okręt nie zdoła go przerwać. Rodzice pokazywali łańcuch dzieciom, które bez trudu przelazły przez jego ogniwa. Nawet cesarz ze swoją świtą przyjechał do portu, aby obejrzeć zaporę. Jeden koniec łańcucha jest przykuty do skały koło wieży Eugeniusza.

Po południu obie mniszki trzymając się za ręce przyszły znowu do mego domu. Poranne nabożeństwo i widok łańcucha zaporowego dodały Charyklei nowej otuchy. Paplała bez przerwy i opowiadała Maneulowi, jak to wielu świętych i sama Matka Boska przez wieki chronili Konstantynopol i zmuszali Turków i innych napastników do ucieczki. Odkąd Turcy zbudowali twierdzę nad Bosforem, sam niebiański wódz archanioł Michał z płonącym mieczem przeniósł się z Bosforu do Konstantynopola, zapewniała. Wielu wiarygodnych świadków widziało go już w chmurach nad kościołem św. Apostołów. Jego szata była tak olśniewająca, że ludzie musieli zakrywać twarz i odwracać wzrok.

— Ile par skrzydeł miał? — dopytywał się żywo Manuel, by nareszcie uzyskać jasność w tej starej spornej sprawie.

— Nie było nikogo, kto by zdążył policzyć — odburknęła opryskliwie Charykleja. — Płomienny miecz oślepił ludzi i nikt przez długą chwilę nie widział nic, prócz rozżarzonych dysków na całym niebie.

W ten sposób gawędzili, a ja również brałem chwilami udział w rozmowie, gdyż była niedziela i piękna pogoda. Anna zaś stanowczo wzbraniała się wejść do mojej izby. Siedziała w milczeniu i była znowu całkiem odmieniona. Otulona od stóp do głów w czarny strój mniszki, twarz miała zakrytą i dłonie schowane w szerokich rękawach. Kiedy ją o coś pytałem, potrząsnęła tylko lekko głową, jak gdyby złożyła ślub milczenia. Tyle tylko mogłem dostrzec z jej twarzy, że była całkiem biała. Jej duże brązowe oczy patrzyły na mnie pełne wyrzutu. Otoczone były sinymi cieniami, a powieki miała napuchnięte, jakby płakała. Krótko mówiąc, robiła, co w jej mocy, żeby wzbudzić we mnie współczucie i wyrzuty sumienia. Kiedy usiłowałem wziąć ją za rękę, cofnęła ją z przerażoną miną. Podejrzewałem, że upudrowała się na białło i uszmiłkowała na niebiesko wokół oczu, tak nienaturalnie wyglądała.

Napiwszy się trochę więcej wina siostra Charykleja zerkała na nią od czasu do czasu, nie mogąc się powstrzymać od chichotu. Za każdym razem Anna rzucała jej

gniewne spojrzenie, tak że tamta zakrywała usta dłonią, ale po chwili chichotała znowu.

W końcu nie mogłem już tego dłużej znieść. Podszedłem do Anny, chwyciłem ją za przeguby rąk, poderwałem na nogi i zapytałem gwałtownie:

— Dlaczego udajesz? Co ta małpia gra ma oznaczać?

Udała przestraszoną, przyłożyła palec do warg i rzekła ostrzegawczo:

— Tss, słudzy cię słyszą.

Jakby poddając się czemuś nieuniknionemu, wzruszyła ramionami i poszła za mną do schodów, ale wzbraniała się znów stanowczo wejść do mojej izby.

— Nie, tego głupstwa nie powtórzę — powiedziała. — Muszę dbać o moją opinię. Co twój służący o mnie pomyśli?

A skóro mowa o służących — ciągnęła coraz bardziej porywczo — zachowujesz się tak, jakbyśmy już byli małżeństwem, obrażając mnie w obecności służby. I nie powinienesz też gadać o bzdurach z tą prostą kobietą, która fałszywie rozumie każde słowo. A może to ja ciebie źle zrozumiałam? Może to w niej się zakochałeś, a ja jestem tylko pretekstem, żebyś się z nią mógł spotykać potajemnie i dawać jej wino do picia i czynić z niej ofiarę twoich żądz, kiedy nie może się już bronić. Dlatego też nie odważyłam się puszczać jej tutaj samej, choć naturalnie najchętniej uniknęłabym oglądania więcej tego domu.

— Ach, Anno — rzekłem błagalnie — dlaczego jesteś taka? Nie wiem już, co mam myśleć o tobie. Czyś to ty oszalała, czy mnie zamroczyło?

— Naturalnie, naturalnie, obrażaj mnie i nazywaj zamroczoną — ciągnęła Anna bezlitośnie. — To moja własna wina, gdyż opuściłam dom i rodzinę i oddałam się w twoje ręce. Nie mogę nawet przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz słyszałam od ciebie życzliwe słowo. Nic ci się nie podoba. Jeśli ubiorę się stosownie do mego stanu i wychowania, traktujesz mnie jak dziewczkę. Jeśli staram się ciebie zadowolić i zachowuję się skromnie i z umiarem, przeklinasz mnie i obrażasz, sprawiasz mi ból swymi twardymi rękami i wleciesz mnie do swej izby, żeby dopuszczać się na mnie gwałtu. Przeklinaj mnie, jeśli koniecznie chcesz, ale najpierw wyjmij belkę z własnego oka.

— Zmiłuj się Boże, nade mną, który utknąłem w sieci takiej kobiety — jęknąłem wyczerpany i zrozpaczony. — Jestem chyba doprawdy łacinnikiem w sercu i nigdy nie potrafię zrozumieć Greczynki.

Zmięknęła trochę, rozwarła znowu szeroko swe przecudne oczy i odrzekła:

— Nie narzekaj na Greków. Ty po prostu nie rozumiesz kobiety. Może wcale nie jesteś żadnym hulaką ani uwodzicielem, tylko przeciwnie, całkiem niedoświadczonym mężczyzną. Dlatego też będę chyba zmuszona ci przebaczyć.

— Przebaczyć mi?! — wykrzyknąłem z furją. — Kto z nas ma tu właściwie coś do przebaczenia! Ale bardzo proszę, przebacz mi. Błagam cię o to pokornie, jeśli tylko zechcesz skończyć z tymi przeraźliwymi wymówkami i dokuczaniem. Nie wytrzymuję już tego. Dlaczego jesteś taka dla mnie?

Spuściła wstydliwie oczy, ale zerkała na mnie ukradkiem przez rzęsy.

— Dlatego, że kocham cię, panie Johannesie Angelosie — szepnęła miękko. — Dlatego, że kocham cię tak okropnie, iż chce mi się płakać, gdy tylko o tym pomyślę. I dlatego, że postępujesz tak dziecinnie. Ale to może właśnie dlatego kocham cię tak bardzo.

Wpatrywałem się w nią nie wierząc własnym uszom i nic nie rozumiejąc.

— Dziwna ta miłość — bąknąłem.

Poklepała mnie przyjaźnie po policzku.

— Mój przyjacielu, mój jedyny ukochany — powiedziała czule. — Dlaczego jesteś tak straszliwie uparty?

— Ja? Uparty? — Zaniemówiłem z gniewu, tak że musiałem przełknąć, żeby móc cokolwiek powiedzieć. — Przynajmniej nie jestem tak diabelnie kapryśny jak ty.

— Kapryśny? — zapytała, jakby poważnie zastanawiając się nad tym słowem. — Czyżbym rzeczywiście była kapryśna? No tak, równie prosta jak ty w tych sprawach nie jestem. Kobieta jest zazwyczaj trochę bardziej skomplikowana.

— Czegóż to chcesz ode mnie? — wykrzyknąłem. — Powiedz wreszcie!

— Tak legalnego małżeństwa, jak to w obecnych warunkach możliwe — odparła jasno, kładąc nacisk na każdym słowie. — Muszę myśleć o mojej dobrej sławie, o przyszłości, o mojej rodzinie i o ojcu.

Zacisnąłem pięści, aż paznokcie wbiły mi się w dłonie.

— Nie ma żadnej przyszłości — powiedziałem siłą nad sobą panując. — Postaraj się wreszcie zrozumieć, że twoje pochodzenie i pałac twego ojca, i twoja dobra sława, i wszystko inne wnet już nie będzie miało żadnego znaczenia. Tureckie armaty stoją o pięć tysięcy kroków od miasta. Jest ich tak wiele, że nie można ich nawet zliczyć. Nie mamy żadnej przyszłości, zupełnie żadnej, rozumiesz?

— Dlaczego w takim razie tak straszliwie się opierasz? — odrzekła zmuszając się, by słowa jej brzmiały równie spokojnie jak moje. — Jeśli już nie mamy czego

oczekiwać i nic nie ma żadnego znaczenia, dlaczego na Boga nie chcesz spełnić mego życzenia w tej małej nic nie znaczącej sprawie?

— Kościoły są zjednoczone — odparłem. — Staraj się to zrozumieć. Unia jest proklamowana. Łaciński ślub jest równoznaczny z greckim. Dlatego zламаłbym sakrament, gdybym świadomie z własnej woli wziął ślub po raz drugi. To sprawa zasadnicza. Panie Boże, nie zaparłem się swojej wiary nawet mając miecz na gardle. Równie haniebnie byłoby zrobić to teraz tylko dla kaprysu kobiety.

— W większości kościołów wciąż jeszcze czyta się wyznanie wiary bez dodatku — odparła uparcie. — Śluby i pogrzeby, chrzest i komunie święta odbywają się według starej formuły. Georgios Mammas jest fałszywym patriarchą, wyrzuconym ze świętego synodu patriarchów. Papież nie może go wywyżżyć. Jest on cieniem, któremu cesarz nadał godność. Prawdziwy kościół grecki jest ukryty za tym cieniem i wystąpi znowu, gdy nadejdzie czas. Przyłącz się do niego, a twoje sprzeczne z rozsądkiem poprzednie małżeństwo stanie się nieważne samo przez się, tak jakby nigdy nie istniało.

Bilem się w pierś pięściami i wyrywałem sobie włosy z głowy.

— Dlaczego przyszedłem na ten świat potępienia! — wykrzyknąłem gorzko. — Dlaczego nie mogę żyć tak jak chcę i jak mi nakazuje sumienie! Jakież to przekleństwo ciąży na mnie i na moim życiu? Czy i ty musisz nasyłać na mnie klechów i prawników, choć nawet cię nie dotknąłem.

— I nie dotkniesz mnie nigdy, choćby miało mnie to kosztować życie! — wybuchnęła. — To staje się sprawą zasad także i dla mnie, tak jak ty powtarzasz to wciąż bez końca. Żyj sobie, jak ci nakazuje twoje sumienie, ale wtedy będziesz żył i umrzesz samotny. Na ziemi żyjemy, a nie w tysiącletnim królestwie. Ten, kto chce żyć między ludźmi, musi zrezygnować z części siebie samego i dostosować się do innych. Opuściłam dla ciebie dom i ojca. Z czegoś musisz i ty ustąpić. Inaczej będę wiedziała raz na zawsze, że nie jesteśmy dla siebie stworzeni. Trzeba wybierać, sam to kiedyś mówiłeś. Wybieraj więc teraz. To twoja kolej. I takie jest moje ostatnie słowo!

Ze łzami gniewu w oczach wpadłem do izby, przypasałem miecz, wciągnąłem buty i chwyciłem pancierz.

— Żegnaj, Anno! — krzyknąłem przebiegając obok niej po schodach, by wyjść z domu. — Odtąd znajdziesz mnie na murze, a nie tutaj. Dostałaś jabłko, ale nie śmiesz go nadgryźć, żeby nie znaleźć w nim robaka.

— Masz tu swoje jabłko! — wykrzyknęła w odpowiedzi i rzuciła we mnie pierwszym przedmiotem, który wpadł jej rękę. Przypadkiem była to moja drogocenna szklana latarnia. Szkło rozprysło się na mojej głowie i poraniło mi kark i rękę. Ale w owej chwili nawet tego nie zauważyłem. Zatrzasnąłem za sobą drzwi, aż zadrżał cały dom.

Podbiegła i otworzyła je na nowo i krzyknęła za mną z niepokojem:

— Chyba nie stało ci się nic złego?

Nie odwróciłem się. Pędziłem ulicą, a pancierz szczekał mi pod ramieniem, jak gdyby ścigał mnie sam diabeł. Tak, kochałem ją ponad wszelki rozsądek.

4 kwietnia 1453

W poniedziałek założono łańcuch i zagrodzono wejście do portu od wieży Eugeniusza do Galaty w Perze. Port jest zamknięty. Żaden statek nie może już wypłynąć na morze. Łańcuch unosi się na wodzie wijąc się jak wielki wąż od brzegu do brzegu.

O zmroku cały północno-zachodni horyzont rozjaśnił się od łuny tureckich ognisk obozowych.

Opuściwszy dom udałem się do kwatery Giustinianiego przy bramie św. Romana. Łacinnicy wałkonią się w wieżach i strażnicach, warzą baraninę w kotłach, grają w karty i piją wino. Grecy śpiewają psalmy na wiele głosów i modlą się. Strażnicy czuwają na murach. Od czasu do czasu któremuś z nich zdaje się, że widzi cień poruszający się w ciemnościach, rzucają wtedy pochodnię albo posyłają za fosę płonąca strzałę. Ale przed murami jest pusto.

Wnet będzie koniec z warzeniem mięsa i kotły zostaną napełnione w zamian roztopionym ołowiem i wrzącą smołą.

Na murach ustawiono dużo szlang i wężownic, jak również pewną liczbę ciężkich bombard, które wypluwają duże kamienne kule wysokim łukiem. Ale jeszcze

ich nie próbowano. Proch oszczędza się dla hakownic i rusznic, które strzelają pociskami z ołowiu.

Technicy cesarscy ustawili także na murze zewnętrznym staroświeckie balisty i katapulty. Wyrzucają one wielkie bloki kamienne daleko za fosę, ale pociski te lecą wolniej niż kamienne kule bombard.

Jeśli pozwolić załodze wybierać między rusznicą i kuszą, to załedwie jeden na pięćdziesięciu wybiera rusznicę. Kusza jest i pewniejsza, i bezpieczniejsza.

Niebo mieni się czerwienią na północnym zachodzie i łacinnicy zakładają się między sobą, czy Turcy staną pod naszymi bramami już jutro. Napięcie wprawia wszystkich w niepokój i nikt nie sypia dobrze. Zawodowi żołnierze klną dużo i często. Razi to Greków, którzy trzymają się z dala od łacinników.

Gorycz i zwątpienie wkradają się do mego umysłu, gdy tak czuwam wraz z innymi. Nie mogę przestać myśleć o Annie Notaras. Nie mogę. To niemożliwe, żeby to tylko los tak niewzruszenie pchał mnie na tę drogę. Dlaczego ona tak uparcie chce się związać ze mną węzłem małżeńskim? Powinna przecież rozumieć, że mam powód, by odmawiać. Mam taki powód. Mam.

Gdybym zaparł się unii i wziął ślub z Anną Notaras, oznaczałoby to tylko, że ulegam ciemnej pokusie.

Dlaczego weszła na moją drogę? Czy nie było to z góry uplanowane? Czy rzeczywiście ojciec jej nie wie, że została w mieście? A może działają razem, ojciec i córka, w tajemnym porozumieniu? Ale Łukasz Notaras nie może przecież wiedzieć, kim jestem.

Dlaczego, dlaczego znalazła się na mojej drodze pod kościołem Mądrości Bożej? Moja wędrówka była wtedy taka prosta i jasna. Teraz umysł mam zamacony na nowo i myśli kłębią mi się w głowie. Czyż mam pozwolić, by mój duch uległ pokusie ciała? Ale miłość moja jest w równym stopniu duchowa, co cielesna. Taka jest moja wiara. Taka była moja wiara!

Jestem tylko człowiekiem, żadnym aniołem. Ale kolano Manuela ozdrowiało, kiedy położyłem dłoń na jego głowie.

Czyż nie powinienem jej nienawidzić? Ale ja ją kocham.

Wkrótce po wschodzie słońca chmury kurzu zaczęły wzbijać się nad drogami i ścieżkami prowadzącymi ku miastu. A potem z obłoków kurzu wyłoniły się pierwsze rozproszone oddziały Turków. Kiedy zobaczyli przed sobą mury, zaczęli wzywać Boga i Proroka i wymachiwać bronią. Groty oszczepów i krzywe miecze migotały czerwono wśród kurzu.

Giustiniani przysłał po mnie gońca. Cesarz i on stali konno koło bramy Charisiosa. Ze stu młodych greckich szlachciców czekało po obu stronach bramy z trudem hamując niespokojne rumaki, które grzebały kopytami i podrzucały głowy. Byli to ci sami młodzi ludzie, którzy śmieli się urągliwie w czasie przemówienia cesarza do łacinników. Ci sami, którzy zwykli byli grać konno w piłkę na Hipodromie. Piękni i dumni młodzieńcy, którzy uważali za niegodne siebie, by choć rozmawiać z łacinnikiem.

— Umiesz wszak jeździć konno, Jeanie Ange — rzekł do mnie Giustiniani. — Czy potrafisz także dać w róg?

Zdziwiony kiwnąłem potakująco głową.

— Chcesz się bić, no nie? — ciągnął Giustiniani. — Dobrze. Będziesz mógł się bić. Ale uważaj pilnie, żeby walka nie trwała za długo i żeby was nie okrążono. Krzyknij więc po grecku do tych przeklętych głupców, że każę powiesić każdego, kto nie usłucha trąby i nie zawróci, gdy zabrzmie sygnał. Nie możemy stracić ani jednego człowieka. Ma to być tylko demonstracja, a nie żaden wypad. Chcemy zrobić jedynie trochę zamieszania w tureckich kolumnach, nic więcej. Patrz pilnie na wieżę. Dam znak flagą, jeśli zagrozi wam niebezpieczeństwo oskrzydlenia.

Wziąłem trąbkę i zatrąbiłem. Ton był jasny i czysty. Ogniste rumaki stawały dęba. Zawołałem do młodzieńców, że nie chcę w żaden sposób im się narzucać, by dzielić z nimi chwałę. Ale z rozkazu protostratora mam im towarzyszyć, aby dać sygnał do odwrotu. Wspomniałem też, że jestem starszy od nich i że brałem już udział w walkach konnych jeszcze przed Warną.

Giustiniani przemawiał przyjaźnie do swego dużego bojowego rumaka, jakby coś mu tłumaczył. Potem podał mi wodze.

— Mój koń ochroni cię lepiej, niż może to zrobić twój miecz — powiedział. — Toruje on drogę przednimi kopytami w najgorszym choćby ścisku i potrafi w razie potrzeby przegryźć Turka na pół.

Był to doprawdy okrutny i wzbudzający postrach zachodnioeuropejski ogier bojowy, choć może nieco powolniejszy i mniej zgrabny od gorącokrwistych koni

greckich. Na szczęście zwierzęta czują do mnie szacunek. Inaczej bałbym się tego ogiera bardziej niż Turków. Giustiniani jest tak wysoki, że strzemiona nie były dla mnie odpowiednie, ale nie zdążyłem ich podciągnąć. Most zwodzony opadł z hukiem i loskotem i otworzono bramy.

Równając szeregi Grecy wyjechali z miasta, ale już na moście zwodzonym dali koniom ostrogę i popędzili pełnym galopem w zapalczwym współzawodnictwie. Jechałem za nimi po tętniącej ziemi. Mój wielki rumak był wściekły i dotknięty, że został na końcu, on, który przywykł do galopowania na czele. Toteż starał się pokazać od najlepszej strony, a ja czułem się równie bezpiecznie, jakbym siedział na grzbiecie słonia bojowego w drewnianej wieżyczce.

Pędziliśmy prosto ku oddziałowi piechoty, nadciągającemu drogą od Adrianopola. Gdy oddział ten spostrzegł jeźdźców, rozproszył się po obu stronach drogi. Nadleciały z jękiem pierwsze strzały. Młodzi Grecy rozsypali się po polu, jak gdyby grali w piłkę, każdy mając na oku jakąś turecką głowę. Mój koń stratował kopytami pierwszego trupa. Daleko na naszej flance zbliżała się pełnym galopem grupa tureckich spahisów w rozwianych na wietrze czerwonych płaszczach.

Pierwsi Turcy przerażeni odrzucili broń, aby móc szybciej uciekać. Byli to pojedynczy żołnierze straży przednich. Potem cała grupa zwarła się, wystawiła piki i wbiła je w ziemię, by powstrzymać konie. Grecy rzucili konie na boki, chcąc objechać oddziałek, ale mój koń bojowy wpadł ciężko między dzidy, połamał je jak patyczki w swoim napierśniku i stratował kopytami przerażonych Turków. Przybyłem, żeby się bić. I właśnie nadeszła okazja. Ale ci ludzie nie mieli nawet skórzanych kaftanów. Wołali głośno: "Allah, Allah!" Spostrzegłem, że sam też krzyczę: "Allah, Allah!", jak gdybym błagał ich Boga, żeby zmiłował się nad swoimi wiernymi.

Pole zasłały poszarpane trupy. Mój koń położył uszy po sobie, wbił zęby w brzuch młodego Turka, wytrząsł z niego życie i odrzucił na bok.

Tureckie kolumny zatrzymały się i popadły w rozsypkę. Grecy zawrócili konie i pędzili dalej. Dotarli do stoku i musieli zwolnić biegu. Strzały świszczą wiać wokół nas, ale jeszcze nikt nie spadł z siodła.

Rzuciłem wzrokiem w stronę miasta. Ozdobiona krzyżem flaga Giustinianiego wznosiła się i opadała szybko na drążku. Zadałem w róg. Raz, drugi i jeszcze wiele razy. Grecy udawali, że nie słyszą. Gdyby strome wzgórze nie zmusiło ich do zwolnienia, jechaliby chyba aż do Adrianopola.

W końcu udało mi się zebrać oddział i zawróciliśmy do miasta. Kiedy mijaliśmy rannych Turków, którzy wili się na ziemi obejmując głowy rękami, tu i ówdzie jakiś młody Grek schylał się z konia, by dla wprawy zadać cios łaski. Powietrze było ciężkie od duszącego odoru krwi i ekskrementów. Dzikim galopem, wzywając Allacha i wywijając krzywymi mieczami, zbliżali się spahisi, jeszcze w pewnym oddaleniu. Toczyli się na nas jak czerwona fala sztormowa. Coraz więcej młodzików oglądało się za siebie i niepostrzeżenie bodło konie ostrogami.

Ja się nie oglądałem. Patrzyłem na mury i wieże Konstantynopola. Staralem się widzieć je tureckimi oczami i już nie dziwiłem się, że piechota zatrzymała się w marszu na ten widok. Te żółte i brązowe mury z wieżami i blankami rozpościerały się daleko, jak okiem sięgnąć. Najpierw fosa z murem ochronnym. Za nią pierwsze niskie wały. Następnie mur zewnętrzny z wieżami, załogą i działami, mocniejszy niż którykolwiek z murów miejskich, jakie widziałem w Europie. Na nim stali w pogotowiu obrońcy. Ale za tym murem zewnętrznym wznosił się wyżej niż najwyższe domy kamienne wielki mur Konstantynopola ze swymi potężnymi wieżami. Trzy potężne stopnie obrony Konstantynopola. Nawet gdyby wrogowi udało się przełamać przez wały i mur zewnętrzny, stałby nadal zamknięty w ziejącym śmiercią wąwozie.

Gdy tak patrzyłem na te niebotyczne mury, poczułem po raz pierwszy przebłysk nadziei w sercu. Tylko trzęsienie ziemi może zwalić takie mury, myślałem.

I już mój koń kłusował po dudniącym zwodzonym moście. Szeregi spahisów z piórami, pancierzami i rozwianymi płaszczami zatrzymały się na odległość strzału z łuku za nami. Ledwie wjechaliśmy do miasta, jak już wybiegli cieśle, by zerwać most zwodzony. Murarze stali gotowi z ceglami i zaprawą, by zamurować bramę. Tak samo zerwano też cztery ostatnie mosty zwodzone i zamurowano ostatnie wielkie bramy. Pozostały teraz tylko ciasne furty wypadowe w wielkim murze. Klucze do nich cesarz powierzył łacinnikom.

Ze wszystkich stron nadciągali Turcy, rozsypywali się i zatrzymywali poza zasięgiem strzału. Za nimi pędzono wielkie trzody bydła. Także po drugiej stronie Złotego Rogu, na wzgórzach za Perą, pojawiły się nie kończące się kolumny marszowe. I tak trwało przez cały dzień. Wieczorem Turcy stali już tak gęsto od Złotego Rogu do morza Marmara, że nawet zając nie mógłby się prześliznąć między nimi. Ale całe wojsko zatrzymało się w odległości paru tysięcy kroków. Z murów Turcy wyglądali jak mrówki.

Mały, tak, mały jest człowiek wobec tysiącletniego olbrzymiego muru. Ale czas pochłania wszystko. Nawet najpotężniejszy mur upada pewnego dnia. Wtedy zmieniają się epoki.

6 kwietnia 1453

Jest piątek, święty dzień islamu. Rano sułtan Mehmed jeździł w jasnym słońcu z wieluosobową świtą wzdłuż muru. Trzymał się poza zasięgiem strzału i nie można było rozróżnić jego twarzy, ale poznałem go po postawie i dumnie niesionej głowie. Po strojach i nakryciach głowy poznawałem też wysoko postawionych mężów w jego świecie.

Ani jedna strzała, ani jeden pocisk nie padł z żadnej strony. W nocy Turcy zabrali trupy zarąbanych podczas wypadu. Gdy sułtan przejechał wzdłuż muru, zawrócił i wjechał na wzgórze naprzeciw bramy św. Romana. Tam czekał na niego olbrzymi namiot z baldachimami. Niezliczeni saperzy zajęci byli umacnianiem wzgórz i palisadami.

Nie zsiadając z konia sułtan wysłał teraz herolda ze znakiem pokoju przed bramę. Śpiewnym głosem herold wywołał cesarza Konstantyna i zaofiarował mu pokój. Jego greczyzna była łamana, ale nikt się nie śmiał. Cesarz Konstantyn wszedł do wieży na wielkim murze i pokazał się heroldowi. Miał na głowie złocistą pałakowatą koronę i otoczony był ceremonialną świtą.

Sułtan Mehmed stosował się do nakazów Koranu i ofiarowywał pokój oraz dawał słowo, że wszystkim będzie darowane życie, jeśli miasto podda się bez oporu. Była to ostatnia szansa wielkiego wezyra Halila, partii pokojowej, by doprowadzić do rokowań. Myślę, że Mehmed, kiedy siedział tak nieruchomo w siodle daleko na wzgórzu, bardziej niż czego innego obawiał się, że jego oferta zostanie przyjęta.

Cesarz Konstantyn kazał Francesowi powtórzyć posłanie, które sułtan otrzymał już w Adrianopolu. Cienki dworski głos Francesa nie sięgał daleko. Łacinnicy Giustinianiego znużyli się szybko słuchaniem i zaczęli miotać obelgi na herolda w zwykły żołnierski sposób. Także Grecy zaczęli krzyżeć, a w końcu podniósł się uparty, bezustanny krzyk wzdłuż całego muru. Grecy nabrali odwagi, gdy usłyszeli własny głos, oczy im zabłyśły, a policzki poczerwieniały. Kilku kuszników zaczęło żwawo

napinać kusze. Ale cesarz Konstantyn podniósł dłoń i surowo zakazał strzelać do sultańskiego wysłannika, który stał pod ochroną znaku pokoju.

Herold zawrócił, a kiedy dotarł do sultana, słońce stało już wysoko na niebie. Nadeszła godzina południowej modlitwy. Mehmed zsiadł z konia. Rozpostarto przed nim modlitewnik i wbito w ziemię dzidę w kierunku, w którym leży Mekka. Sultán uchwycił prawą ręką lewy przegub dłoni i schylił głowę, przyklęknął na dywanie i przycisnął czoło do ziemi przed swoim Bogiem. Przepisane ablucje opuścił, gdyż znajdował się w polu i wody i tak by nie starczyło dla niezliczonych wojowników. Wiele razy przyciskał czoło do ziemi, a całe wojsko od morza Marmara do Złotego Rogu uklęknęło i dotykało czołem do ziemi w takt jego poruszeń. Był to jak gdyby jeden ogromny żywy i ruchliwy dywan, pokrywający ziemię aż po horyzont.

Jakby w odpowiedzi zaczęły dzwonić dzwony we wszystkich kościołach w mieście, a mnisi w klasztorach zawtórowali im kołatkami. Ten stuk i dźwięk przepełniły miasto ufnością i niosły się przez pola aż do Turków przeszkadzając im w modłach.

Odczytawszy kilka wersetów Mehmed wyciągnął ramiona i ogłosił oblężenie. Ci, co słyszeli jego słowa, powtarzali je wielkim głosem i krzyk ten ogarniał coraz to nowe szeregi i otoczył miasto niczym huk morza.

— Oblężenie rozpoczęło się! — wołali Turcy i zaraz całe wojsko zaczęło wymachiwać bronią i zbliżać się biegiem do muru, by od razu ruszyć do szturm. Barwne oddziały toczyły się wielkimi falami i wnet można było z murów rozróżnić morze rozwartych ust i rozwrzeszczanych twarzy. Widok ten był tak przemożny i przerażający, że niedoświadczeni Grecy cofnęli się ze swoich stanowisk i nawet łacinnicy zaczęli napinać łuki i wyciągać miecze.

Ale Turcy zatrzymali się w dobrym szyku około tysiąca kroków od murów, poza zasięgiem strzału z dział, i zaczęli kopać nieprzerwany rów wokół miasta, dźwigać kamienie i wznosić palisady dla ochrony swego obozu. Tylko kilku janczarów podbiegło do fosy i wyzwalo Greków na pojedynki. Oficerowie gwardii cesarskiej żarliwie prosili cesarza o pozwolenie im na pokazanie swej biegłości we władaniu bronią. I nawet wśród zakutych w żelazo żołnierzy Giustinianiego znaleźli się tacy, którzy chcieli zmierzyć się z janczarami na dwuręczne miecze przeciw krzywym szablom. Ale Giustiniani zakazał surowo wszelkiej brawury.

— Czasy turniejów już minęły — powiedział. — Nie ma sensu, by dobry żołnierz narażał życie w pojedynku o chwałę. Zostałem tu wezwany, by prowadzić wojnę, a nie dla zabawy.

Wydał zimno rozkaz najlepszym strzelcom, by dobrze wycelowali hakownice i kusze i oddali salwę. Czterech janczarów zginęło od strzał i ołowianych kul. Pozostali wpadli w furję z powodu tego naruszenia czci i dobrych obyczajów i tocząc pianę z ust głośno wołali nazywając Greków i łacinników tchórzami, którzy tylko spod osłony murów odważają się strzelać do dzielnych mężów. Lecz kiedy padło dalszych dwóch janczarów, pozostali opamiętali się, podnieśli trupy poległych towarzyszy i usiłowali zabrać je ze sobą. Strzelano już teraz wzdłuż całego muru i wielu zginęło. Ale nowi janczarowie nadbiegali nieustannie, by zbierać trupy nie troszcząc się o kule i strzały. Żadnego z zabitych nie pozostawiono pod murem, tylko kilka krwawych plam barwiło trawę.

Podczas gdy wojsko tureckie kopało rowy i budowało palisady, Giustiniani objeżdżał mur zewnętrzny usiłując ustalić liczbę Turków. Janczarów, którzy rozbili obóz wokół sułtana, było dwanaście tysięcy, wiedzieliśmy to już przedtem. Spahisów, regularnej jazdy, co najmniej tyleż samo. Giustiniani przypuszcza, że liczba stosunkowo dobrze uzbrojonych, częściowo przybranych w pancerze regularnych żołnierzy sięga stu tysięcy. Do tego dochodzi równie wielka liczba pospolitego ruszenia, biedaków, którzy na wezwanie sułtana przyłączyli się do wojska z religijnego zapału i żądzy rabunku i którzy są odziani tylko w szmaty i lachmany i uzbrojeni w miecze albo proce. Niektórzy z nich mają ponadto wąską, pokrytą skórą tarczę drewnianą. Tylko około jednej czwartej ludzi sułtana nosi watowane skórzane kaftany.

Turków jest przeraźliwie dużo, ale Giustiniani uważa, że wartość bojowa lekkich oddziałów jest nieznaczna. Po swojej przejażdżce nie był ani odrobinę przygnębiony. Zastanawiał się tylko, gdzie zatrzymały się słynne działa sułtana.

By dodać otuchy obrońcom, cesarz Konstantyn kazał w porozumieniu z Aloisio Diego, by załogi galer weneckich z rozwiniętymi sztandarami przemaszerowały w paradnym szyku na murze zewnętrznym od końca do końca. Przy dźwięku piszczałek i bębnow potężna chorągiew z lwem św. Marka powiewała na wietrze. Był to bez wątpienia poważny sukces dyplomatyczny cesarza, gdyż sułtan musiał sobie teraz zdać sprawę, że znajduje się w stanie wojny także i z Wenecją.

Jeszcze nim zapadł wieczór, stało się oczywiste, za jaką cenę dokonana została ta demonstracja. Cesarz Konstantyn wyprowadził się ze strażą przyboczną z Blachern

i rozbił obóz koło kwater Giustinianiego w środku muru. Do opuszczonego pałacu wkroczył wenecki bailon na czele weneckiego garnizonu i swoich ochotników. Wieczorem flaga św. Marka powiewała obok purpurowej chorągwi cesarza. W ten sposób cały silnie ufortyfikowany obszar Blachern znajduje się obecnie w rękach Wenecjan. Gdyby miastu rzeczywiście udało się odeprzeć sułtana, objęcie pałacu przez Wenecjan mogłoby nabrać złowróżbnego znaczenia.

Giustiniani i jego zakuci w żelazo żołnierze zajmują w każdym razie honorowe miejsce naprzeciw janczarów przy bramie św. Romana. Giustiniani zebrał tu co najmniej trzy tysiące ludzi ze swych najlepszych oddziałów.

Iluż w takim razie jest wszystkich obrońców? To wiedzą tylko cesarz i Giustiniani. Ale ten napomknął raz, że połowa garnizonu stoi między bramami św. Romana i Charisiosa. A więc wszystkich obrońców miasta, wliczywszy w to mnichów i rzemieślników, byłoby nie więcej jak nieco ponad sześć tysięcy? Nie mogę w to uwierzyć. Już sami tylko weneccy żeglarze liczą około dwóch tysięcy ludzi, choć część z nich musi strzec portu i okrętów. Dlatego sędzę, że mamy na murach co najmniej dziesięć tysięcy, choć zaledwie tysiąc oprócz sześciuset najemników Giustinianiego ma pełny rynsztunek.

Powiedzmy dziesięć tysięcy przeciw dwustu tysiącom. Ale jeszcze nie przybyły działa sułtana i nie spostrzeżono jego floty.

Natomiast po południu rozlegały się od czasu do czasu grzmoty jakby burzy od strony Selymbrii, mimo że niebo było jasne. Z majaczących niebiesko na morzu Marmara wznosi się ku niebu potężny słup dymu.

7 kwietnia 1453

W nocy przed bramą Selymbryjską wbito na pale nagie i okaleczone zwłoki tych, którzy bronili Selymbrii do ostatniego człowieka. Jest czterdzieści pali i czterdzieści trupów.

Śluchy z Pery głoszą, że flota sułtana przez dwa dni bezskutecznie usiłowała szturmować tę ostatnią z wież obronnych na wyspach morza Marmara. Wczoraj dowódca tureckiej floty kazał nanosić drewna wokół wieży na całą jej wysokość i spalił całą jej załogę.

Grecy umieją umierać za każdą piędź ziemi swego rozpadającego się państwa.

Na Wschodzie barbarzyńcy, na Zachodzie barbarzyńcy. Na granicy między dwoma światami broni się ostatnie miasto Chrystusa.

Bez nadziei na pomoc. Nawet bez pretensji do sławy. Nagie, okaleczone trupy, przewiercone palami, otoczone chmurami much.

Zakuty w żelazo od stóp do głów, o głowę wyższy od innych, Giustiniani śmieje się, podobny do chodzącej wieży, z nabrzmiałą twarzą i zimnymi oczyma. Dziś poczułem do niego nienawiść zobaczywszy obrońców Selymbrii.

Walczymy bez nadziei, bez przyszłości. Nawet jeśli pokonamy sułtana, Konstantynopol stanie się tylko martwym miastem pod panowaniem łacińskich barbarzyńców.

Przez całe życie unikałem nienawiści i fanatyzmu. Teraz przepelniają one moje serce silnym płomieniem.

9 kwietnia 1453

Po spokojnej niedzieli dziewięć największych galer podpłynęło do portowej zapory i ustawiło się w szyku obronnym. Oczekuje się floty tureckiej.

Długie sznury wołów wloką wielkie brązowe działa Turków.

Za tureckimi liniami liczne trzody wznoszą tumany kurzu. Ryk bydła dochodzi aż do naszych murów.

Obrona jest przygotowana. Każdy zna swoje miejsce i swoje zadanie. Cesarz Konstantyn przez cały dzień jeździł wzdłuż muru i rozmawiał z dowódcami różnych odcinków, dodawał otuchy Grekom i składał nowe obietnice łacinnikom.

11 kwietnia 1453

Wzdłuż całego muru sułtan kazał ustawić około stu małych dział i bombard w niewielkich grupkach. Jego duże działa zebrane są w czterech punktach: przed bramą św. Romana przed bramą Charisiosa i przed bramą Kaligaryjską w Blachernach, gdzie mury są wprawdzie najgrubsze, ale dokąd nie sięga fosa. Także przed bramą Selymbryjską stoją trzy duże działa.

Działa przywleczono tak blisko muru, że bystrooki człowiek może rozróżnić twarze puszkarzy. W tej chwili przywiązują i umocowują lufy do potężnych łóz z pni i bloków kamiennych. Setki ludzi roją się wokół nich pracowicie jak mrówki. Działa leżą niezgrabnie i bezradnie na brzuchu, ale odgaduje się szybko ich straszliwą wielkość, gdy się porówna ich rozwarte paszcze z ludźmi w pobliżu. Okrągłe kule kamienne, ustawione w stosy obok nich, sięgają mężczyźnie do uda.

Działa także chronione są rowami i palisadami. Nikt z łacinników nie widział jeszcze nigdy tak dużych dział. Będą one pochłaniać całe masy prochu i zabijać setki ludzi, gdyby pękły. Tak mówi Giustiniani, aby dodać otuchy swoim żołnierzom.

Największe działo, które odlał Orbano w Adrianopolu i o którym słuchy krążyły już w styczniu, stoi naprzeciwko bramy Kaligaryjskiej, gdzie mur jest najgrubszy. Widocznie sułtan rzeczywiście wierzy, że jego działa dadzą radę każdemu murowi. Giustiniani był ciekaw tych armat i udał się na mur, żeby je obejrzyć. Kazał mi sobie towarzyszyć, gdyż wszędzie był spokój. Równocześnie chciał się dowiedzieć, jak Wenecjanie czują się w Blachernach i przy bramie Chariosiosa, gdzie przechodzi droga do Adrianopola.

Wielu z załogi opuściło swoje stanowiska i zebrało się grupkami, by zobaczyć te potwory. Także z miasta przyszli ludzie i wdrapali się na dach pałacu i na wieże, by lepiej widzieć te cudowne działa.

Niektórzy wskazywali palcami i wołali, że poznają Orbana, choć miał na sobie turecki kaftan honorowy i nakrycie głowy działomistrza. Grecy zaczęli wykrzykiwać obelgi i przekleństwa, a cesarscy technicy narychtowali hakownice i moździerze i oddali kilka strzałów, by przeszkadzać Turkom w mozolnej pracy przy dźwiganiu i podpieraniu wielkiego dział. Giustiniani zabronił jednak strzelania, które było tylko marnowaniem prochu. Wielu Greków poblądło i zasłoniło rękami uszy, gdy te niegroźne strzały rozległy się na murach.

Wenecki bailon Minotto wezwał swych ludzi do szyku i wystąpił naprzód, by przywitać Giustinianiego. Miał u boku syna, który mimo młodego wieku jest kapitanem weneckiej galery. Także cesarski technik niemiecki Joann Grant przyłączył się do nas. Pierwszy to raz spotkałem tego wybitnego człowieka, o którego biegłości i umiejętnościach wiele słyszałem. Był to mężczyzna w średnim wieku z czarną brodą. Czoło miał poorane od myśli, a spojrzenie niespokojne i badawcze. Ucieszył się, gdy się dowiedział, że znam kilka słów niemieckich. Sam mówi dobrze po łacinie i nauczył

się już dużo po grecku. Cesarz wziął go do swojej służby po Orbanie i płaci mu taki sam żołd, o jaki nadaremnie prosił Orbano.

Grant powiedział:

— To działa to cud sztuki giserskiej przekraczający wszelkie granice możliwości. Większego działa nikt nie potrafiłby opanować. I gdybym nie wiedział, że już na próbę strzelano z niego w Adrianopolu, nie uwierzyłbym, że zdoła ono wytrzymać ciśnienie swego ładunku. Za sto dukatów nie chciałbym stać w pobliżu niego, kiedy jest odpalane.

Giustiniani powiedział:

— Ja, biedak, wziąłem na siebie bramę św. Romana, kiedy wszyscy inni milczeli. Ale teraz nie żałuję jakoś swego wyboru. Frajdę, jaką będą mieli Wenecjanie, chętnie im pozostawiam.

Wenecki bailon odparł dotknięty do żywego:

— Nie wiem, jak będziemy mogli żądać, by ktoś został na murze czy w wieży, kiedy to działa wypali. Jesteśmy przecież tylko kupcami ochotnikami i wielu z nas obrosło w sadło. Ja sam cierpię na zadyszkę od wchodzenia na mur i mam dolegliwości sercowe.

— Coś musisz przecież zapłacić za Blacherny. Ale jeśli chcesz, zamienię chętnie moją niewygodną wieżę na łożo cesarskie i przyrzekam wejść na mur jutro rano. Zamień się ze mną. Nie mam nic przeciwko temu.

Czerwonolicy bailon spojrział podejrzliwie na Giustinianiego, po czym zmierzył wzrokiem olbrzymie wieże i mury Blachern i porównał je z pozostałą częścią muru lądowego. Następnie odparł krótko:

— Żartujesz!

Niemiec Joann Grant wybuchnął śmiechem i zauważył:

— Cesarscy technicy i ja obliczyliśmy dla własnej rozrywki i udowodniliśmy matematycznie, że takiego wielkiego działa nie można odlać. A nawet gdyby się udało, zdołałoby ono zaledwie wypuścić kulę kamienną na ziemię. Wszystko to możemy udowodnić za pomocą cyfr. Jutro zatem powinienem wziąć swoją tabliczkę mnożenia jako tarczę i ustawić się na murze naprzeciw działa.

Potem Giustiniani wziął mnie na bok i powiedział:

— Jeanie Ange, mój przyjacielu. Nikt nie może wiedzieć, co stanie się rano, gdyż dział takiej wielkości nikt jeszcze nie oglądał. Możliwe, że oni rzeczywiście kilkoma strzałami zdołają zrobić wyłom w murze, jakkolwiek ja w to nie wierzę.

Zostań tu, żeby obserwować to duże działo, i zamieszkać w Blachernach, jeśli Wenecjanie się na to zgodzą. Chciałbym mieć tutaj godnego zaufania człowieka, dopóki się nie dowiemy, jakie szkody może ono wyrządzić.

Joann Grant wziął mnie pod swoją opiekę, gdyż obaj jesteśmy obcy zarówno wśród łacinników, jak i wśród Greków. Jest to człowiek małomówny, a kiedy coś powie, to przeważnie sarkastycznie. Pokazał mi puste warsztaty przy bramie Kaligaryjskiej, gdzie garstka szewców greckich, wystraszonych staruszków, siedziała jeszcze naprawiając żołnierskie buty. Wszystkich młodych mężczyzn, nie wyłączając uczniów, posłano na mury. Wędrowaliśmy po korytarzach i salach cesarskiego pałacu, gdzie zamieszkali weneccy kupcy i ochotnicy. Bailon Minotto zajął sypialnię samego cesarza i spędza noce na puchowych poduszkach i pod purpurowymi kołdrami.

Przewody ciepłe pałacu pod posadzkami, składające się z kanałów z ogrzany powietrzem, pochłaniają niesłychane ilości drewna. Dlatego też cesarz zakazał jeszcze wczesną wiosną ogrzewania pałacu, mimo że noce wciąż jeszcze były zimne. Pragnie on oszczędzać wszelkie drewno w mieście dla pieców piekarskich i na inne pożyteczne cele, jak również przede wszystkim do naprawiania murów, gdyby Turkom rzeczywiście udało się poczynić w nich wyłomy.

Wieczorem ujrzałem, jak weneccy strażacy rozpalają dla rozgrzewki ognisko na samym środku wyszlifowanej do połysku marmurowej posadzki w wielkiej sali ceremonialnej. Marmur pęka, a dym pokrywa czernią drogocenne mozaiki pałapu.

12 kwietnia 1453

Wstałem o świcie. Niewielu tylko spało tej nocy. Grecy modlili się. Łacinnicy pili zbyt dużo wina. Kiedy wyszedłem w zimny poranek, ślizgałem się na wymiocinach w korytarzach.

Słońce weszło po drugiej stronie Bosforu, bardziej promienne niż kiedykolwiek. Wzgórza Azji błyszcząły złotawożółto. Łagodna bryza wiała od morza Marmara.

Z korony muru mogłem widzieć, jak tureccy żołnierze odprawiali modlitwy. Myśli moje szły za myślami sułtana Mehmeda. Chyba nie spał wiele tej nocy. Jeśli całe miasto trwało w pełnym napięcia oczekiwaniu, to i jego serce paraliżowało z pewnością takie samo oczekiwanie.

Potem ujrzeliśmy sułtana na śnieżnobiałym rumaku wyjeżdżającego na wzgórzu naprzeciwko nas w otoczeniu najwyższych dowódców i świty zielono odzianych czauszów. Buńczuki paszów i wezyrów powiewały na drzewcach. Przybył tu patrzeć na swoje największe działo, ale ostrożnie zatrzymał się w odległości pięciuset kroków od niego. Konie odprowadzono na bok. Gdy tureccy puszkarze zaczęli uciekać od wielkiego działa zostawiając przy nim tylko na wpół nagiego niewolnika, który wymachiwał dymiącym lontem na długiej tyczce, by go rozpalić, bailon stracił zimną krew i kazał załodze opróżnić wystawiony na ostrzał odcinek muru. Rozkaz został dobrze przyjęty i sprawił, że nawet najdzielniejsi rzucili się do ucieczki niczym wystraszone owce.

Wtem nastąpił błysk i doleciał grzmot straszniejszy niż największe grzmoty na burzę. Mur zadygotał jak od trzęsienia ziemi. Straciłem oparcie pod stopami i upadłem jak wielu innych. Potężna czarna chmura dymu prochowego skryła działo pod naszymi oczami. Później dowiedziałem się, że w pobliskich domach talerze pospadały ze stołów, a woda w wiadrach przelała się przez brzegi. Zakolebały się także statki w porcie.

Gdy tylko wiatr przegnał dym prochowy i chmurę kurzu, spostrzegłem, że tureccy puszkarze z ciekawości podbiegli aż do muru pokazując sobie nawzajem skutki wystrzału. Widziałem, jak krzyczą i wymachują rękami, ale nic nie słyszałem. Huk ogłuszył mnie zupełnie. Ja też krzyczałem, ale nikt mnie nie słyszał. Dopiero gdy szarpnąłem kilku ogłuszonych kuszników za ramię, zaczęli naciągać kusze. Ale w zamieszaniu chybiali celu. Żadnego Turka nie raniono, mimo że strzelano do nich ze strzelnic na wieży i otworów w murze. Puszkarze tak byli napięci, że rzucali tylko roztargnione spojrzenia na strzały, które wbijały się w ziemię obok nich, kiedy z wolna wracali do swego działa, żywo rozmawiając i potrząsając głowami, jakby niezadowoleni z tego, co zobaczyli.

Ogromna kamienna kula mimo swego ciężaru zrobiła tylko dołek w murze, nawet nie tak wielki jak mała izdebka, i oczywiście rozpadła się na tysiące odłamków. Ale fundamentów muru nie naruszyła.

W dali widziałem samego Orbana z szeroko otwartymi ustami, jak wywija laską dowódcy i wydaje rozkazy. Gromada żołnierzy roiała się wokół działa, owijając je w grube wełniane płachty, żeby spiz nie ochłodził zbyt szybko, i wlewając całe baryłki jadalnej oliwy w jego ogromną paszczę, żeby namaścić metal po strasliwym wysiłku.

Z dala, od strony bram Charisiosa i św. Romana, rozległ się teraz nowy straszliwy huk. Widziałem błyski i chmury dymu prochowego, ale wybuchy brzmiały słabo, tak byłem ogłuszony.

Tylko sułtan Mehmed trwał wciąż wyprostowany, gdy cała jego świta, nie wyłączając czauszów, rzuciła się na ziemię. Stał dalej nieruchomo i wpatrywał się w mur, podczas gdy jego dowódcy otrzepywali kurz z odzieży. Być może rzeczywiście ludził się nadzieją, że jeden jedyny wystrzał z tak olbrzymiego działa zdoła zwalić dwudziestostopowy mur.

Kiedy Orbano kazał okryć starannie wielkie działo, wypalono z dwu mniejszych ustawionych po obu jego stronach. Są one bardzo potężne, ale mimo to wydają się tylko nie wyrośniętymi prosiakami wobec dużej maciory, która stoi między nimi. Puszkarze odpalili je nie szukając nawet osłony.

Oba błyski, które nastąpiły tuż po sobie, oślepiły mnie na chwilę, a czarna jak smoła chmura dymu prochowego, która wirując strzeliła w górę i towarzyszyła kulom, zasłoniła widok i osmalila kanonierów. Kamienne kule trafiły w mur niemal w tym samym miejscu, gdzie uderzyła duża kula. Mur zadygotał i w obłoku kurzu, który się wzniósł, zawirował grad kamiennych odłamków, które zraniły jednego Wenecjanina. Ale kiedy zeszliśmy na dół, żeby zbadać uszkodzenia, ujrzeliśmy, że są one mniejsze, niż można było oczekiwać. Mur pod Blachernami wytrzymał próbę. Bailon Minotto zaśmiał się głośno z ulgi i zawołał z radością do swoich ludzi:

— Na Ducha Świętego, nie potrzebujemy się bać i możemy nabrać otuchy. Takich kamiennych groszków sułtan może ciskać na nas tuzin dziennie bez uszkodzenia muru.

Ale podczas gdy Turcy doglądali swoich dział jak chorych bydła, Joann Grant zapędził do roboty całą załogę. Wiedząc już, na jaki punkt nacelowane są działa, kazał spuścić w dół ogromne skórzane wory wypchane wełną, bawełną i trawą, żeby osłonić wyrwy w powierzchni muru. I on był dobrej myśli i uważał, że szkody można łatwo naprawić w ciągu nocy.

Niebawem rozległy się nowe grzmoty i mur znowu zatrzęsł się pod moimi stopami. Także z setek małych kolubryn i serpentyn sułtana otworzono teraz ogień, a krótkie, grube bombardy zaczęły miotać kamienne kule wysokimi łukami. Wiele z nich przeleciało nad murami do miasta, gdzie zmiażdżyły kilka domów, zanim strzelcy nauczyli się obliczać ilość prochu i ustawiać bombardy pod właściwym kątem. Dokoła rozbrzmiewał nieustanny huk, a rozproszone grupy Turków zaczęły biec w stronę

fosy, uderzając w mosiężne talerze i wychwalając na całe gardło Allacha. Ale i obrońcy zaczęli z wolna przyzwyczajając się do ognia i celowali dobrze, tak że wielu Turków padło przy fosie, a ich towarzysze ponieśli straty, kiedy zbierali trupy.

Ruszyłem koroną zewnętrznego muru do bramy św. Romana, by powiadomić Giustinianiego, że wielkie działo nie okazało się na razie tak straszliwe, jak sądzono. Od czasu do czasu musiałem przebiec kilka kroków, żeby zdążyć pod osłonę następnej blanki przed świszczącymi strzałami i ołowianymi pociskami.

Na odcinku między pałacem Porfirogenety i bramą Charisiosa obrońcy mieli poważne miny. Pierwsze strzały z czterech dużych dział zerwały blanki z muru i z trzech ludzi zrobiły krwawą miazgę. Dziesięciu innych doznało ran od kamiennych odłamków i musiano ich wlec do miasta przez bramę wypadową w wielkim murze, by ich opatrzone. Zostały po nich kałuże krwi na koronie muru, a obrońcy patrzyli niespokojnie w stronę dział, do których Turcy założyli już nowe ładunki i chlusnęli w ślad za tym mokrej gliny, żeby zatkać wszelkie otwory przed wtoczeniem kuli do lufy.

Tego odcinka bronią trzech bracia Guacchardi, młodzi weneccy poszukiwacze szczęścia, którzy sami płacą żołd swoim ludziom i dali się zwerbować cesarzowi. Chodzili tam i z powrotem po murze od jednego żołnierza do drugiego, dodawali otuchy nieprzywykłym, klepali ich po ramionach i mówili, że niebezpieczeństwo nie jest tak wielkie, jak to sobie wyobrażają. Byli ciekawi, jakie szkody wyrządziło wielkie działo, i zatrzymałem się u nich przez chwilę, by samemu móc zobaczyć skutki następnego strzału Turków. Zaprosili mnie na wino do wieży, którą upatrzili sobie na kwaterę. Kazali tam naznosić z Blachern drogocennych dywanów, draperii i miękkich poduszek i urządzili się wygodnie na kamiennych ławach.

W oczekiwaniu na strzał opowiadali leniwie o swoich doświadczeniach z greckimi kobietami w Konstantynopolu i wypytywali mnie o obyczaje Turczynek. Żaden z nich nie miał jeszcze trzydziestki. Widać było, że są to po prostu żądni przygód młodzieńcy, którzy wybrali sobie ten zawód z pragnienia odmiany, sławy i pieniędzy. Wydawali się gotowi stanąć w każdej chwili beztrąsko przed obliczem Boga z głową pełną wina i sercem pełnym wspomnień po pięknych domach. Dostali przecież odpust zupełny za wszelkie popełnione i przyszłe grzechy. Nie miałem zamiaru ich potępiać. Przeciwnie, odczuwałem swego rodzaju zawiść wobec tej płomiennej młodości, której nie zatrąła jeszcze goryczą żadna filozofia.

Turcy wybili tymczasem kliny spod armat i wycelowali je niżej, w podnóże zewnętrznego muru. Z muru zawołano, że już wymachują lontami, i bracia

Guacchardi po kolei rzucili szybko kości, komu przypadnie chwała, by stanąć na murze dla dania obrońcom dobrego przykładu. Najmłodszy rzucił same szóstki i podniecony swym szczęściem wybiegł na koronę muru ze wzrokiem lśniącym od zapachu i wina. Znalazłszy się naprzeciw dział wystąpił szybko między blanki, zamachał zakutymi w pancerz ramionami, żeby ściągnąć na siebie uwagę Turków, i zaczął wykrzykiwać obelgi po turecku, aż się za niego wstydziłem. Ale kiedy przyłożono do panewek lonty, schronił się przezornie za blanką muru czepiając jej się mocno.

Ze wszystkich trzech dział dano ognia niemal równocześnie, salwa ogłuszyła nas i mur zadrżał pod naszymi stopami. Gdy dym i kurz rozproszyły się, ujrzeliśmy młodego Guacchardi nie tkniętego: stał na szeroko rozstawionych nogach na swoim miejscu. Ale kule uderzyły tuż nad brzegiem fosy i zmiotły wał oraz wyrwały duże odłamki z muru zewnętrznego. Widać było wyraźnie, że ostrzeliwanie z czasem wyrządzi poważne szkody i z wolna, ale pewnie przegryzie mur.

Od dział słychać było aż do nas okropne krzyki i biadania. Ujrzeliśmy, że lewe działo zerwało liny i odskoczyło z łoża, odrzucając daleko kłody i kamienne bloki. Co najmniej dwóch puszkarzy zostało zmiażdżonych. Ale pozostali nie troszczyli się o swoich towarzyszy, lecz podbiegli do dział, by owinąć je w ogrzewające płachty i dać im do picia oliwy z oliwek. Wielkie działa były cenniejsze niż życie ludzkie.

Kiedy szedłem dalej wzdłuż muru, Turcy strzelali nieprzerwanie z dział i hakownic, walili w cymbały, dęli w rogi, bili w bębny i szturmowali małymi grupkami aż do fosy, starając się ustrzelić kogoś z załogi. Zakuci w żelazo żołnierze Giustinianiego nie dbali nawet o to, by uchylać się przed strzałami — łamały się ze szczękiem na ich napierśnikach i pancerzach.

Właśnie kiedy dotarłem do odcinka Giustinianiego, zagrzmiały duże działa naprzeciw bramy św. Romana. Kawalek korony zewnętrznego muru zawalił się i niezliczone kamienne odłamki świszczały w powietrzu. Gardło wypełnił mi wapienny pył do tego stopnia, że omal nie udusiłem się od kaszlu, a trujący dym prochowy osmalił mi ręce i twarz. Wokół słyszałem przekleństwa i biadania, a wielu wzywało po grecku Matkę Boską. Tuż obok mnie padł jakiś nieszczęsny robotnik, który nosił kamienie na mur. Krew lała mu się ze zmiażdżonego boku.

— Jezusie, Synu Boży, zmiłuj się nade mną! — wyjęczał i wyzionął ducha nie musząc więcej cierpieć.

Szczękając pancierzem podbiegł ku mnie Giustiniani, żeby zbadać szkody wyrządzone strzałami. Podniósł przyłbicę i zobaczyłem, że jego okrągłe wole oczy płoną zieloną żądzą walki. Wpatrzył się we mnie, jakby mnie nie poznawał, i zawołał:

— Walka się zaczęła. Czy przeżywałeś kiedyś piękniejszy dzień?

Zaczerpnął głęboko tchu, by poczuć odór prochu i gorącej krwi, a pancierz szczękał na jego potężnym ciele. Zmienił się, był całkiem inny niż ten trzeźwy, rozważny dowódca, którego znałem. Tak jakby dopiero teraz znalazł się w swoim właściwym żywiole i rozkoszował się hukami i ogłuszającym hałasem wokół siebie.

Znowu zadrżał mur pod naszymi stopami, huk wstrząsnął niebem i ziemią i w powietrzu pociemniało. Wypalono po raz drugi z dużego działa przy bramie Kaligaryjskiej. Żadnego innego dźwięku nie można porównać z tym hukiem. Słońce żarzyło się jak kula za chmurą kurzu i dymu. Obliczyłem czas i stwierdziłem, że trzeba było około dwóch godzin na ochłodzenie, wyczyszczenie, wycelowanie i nabicie dużego działa.

— Słyszałeś już chyba, że przyszła flota turecka! — krzyczał Giustiniani. — Naliczono trzysta żagli, ale większa część to statki transportowe, a galery bojowe są lekkie i smukłe w porównaniu z łańskimi. Wenecjanie czekali przy zaporze z duszą na ramieniu, ale flota przepłynęła obok i rzuciła kotwice przy Bosforze po drugiej stronie Pery.

Mówił swobodnie i wesoło, jakby wszystkie troski znikły uniesione przez wiatr, mimo że duże działa Turków zaledwie dwoma strzałami zniosły wał i uszkodziły mur zewnętrzny tak, że pękł w paru miejscach od góry do dołu. Rykiem nakazał przestraszonym greckim robotnikom, by zabrali martwe ciało swego towarzysza. Skulili się oni w uliczce między murem zewnętrznym i wielkim murem i wołali, by wypuszczono ich do miasta przez bramę wypadową. Byli zwykłymi robotnikami i nie zaciągnęli się po to, żeby bić się z Turkami dla łacinników.

W końcu dwóch z nich wylazło na mur zewnętrzny. Uklękli przy zwłokach swego towarzysza i wybuchnęli gorzkim płaczem, gdy zobaczyli, jak bardzo zmasakrowały go kamienne odłamki. Niezgrabnymi, brudnymi dłońmi oczyścili mu z wapiennego pyłu brodę i twarz i dotykali stygnących członków, jak gdyby nie chcąc uwierzyć, że umarł tak nagle. Potem zażądali srebrnej monety od Giustinianiego, żeby zanieść zwłoki do miasta.

Giustiniani zaklął i powiedział:

— Jeanie Ange, dla takich to chciwych łobuzów broń chrześcijaństwa.

Grecka krew odezwała się we mnie głośno, gdy patrzyłem na tych bezbronnych biedaków, którzy nawet nie mieli hełmów ani skórzanych kaftanów dla osłony, tylko swoje poplamione od pracy opończe.

— To ich miasto — odparłem. — Sam się podjąłeś obrony muru w tym miejscu. Bierzesz od cesarza żołd. Dlatego musisz płacić greckim robotnikom, jeśli nie chcesz, by twoi ludzie sami naprawiali mur. Taka jest umowa. Jesteś chciwym łobuzem, skoro zmuszasz tych bezbronnych ludzi, by pracowali bez zapłaty. Za co mają kupić sobie żywność i wykarmić rodziny? Cesarz nie opiekuje się nimi.

I dodałem:

— Mała srebrna moneta znaczy dla nich tyle, co dla ciebie książęca korona. Nie jesteś lepszy od nich. Z chciwości i żądzy sławy sprzedałeś się cesarzowi.

Giustiniani był upojony rozpoczynającą się walką i nie rozgniewał się na mnie.

— Można by myśleć, żeś Grek, tak przekręcasz rzeczy oczywiste — burknął, ale mimo to rzucił Grekom srebrnika. Mężczyźni chwycili szybko poległego towarzysza i znieśli go z muru. Krew skapywała na wydeptane stopnie schodów.

13 kwietnia 1453

Niespokojna noc. W mieście niewiele tylko osób spało. Pośrodku nocy ziemia zadygotała znowu od strzału z wielkiego działa, a potężny płomień wylotowy rozświetlił niebo. Przez całą noc pracowano, by wypełnić ponownie szczeliny w murze i przykryć zagrożone miejsca workami z wełną i sianem.

Flota turecka stanęła w porcie Pelar. Ze statków wylądowują ogromne masy drewna i kamiennych kul. Weneckie wielkie galery stoją nadal przy zaporze, przygotowane na natarcie przez całą noc.

W ciągu jasnej części doby działa tureckie zdążą oddać po sześć strzałów każde. Wygląda na to, że mur przy bramie Kaligaryjskiej będzie najwytrzymalszy, choć to właśnie owo wielkie działo go ostrzeliwuje. Weneccjanie w pałacu patrzą teraz z czcią na ikonę Najświętszej Dziewicy w Blachernach i zaczęli wierzyć Grekom, którzy twierdzą, że cuda czyniąca Panaghia osłania swą ręką mury pałacu.

Ani jeden łacinnik nie poległ dotychczas, ale dwóch jest ciężko rannych. Zbroje stanowią dobrą osłonę. Z rzemieślników i mnichów powołanych pod broń wielu już padło na odcinku między bramą Żółtą i bramą Rhesiasa. W ten sposób nauczyli się w

końcu, że lepiej nosić niewygodny hełm i nie narzekać, że rzemienie pancerzy uwierają.

Doświadczenie bojowe ludzi wzrasta. Im więcej ich pada, tym bardziej rośnie nienawiść do Turków. Z miasta przychodzi do murów wiele kobiet i starców. Nurzają rąbki szat we krwi poległych i błogosławią ich jako męczenników wiary.

Człowiek przyzwyczaja się łatwo. Z pewnością zdoła przywyknąć do wszystkiego. Nawet do huków wielkich dział, do tego, że ziemia się trzęsie, mury walą, odłamki śmigają w powietrzu, choć i ja osobiście jeszcze wczoraj sądziłem, że pozostanie to na zawsze czymś strasznym. Ale ucisk w żołądku już mi zelżał i oddech uspokoił się.

14 kwietnia 1453

Pękło jedno z tureckich wielkich dział, tak że ze szczeliny w lufie buchnął dym. Ostrzeliwanie idzie już powolniej. Turcy pobudowali kuźnie przy stanowiskach dział i wzmacniają je żelaznymi pierścieniami. Orbano kazał zbudować odlewnię na zboczu za tureckim obozem. Po nocach bije stamtąd ku niebu czerwona luna. Turcy topią miedź i cynę przez okrągłą dobę. Żydowski handlarz, który przechodził przez Perę, opowiadał, że widział setki niewolników przy pracy wokół ogromnych dołów, w których ustawione są formy do odlewania dział. Pogoda jest piękna i niebo czyste. Grecy mają wszelkie powody, by modlić się o deszcz, gdyż jeśli woda spłynęłaby do tych form, pękłyby one przy odlewaniu, jak mówi Niemiec Grant.

Jest to marzyciel i człowiek dziwny. Nie dba ani o kobiety, ani o wino. Cesarscy technicy ustawili na murze zewnętrznym wiele staroświeckich balist i katapult, ale ich donośność jest mała i nie przynoszą one żadnego pożytku, dopóki Turcy nie pójną do szturm. Grant porobił rysunki, które pokazują, jak te mechiny można by ulepszyć i uczynić lżejszymi, gdyż budowano je tak samo od czasów Aleksandra. Gdy tylko ma czas, odwiedza cesarską bibliotekę, by studiować stare pisma.

Siwowłosa bibliotekarz cesarza czuwa zazdrośnie nad księgami, nie wypożycza ich i nie pozwala nikomu zapalać światła ani lampy w czytelni. Kodeksy wolno czytać tylko przy świetle dziennym. Chowa przed łacinnikami katalogi biblioteczne i trząsa tylko drżącą głową, gdy Grant zapytał o pisma Archimedes. Nie ma ich w bibliotece, oświadczył gniewnie. Gdyby Grant choć raz poprosił o ojców kościoła albo greckich

filozofów, byłby może lepiej przyjęty. Ale on czyta tylko o technice i matematyce. Dlatego cesarski bibliotekarz traktuje go jak godnego pogardy barbarzyńcę.

Kiedy rozmawialiśmy o tym, Grant powiedział:

— Archimedes i Pitagoras umieli budować maszyny, które przemieniłyby świat. Dawni mędracy znali sztukę polegającą na tym, by kazać wodzie i parze wykonywać pracę ludzką. Ale nikt nie potrzebował niczego takiego. Toteż nie dbali o to, by te sztuki rozwijać, lecz zwrócili myśli do tajemnych nauk i idei Platona, uważając świat nadprzyrodzony za coś więcej od rzeczywistego. Ale w ich zapomnianych pismach można znaleźć wskazówki, które przydają się także artystom naszych czasów.

Odparłem:

— Jeśli byli to ludzie mądrzy, mędrsi od nas, dlaczego zatem im nie wierzysz i nie idziesz za ich przykładem? Na cóż przyda się człowiekowi, jeśli złoży całą naturę u swych stóp, ale poniesie szkodę na duszy?

Grant przyglądał mi się swym niespokojnym, badawczym wzrokiem. Jego miękka broda jest kruczoczarna, a twarz poorana od nocnego czuwania i rozmyślenia. Jest to mąż postawny i wzbudzający trwogę. Huk wielkiego działa sprawił, że budynek biblioteki zadrżał i drobne chmurki pyłu wytrysnęły ze szczelin w pułapie i unosiły się w promieniach słońca z wąskiego okienka.

— Nie boisz się śmierci, Johannesie Angelosie? — zapytał.

— Moje ciało boi się śmierci — odparłem. — Moje ciało lęka się ziemskiego zniszczenia i huk działa sprawił, iż nogi mi się trzęsą. Ale mój duch nie boi się.

— Gdybyś był bardziej doświadczony, bałbyś się więcej — stwierdził. — Gdybyś widział był jeszcze więcej wojny i śmierci, także i twój duch odczuwałby strach. Tylko niedoświadczony wojownik jest bez lęku. Prawdziwe bohaterstwo to przezwycięzenie lęku, a nie jego brak.

Wskazał na setki złotych figur i cynobrowych sentencji na ścianach czytelni, na ogromne folianty, które w ciężkich okutych srebrem i ozdobionych klejnotami okładkach spoczywały przymocowane łańcuchami do pulpitów.

— Ja obawiam się śmierci — rzekł. — Ale ważniejsza od lęku jest wiedza. Moja wiedza dotyczy spraw ziemskich, gdyż umiejętności niebiańskie nie mają żadnego praktycznego znaczenia. Toteż kraje mi się serce, gdy patrzę na ten gmach. Tu leżą pochowane ostatnie niezastąpione resztki mądrości dawnych mędrców. Nikt nawet nie zadbał, żeby spisać, co tu jest. Szczury ponadgryzały manuskrypty w sklepionych piwnicach. Filozofów i ojców kościoła szanowano, ale matematyką i techniką

karmiono szczury. A ten chciwy starzec nie rozumie nawet, że nic by nie stracił, gdyby mi pozwolił grzebać w swoim lochu i zapalić światło, by szukać tej niezastąpionej i odrzuconej mądrości, której strzeże. Gdy przyjdą Turcy, także i ten budynek zdany będzie na pastwę płomieni i dymu i rękopisy sycić będą ogniska, na których gotuje się strawę.

— Gdy Turcy przyjdą, powiadasz... — wtrąciłem. — Nie wierzysz zatem, żebyśmy mogli bronić się z powodzeniem?

Uśmiechnął się.

— Ja mierzę ziemskimi miarami — odparł. — Miarami praktycznego rozsądku. Dlatego też nie żywię czczej nadziei, jak może czyniłby to mniej doświadczony i młodszy mężczyzna.

— Ale — rzekłem zdumiony — w takim razie i ty masz dużo większą korzyść z wiedzy o Bogu i o tej rzeczywistości, która stoi ponad ziemską, niż z jakiegokolwiek wiedzy matematycznej i technicznej. Na co przydadzą się najcudowniejsze maszyny, skoro i tak musisz umrzeć?

Odparł:

— Zapominasz, że wszyscy musimy umrzeć. Toteż wcale nie żałuję, że żądza wiedzy zagnała mnie do Konstantynopola na służbę do cesarza. Było mi już dane zobaczyć największe działo, jakie zostało odlane rękami człowieka. Już dzięki temu zrozumiałem, że opłaci mi się być tutaj. A za dwie strony zapomnianego pisma Archimedesesa dałbym chętnie wszystkie święte pisma ojców kościoła.

— Jesteś szalony — odrzekłem z niechęcią. — Twoja żądza wiedzy czyni cię jeszcze bardziej szalonym od sułtana Mehmeda.

Wyciągnął rękę ku słonecznym promieniom, tak jakby chciał zważyć tańczące pyłki kurzu na dłoni.

— Czy nie widzisz — powiedział — w tych pyłkach spogląda na ciebie para pięknych oczu dziewiczych, których uśmiech śmierć zgasiła już dawno. W tych pyłkach kurzu tańczy serce filozofa, jego wątroba i mózg. Za tysiąc lat może i ja pozdrowię przybysza jako pyłek kurzu na ulicach Konstantynopola. W tym znaczeniu twoja i moja wiedza są jednako warte. Pozwól mi zatem zachować tę wiedzę, jaką mam, i nie gardź nią. Skąd możesz wiedzieć, czy ja w głębi serca nie gardzę twoją?

Wszystko we mnie drżało, ale starałem się zachować spokój w głosie, kiedy odpowiedziałem:

— Bijesz się po fałszywej stronie, Joannie Grant. Sułtan Mehmed przyjąłby cię jako równego siebie, gdyby cię znał.

Odpowiedział:

— Nie, nie, ja należę do Zachodu i Europy. Biję się o wolność człowieka, a nie o jego niewolnictwo.

— Cóż to jest wolność człowieka? — zapytałem.

Spojrzał na mnie swym niespokojnym spojrzeniem, zastanowił się przez chwilę i odparł:

— Prawo wyboru.

— Masz słuszość — szepnąłem. — Właśnie to jest straszliwą wolnością człowieka. Wolnością Prometeusza, naszym grzechem dziedzicznym.

Uśmiechnął się, położył dłoń na moim ramieniu i powiedział z westchnieniem:

— Ach, wy Grecy!

Jestem mu obcy, chciałbym go unikać, ale mimo wszystko czuję, że jest mi duchowo bliski. Stoimy na wspólnym gruncie, on i ja. Ale on wybrał królestwo śmierci, ja rzeczywistość Boga.

Działa grzmia, mury pękają z hukiem, potężny młyn śmierci sprawia, że ziemia i powietrze drżą. Ale ja jestem twardy i zimny, nie, jestem jak płonący ogień i myślę tylko o tobie, moja ukochana. Dlaczego wbiłaś cierń w moje ciało? Dlaczego nie dajesz mi walczyć i umrzeć w spokoju, mnie, który już dokonał swego wyboru?

Tylko ciebie pragnę!

75 kwietnia 1453

Znowu niedziela. Dzwony kościelne i kołatki radują się w jasny poranek. Ale wiosenną zieleń pokrywa już sadza i kurz. Jak mrówki pracują zmęczeni mężczyźni, by naprawić mur pod osłoną prowizorycznych oszańcowań. W ciągu nocy wbito pale przed wyłomami szczyzącymi się w murze zewnętrznym. Obecnie wypełnia się je znowu ziemią, faszyną, krzakami, sianem. Mieszkańcy miasta musieli oddać pierzyny na pokrycie muru, by osłabić mordercze uderzenia potężnych kamiennych kul. Z zewnątrz rozpięto skóry wołowe, które regularnie polewa się wodą przeciw tureckim strzałom zapalającym.

Wiem i czuję w głębi duszy, jak taka rozpaczliwa wojna zmienia nas i porusza istotę do głębi.

Zmęczenie, strach i bezsenność podniecają człowieka, tak że staje się jakby pijany i nie jest już odpowiedzialny za swoje czyny i myśli w taki sam sposób jak poprzednio. Daje on wtedy wiarę najbardziej nonsensownym pogłoskom. Małomówny staje się gadatliwym. Łagodny tańczy z radości, gdy widzi, jak Turek pada na ziemię z gardłem przebitym strzałą. Wojna to niebezpieczne upojenie. Jej zmiany nastrojów, przeskoki od nadziei do rozpacz są ostre i wielkie. Tylko wypróbowany żołnierz potrafi zachować zimną krew. A większość obrońców Konstantynopola to nie wyćwiczeni i niedoświadczeni nowicjusze. Toteż Giustiniani uważa za konieczne szerzenie w mieście pomyślnych słuchów, nawet jeśli większość z nich jest kłamstwem.

Wojsko sułtana liczy dwa razy tyle chrześcijan, ilu ich jest pod bronią w mieście. Są to oddziały pomocnicze z Serbii, Macedonii i Bułgarii, a także Grecy z Azji Mniejszej. W bramie Charisiosa znaleziono turecką strzałę z przymocowanym do niej listem. Był on napisany przez serbskiego jeźdźca i brzmiał: "Dopóki to zależy od nas, Konstantynopol nigdy nie wpadnie w ręce sułtana".

Także wielki wezyr Halil pracuje w tajemnicy przed sułtanem. Na razie nie potrafi zdziałać zbyt wiele, ale jeśli sułtan dozna niepowodzeń, przyjdzie jego chwila.

Noce są zimne. Wojsko sułtana jest tak ogromne, że tylko mała część ludzi ma namioty. Większość śpi pod gołym niebem, choć nie jest przyzwyczajona do tego tak jak janczarowie. W ciszy nocnej słychać z tureckiego obozu nieustanne kichanie i kaszel.

Ale i nasi ludzie kaszlą pracując przy murach w ciemności. Wieże i sklepienia są zimne i wilgotne. Całe drewno potrzebne jest na prace fortyfikacyjne. Drwa i chrust mogą być używane tylko na warzenie strawy i do kotłów z ołowiem i smołą. Toteż i wśród łacinników wielu jest ciężko przeziębionych, mimo że chodzą grubo ubrani pod zimnymi pancerzami.

17 kwietnia 1453

Do Blachern przybył mój służący Manuel z czystą odzieżą i nowymi przyborami dla mnie. Na brak jedzenia nie cierpię, gdyż Wenecjanie dają mi miejsce przy swoim

gościnnym stole, dopóki będę mieszkał w Blachernach. Kardynał Izydor zwolnił ich od postu przez czas oblężenia. Ale cesarz Konstyntyń czuwa i pości tak gorliwie, że w krótkim czasie wychudł i pobladł.

Nie mogłem się oprzeć, by nie zagadnąć Manuela, czy ktoś o mnie nie pytał. Potrząsnął przecząco głową. Zaprowadziłem go na górę na mur i pokazałem wielkie działo. Turcy właśnie skończyli ładowanie. Huknęło i Manuel złapał się za głowę obiema rękami. Ale sam się przekonał, że mur nadal wytrzymuje.

Bardziej przestraszył się, gdy zobaczył, jakie spustoszenie poczynili łacinnicy w cesarskim pałacu. Powiedział:

— Łacinnicy zachowali swoje dawne obyczaje. Gdy przed dwustu pięćdziesięciu laty zdobyli Konstyntyńopol, używali świątyni Mądrości Bożej jako stajni, rozpalali ogniska obozowe na posadzce i zostawiali odchody po kątach.

Służbie łacinników wolno swobodnie poruszać się po całym pałacu. Dlatego Manuel poprosił mnie, żebym go zaprowadził do pałacu Porfirogenety. Zerknął na mnie z chytrym błyskiem w oczach i powiedział:

— Nikomu nisko urodzonemu nie wolno było dawniej pokalać tych posadzek, ale moje stopy są przynajmniej greckie i dlatego świętsze niż łacińskich parobków stajennych.

Weszliśmy po starych marmurowych schodach na najwyższe piętro i wstąpiliśmy do komnaty, której ściany pokryte są wypolerowanym do połysku porfirem. W komnacie tej wciąż jeszcze stoi cyzelowane złotem łoże z podwójnymi orłami, ale wszelkie drobne przedmioty rozkradziono. Gdy patrzyłem na zimną, splądrowaną komnatę, zdałem sobie sprawę, że już żaden więcej cesarz nie urodzi się w Konstanyńopolu.

Manuel otworzył ciekawie wąskie drzwi i wyszedł na kamienny balkon.

— Dziesięć razy stałem pokornie tam na dole w tłumie ludzi i czekałem na wieść o rozwiązaniu cesarzowej — opowiadał. — Stary cesarz Manuel miał dziesięcioro dzieci. Konstanyń jest ósmym z nich. Tylko trzech synów jest jeszcze przy życiu i żaden z nich nie ma syna. Taka jest wola i wyrok boski.

Przez cały czas zerkali na mnie spod siwych i krzaczastych brwi jego oczy w czerwonych obwódkach, gładził rzadką brodę i wyglądał tajemniczo.

— Co mnie to obchodzi — powiedziałem niechętnie.

— Nigdy nie przypuszczałem, że pewnego dnia będę stał tu na górze — ciągnął Manuel nie zwracając uwagi na moje słowa. — Ale rzymski porfir sam nie urobi

cesarza. To czysty przesąd. Jakkolwiek opowiadano o opuszczonych kobietach, które w czasie rozwiązania ścisły na pociechę kawałek porfiru.

Wskazał palcem ciemny kąt komnaty. Zobaczyłem, że w wielu miejscach oderwane były kawałki okładziny. Przez moment byłem znowu dzieckiem. Małym chłopczykiem w opasanym murem Awinionie. Słońce Prowansji przypiekało mi ciemię. Trzymałem w dłoni purpurowy odłamek kamienia, który znalazłem w skrzyni mojego ojca.

— Ujrzałeś ducha, panie? — zapytał cicho Manuel. Upadł na kolana na posadzkę, jakby po to, żeby przeszukać ten kąt, ale równocześnie ukląkł też przede mną i zwrócił ku mnie swoją starczą twarz. Jego szare policzki drżały jakby od wielkiego napięcia albo od powstrzymywanego płaczu.

— Pamiętam mego ojca — rzekłem krótko. — Nie dziwiłem się już, dlaczego został oślepiiony. Może okazał on się nazbyt ufny w świecie okrucieństwa i strachu.

Manuel szepnął:

— Panie, moje oczy zmętniały, bo jestem już stary. Może to blask purpury je omamia. Pozwól mi dotknąć twoich stóp.

Wyciągnął dłoń i musnął nią z szacunkiem moje nogi.

— Purpurowe buty — powiedział. — Purpurowe buty.

Ale tak przerażająca w swej ciszy była komnata, gdzie się rodzili cesarze, że Manuel przerażony rozejrzał się wokoło, jakby bał się, że ktoś podsłuchuje.

— Znowu piłeś — rzuciłem szorstko.

— Krwi nie można się nigdy zaprzec — szepnął. — Krew powraca zawsze do swego pochodzenia. Nawet jeśli musi długo wędrować z jednego ciała do drugiego. Ale pewnego dnia powraca.

— Manuelu — powiedziałem — wierz mi. Czas upłynął. Królestwo moje nie jest z tego świata.

Pochylił głowę i całował moje stopy, aż byłem zmuszony odepchnąć go kolanem.

— Jestem starcem, który bełkoce od nadmiaru wina — powiedział. — Głowę mam pełną starych baśni. Widzę na jawie. Nie myślę nic złego.

— Niech nasze widzenia i baśnie zostaną pogrzebane pod walącymi się murami — rzekłem. — Niech jakiś przybysz znajdzie je kiedyś, kiedy nasze prochy wzbijają się będą spod jego stóp i kiedy deptać będzie kamienie, które oderwały się od tych ścian.

Gdy Manuel już sobie poszedł, wróciłem na mur i udałem się z powrotem do Giustinianiego. Aż strach bierze patrzeć, jak wielkie powstały w ciągu kilku dni wyłomy w murze po obu stronach bramy św. Romana. Wzniesiono wysoki ziemny wał i ustawiono drewniane skrzynie i beczki z ziemią jako blanki na koronie muru. Przez cały dzień małe grupki Turków idą szturmem w fosę, by wrzucać do niej wiązki faszyny, kamienie i kłady, podczas gdy równocześnie ogień z proc i strzały łuczników zmuszają obrońców, by szukali osłony. Geneuńczycy Giustinianiego ponieśli już straty mimo pancerzy. Każdy z nich dorównuje dziesięciu, ba, pięćdziesięciu nie wyćwiczonym Grekom. Każdy z nich jest niezastąpiony.

18 kwietnia 1453

Nikt nie przypuszczał, że Turcy dokonają pierwszego prawdziwego szturm dzisiaj w nocy. Widocznie zamiarem ich było zaskoczeniem zdobyć mur zewnętrzny przed bramą św. Romana. Atak rozpoczął się całkiem niepostrzeżenie w dwie godziny po zachodzie słońca. Pod osłoną ciemności Turcy podkradli się do fosy i położyli na niej drabiny szturmowe. Gdyby obrońcy nie byli właśnie zajęci naprawianiem szkód w murze wyrządzonych w tym dniu przez działa, atak mógłby się udać. Ale w porę uderzono na alarm, trąby rozbrzmiały na murze, zapalono smolne pochodnie i dzwony w mieście zaczęły dzwonić.

Po nieudanym zaskoczeniu także po stronie tureckiej zaczęły huczeć duże i małe trąby, a atakujący podnieśli przeraźliwy krzyk, który rozległ się w całym mieście. Długimi hakami zrywali prowizoryczne przedpiersia i burzyli, co tylko mogli, a równocześnie starali się podpalić worki z sianem i wełną wiszące wzdłuż muru. Walka trwała cztery godziny bez przerwy. Turcy zbliżyli się do muru także w innych punktach, ale główny atak skierowany został na odcinek Giustinianiego.

Hałas i zamieszanie były tak wielkie, że ludzie w mieście na w pół nadzy uciekali z domów na ulicę. Kiedy biegłem z Blachern do Giustinianiego, zobaczyłem na własne oczy cesarza Konstantyna. Płakał, był śmiertelnie przerażony i sądził, że miasto jest już stracone.

W rzeczywistości tylko niewielka liczba Turków dotarła aż na koronę muru zewnętrznego. Tam wycięli ich rychło w walce wręcz zakuci w żelazo żołnierze Giustinianiego, którzy niczym żywy żelazny mur zagrodzili im drogę. Drabiny

szturmowe przewracano długimi drągami, gdy tylko Turcy je podnieśli. Na liczne grupy napastników pod murem wylewano wrzącą smołę i stopiony ołów. Turcy ponieśli ciężkie straty i rano trupy ich leżały stosami pod murem. Wśród trupów znalazło się jednak tylko niewielu janczarów i widać było wyraźnie, że sułtan w tej próbie zaskoczenia użył tylko mniej bitnych lekkich oddziałów.

Gdy Turcy wycofali się, wielu ludzi Giustinianiego było jednak mimo wszystko tak wyczerpanych, że padli tam, gdzie stali, i zasnęli. Cesarz Konstantyn, który obchodził mury krótko po bitwie, musiał sam budzić wielu spośród wartowników. Giustiniani zmusił greckich robotników, by zeszli przed mur zewnętrzny i opróżnili fosę z całego tego rupiecia, którym Turcy usiłowali ją wypełnić. Wielu znalazło tam zgubę, gdyż Turcy z zemsty za nieudane natarcie strzelali z dział w ciemności.

Rano trzydzieści tureckich galer z portu Pelar podpłynęło do łańcucha-zapory. Ale nie doszło do bitwy morskiej między wysokimi jak góry galerami weneckimi a lekkimi okrętami Turków. Wymieniono kilka strzałów armatnich, po czym okręty tureckie wróciły do swego portu.

W ciągu dnia sułtan kazał ustawić kilka dużych bombard na wzgórzu za Perą. Ale ich pierwsze strzały trafiły genueński statek przy nabrzeżu i zatopiły go wraz z ładunkiem i wyposażeniem wartości piętnastu tysięcy dukatów. Dlatego Genueńczycy z Pery natychmiast wnieśli skargę z powodu naruszenia ich neutralności. Bombardy stoją na terenie Pery i parę innych kul trafiło kilka domów i zabiło kobietę w mieście. Sułtan obiecał, że po oblężeniu wynagrodzi wszystkie szkody, które ponieśli Genueńczycy w Perze, i zapewnił ich o swojej przyjaźni.

Ale cel osiągnął. Galery weneckie zmuszone zostały do wycofania się od zapory bądź to do nabrzeża, bądź też w kąt pod wieżami i murem portowym Pery, gdzie nie mogły ich dosięgnąć strzały z bombard. W porcie zebrało się dużo ludzi, żeby przyglądać się temu dziwnemu ostrzeliwaniu. Kule bombard padały przeważnie w morze i wzbijały duże słupy wody.

Mimo tego wszystkiego nastrój wśród ludności jest pełen nadziei i entuzjastyczny, gdyż szczęśliwe odparcie ataku dodało otuchy nam wszystkim. Giustiniani kazał ponadto rozsiewać przesadne słuchy o stratach Turków. Do mnie powiedział jednak nie owijając w bawełnę:

— Nie powinniśmy się upajać tym zwycięstwem, które jest tylko pozorne. Nie było to nic innego jak zwykły atak rekonesansowy dla wypróbowania muru. Wzięło w nim udział najwyżej dwa tysiące ludzi, jak się dowiedziałem od jeńców, których udało

nam się wziąć do niewoli. Ale obyczaj wymaga, żebym jako protostrator ogłosił komunikat. Jeśli zatem każę obwieścić, że odparliśmy wielki szturm i że Turcy stracili dziesięć tysięcy poległych i tyleż rannych, podczas gdy nasze własne straty ograniczyły się do jednego zabitego i jednego skrzywienia stopy, to każdy doświadczony w sprawach wojny człowiek będzie wiedział, co to znaczy, i nie zwróci na to uwagi. Ale dla nastroju w mieście ma to wielkie znaczenie.

Popatrzył na mnie z uśmiechem i dodał:

— Walczyłeś nieustraszenie i tęgo, Jeanie Ange.

— Czyżby? — zapytałem. — Taki był zamęt, że prawie nie wiem, co się ze mną działo.

Było to prawdą. Rano stwierdziłem, że miecz mój lepi się od krwi, ale nocne wydarzenia pamiętałem tylko jako niejasną zmoreę.

Tegoż dnia sułtan kazał podprowadzić pięćdziesiąt par wołów do dużego działła. Odłączono je od łoża i przeniesiono z pomocą setek ludzi do bramy św. Romana. Mur Blachern okazał się więc za mocny: sułtan przygotowuje się na dłuższe oblężenie.

Odwiedziłem rannych, leżących na słomie w kilka opróżnionych stajniach i budach pod murem. Wytrawni łacińscy najemnicy przezornie odłożyli pieniądze, żeby móc opłacić lekarza i mieć dzięki temu fachową opiekę. Greków jednak dogląda tylko kilka wprawnych mniszek, które czynią to z miłosierdzia. Wśród nich poznałem ku memu zdumieniu Charykleję, która zdjęła welon, zakasała rękawy i biegle obmywała i opatrywała najcięższe rany. Pozdrowiła mnie żywo i nie mogłem się oprzeć, by nie powiedzieć jej, że mieszkam w Blachernach — tak mało miałem hartu. Zdaje mi się, że dobrze zrozumiała, o co mi chodzi, bo pospieszyła z własnej woli wyjaśnić, że nie widziała siostry Anny od wielu już dni.

Ranni zapewniali jak jeden mąż, że Turcy wbrew dobrym obyczajom używali zatrutych strzał, gdyż nawet lekko ranni po kilku dniach chorują ciężko i dostają śmiertelnych skurczów. W jednym kącie zobaczyłem na własne oczy mężczyznę, którego zwłoki zeszywniały, wygięte w łuk, a twarz zamarła w okropnym grymasie, tak że strasznie było na niego patrzeć. Mięśnie miał twarde jak z drewna. Dlatego wielu rannych prosiło, żeby wynieść ich pod gołe niebo albo do domów. Rozmawiałem o tym z Giustinianim, ale on nie pozwolił żadnemu ze swoich ludzi opuścić muru, aby pomagał rannym. Kiedy wyrzucałem mu jego bezdusność, odparł:

— Doświadczenie uczy mnie, że losy rannych są całkowicie w ręku Boga. Jeden dostaje pomoc lekarską i umiera, inny poprawia się bez żadnej opieki. Jeden ma ranę

małego palca i umiera na zakażenie krwi. Drugiemu odstrzela ramię, a on się mimo to wylize. Obfite jedzenie i wygodne łóżko szkodzą tylko i osłabiają. Takie jest moje zdanie. Nie mieszaj się więc do spraw, na których się nie rozumiesz.

19 kwietnia 1453

Jezusie Chrystusie, Synu Boży, zmiłuj się nade mną grzesznym!

Napisawszy duży kawałek wczoraj, sądziłem, że wreszcie będę mógł spać w nocy. Nie spałem wiele w ostatnich dniach. By zagłuszyć niepokój serca, chodziłem albo spisywałem wszystkie te próżne słowa.

Ale kiedy leżałem w ciemności z szeroko otwartymi oczyma w zimnej komnacie w Blachernach, rozkoszując się samotnością, a jednocześnie ciężko nią udręczony, przyszła do mnie. Przyszła sama. Z własnej woli. Anna Notaras. Moja ukochana.

Poznałem ją po lekkim kroku, po oddechu.

— Johannesie Angelosie — szepnęła. — Śpisz?

Wsunęła zimne dłonie w moje ręce, położyła się przy moim boku, nos i wargi miała chłodne, ale policzek przy moim policzku był gorący.

— Przebacz — szeptała. — Przebacz mi, ukochany. Nie wiedziałam, co robię. Nie wiedziałam, czego chcę. Żyjesz?

— Naturalnie, że żyję — odparłem. — Jestem twardy. Chwasty nie giną.

— Ziemia się trzęsie — rzekła. — Mury pękają. Śmierć wyje po nocach bez końca tysiącem głosów. Nie, nikt nie może wiedzieć, czym jest wojna, póki sam tego nie zazna. Gdy Turcy napadli na nas w nocy, modliłam się za ciebie, tak jak jeszcze nigdy się nie modliłam. Ślubowałam zwalczyć całe moje samolubstwo, moją złość i moją dumę, jeśli tylko będzie mi dane zobaczyć cię znowu żywym.

— Kochasz mnie więc? — pytałem wciąż jeszcze wątpiąc, choć jej dłonie, policzek i usta zapewniały mnie o tym. — Mówiłaś przecież sama, że mnie nienawidzisz.

— Nienawidziłam cię przez wiele dni, może przez cały tydzień — powiedziała. — Zrozumiałam dopiero, gdy działa zaczęły grzmieć, tak że ściany pękały w klasztorze. Postanowiłam sobie w sercu, że nigdy więcej cię nie zobaczę. Albo że nie odezwę się ani słowem, jeśli się spotkamy. Albo że ci pokażę, gdzie jest twoje miejsce. No cóż,

teraz jestem tu. W nocy, w ciemności, sama z tobą. I całowałam cię. Biada mi. I biada tobie.

— I ja tak postanowiłem — wyznałem i chwyciłem ją za ramiona. Były krągłe i miękkie pod szatą. Czuję hiacyntowy zapach jej policzków. Z ulgi po przeżytym napięciu i lęku zaczęła nagle chichotać. Śmiała się jak mała dziewczynka. I nie mogła się powstrzymać, choć przyciskała obie dłonie do ust.

— Czemu się śmiejesz? — zapytałem nieufnie. W bólu mojej miłości ogarnęło mnie podejrzenie, że zawsze robiła ze mnie głupca i delektowała się upokarzaniem mnie.

— Bo jestem szczęśliwa — śmiała się nadaremnie zaciskając palcami usta. — Tak okropnie szczęśliwa. I nie mogę się oprzeć, by się nie śmiać, gdy pomyślę, jak komicznie wyglądałeś uciekając przede mną z pancerzem pod pachą.

— To nie przed tobą uciekałem — odparłem. — Lecz przed sobą samym. Ale nie ucieknę. Ani na murze, ani w Blachernach, ani śpiąc, ani czuwając. W każdej chwili stałaś niewidzialna przy moim boku.

Jej miękkie wargi rozwarły się pod moimi. Dysząc wyznawała swoją miłość. W swym żarze, ba — w swym bólu tuliła się coraz mocniej do mnie i gładziła dłońmi moje ramiona i plecy, jak gdyby na zawsze chciała zachować moje żywe ciało w pamięci swych rąk.

Potem leżałem u jej boku, pusty, spokojny, całkiem chłodny. Zerwałem jej kwiat, a ona pozwoliła, by się to stało. Od tej chwili była kobietą bez czci. Ale kochałem ją. Kochałem ją taką, jaką była. Kochałem ją, kochałem nawet jej kapryśność.

Po dłuższej chwili szepnęła mi cicho do ucha:

— Johannesie Angelosie, czy nie jest najlepiej tak jak jest?

— Najlepsze jest to, co się dzieje — powiedziałem, czując się ogromnie senny.

Zaśmiała się bezgłośnie i szepnęła:

— Wszystko jest takie proste, takie łatwe, takie oczywiste. To tylko ty robisz wszystko takim trudnym i skomplikowanym dla siebie samego. Ale teraz jestem szczęśliwa.

— Nie żałujesz... — powiedziałem sennie, by coś powiedzieć.

Zdziwiła się:

— A dlaczego miałabym żałować. Teraz już nigdy więcej ode mnie nie uciekniesz. I jest mi dobrze. Nie, gdybyś mnie teraz poślubił, nie byłoby to żadną

gwarancją. Porzuciłeś już jedną żonę. Ale po tym, coś ze mną uczynił, sumienie twoje nie pozwoli ci tak mnie po prostu zostawić. Na tyle cię już znam, choćbyś uważał się za Bóg wie jak twardego. Mój ukochany!

Byłem przepelniony błogim spokojem i nie mogłem się zdobyć na to, by pomyśleć nad jej słowami. Głowa jej spoczywała na moim ramieniu, jej wargi muskały moje ucho, jej włosy pieściły moją szyję i czułem hiacyntowy zapach jej policzków. Położyłem dłoń na jej nagiej piersi i usnąłem głęboko. Po raz pierwszy od dawna spałem bez snów.

Spałem długo. Nie zbudziłem się, kiedy odchodziła. Nie zbudziłem się nawet wtedy, gdy o świcie zagrzmiało wielkie działo wzywając Turków do modlitwy porannej. Słońce stało wysoko na niebie, kiedy się ocknąłem. Wypocząłem, byłem jak odnowiony, byłem szczęśliwy. Odeszła, gdy spałem. Ale tak było najlepiej. Nie chciałem, żeby ją spostrzeżono. I wiedziałem, że będę mógł zobaczyć ją znowu. Weselszy, swobodniejszy niż kiedykolwiek przedtem w życiu, poszedłem zjeść obfity, poranny posiłek. Nie włożyłem pancerza, nie przypasałem nawet miecza. W moim skromnym łacińskim stroju, pokornie jak pielgrzym, skierowałem kroki do klasztoru Pantokratora.

W klasztorze musiałem czekać kilka godzin, gdyż mnich Gennadios odprawiał swoje pobożne medytacje. Przez ten czas modliłem się przed świętymi ikonami w kościele klasztornym. Prosiłem o odpuszczenie grzechów. Pogrążyłem się w mistycznej rzeczywistości serca. Wiedziałem, że przed Bogiem grzechy ważą inaczej niż przed ludźmi.

Gdy mnich Gennadios mnie zobaczył, zmarszczył czoło i wpatrzył się we mnie swym płomiennym spojrzeniem.

— Czego chcesz ode mnie, łacinniku? — zapytał.

Powiedziałem:

— W młodości spotkałem w klasztorze w Athos wielu takich, którzy porzucili rzymską wiarę i nawrócili się do kościoła greckiego, by poświęcić życie Bogu i brać udział w misteriach na pierwotny sposób kościoła Chrystusa. Mój ojciec zmarł, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, ale z jego papierów dowiedziałem się, że był on Grekiem z Konstantynopola. Zdradził swoją wiarę, ożenił się z Wenecjanką i poszedł za papieżem do Awinionu. Ojciec mój mieszkał w Awinionie i pobierał pensję z kasy papieskiej aż do śmierci. Tam też ja się urodziłem. Ale wszystko to było błędzenie.

Teraz gdy przybyłem do Konstantynopola, by umrzeć na murach w walce z Turkami, chcę powrócić do wiary moich przodków.

Zapał religijny zaślepił go tak, że nie słuchał zbyt uważnie moich słów, i byłem mu za to wdzięczny, gdyż nie chciałem odpowiadać na podejrzliwe pytania, które mogłyby się nasunąć człowiekowi bardziej refleksyjnemu. On zaś zawołał tylko oskarżycielsko:

— Dlaczego więc bijesz się przeciw Turkom z łacinnikami? Nawet sułtan jest lepszy od cesarza, który uznał papieża.

— Nie spierajmy się o to — prosiłem. — Spełnij raczej swój obowiązek. Masz być pasterzem, który na swych ramionach wnosi zbłąkane owieczki z powrotem do stada. Pamiętaj też, że i ty sam raz podpisałeś się pod unią po należytym rozważeniu. Mój grzech nie jest większy od twego.

Lewą ręką podniósł prawą, która, jak to dopiero teraz zobaczyłem, była sparaliżowana i powiedział triumfująco:

— Dzień i noc modliłem się do Boga, żeby na znak przebaczenia kazał uschnąć tej ręce, która złożyła podpis we Florencji. I kiedy armaty zagrzmiały pierwszy raz, Bóg wysłuchał mojej modlitwy. Teraz mieszka we mnie Duch Święty.

Poprosił służebnego braciszka, by nam towarzyszył, zaprowadził mnie do rybnej sadzawki na dziedzińcu i kazał mi zdjąć odzież. A kiedy się rozebrałem, wepchnął mnie do wody, wcisnął mi głowę pod powierzchnię i ochrzcił mnie na nowo. Z niewiadomego powodu nadał mi imię Zachariasza. Kiedy wyszedłem z wody, wyspowałem się na zwykły sposób przed nim i przed służebnym braciszkiem i zadał mi tylko lekką pokutę, gdyż wykazałem dobrą wolę. Twarz jego płonęła i promieniała, zmiękł wyraźnie, modlił się za mnie i udzielił mi błogosławieństwa.

— Teraz jesteś prawdziwym Grekiem — powiedział. — Pamiętaj, że jest to czas spełnienia i że stoją przed nami dni ostateczne. Dlatego Konstantynopol musi zginąć. Im dłużej trwać będzie opór, tym większa będzie wściekłość Turków i tym większe cierpienia, które spadną także na niewinnych. Jeśli jest wola Boga, by miasto wpadło we władanie sułtana, któż może temu przeszkodzić? Ten, kto walczy przeciw sułtanowi, walczy w swym zaślepieniu przeciw woli Bożej. Natomiast ten, kto przepędza łacinników z Konstantynopola, jest miły Bogu.

— Kto cię upoważnił, byś tak mówił? — zapytałem poruszony do głębi.

— Żal, cierpienie, lęk o moje miasto upoważniają mnie do tego — odparł gwałtownie. — To nie ja, mnich Gennadios, mówię tak, lecz Duch Boży we mnie.

Rozejrzał się wokoło i zobaczył szare rybki, które spłoszone śmigły w mętnej wodzie sadzawki.

— Dzień nawiedzenia jest bliski! — zawołał wskazując ryby lewą ręką. — W dniu tym te ryby staną się czerwone jak krew z lęku i przerażenia, tak żeby nawet niedowiarkowie uwierzyli. Niechaj to będzie znakiem. I jeśli wtedy będziesz żył, zobaczysz ten widok. Duch Boga, Pana Światów, mówi przez moje usta.

Głosił to tak żarliwie i poważnie, że musiałem mu wierzyć. Potem zmęczył się i umilkł. Gdy braciszek służebny odszedł i włożyłem już na siebie odzież, powiedziałem:

— Ojcie, jestem grzesznikiem i złamałem prawo, jak to przed chwilą słyszałeś. Spałem z grecką kobietą i odebrałem jej niewinność. Czy istnieje jakaś możliwość, bym zgładził mój grzech żeniąc się z nią, mimo że mam już jedną żonę we Francji, z którą zawarłem małżeństwo zgodnie z prawem i z którą związany jestem sakramentem papieskiego kościoła?

Zastanowił się. W oku zjawił mu się błysk byłego polityka, powiedział:

— Papież i jego kardynał tak gorzko zelżyli i prześladowali nasz kościół, naszych patriarchów, ba, nasze wyznanie wiary, że nie może to być grzechem, jeśli zrobię papieskiemu kościołowi, ile mogę, na złość. Po tym chrzcie twoje poprzednie małżeństwo jest nieważne. Ogłaszam je za nieważne, dlatego że w naszym ciężkim położeniu nie mamy nawet legalnego patriarchy, który mógłby to uczynić, jedynie odstępce, Georgiosa Mammasa, niech spadnie na niego przekleństwo. Przyjdź tu z tą kobietą, a poślubię was jako męża i żonę pod świętym dachem.

Z wahaniem rzekłem:

— To delikatna sprawa, którą trzeba trzymać w tajemnicy. Może nawet ją znasz. Gniew wysoko postawionego męża spadnie na twoją głowę, jeśli nas zaślubisz.

Odparł:

— To leży w ręku Boga. Grzech trzeba odkupić. A któryż ojciec byłby tak wyrodny, żeby przeszkadzać swej córce w odkupieniu grzechu. Miałebym obawiać się wielmożów i archontów, ja, który nie lękam się nawet cesarza?

Przypuszczalnie sądził, że uwiodłem córkę jakiegoś sprzyjającego łacinnikom dworzanina i dlatego był zadowolony z mojej propozycji. Obiecał zachować sprawę w tajemnicy, jeśli przyjdę do niego z tą kobietą jeszcze tegoż wieczoru. Nie znam dostatecznie obyczajów greckiego kościoła, by móc rozstrzygnąć, czy ślub taki jak ten miał jakąś ważność. Ale dla mego serca był dostatecznie ważny.

Rad pospieszyłem do mego domu koło portu. Przeczucie mnie nie omyliło. Była tam. Kazała przynieść z klasztoru skrzynię ze swoimi rzeczami i poprzestawiała wszystko tak, że nic już nie stało na swoim właściwym miejscu. Kazała też w moim domu Manuelowi wyszorować podłogi.

— Panie — rzekł Manuel pokornie wykręcając mokrą szmatę, aż brudna woda chlupała w wiadrze. — Właśnie miałem zamiar udać się na poszukiwanie ciebie. Czy rzeczywiście ta samowolna kobieta ma się tutaj sprowadzić i postawić wszystko na głowie? Kolana mam obolałe i boli mnie grzbiet. Czy nie było nam dobrze bez kobiety w domu?

— Ona tu zostanie — odrzekłem. — Nie mów o tym nikomu ani słowa. Gdyby sąsiedzi byli ciekawi, powiedz, że to łacińska kobieta, przyjaciółka pana domu, i że będzie ona tu mieszkać, póki trwać będzie oblężenie.

— Czy dostatecznie zastanowiłeś się nad tym, panie? — zapytał ostrożnie Manuel. — Łatwiej jest wziąć sobie kobietę na kark, aniżeli jej się pozbyć. — I dodał chytrze: — Ona szperała w twoich papierach i książkach.

Nie traciłem czasu na spieranie się. Rozgorączkowany wbiegłem na schody lekko jak młodzieniaszek. Anna odziała się jak prosta grecka kobieta, ale twarz, cera i cała postawa mówiły o jej prawdziwym pochodzeniu.

— Dlaczego biegleś, dlaczego jesteś taki zadyszany? — zapytała udając, że jest przestraszona. — Nie zamierzasz chyba wygonić mnie z domu, jak groził Manuel. To niedobry i samolubny staruch, który nie wie, co dla niego najlepsze. — Rozejrzała się z poczuciem winy po pełnej nieładu izbie i dodała spieszenie: — Poprzestawiałam tylko część rzeczy tak, żeby ci było przyjemniej. A poza tym było tu brudno. Kupię nowe draperie, jeżeli mi dasz pieniądze. No i mąż z twoją pozycją nie może przecież spać w takim barłogu.

— Pieniądze? — powtórzyłem zmieszany i z dość niemiłym uczuciem pomyślałem, że nie zostało mi już zbyt dużo pieniędzy. Te sprawy były mi przecież od dawna obojętne.

— Oczywiście — powiedziała. — Słyszałam, że wszyscy mężczyźni robią, co mogą, by wtykać pieniądze kobietom, które uwiedli. A może ty stałeś się skąpy, odkąd postawiłeś na swoim?

Wbrew woli wybuchnąłem śmiechem.

— Wstydzilibyś się mówić o pieniądzach właśnie teraz — powiedziałem. — Przyszedłem zrobić z ciebie uczciwą kobietę. Dlatego tak bieglem.

Zapomniała o żartach, spoważniała i przyglądała mi się długo. Znów widziałem jej brązowe oczy równie nagie jak owego pierwszego dnia pod kościołem. Znałem ją od wieków, jakbyśmy już przeżyli ze sobą wiele żywotów.

— Anno — ciągnąłem — czy nie chciałabyś mimo wszystko poślubić mnie? O to właśnie przyszedłem cię zapytać. Niech święty sakrament połączy nas duchowo jako męża i żonę, tak jak nasze ciała już się połączyły.

Spuściła głowę. Kilka łez wyciekło jej spod zamkniętych powiek i z wolna potoczyło się po policzkach. — A więc mnie kochasz, kochasz mnie rzeczywiście — bąknęła z wahaniem.

— Czyżbyś wątpiła? — zapytałem.

Spojrzała na mnie.

— Nie wiem — przyznała otwarcie. — Myślałam sobie, że i tak nic nie ma wartości, jeśli ty naprawdę mnie nie kochasz. Myślałam, że powinnam ci podarować mój wianek, żeby sprawdzić, czy chcesz tylko tego. I uważam, że nie poniosłabym straty, gdybym stwierdziła, że tak jest istotnie. Ale wtedy pewnie opuściłabym ciebie i nie chciałabym cię nigdy więcej spotkać. Tu tylko udawałam. Bawiłam się, że mamy wspólny dom.

Zarzuciła mi ręce na szyję i przycisnęła czoło do mego ramienia.

— Nie miałam przecież nigdy żadnego własnego domu — dodała. — Nasz dom jest domem mego ojca i mojej matki. Nie było tam dla mnie miejsca. Zazdrościłam naszym służebnym, które wychodziły za mąż i mogły sobie kupić tanie sprzęty domowe dla siebie. Zazdrościłam zwykłemu człowiekowi jego taniego szczęścia, gdyż sądziłam, że ja nie jestem urodzona do czegoś takiego. Teraz mam to wszystko, skoro rzeczywiście chcesz się ze mną ożenić.

— Nie — zaprzeczyłem — my nie mamy nic. Nie wyobrażaj sobie Bóg wie czego. Zostało nam niewiele czasu. Ale bądź moim ziemskim domem, dopóki jeszcze żyję. I nie zatrzymuj mnie, gdy czas dojdzie do końca. Przyrzeknij mi to.

Nic nie odpowiedziała. Podniosła tylko trochę głowę i rzuciła mi spojrzenie spod opuszczonych powiek.

— Pomyśl — rzekła. — Ja, która kiedyś miałam zostać małżonką cesarza. Czasem czułam żal do Konstantyna, że nie dotrzymał słowa. Dziś jestem szczęśliwa, że uniknęłam tego małżeństwa. Jestem szczęśliwa, że mogę poślubić Franka, który uciekł od swojej żony.

Rozwarła oczy i uśmiechnęła się figlarnie.

— To szczęście, że nie jestem małżonką Konstantyna — ciągnęła. — Pewnie zdradziłabym go z tobą, gdybyśmy się spotkali. Wtedy kazałby ciebie oślepić, a mnie zamknąłby w klasztorze na resztę życia i byłoby ciebie szkoda.

Od czasu do czasu huczały armaty pod murami miasta. Lekkie drewniane domy trzęsły się i trzeszczały w spojeniach. Ale my przeżywaliśmy nasze krótkie szczęście i zapomnieliśmy o czasie. Wieczorem posłałem Manuela po wynajętą lektykę i udaliśmy się razem do klasztoru Władcy Świata. Gennadios przeląkł się, kiedy poznał Annę Notaras, ale dotrzymał obietnicy. Manuel i mnisi trzymali baldachim nad naszymi głowami podczas zaślubin. Gennadios pobłogosławił nasze małżeństwo i wypisał świadectwo ślubu, które opatrzył wielką pieczęcią klasztoru.

Wręczając je rzucił mi dziwne znaczące spojrzenie i powiedział:

— Nie wiem, kim jesteś. Ale duch mówi mi, że dzieje się to nie bez powodu. Jeśli tak jest, niech wszystko obróci się na najlepsze dla naszej wiary i naszego miasta.

Kiedy wypowiedział te słowa, poraziła mnie świadomość, że nic nie stało się z mojej woli. Odkąd uciekłem z obozu sułtana, szedłem tylko jak lunatyk drogą, którą wytyczył mi los. Dlaczego bowiem ze wszystkich kobiet na świecie miałbym spotkać właśnie Annę Notaras i poznać ją po jej oczach?

20 kwietnia 1453

Zbudziłem się u siebie w domu. Anna spała naga u mego boku, była niewypowiedzianie piękna. Jej ciało było jak złoto i kość słoniowa. Tak piękna była, tak nietknięta, że na jej widok poczułem śmiertelny skurcz gardła.

W tejże chwili zaczęły bić na alarm dzwony kościelne zagłuszając huk dział. Obok mego domu biegły gromady ludzi. Naczynia na stole szczękały od ich kroków. Zerwałem się z łóża, przypomniawszy sobie o swoich obowiązkach. Ocknęła się i usiadła przestraszona, przykrywając kołdrą swą nagość.

Ubrałem się pospiesznie. Nawet miecza nie miałem pod ręką. Pocałowałem ją szybko na pożegnanie i zbiegłem po schodach. Na dole koło kamiennego lewka stał Manuel i zatrzymywał biegnących, by zapytać, co się stało. Twarz jego rozjaśniona była pełnym jeszcze wahania zdumieniem.

— Panie! — zawołał. — Stał się cud. To błogosławiony dzień. Flota papieska przybywa. Pierwsze okręty widać już w dali na morzu.

Pobiegłem wraz z innymi aż na wzgórze Akropolu. Tam, wysoko nad murem od strony morza, stałem w gromadzie zadyszanych, wymachujących rękami i wykrzykujących ludzi i patrzyłem na cztery duże zachodnie okręty, które z wydętymi żaglami na rozkołysanym morzu niewzruszenie trzymały kurs prosto na cypel Akropolu wśród bezładnie uwijających się niezliczonych galer tureckich. Trzy z tych okrętów nosiły genueńską banderę z krzyżem. Czwarty, duży statek transportowy, wciągnął długi purpurowy proporzec cesarza. Żadnych innych chrześcijańskich okrętów nie było widać.

Okręty były już tak blisko, że wiatr przynosił do nas zgiełk bitewny, krzyki, zaklęcia i strzały. Turecki okręt admirałski staranował największy z okrętów i tkwił mocno wbity w śródokręcie. A do każdego z pozostałych przyczepiły się mocno tureckie galery bosaków i haków abordażowych, tak że te wielkie okręty na pełnych żaglach wlokły za sobą wiele lekkich galer.

Wokół mnie opowiadano krzycząc z podniecenia, że bitwa zaczęła się daleko na morzu. Sam sułtan wjechał konno do wody, na płyciznę koło wieży Marmurowej, by wydawać rozkazy swojej flocie i wzywać kapitanów, żeby zniszczyli chrześcijańskie okręty. Na całym murze nadbrzeżnym było aż czarno od ludzi. Podawano sobie z ust do ust pogłoski i wiadomości. Mówiono, że sułtan szczyrzył obnażone zęby jak pies i że piana wystąpiła mu na usta. I mogła to być prawda. Na własne oczy widziałem przecież, jak Mehmed wpadł raz w atak furii, choć od tej pory nauczył się już nad sobą panować.

Powoli, lecz niewzruszenie wiatr pchał okręty w stronę portu i bezpieczeństwa. Wlokły one za sobą tureckie galery tak jak niedźwiedź wlecze psy myśliwskie uwieszone u jego kudłów. Galer było tak wiele, że często zderzały się ze sobą. Wysokie fale lśniły od krwawej piany. Od czasu do czasu któraś z galer zaprzestawała walki, odczepiała haki i odpływała na bok, żeby zrobić miejsce innej. Daleko na morzu dryfowała samotna tonąca galera.

W powietrzu rozbrzmiewały dźwięki bębnów i rogów, przeraźliwe krzyki i śmiertelne wycia. W wodzie pływały trupy i szczątki wraków. Z wysokich pokładów bronili się toporami, mieczami i pikami zakuci w żelazo chrześcijańscy żołnierze spychając Turków, którzy nieprzerwanie wdzierali się na strome burty okrętów. Turecki admirał stał na rufie swojej galery z tubą w dłoni i wykrzykiwał rozkazy. Nagle tłum zawrzasnął jednym głosem:

— Flaktanellas, Flaktanellas! — Krzyk niósł się triumfalnie po całym mieście. Ktoś rozpoznał kapitana statku z cesarskim proporcem. Był to statek, który jeszcze przed oblężeniem pożegłował na Sycylię po zboże. Na jego pokładzie można było jeszcze wyraźnie rozróżnić olbrzymiego mężczyznę, śmiejącego się i strojącego grymasy. Wymachiwał okrwawionym toporem i wskazywał łucznikom nieprzyjaciół siedzących wysoko na masztach tureckich galer.

Genueńczycy zmoczyli żagle, tak że tureckie strzały zapalające nie mogły ich podpalić. Na pokład tureckiej galery trysnął nagle strumień ognia i krzyk bólu oparzonych zagłuszył na chwilę zgiełk bitewny. Płonąca galera wycofała się z boju zostawiając za sobą płomienny ślad na wodzie.

Wszystko to stanowiło niewiarygodny wprost widok. Cztery chrześcijańskie okręty torowały sobie nieustępliwie drogę do portu, otoczone przez co najmniej czterdzieści tureckich galer bojowych. Radość tłumu była nieopisana. Raz po raz wołano, że to flota papieska nadciąga. Te okręty to tylko straż przednia. Konstantynopol jest uratowany.

Spowity dymami, splątany kłęb statków minął cypel Akropolu. Tam okręty musiały zrobić ostry zwrot na zachód, żeby dotrzeć do zapory portowej i Złotego Rogu. Zgubiły pomyślny wiatr. Straciły pęd. W miejscu osłoniętym od wiatru pod wysokim wzgórzem żagle im obwisły i widać było wyraźnie, że okręty nie słuchają już steru. Na tureckich galerach podniósł się okrzyk triumfu. Tłum oniemiał. Ze wzgórz na przeciwnym brzegu, po drugiej stronie murów Pery, dotarł z wiatrem aż do nas zwycięski ryk. Stały tam gęste rzesze przyglądających się bitwie Turków wielbiąc Allacha.

Okręty chrześcijańskie skupiły się ciasno jeden przy drugim. Walczyły w zwartym szyku, mimo że turecki okręt admirałski tkwił jeszcze wbity ostrogą w największego genueńczyka i przeszkadzał mu w manewrowaniu. Mocno spięte hakami ze sobą, burta w burte, kołysały się cztery na wysokiej fali jak jedna wielka twierdza, rzygając kamieniami, kulami, strzałami, ogniem i roztopionym ołowiem na tureckie galery. Syczącymi łukami tryskał grecki ogień na pokłady tureckie, tak że załoga miała pełne ręce roboty przy gaszeniu.

— Flaktanellas, Flaktanellas! — zaczęli znowu krzyżeć ludzie na murze nadbrzeżnym. Okręty były teraz tak blisko, że można było rozróżnić wyraźnie nawet rysy walczących. Ale nikt nie mógł przyjść im z pomocą. Za zaporą portową czekały

okręty weneckie gotowe do boju, ale łańcuch nie dawał im wmieszać się do bitwy. A do portu było jeszcze daleko.

Kiedy przyglądałem się fantastycznej walce genueńskich okrętów, wybaczyłem Perze całą jej kupiecką chciwość. Zdałem sobie sprawę, ile ten bój wymagał dyscypliny, sztuki i umiejętności żeglarskiej. Zrozumiałem, dlaczego Genua przez wieki była władczynią mórz współzawodnicząc z samą Wenecją. Niesłuchanie powoli, cal po calu, sunęła ta hucząca i plująca ogniem twierdza z czterech okrętów ku zaporze portowej, mozolnie pędzona kilkoma ogromnymi wiosłami i przybojem.

Na murze i na wzgórzach w mieście ludzie padali na kolana. Napięcie było nie do wytrzymania. Tak straszliwa była turecka przewaga. Z taką furją zmieniały się wciąż galery, by iść do natarcia ze świeżymi siłami. Turecki admirał ochrypl od krzyku. Krew spływała mu z policzka. Z odciętymi rękami spadali do wody odziani w turbany wojownicy, ale ich dłonie czepiały się wciąż jeszcze kurczowo relingów okrętów chrześcijańskich.

— Panaghia, Panaghia, Święta Dziewico, osłoń swoje miasto! — zanosili modły ludzie. Grecy modlili się za łacinników, zagrzani wytrzymałością i męstwem żeglarzy. Może to nie bohaterstwo, kiedy człowiek walczy o życie. Ale bohaterstwem było na pewno, że te cztery okręty nie opuszczając się nawzajem usiłowały przedrzeć się przez przeważające siły wroga, by przyjść z odsieczą Konstantynopolowi.

I nagle, nagle jak gdyby niebieski podmuch przeciągnął po niebie. Stał się cud. Wiatr zmienił kierunek. Wzdęły się znowu ciężkie, mokre płótna i okręty chrześcijańskie ruszyły szybciej ku zaporze portowej. W ostatniej chwili turecki admirał kazał odrąbać dziób swojej galery, tak że tylko ostroga została w brzuchatej dębowej burcie chrześcijańskiego okrętu. Z krwią bluzgającą ze szpigatów galera turecka zawróciła, dając za wygraną, i odpłynęła. Jakby kulejąc, z połamanymi wiosłami, otoczone kłębiącymi się chmurami dymu z nie dającego się ugasić greckiego ognia, inne tureckie okręty poszły w ślad swego dowódcy. Przeciągły ryk triumfu ludu Konstantynopola wstrząsnął niebem.

Nie wiem dużo o cudach. Ale to, że wiatr zmienił kierunek właśnie w tej decydującej chwili, było z pewnością cudem. W wydarzeniu tym kryło się coś nadprzyrodzonego, coś, czego nie mogły pojąć umysły ludzkie. Tej osobliwości nie zaciemniały okropne biadania rannych ani chrapliwe przekleństwa żeglarzy, którzy wyczerpanymi głosami nawoływali w stronę portu prosząc, by im otworzyć zaporę. Odczepienie wielkiego łańcucha jest trudnym i niebezpiecznym zadaniem. I dopiero

kiedy tureckie okręty znikły w Bosforze, Aloisio Diego kazał otworzyć zaporę i cztery okręty chwiejąc się weszły do portu i oddały salut na cześć cesarza.

Jeszcze tego samego dnia po południu załogi z chorągwiami i dowódcami przemaszerowały w towarzystwie rozradowanych tłumów przez całe miasto od klasztoru Chora, by dziękować konstantynopolitańskiej Panaghii za uratowanie. Wszyscy ranni, którzy mogli chodzić, wzięli udział w tym pochodzie, a kilku innych kazało się zanieść do kościoła na noszach, w nadziei, że zostaną cudownie uzdrowieni. Tak dziękowali i wychwalali łacinnicy grecką Najświętszą Dziewicę, a oczy ich oślepiały złote mozaiki w klasztornej kościele Chory.

Ale wśród bardziej myślących mieszkańców miasta radość i nadzieje straciły niebawem swój blask, gdy zdali sobie sprawę, że te trzy genueńskie okręty wcale nie stanowiły straży przedniej połączonej floty chrześcijańskiej, lecz przyszły tylko z ładunkami broni, które cesarz jeszcze w jesieni zakupił i zapłacił. Napaść sułtana na nie była wyraźnym pogwałceniem neutralności, gdyż okręty właściwie zdążyły do Pery. Kapitanowie stawili opór tylko dlatego, że ich ładunek był kontrabandą wojenną i obawiali się, iż utracą swoje okręty. Wszedłszy szczęśliwie do portu stali się teraz zarówno oni, jak ich armatorzy bogatymi ludźmi. Inna sprawa, czy zdołają zachować bogactwo i okręty powołując się na neutralność Pery.

Moje upojenie minęło. Zmuszony byłem powrócić na swój posterunek w Blachernach i zgłosić się u Giustinianiego. Pocałowałem moją młodą żonę na pożegnanie błędząc myślami już gdzie indziej i zabroniłem jej pokazywać się na mieście, żeby jej nie poznano. Nakazałem Manuelowi, by jej słuchał, i przyrzekłem przyjść do domu, gdy tylko pozwolą mi na to moje obowiązki.

Przy bramie św. Romana nie tylko mur zewnętrzny, ale i wielki mur doznał już uszkodzeń od ognia dział. O zmierzchu wleczono belki, znoszono ziemię, wiązki faszyny i skóry nie kończącym się strumieniem na mur zewnętrzny, żeby go umocnić. Każdemu wolno wyjść przez wielki mur do muru zewnętrznego, ale wrócić do miasta jest trudniej. Giustiniani wystawił posterunki, które chwytają tych, co próbują przedostać się z powrotem, i zmuszają wszystkich odwiedzających do przepracowania jednej nocy. Łacinnicy Giustinianiego są wyczerpani bombardowaniem trwającym przez całą dobę i ustawicznymi wypadami na wyłom, gdzie Turcy starają się, jak mogą, przeszkadzać w naprawianiu muru. Większość obrońców nie zdejmowała pancerzy od wielu dni.

Opisałem Giustinianiemu bitwę morską, tak jak ją widziałem na własne oczy, i powiedziałem:

— Wenecjanie są wściekli z powodu zwycięstwa Genuńczyków na morzu. Ich okręty nie osiągnęły dotychczas żadnej większej chwały stojąc przy zaporze i unikając kul kamiennych z bombard sułtana.

— Zwycięstwo — rzekł Giustiniani nagle poważniejąc. — Jedynym zwycięstwem jest to, że stawiamy opór przez blisko dwa tygodnie. Ale przybycie tych okrętów to nasza największa klęska. Dotychczas mogliśmy przynajmniej mieć nadzieję, że papieska flota krzyżowców zdąży na czas z odsieczą. Teraz wiemy, że Morze Greckie stoi puste i nie ma żadnej zebranej floty nawet w portach włoskich. Chrześcijaństwo opuściło nas.

Zaoponowałem:

— Taka wyprawa musi być utrzymana w tajemnicy do ostatka.

Odparł:

— Bzdury. Nie można wyposażyć tak dużej floty bez tego, by do kapitanów genueńskich nie dotarły przynajmniej jakieś pogłoski. — Potem wpatrzył się we mnie groźnymi wolimi oczyma i zapytał: — Gdzie byłeś? Przez całą dobę nikt cię nie widział w Blachernach.

Odrzekłem:

— Dzień był spokojny i załatwiałem swoje sprawy prywatne. Czy już mi nie ufasz?

Powiedział oskarżająco:

— Jesteś w moim zaciągu. Muszę wiedzieć, co robisz. — Nagle przysunął twarz tuż do mojej, policzki mu nabrzmiały i w oczach pojawił się zielony ogień. Wybuchnął: — Widziano cię w tureckim obozie.

— Czyś oszalał?! — wykrzyknąłem. — To haniebne kłamstwo, musi być ktoś, kto pragnie mej głowy. Jakżeż mógłbym choćby tylko przedostać się tam i z powrotem?

Rzekł:

— Co noc krążą łodzie między nami i Perą. Wiesz o tym dobrze. Można przepłacić podestę w Perze, a tamtejsi wartownicy to ubodzy ludzie, którzy nie odrzucają ubocznego dochodu. Nie myśl, że nie wiem, co dzieje się u sułtana. Mam tam oczy, podobnie jak sułtan ma je tutaj.

— Giustiniani — powiedziałem — musisz mi wierzyć ze względu na naszą przyjaźń. Dzień był wczoraj spokojny i wziąłem ślub z grecką kobietą. Ale na miłość boską zachowaj to dla siebie! Inaczej ją stracę.

Wybuchł grzmiącym śmiechem i uderzył mnie szeroką łapą po barku jak dawniej:

— Jeszcze nigdy nie słyszałem czegoś bardziej szalonego — rzekł. — Uważasz, że to odpowiednia pora, by myśleć o ożenku?

Wierzył mi. Może chciał mnie tylko nastraszyć, żebym wyznał, co robiłem, kiedy nie miał mnie na oku. Ale serce przepełniło mi przygnębienie i złe przeczucia. Przez całą noc nowe ogniska płonęły w obozie tureckim, a z wielkich dział, które dotychczas zadowalały się w nocy jednym strzałem, strzelano teraz co dwie godziny.

21 kwietnia 1453

Piekielny dzień. W nocy Turcy podprowadzili nowe działa i wzmocnili swoje baterie. Ich nowa metoda, by nie kierować strzałów w jeden i ten sam punkt, okazała się skuteczna. Po południu zwała się jedna z wież na wielkim murze koło bramy św. Romana, pociągając za sobą kawał muru. Wyłom jest pokaźny. Gdyby Turcy mieli w pogotowiu odpowiednią do ataku siłę, mogliby wtargnąć do miasta. Z muru zewnętrznego w tym punkcie pozostała tylko prowizoryczna palisada, którą trzeba odbudowywać co noc. Ale Turcy na szczęście zadowolili się atakowaniem w sile paruset ludzi w różnych miejscach muru. Nie nadążają już ze zbieraniem poległych. Wiele trupów leży pod murem zewnętrznym i tam, gdzie fosa obsunęła się, i odór zatruwa powietrze.

Wymiana strzałów trwała nieprzerwanie przez cały dzień aż do późnego wieczora. Sułtan kazał próbować muru wszędzie. Na wzgórzach za Perą ustawił nowe armaty, które strzelają nad Perą i usiłują trafić okręty w porcie. Co najmniej sto pięćdziesiąt kul kamiennych spadło już do portu. Kiedy weneckie okręty odpłynęły od zapory, by uniknąć ostrzeliwania, sułtańskie galery starały się ją przełamać. Uderzono jednak w porę na alarm i Wenecjanie wrócili, by bronić łańcucha. Udało im się uszkodzić galery tureckie tak ciężko, że zawróciły. W ciągu tej bitwy Turcy nie mogli strzelać nad Perą z obawy, by nie uszkodzić własnych okrętów. Trzy razy flota sułtańska usiłowała nadaremnie przerwać łańcuch.

Wydaje się, że sułtan zmobilizował wszystkie siły, by pomścić wczorajszą haniebną porażkę na morzu. Mówią, że wczoraj wieczorem pojechał konno do portu Pelar i własnoręcznie bił swego admirała w pierś i po barkach żelazną buławą emira. Admirał Baltoglu, sam ciężko ranny, stracił w bitwie oko, a na pokładzie jego okrętu admirałskiego padło dwustu ludzi, tak że z wielkim trudem tylko zdołał wycofać się z walki o własnych siłach. Bez wątpienia jest to mąż dzielny, ale nie umiał dowodzić całą flotą. Wskazuje na to wczorajsze zamieszanie.

Sułtan chciał wbić go na pal, ale wyżsi dowódcy floty błagali go o łaskę podkreślając odwagę admirała. Toteż sułtan zadowolił się chłostą. Na oczach całej floty bito więc admirała kijami, dopóki nie stracił przytomności. Skonfiskowano mu też cały majątek i wygnano go z obozu sułtana. A że stracił oko, majątek i honor, zrozumiałe jest, że sułtanowi trudno jest teraz znaleźć kogoś, kto objąłby dowództwo nad flotą. W każdym razie flota turecka nie jest już beczynna, przez cały dzień była w ruchu, nie osiągnąwszy jednak mimo to zbyt wiele.

Wenecjanie obawiają się, że działalność floty i ustawiczne utarczki rozpoznawcze zapowiadają rychłe ogólne natarcie. Stan alarmowy trwał przez cały dzień. Nikomu nie wolno oddalać się z muru. Nikomu nie wolno nawet odłożyć na noc zbroi. Wczorajszą zwycięską radość zastąpiło w całym mieście przygnębienie. Nikt już nie stara się liczyć strzałów armatnich, tak nieprzerwany jest huk. Dym prochowy zaciemnia niebo i osmala domy.

Co dzień przybywają do obozu sułtana nowe oddziały i ochotnicy, zwabieni możliwością grabieży. Są wśród nich także chrześcijańscy i żydowscy kupcy, którzy dobrze zarabiają na sprzedaży żywności w obozie i zamierzają ulokować zarobki w łupie wojennym, gdy Turcy zdobędą miasto. Mówią, że wózki, sanie i zwierzęta pociągowe, osły i wielbłądy poszły gwałtownie w cenę wobec bliskiej perspektywy wywożenia zrabowanych skarbów z Konstantynopola. Biedacy spodziewają się, że dostaną tylu niewolników w mieście, iż łup można będzie zanieść na ludzkich plecach aż do Azji.

Wszystko to zapowiada ostateczny szturm. Baterie sułtana nauczyły się już celować w trzy specjalne punkty w murze, tak że wielkie kawały muru zewnętrznego odrywają się i walą do fosy. W mieście, a także i na murach można czasem dostrzec oznaki paniki.

Rezerwowa załoga Notarasa objeżdża konno miasto i wlecze bez pardonu każdego zdatnego do pracy na mury. Tylko kobietom, starcom i dzieciom wolno

zostać w domu. Nawet chorych wyciąga się z łóżek, gdyż jest wielu podszytych tchórzem, którzy udają chorobę. Inni znów uważają, że ta wojna jest wojną łacinników i cesarza i nie chcą się bić za nich. W trwodze wielu ludzi znalazło sobie kryjówki w piwnicach, podziemnych sklepieniach i wyschniętych studniach na wypadek, gdyby Turkom udało się wtargnąć do miasta.

22 kwietnia 1453

Straszliwa niedziela. Rano nagle przestały dzwonić dzwony kościelne i na murze koło portu zebrała się wielka masa ludzi, którzy w niemym zdumieniu przecierali oczy. Mówiono ze strachem o sztuczkach czarownic i o derwiszach, którzy umieją chodzić po wodzie i posługiwać się płaszczem jak żaglem. Naprzeciw kościoła św. Mikołaja i bramy św. Teodozji leży port w Perze gęsto zatłoczony tureckimi galerami. Nikt nie mógł zrozumieć, jak okręty tureckie przedostały się przez zaporę, tak że obecnie znajdują się na tyłach naszej floty. Wielu przecierało po parę razy oczy i zapewniało, że te okręty to omam. Ale na brzegu koło Pery roіło się od Turków, którzy kopali szańce, wznosili palisady i wciągali działa mające osłaniać galery.

A potem wybuchnął krzyk. Na szczycie wzgórza pojawił się nagle turecki okręt, który zaraz zaczął się ześlizgiwać ze zbocza na pełnych żaglach, przy muzyce bębnów i trąb. Wyglądało to tak, jakby żeglował po całym lądzie. Ciągniony przez setki ludzi po drewnianym ześlizgu zjechał na brzeg, plusnął do wody, uwolnił się od drewnianego podwozia i podpłynął do innych okrętów. Stało tam już rzędem ponad pięćdziesiąt żagli. Nie były to jednak wielkie galery, lecz tylko takie o osiemnastu albo dwudziestu dwu wioślarzach, długości od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu stóp.

Przez jeden dzień i jedną noc sułtan i jego nowy admirał dokonali tego zaskoczenia. W ciągu dnia wyszło na jaw, że Genueńczycy z Pery dostarczyli sułtanowi ogromną ilość drewna, lin, drewnianych kłóców na wałki i sadła do smarowania ześlizgu. A potem Turcy za pomocą kołowrotów, wołów i robotników wciągnęli okręty z Bosforu na strome wzgórze za Perą i w dół na drugą stronę do Złotego Rogu.

Genueńczycy w Perze bronili się twierdząc, że wszystko odbyło się tak szybko i w największej tajemnicy, że nie mieli pojęcia o tych przygotowaniach aż do świtu dnia dzisiejszego. A jeśli chodzi o sprzedaż dużej ilości sadła — mówili — to dla zachowania neutralności zmuszeni są przecież prowadzić handel zarówno z sułtanem, jak z

miastem. I nawet gdyby wiedzieli, co się stanie, nie mogliby temu przeszkodzić, gdyż na wzgórzu stoją dziesiątki tysięcy tureckich wojowników dla osłony galer.

Aloisio Diego zwołał pośpiesznie weneckich dowódców na naradę z cesarzem i Giustinianim w kościele św. Marii. Tymczasem wciąż nowe galery zaślizgiwały się ze wzgórza koło Pery z rozwiniętymi żaglami, sternicy bili w bębny, a załoga wykrzykiwała i wywijała wiosłami, jakby ciesząc się po dziecinnemu z tej żeglugi po suchym lądzie. Nasza flota stała gotowa do boju, ale nie mogła nic zdziałać.

Narada była tajna i Aloisio Diego nie posłał nawet po genueńskich szyprow, co rozgoryczyło ich przeciw Wenecjanom jeszcze bardziej niż poprzednio. Na dowód, jak trudno jest w tym mieście utrzymać coś w tajemnicy, mogę wspomnieć, że już tego samego wieczora znalazło się w Blachernach wielu, którzy znali przebieg obrad.

Kilku Wenecjan zaproponowało, by flota natychmiast ruszyła do natarcia i wielkimi okrętami i ciężkim uzbrojeniem zniszczyła lekkie okręty tureckie, podczas gdy jeszcze leżały na brzegu. Nie mogły one stawiać większego oporu, twierdzono, choćby ich było nie wiadomo jak wiele. Ale ostrożniejsi członkowie rady, a wśród nich sam bailon, żywili zdrowy respekt przed działami, które sułtan ustawił na wzgórzu dla osłony swoich galer, i sprzeciwili się tak ryzykownemu przedsięwzięciu, które mogło doprowadzić do tego, że ich wielkie i drogocenne okręty zostaną zatopione albo uszkodzone.

Proponowano też nocne zaskoczenie przez wysadzenie na ląd oddziałów z paru lekkich galer, ale Giustiniani odmówił stanowczo zgody na to. Turcy stali zbyt wielką siłą pod Perą, a nasza obrona nie mogła sobie pozwolić na stratę ani jednego zdatnego do walki żołnierza.

Przeciw obu propozycjom założył też veto cesarz Konstantyn z powodów politycznych. Tureckie galery stoją na kotwicy w Złotym Rogu po stronie Pery. Brzeg należy do Pery, mimo że znajduje się poza jej murami. A więc ani nie można, ani nie wolno wszczynać żadnego ataku bez uprzedniego naradzania się z Genueńczykami w Perze. Nawet jeśli sułtan wyraźnie pogwałcił neutralność Pery przez obsadzenie odcinka brzegu przy porcie, nie uprawnia to Konstantynopola do podobnego naruszenia neutralności. Frances poparł cesarza i powiedział, że Konstantynopol nie może sobie pozwolić na poróżnienie się z Genueńczykami, nawet jeśli sułtan to zaryzykuje.

Wenecjanie krzykali mocno przeklinając, że równie dobrze można byłoby wyjawiać te plany wprost sułtanowi, jak i Genueńczykom, którzy są zdrajcami

chrześcijaństwa. Byli zdania, że sułtan tylko z tajnym poparciem Pery mógł przenieść okręty do Złotego Rogu.

Giustiniani wyciągnął na to swój duży dwuręczny miecz i zawołał, że gotów jest bronić honoru Genui przeciw jednemu, dwóm albo całej weneckiej dwunastoosobowej radzie naraz. To hańba i niesprawiedliwość, krzyczał, sporządzać plan natarcia nie wysłuchawszy wpierw szyprów genueńskich. Ich okręty są wystawione na takie samo niebezpieczeństwo jak weneckie i biorą taki sam udział w obronie. To niedorzeczność ze strony Wenecjan, by takim posunięciem starać się podreperować swój nadwątlony honor.

Cesarz musiał stanąć przed nim z rozpostartymi ramionami, by go uspokoić, i ze łzami w oczach usiłował ułagodzić wzburzonych Wenecjan.

W końcu głos zabrał kapitan wenecki Giacomo Coco, ten, który w jesieni przybył tu z Trebizondy i który zdołał podstępem przepłynąć przez Bosfor mimo blokady Turków nie tracąc ani jednego człowieka. Jest to szorstki mężczyzna, który woli działać niż mówić, ale czasem pojawia się w jego oku błysk rozbawienia, a podwładni ubóstwiają go i opowiadają niezliczone historie o jego sztuce żeglarskiej i przebiegłości.

— Im więcej kucharzy, tym gorsza zupa — powiedział. — Jeśli ma się coś zrobić, trzeba to zrobić natychmiast, zniemacka i bez mieszania do tej sprawy więcej osób, niż to konieczne. Wystarczy jedna galera, obłożona z zewnątrz workami bawełny i wełny dla ochrony przed ogniem z dział. Pod jej osłoną możemy podpłynąć o wiosłach wieloma małymi łodziami i statkami i podpalić tureckie okręty, zanim ktoś się opamięta. Ja sam obejmę chętnie dowództwo nad tą galera, ale tylko pod warunkiem, że nie będzie się więcej gadać o tej sprawie i że wszystko to stanie się już dzisiaj w nocy.

Na pewno propozycja jego była dobra, ale cesarz uważał, że nie może obrazić Genueńczyków. Propozycję Coco przyjęto dlatego w zasadzie, ale postanowiono odłożyć całe przedsięwzięcie o kilka dni, żeby zaplanować je bliżej w porozumieniu z Genueńczykami. By zadowolić Coco, mianowano go dowódcą. Giacomo Coco wzruszył ramionami i zaśmiał się:

— Miałem aż za dużo szczęścia, ale nie można wymagać niemożliwości. Zawsze jednak zdążę jeszcze wyrazić żal za grzechy i przystąpić do komunii świętej. Jeśli nie zrobimy tego od razu, ta impreza oznacza dla mnie śmierć.

Giustiniani nie opowiedział mi o tym wszystkim. Stwierdził tylko:

— Będzie sprawą floty podjęcie koniecznych kroków. Tureckie galery w Rogu nie stanowią żadnego zagrożenia dla okrętów weneckich. Co najwyżej mogą one w ciemną noc podpłynąć i podpalić jakiś chrześcijański statek. O wiele gorsze jest to, że trzeba obsadzić na nowo mur portowy. Dotychczas stała tam tylko garść strażników, dla obserwacji, ale od tej pory musimy być dostatecznie silni, by móc powstrzymać Turków od prób lądowania poprzez zatokę.

— Dziś w nocy sułtan Mehmed zdobył sobie bez wątpienia sławę Aleksandra i przewyższył o wiele wyczyny króla Persów Kserksesa na tych wodach — podjął. — Wprawdzie już dawniej przeciągano okręty przez ląd, ale nigdy w tak trudnych warunkach i w tak wielkiej liczbie. Niech Wenecjanie gadają, co chcą, o swoich okrętach. Bardziej podziwiam militarne zdolności Mehmeda. W ten sposób bez jednego strzału, samym tylko zagrożeniem, zmusił mnie do przegrupowania obrony i rozproszenia sił.

Spojrzał na mnie spod oka i dodał:

— Czy wspominałem ci już przypadkiem, że cesarz i ja doszliśmy zgodnie do wniosku, iż megaduks Łukasz Notaras zasłużył na nowy awans z powodu swoich zasług w obronie miasta? Jutro rano zostanie mianowany dowódcą sił rezerwowych w centrum koło kościoła św. Apostołów. Obronę muru powierzam komuś innemu i równocześnie posyłam tam innych ludzi.

— Giustiniani — powiedziałem. — On ci tego nigdy nie wybaczy. W jego osobie znieważasz całą grecką ludność, kościoły i klasztory, kapłanów i mnichów, całego greckiego ducha.

Giustiniani łypnął na mnie okiem.

— Także i to będę chyba musiał wytrzymać dla książęcej korony — odparł. — Nigdy nie mógłbym sobie wybaczyć, gdyby grecki duch pewnej nocy otworzył bramy portu i wpuścił Turków z tych ich okrętów. — Zamruczał coś pod nosem i powtórzył: — Grecki duch, tak, to właściwe słowo, grecki duch, jego musimy się wszyscy wystrzegać, także cesarz.

Kipiałem gniewem, choć go rozumiałem.

Naszą jedyną radością w tę smutną niedzielę było to, że jedno z wielkich tureckich dział pękło ze straszliwym hukiem, zabijając wielu ludzi z obsady i wprowadzając całe swoje otoczenie w zamęt. Trwało blisko cztery godziny, zanim działa znowu zaczęły strzelać na tym odcinku.

Wśród obrońców wielu cierpi na gorączkę i bóle brzucha. Bracia Guacchardi kazali powiesić greckiego robotnika, który umyślnie obciął sobie palce, żeby nie musieć pracować na murze.

Czyżby to rzeczywiście była wojna łacinników, a nie Greków? Boję się mego serca. Boję się moich myśli. W czasie wojny nawet najchłodniejszy rozum nie może pozostać nie zmacony.

25 kwietnia 1453

Dziś około północy Jacomo Coco miał dwie galery w pogotowiu, żeby zaatakować Turków i podpalić tureckie okręty pod wzgórzem Pery. Genuńczycy przeszkodzili jednak temu przedsięwzięciu obiecując wziąć w nim udział większymi siłami, gdy tylko zdąży się lepiej zaplanować ten atak.

Zastanawiałem się tylko, jak oni mogą wierzyć, że to się da utrzymać w tajemnicy, skoro niemal każdy człowiek we flocie wie o tym i skoro podobno powszechnie roztrząsa się projekt zaskakującego ataku na Perę.

Ogień z dział trwa. Straty rosną. Co naprawimy w ciągu nocy, kule kamienne kruszą następnego dnia. Na odcinku wielkiego muru braci Guacchardi runęły dwie wieże.

28 kwietnia 1453

Dziś rano, kiedy było jeszcze ciemno, przyszedł Giustiniani i zbudził mnie potrząsając, jak gdyby chciał się przekonać, że jestem na swoim posterunku w Blachernach. Potem rozkazał mi krótko iść za sobą. Było jeszcze przed świtaniem. Chłód nocy dawał się dotkliwie we znaki. W obozie tureckim ujadaly psy. Poza tym wszędzie było cicho.

Weszliśmy na mur naprzeciw miejsca, gdzie zakotwiczyły okręty tureckie. Na dwie godziny przed wschodem słońca zapłonął nagle sygnał ogniowy na wysokiej wieży w Perze.

— Boże Wszechmogący — wyszeptał zduszonym głosem Giustiniani. — Dlaczego urodziłem się Genuńczykiem? Ich prawa ręka nie wie, co robi lewa.

Noc była nadal cicha. Z tureckiego brzegu nie słyhać było najmniejszego dźwięku. Pod nami błyszczały czernią wody portowej zatoki. Jasny ogień zapłonął wysoko na wieży w Galacie. Wyteżyłem wzrok i zdawało mi się, że rozróżniam cienie okrętów sunące po wodzie. Potem noc eksplodowała. Płomienie wylotowe z dział naprzeciwko oślepiły nas. Ciężkie kule kamienne uderzały z hukiem o burty okrętów i dziurawiły dębowe pokłady. W okamgnieniu ciemność wypełniła się potężnym krzykiem i hałasem. Zapłonęły pochodnie. Grecki ogień tryskał na wodę i spływał płonącymi plamami. W łunie walki dostrzegłem, że Wenecjanie wysłali całą eskadrę, by zniszczyć tureckie galery. Blisko brzegu płynęły dwa wielkie okręty, bezkształtne z powodu worków z wełną i bawełną, umocowanych po bokach. Jeden z nich zaczynał już tonąć. Nowe kule armatnie spadały nieustannie na fusty i brygantyny, które płynęły pod osłoną obu dużych okrętów. Cała flota turecka gotowa do boju wypłynęła na spotkanie okrętom chrześcijańskim. Okręty zachodnie zderzały się z sobą w zamieszaniu, a rozpaczliwe krzyki wydających komendy kapitanów niosły się po wodzie. Od czasu do czasu gęste chmury dymu prochowego zasłaniały wszelki widok, tak że tylko czerwona luna pożaru obwieszczała, iż zapłonęła jeszcze jedna galera. Chrześcijanie podpalili swoje brandery i puścili je z prądem, a sami wyskakiwali do wody, szukając ratunku na innych okrętach.

Bitwa trwała aż do świtania, kiedy wreszcie weneckim galerom udało się oderwać i popłynąć z powrotem. Jedna z nich, pod dowództwem Trevisana, poszła na dno, gdyby załoga nie rozebrała się do naga i nie pozatykała dziur odzieżą. Pierwsza galera, którą dowodził Coco, zatonała w kilka minut, ale część załogi uratowała się dopłynawszy wpław do lądu po stronie Pery.

Gdy słońce wzeszło, mogliśmy stwierdzić, że plan zaskoczenia całkowicie się nie powiódł. Jedna jedyna turecka galera stała w płomieniach i po chwili zatonała. Pozostałe pożary ugaszono po kolei.

Syn weneckiego bailona dowodził drugą z uratowanych galer. Płynąc z powrotem obok Pery kazał wypalić z dział i widzieliśmy, jak kule wzbijają chmury pyłu z murów Pery. Sygnał ogniowy zapalony z wieży, w chwili gdy wypłynęły weneckie okręty, dowodził zdrady Genuńczyków z Pery tak wyraźnie, że nawet Giustiniani nie usiłował temu zaprzeczać.

— Czy ma słusność, czy nie, Genua jest moim miastem rodzinnym — powiedział. — Flota wenecka jest zbyt silna w porównaniu z genueńską. Odpowiedni upust krwi jest korzystny i przywraca równowagę w porcie.

Wracaliśmy już z muru, kiedy rzuciłem ostatnie spojrzenie na osnuty dymem brzeg Pery i chwyciłem Giustinianiego za ramię. Widać tam było sułtana na białym wierzchowcu, a wschodzące słońce krzesło wspaniałe blaski z klejnotów na jego turbanie. Zjechał aż na brzeg, na małe wzgórze, i właśnie przyprowadzono do niego ograbionych ze wszystkiego i rozebranych z odzieży jeńców ze związanymi z tyłu rękami. Byli to żeglarze, którzy uratowali się z zatopionych galer. Ludzie wokół pokazywali palcami i wołali, że wśród pojmanych rozpoznają Jacoma Coco.

Z Blachern przybiegła w tejże chwili grupka Wenecjan, którzy opuścili swoje posterunki na murze. Giustiniani nakazał im zawrócić, ale oni odparli, że przyjmują rozkazy tylko od swego bailona, który pojechał do portu, by przywitać syna, i kazał im przyjść tam w pełnym uzbrojeniu.

Ale sprzeczka została przerwana. Z bezmierną zgrozą zwróciliśmy znowu spojrzenia ku Perze. Turcy zmuszali jeńców, by uklękli, i kat wymachiwał mieczem. Głowy spadały, krew tryskała. Ale i tego nie było dość. W ziemię wkopano szereg zaostrzonych pali i wbito na nie pozbawione głów trupy, po czym na sam wierzchołek pali wetknięto odcięte głowy z wyszczerzonymi zębami i wykrzywionymi twarzami. Wielu spośród nas zakryło oczy, żeby nie patrzeć na ten straszliwy widok. Wenecjanie płakali z gniewu. Jakaś kobieta zwymiotowała i chwiejąc się na nogach zeszła z muru.

Jeńców było tak dużo, że pierwsi wisieli już na palach wykrwawieni, podczas gdy ostatni wciąż jeszcze czekali na stracenie. Sułtan nie ułaskawił nikogo. Kiedy się rozwidniło, wisiało tam czterdzieści krwawych trupów, a ich głowy wołały o pomstę, choć usta były nieme.

Giustiniani powiedział:

— Nie sądzę, by zostało jeszcze dużo Wenecjan, którzy by mieli ochotę odwiedzać Turków.

Wtem od łańcucha zapory nadpłynęły o wiosłach łodzie załadowane ludźmi z okrętów. Ich broń błyszczała w słońcu. Ujrawszy ich Giustiniani zmarszczył czoło:

— Co tu się dzieje? — rzekł nieufnie.

Usłyszeliśmy za sobą tętent kopyt. Wenecki bailon przejechał obok nas w szalonym galopie, nie bacząc na swój wiek i tuszę, a za nim jego syn z wyciągniętym mieczem i zbroją wciąż jeszcze okrwawioną.

— Chodźcie tu, Wenecjanie! — wołali. — Do jeńców!

Giustiniani na próżno wzywał, by podano mu konia. Potem opamiętał się i powiedział:

— I tak nie mogę zabrać moich ludzi z bramy św. Romana. Niech ta hańba spadnie na Wenecjan. Widziałeś przecież na własne oczy, jak opuścili dwa swoje okręty i uciekli w panice.

Nie trwało długo, kiedy rozwścieczeni Wenecjanie, żeglarze i żołnierze, pomieszani ze sobą, przyszedli wlokąc pod gradem uderzeń i kopniaków tureckich jeńców, zabranych z wież i podziemnych lochów. Część z nich byli to Turcy uwięzieni w mieście po rozpoczęciu oblężenia, ale większość wzięto do niewoli przy okazji nocnych rozpoznawczych ataków Turków przy bramie św. Romana i w innych miejscach. Wielu było rannych i ledwie mogło chodzić. W ciągu godziny ponad dwustu jeńców zebrano się przy murze portowym. Wenecjanie tłoczyli się wokół nich i coraz to któryś podchodził do jeńców, bił ich po twarzy, kopał w brzuch albo ciął na oślepie mieczem. Wielu jeńców upadło i leżało na ziemi, inni usiłovali modlić się albo wzywać w swej męce Allacha.

Giustiniani wołał do Wenecjan:

— Odwołuję się do cesarza. To moi jeńcy!

Wenecjanie odpowiedzieli:

— Stul pysk, przeklęty Genuńczyku, bo inaczej i ciebie powiesimy.

Wenecjan było kilkuset i wszyscy w pełni uzbrojeni. Giustiniani zdał sobie sprawę, że nic nie może zrobić i że również jego własne życie jest zagrożone. Podszedł do bailona i próbował mediacji:

— Nie poczuwam się do winy za to, czego się dopuścili Genuńczycy z Pery. Walczymy tu wszyscy za chwałę Boga i ocalenie chrześcijaństwa. Nie przyniesie wam to zaszczytu, jeśli powiesicie tych biedaków, z których wielu jest mężnymi wojownikami, bo dopiero jako ranni popadli w niewolę. A poza tym byłoby to głupie, gdyż odtąd ani jeden Turek się nie podda, lecz będzie wołał bić się do ostatniego tchu.

Bailon wykrzyknął z pianą na ustach:

— Jeszcze paruje krew naszych rodaków i braci, a ty, podły Genuńczyku, nie wstydzisz się brać Turków w obronę. Czy zamierzasz wziąć za nich okup, czy co? Ha, Genuńczyk sprzeda własną matkę, jeśli dobrze mu zapłacą. Ha, kupujemy naszych jeńców za przyjętą cenę. Masz tu!

Zerwał z pasa sakiewkę i rzucił ją do stóp Giustinianiemu. Ten zbladł, ale opanował się i dając mi znak, żebym podążył za nim.

Wenecjanie zaczęli wieszać tureckich jeńców jednego po drugim na wystęпах i blankach muru i na wieży naprzeciwko miejsca straceń sułtana. Powiesili nawet

rannych, ogółem dwustu czterdziestu jeńców, po sześciu za każdego straconego Wenecjanina. Żeglarze nie wstydzili się pełnić służby katowskiej. Sam bailon powiesił jednego z rannych.

Gdy tylko zniknęliśmy z oczu Wenecjanom, Giustiniani przyspieszył kroku. Napotkaliśmy dwóch patrolujących jeźdźców z załogi rezerwowej. Giustiniani kazał im zsiąść z koni i zabrał wierzchowce. Potem szybko przybyliśmy do rezydencji cesarza. Zamknął się on w wieży i klęczał przed ikoną. Na swoją obronę podał, że był zmuszony zgodzić się na żądanie Wenecjan i udzielić zgody na egzekucję, ponieważ inaczej wzięliby jeńców siłą podważając w ten sposób jego autorytet.

Giustiniani oświadczył:

— Umywam ręce. Nie mogę nic zrobić. Nie mogę zabrać nikogo z moich ludzi z wyłomu, choć wielu Wenecjan bez pozwolenia opuściło posterunki. Trzymaj w pogotowiu rezerwy. Inaczej nie odpowiadam za to, co się może stać.

Ale poszedłszy na swoje stanowisko obserwował przez chwilę obóz turecki, po czym wrócił po południu z dwudziestoma ludźmi do portu. Wenecjanie rozbastwili się wieszaniem bezbronnych Turków. Wielu z nich powróciło co prawda na mur, a bailon zamknął się w Blachernach, by opłakiwać niesławną śmierć Jacoma Coco.

Reszta jednak wałęsała się grupkami po porcie, wrzeszcząc o zdradzie i domagając się śmierci dla Genuńczyków. Gdy jakiś Genuńczyk wszedł im w drogę, zwalali go z nóg, tarzali w błocie i kopali nie zważając na to, że połamią mu żebra.

Kiedy zaczęli wywalać drzwi i okna u jednego z genueńskich kupców, Giustiniani nakazał swoim zakutym w żelazo ludziom, by ruszyli ławą i oczyścili ulicę z weneckiego motłochu. Zaczęła się ogólna bijatyka. Niebawem bito się wszędzie w portowych uliczkach, furgotały miecze i płynęła krew. Straże porządkowe uderzyły na alarm i Łukasz Notaras zjechał ze zbocza na czele gromady jeźdźców greckich, ci zaczęli ochotnie tratować końmi zarówno Wenecjan, jak i Genuńczyków. Grecy, którzy puciekali do domów w porcie, nabrali otuchy, rzucali kamieniami z dachów i okien i tłukli przebiegających obok łacinników długimi kijami.

Gdy bójka trwała już dwie godziny i słońce zaczęło się obniżać, przyjechał do portu sam cesarz Konstantyn, odziany w zielony cesarski płaszcz z brokatu, purpurowy kaftan, purpurowe buty i złotą kabłąkową koronę. U jego boku jechał wenecki bailon, również przybrany w zewnętrzne oznaki swej godności. Bailon zwrócił się do Giustinianiego i z drżącymi policzkami błagał go o przebaczenie za haniebne słowa, które wypowiedział wcześniej tegoż dnia. Cesarz ronił łzy i apelował

do łacinników, by dla Chrystusa zapomnieli o wewnętrznych waśniach w chwili wspólnego niebezpieczeństwa. Jeśli któryś z Genuńczyków w Perze dopuścił się zdrady, to nie są przecież temu winni wszyscy Genuńczycy.

Jego apel doprowadził do swego rodzaju pojednania. Wziął w nim udział także Łukasz Notaras, który podał rękę bailonowi, jak i Giustinianiemu i nazwał ich braćmi. Wszelkich dawnych niesnasek należy poniechać, oświadczył, skoro każdy stawia teraz życie na kartę, by ocalić miasto przed Turkami. Sądzę, że Notaras w chwili tej był w pełni szczerzy i uczciwy, ponieważ w Grekach pod wpływem chwilowego uniesienia łatwo budzi się szlachetność i samozaparcie.

Ale zarówno Giustiniani, jak i Minotto, którzy czerpali wiedzę polityczną z mądrości swoich miast, uważali, że była to tylko zręczna gierka i że Noratas uznał okazję za stosowną, by nawiązać przyjazne stosunki z łacinnikami.

W każdym razie wszyscy wsiedli na konie. Ludzie Notarasa otoczyli dzielnicę portową, a cesarz, Giustiniani, Minotto i Notaras chodzili po ulicach nawołując i wzywając w imię Chrystusa do zachowania spokoju i zapomnienia o rozdzźwiękach. Ceremonialny strój cesarza sprawiał, że nawet najzuchwalszy łacinnik nie ośmielił się już podnieść głosu. Wracali stopniowo do łodzi i odpływali na okręty. Na ulicach pozostało tylko kilku weneckich żeglarzy, którzy w żalobie po Coco upili się do nieprzytomności. Trzej Genuńczycy i dwaj Weneccjanie stracili życie, ale na życzenie cesarza postanowiono zachować to w tajemnicy i pochować ich cichaczem w ciągu nocy.

Rozruchy nie ominęły także mojego domostwa. Kiedy wszystko się uspokoiło, poprosiłem Giustinianiego o pozwolenie odwiedzenia domu. Odparł życzliwie, że i on nie ma nic przeciw napięciu się kielicha wina po tak haniebnym i smutnym dniu jak dzisiejszy. Ale myślę, że chciał mi towarzyszyć tylko dlatego, że był ciekaw zobaczyć moją żonę.

Manuel otworzył nam drzwi i opowiedział głosem drżącym od zapału i dumy, że udało mu się ugodzić kamieniem w głowę weneckiego cieślę i zwalić go na bruk. Giustiniani nazwał go życzliwie dobrym i rozsądnym chłopem. Zmęczony ciężką zbroją zwałił się na krzesło tak, że cały dom się zatrzęsł, wyciągnął nogi przed siebie i poprosił o wino w imię Boże.

Zostawiłem Manuela, żeby go obsłużył, i udałem się pospiesznie do Anny, która wycofała się do najdalszej izby. Zapytałem ją żywo, czy nie chciałyby poznać słynnego Giustinianiego, czy też woli trzymać się na uboczu na sposób grecki.

Upewniwszy się, że nic mi się nie stało w rozruchach, Anna rzuciła mi spojrzenie pełne wyrzutu i powiedziała:

— Jeśli tak się wstydzisz mnie i mojego wyglądu, że uważasz, iż nie mogę się pokazać nawet twoim przyjaciółom, to oczywiście zostanę w moim pokoju.

Odparłem, że przeciwnie, jestem z niej dumny i chętnie ją pokażę. Giustiniani nie znał jej na pewno z wyglądu i obiecał mi zresztą zachować moje małżeństwo w tajemnicy. Dlatego Anna mogła mu się pokazać. Chwyciłem ją żwawo za rękę, żeby zaprowadzić ją do Giustinianiego.

Ale ona wyrwała mi rękę i syknęła z oburzeniem:

— Jeśli także w przyszłości masz ochotę chełpić się mną przed twoimi przyjaciółmi, to mam nadzieję, że przynajmniej powiadomisz mnie o tym w porę, tak abym mogła uczesać włosy i odziać się, jak przystoi. W tej chwili nie mogę pokazać się nikomu, choćbym nie wiem jak chciała poznać tak sławnego męża jak Giustiniani.

W mej niewinności wykrzyknąłem:

— Jesteś piękna taka jak jesteś, piękniejsza od wszystkich kobiet na świecie w moich oczach! Nie rozumiem, jak możesz mówić o włosach i odzieży w tak straszliwy i haniebny dzień jak dzisiejszy. I tak nikt nie zwraca na to uwagi.

— Ach tak, powiadasz — rzekła gwałtownie. — Ach tak! W takim razie niewiele rozumiesz z tego świata. Ale na tym ja się znam z pewnością lepiej od ciebie, ponieważ jestem kobietą. Pozwól mi zatem być kobietą. Przecież dlatego ożeniłeś się ze mną, nieprawdaż?

Jej zachowanie zmieszało mnie i nie mogłem zrozumieć, jaki to kaprys spowodował, że stała się taka opryskliwa. Miałem przecież na celu tylko jej dobro. Wzruszyłem ramionami i powiedziałem:

— Rób, jak chcesz. Zostań w swojej izbie, jeśli uważasz, że tak będzie najlepiej. Wyjaśnię to Giustinianiemu.

Złapała mnie za ramię i powiedziała gwałtownie:

— Czyś oszalał? Ani się obejrzysz, jak będę gotowa. Idź na dół i zabawiaj go tymczasem, żeby nie odszedł.

Kiedy odchodziłem, siedziała już z grzebieniem z kości słoniowej w dłoni i rozpuszczała swe złote włosy. Skonfundowany, wypilem kielich wina jednym haustem, co nie należy do moich zwyczajów, a Giustiniani poszedł za moim przykładem. Anna miała chyba słuszość, iż kobieta bardzo różni się od mężczyzny i zwraca uwagę na inne rzeczy. Zacząłem zdawać sobie sprawę, że nie wiem jeszcze o

niej dużo, choć jest mi tak bliska. Nawet gdy spoczywa w moich ramionach, myśli jej krążyć po innych orbitach niż moje i nigdy nie mogą do niej dotrzeć całkowicie.

Na szczęście Giustiniani zdawał się uważać za całkiem naturalne, że Anna zwleka z pojawieniem się, i udawał, że nic się nie stało. W domu moim było przyjemnie i bezpiecznie. Przez okno widać było od czasu do czasu czerwony błysk płomieni wielkich dział, odbitych w wodzie portu. Niedługo potem dochodził do nas huk i dom trząsł się tak, że wino kołysało się w dzbanie. Ale mimo to było całkiem inaczej niż na murze. Rozleniwieni zmęczeniem, na wpół leżeliśmy w krzesłach, a wino szumiało mi przyjemnie w głowie, tak że zapomniałem o niezadowoleniu z powodu kaprysów Anny.

Wtem otwarły się drzwi. Giustiniani rzucił roztargnione spojrzenie, ale zaraz potem zmieniła mu się mina, porwał się na nogi, aż szczęknęła zbroja, i skłonił z szacunkiem głowę.

Na progu stała Anna. Włożyła na siebie całkiem skromną według mnie białą jedwabną suknię, spiętą na nagim ramieniu wysadzaną klejnotami zapinką. Okuty złotem, mieniący się od klejnotów pasek podkreślał, jak smukła jest w talii. Nogi miała nagie, a na nich poślaczane sandały, które odsłaniały pomalowane na czerwono paznokcie. Głowę jej zdobił mały okrągły kapturek, obsypany takimi samymi klejnotami co zapinka i pasek. Przezroczysty welon opuściła na szyję i z lekkim uśmiechem trzymała go przed brodą. Twarz jej była bledsza, usta czerwiejsze i większe niż zwykle. Wyglądała w moich oczach niewypowiedzianie pięknie i skromnie, gdy tak stała jak gdyby zaskoczona unosząc wąskie ciemnoniebieskie łuki brwi.

— O — powiedziała — o, wybacz mi. Masz gościa?

Z zakłopotaniem podała smukłe palce, a Giustiniani schylił byczy kark, pocałował jej dłoń, przytrzymał w swojej i przyglądał się z zachwytem jej twarzy.

— Jeanie Ange — rzekł otrząsnąwszy się z zaskoczenia. — Nie dziwię się już, że ci było tak spieszo. Gdyby nie była to twoja ślubna żona, zacząłbym z tobą rywalizować o jej łaski. Tak jak jest, mogę tylko prosić nieba, by miała ona siostrę bliźniaczkę, z którą mógłbym nawiązać znajomość.

Anna wtrąciła:

— Dumna jestem, że mogę przywitać wielkiego Giustinianiego, chlubę całego chrześcijaństwa. Gdybym mogła to przeczuć, ubrałabym się pięknie. — Przechyliła głowę i przyglądała się Giustinianiemu przez rzęsy. — O — powiedziała słabo — może

mimo wszystko zbyt się pospieszyłam ustępując namowom Johannesesa Angelosa. Wtedy nie widziałam jeszcze ciebie.

— Nie wierz mu, Anno — wtrąciłem spiesznie. — Ma już żonę w Genui i drugą w Kaffie oraz przyjaciółki we wszystkich portach Grecji.

— Jaka wspaniała broda — szepnęła Anna muskając koniuszkami palców farbowaną henną brodę Giustinianiego, tak jakby nie mogła oprzeć się tej pokusie. Nalała wina do pucharu, upiła łyk i podała puchar Giustinianiemu patrząc mu nieprzerwanie w oczy z zapraszającym uśmiechem. Czułem się chory z wściekłości i zranionej dumy.

— Jeśli jestem tu zbyt czyny, mogę wyjść na podwórze — powiedziałem sztywno. — Zdaje mi się, że z muru słyhać coraz większy zgiełk.

Anna rzuciła mi spojrzenie i mrugnęła przy tym niewypowiedzianie szelmowsko, tak że serce mi stopniało i zrozumiałem, iż żartuje tylko i droczy się z Giustinianim, żeby zdobyć jego przychylność. Uspokoilem się i odpowiedziałem uśmiechem. Rozmawiała dalej w żartobliwym tonie, a ja nie mogłem się na nią napatrzeć. Widząc, jak łatwo go oczarowała, zapłonąłem namiętnością.

Zjedliśmy razem posiłek, a potem Giustiniani podniósł się niechętnie, żeby odejść, ale zanim to zrobił, spojrzał na mnie i wielkodusznym gestem zdjął ciężki łańcuch protostratora z emaliowanym napierśnikiem.

— Niech to będzie mój prezent ślubny dla ciebie — powiedział i zawiesił łańcuch Annie na szyi, muskając przy tym lubieżnie wargami jej nagie ramiona. — Moi ludzie nazywają mnie niezwyciężonym. Wobec ciebie uznaję się za pokonanego i zdaję na twoją łaskę i niełaskę. Ten łańcuch i ten napierśnik otworzą ci wszystkie bramy, których nie mogą przełamać ani działa, ani miecz.

Wiedziałem, że stać go na ten gest, gdyż był człowiekiem próżnym i zaopatrzył się w mnóstwo różnych łańcuchów, które zmieniał od czasu do czasu wedle upodobania. Ale nie poszła mi w smak jego uwaga, że Anna jest mile widziana w jego kwaterze, gdy tylko zechce. Anna natomiast podziękowała mu zachwycona, obejmując go za szyję, i pocałowała w oba policzki musnąwszy nawet jego grube wargi.

Giustiniani wzruszył się własną szlachetnością, otarł łzę z kącika oczu i powiedział:

— Chętnie dałbym twemu mężowi łaskę protostratora, a sam został u ciebie. Ale ponieważ to nie jest możliwe, daję mu przepustkę na tę noc i będę także w przyszłości patrzył przez palce, jeśli nie znajdę go na posterunku, byleby tylko nie

działo się to podczas boju. Są pokusy, którym mężczyzna może się oprzeć. Ale twój mąż nie byłby mężczyzną, gdyby mógł się oprzeć takiej pokusie jak ty.

Towarzyszyłem mu dwornie do drzwi, ale on zauważywszy moją niecierpliwość zwlekał z odejściem tylko po to, by mnie drażnić, i gadał bez końca, mimo że już nie rozumiałem ani słowa z tego, co mówił. Gdy wreszcie wsiadł na swego wierzchowca, wbiegłem na schody i chwyciłem Annę w ramiona i całowałem ją i pieściłem tak gwałtownie, iż moja miłość bardziej podobna była do gniewu. Rozgrzała się, rozpałała, śmiała się i uśmiechała w moich ramionach, piękniejsza niż kiedykolwiek. W łóżu też chciała zatrzymać łańcuch i napierśnik Giustinianiego jako zwycięskie trofeum i nie oddała mi go, choć usiłowałem odebrać jej siłą.

Potem leżała nieruchomo i patrzyła w pułap mrocznym spojrzeniem, którego nie poznawałem i nie rozumiałem.

— O czym myślisz, ukochana? — zapytałem.

Poruszyła lekko głową.

— Żyję, jestem! — odparła. — Nic innego.

Zmęczony, pusty, chłodny patrzyłem na jej zachwycającą piękność, wspominając mężczyzn, których trupy wbite zostały na pale na brzegu Pery, i Turków, którzy wisieli na murze portowym z poczerniałymi twarzami i wyciągniętymi sztykami. W dali, w nocy grzmiały działa. Gwiazdy patrzyły niewzruszenie na ziemię. Anna oddychała lekko u mego boku z mrokiem w spojrzeniu. I z każdym jej oddechem kajdany czasu i miejsca wbijały mi się coraz głębiej w ciało.

1 maja 1453

Nasza sytuacja zaczyna być rozpaczliwa. Wojska sułtana budują w najlepsze most na wielkich pontonach w poprzek Złotego Rogu do brzegu w Perze. Dotychczas oddziały na wzgórzach Pery zmuszone były utrzymywać łączność z siłą główną określonymi drogami wokół zatoki.

Most broniony jest przez potężne zakotwiczone tratwy z działami, które przeszkadzają naszym okrętom w zakłócaniu budowy. A gdy tylko stanie gotowy, galery sułtańskie będą mogły pójść do ataku na nasz mur portowy pod osłoną pływających dział.

Ogień z dział i szturmy tureckie na prowizoryczne szańce wzniesione w wyłomach kosztują codziennie wiele strat. Obrona coraz bardziej słabnie, a do obozu sułtana płyną co dzień nowe rzesze ochotników z Azji.

Wino jest na ukończeniu w mieście, a ceny środków żywności na wolnym rynku wzrosły już ponad miarę dostępną dla ubogich. Dlatego cesarz kazał dziś zająć wszystek chleb, ażeby rozdzielać go sprawiedliwie. Starszy każdej dzielnicy miasta ma dopilnować, żeby rodziny powołanych na mury otrzymały na koszt cesarza niezbędne zaopatrzenie. Każda dzielnica odpowiada też za to, by walczący i pracujący na murach mieli wyżywienie, tak aby nikt z tego powodu nie opuszczał posterunku.

Dowódca rezerw ma obowiązek objechać codziennie mur i dokonać inspekcji oraz sprawdzać załogę przez wywoływanie nazwisk. Nie dotyczy to łacinników. Tylko Greków.

Przy bramie Charisiosa wielki mur zawalił się w wielu miejscach. Mur zewnętrzny jest mocno nadwątlony, ale w żadnym punkcie Turkom nie udało się jeszcze przezeń przedostać. Także fosę udawało się dotychczas oczyszczać co noc, a tureckie wiązki faszyny i belki przydały się bardzo przy sypaniu ziemnych wałów i budowaniu palisad.

Powietrze pełne jest trupiego odoru i niejeden już ogłuchł od huków armat.

4 maja 1453

O północy, przy ostrym przeciwnym wietrze i w zupełnej ciemności, brygantyna z dwunastoma ochotnikami na pokładzie wyszła z portu. Ludzie byli odziani w stroje tureckie i wciągnęli proporzec sułtana, żeby podstępem przedrzeć się przez cieśninę Gallipoli. Nasi wywiadowcy z wieży w Perze studiowali sygnały floty tureckiej przy wchodzeniu i wychodzeniu z portu. Toteż jest nadzieja, że brygantyna przedostanie się na pełne morze. Ma ona do spełnienia ważne zadanie, a mianowicie odszukanie weneckich okrętów pod dowództwem Loredana, które jak zapewnił bailon, znajdują się w drodze z odsieczą.

Ale ta stała wenecka flota archipelagu powinna już dawno temu przybyć do Konstantynopola, gdyby chciała. Może Wysoka Signoria obawia się, żeby jej okręty nie wpadły w pułapkę, gdyby tu przyszły. Bez osłony floty faktorie handlowe weneckie na wyspach łatwo padłyby ofiarą Turków. I tu przecież nie stałby teraz ani jeden okręt wenecki, gdyby cesarz na mocy układów i pod groźbą grzywien nie nakazał okrętom z Morza Czarnego pozostać i wziąć udział w obronie miasta.

W mieście szerzą się dodające otuchy wieści, że flota płynąca na odsiecz jest już w drodze oraz że Węgrzy zbierają się, żeby uderzyć na Turków od tyłu. O, gdyby było tak dobrze! Ale Zachód nas opuścił.

5 maja 1453

Łatwo myśleć, łatwo pisać, jeśli się jest samotnym. Łatwo nawet umrzeć, gdy się stoi samemu na murze i śmiertelny młyn kręci się wokół człowieka. Ziemia pod murami ciągnie się okopconą i spaloną ogniem działowym jak okiem sięgnąć. Sale Blachern drżą i wielkie gładkie jak szkło płyty marmurowe odpadają od ścian skutkiem wstrząsów. Łatwo jest samotnie wędrować przez cesarskie sale i czekać na śmierć, podczas gdy bezpowrotna przeszłość pobrzmiwa pustym echem.

Ale dzisiaj znowu byłem w domu. I wystarczy mi tylko zobaczyć błysk jej nagiego brązowego spojrzenia, dotknąć końców palców i poczuć żywe ciepło jej skóry, jej przemijającej piękności, a żar i pożądanie wymiatają wszelkie myśli i przemieniają wszystko.

Tak jest dobrze, kiedy leżymy obejmując się ramionami, kiedy moje usta w momencie uniesienia tłumią jej spazmatyczny szloch. Ale potem, kiedy otwiera usta, by mówić, nie rozumiemy się już. Tylko w bliskości ciał znajdujemy się nawzajem i znamy rzeczy, o których przedtem nie wiedzieliśmy. Wiedza ciał jest piękna i przerażająca. Ale nasze myśli biegną po różnych orbitach i uciekają od siebie, gdy się spotykają. Czasem ranimy się nawzajem jakimś słowem i patrzymy na siebie jak wrogowie. Z jej rozszerzonych źrenic wyziera obcość, zimna pogarda, podczas gdy policzki jej płoną jeszcze od miłości.

Anna nie rozumie, dlaczego muszę umrzeć, mimo że mógłbym żyć dalej, gdybym chciał.

— Honor! — powiedziała dziś — to najbardziej znienawidzone ze wszystkich słów w męskich ustach. Zwariowane i głupie słowo. Czyż zatem sułtan Mehmed jest bez honoru w całej swej wspaniałości? Czyż nie ceni wysoko chrześcijan, którzy wyrzekli się wiary i wzięli turban? Cóż znaczy honor dla tego, kto jest pokonany? Zostaje on w każdym razie pohańbiony. Honor przypada tylko zwycięzcy.

Odparłem:

— Mówimy o różnych rzeczach i nie możemy wzajemnie się zrozumieć.

Ale ona była uparta, wbiła mi paznokcie w ramię, jak gdyby chciała mnie na przekór wszystkiemu przekonać, i ciągnęła:

— Rozumiem, że się bijesz, jesteś przecież Grekiem. Ale jaka dla ciebie korzyść ze śmierci w dniu, kiedy mur padnie i Turcy wtargną do miasta? Jesteś tylko w połowie Grekiem, jeśli nie wiesz, że każdy człowiek jest najbliższy sobie samemu.

— Nie rozumiesz mnie — odrzekłem — dlatego, że mnie nie znasz. Ale masz słuszość, ja sam jestem sobie najbliższy. Mogę słuchać tylko samego siebie.

— A ja? — zapytała po raz setny. — Nie kochasz mnie więc?

— Twemu kuszeniu mogę się oprzeć — odparłem — ale nie wpędzaj mnie w rozpacz. Moja ukochana, moja jedyna ukochana, nie doprowadzaj mnie do rozpacz.

Przycisnęła dłonie do mych skroni i dysząc tuliła usta do moich ust. Wpatrywała się we mnie oczyma błyszczącymi od nienawiści i szeptała:

— O, gdybym tylko mogła otworzyć twoje czoło. O, gdybym tylko mogła odsłonić myśli, które kryją się w twojej czaszce. Nie jesteś taki, za jakiego cię miałam. Kim zatem jesteś? Tylko twoje ciało pojęłam. Ciebie samego nie pojęłam nigdy. Dlatego nienawidzę cię, o, nienawidzę cię.

— Daj mi tylko te krótkie dni, te nieliczne chwile — prosiłem.

— Może miną wieki, zanim znów spotkam twoje oczy i odnajdę cię na nowo. Co ci złego zrobiłem, że mnie tak dręczysz?

— Nie mam żadnej przeszłości ani tym bardziej przyszłości — powiedziała. — To sen i złudzenie. To kłamstwo nic mnie nie obchodzi, jest to filozofia dla głupców. Chcę mieć terażniejszość i w niej ciebie, Johannesie Angelosie, czyż tego nie rozumiesz? Walczę z tobą o twego ducha. Dlatego muszę cię dręczyć aż do ostatka. I nigdy ci nie wybaczę. Ani tobie, ani sobie samej.

Znużony odrzekłem:

— Ciężka jest moja korona. — Ale ona nie zrozumiała, co miałem na myśli.

6 maja 1453

Niespokojnie dziś przez cały dzień. Huk dział nie ustaje. Niebo i ziemia drżą. Co dwie godziny grzmi duże działo i wszelkie inne dźwięki toną w jego huku. Jest wtedy tak, jakby mur drżał w posadach od portu aż do morza Marmara.

W obozie tureckim ruch. Słysząc nieprzerwany zgiełk i bicie w bębny. Derwisze podniecają się do takiej furii, że ich ochryple głosy słyszą aż u nas. Wielu zbliża się do muru tańcząc i wirując i nim dotrą do fosy, już są naszpikowani strzałami, lecz mimo to dalej okręcają się na piętach, jak gdyby nie czuli bólu. Greków przeraża ten widok i wzywają kapłanów i mnichów, by przepędzili diabła.

Nikt nie mógł opuścić murów. We wszystkich czterech miejscach, na które kierują ogień największe działa, pierwotny mur zewnętrzny został zmieciony, a w wielkim murze są szerokie wyłomy. Ogień przeszkadza we wszelkich pracach naprawczych w ciągu dnia, ale gdy tylko ciemność zapada, na miejscu dawnego muru wznosi się na nowo wały ziemne.

Wiele kul chyba znacznie celu, a część przelatuje nad murem do miasta nie wyrządzając żadnej szkody i Niemiec Grant twierdzi, że tureckie działa już się zużywają. Ale po drugiej stronie wzgórza unosi się łuna pieców hutniczych Orbana i co dzień słyszą silny huk, gdy stopiony metal spada do olbrzymich form odlewniczych.

W mieście brak oliwy. Ubodzy cierpią z tego powodu najbardziej. Ale z Pery codziennie dostarcza się całe wozy oliwy do obozu tureckiego. Po każdym strzale rozgrzane paszcze dział połykają całe dzbany cennego tłuszczu. Jeszcze nie było w historii tak kosztownego oblężenia. Ale Mehmed wykorzystuje bezwzględnie bogactwa swoich wezyrów i dowódców. W jego obozie znajdują się bankierzy z wielu krajów, również Żydzi i Grecy, a kredyt ma wciąż jeszcze nieograniczony. Mówią, że i Genueńczycy z Pery skwapliwie kupują jego weksle, żeby jak najpewniej lokować gotówkę.

7 maja 1453

Piekło rozpętało się tuż po północy. Co najmniej dziesięć tysięcy ludzi wzięło udział w szturmie na wyłomy. Najcięższy atak skierowano przeciw siłom

Giustinianiego przy bramie św. Romana, tam gdzie wielkie działo wyrządziło największe szkody w obu murach.

Oddziały szturmowe podeszły bez zgiełku i w dobrym ordynku pod osłoną ciemności i zdążyły zapełnić fosę w wielu miejscach, nim uderzono na alarm na murach. Natychmiast wzniesiono dziesiątki drabin szturmowych. Robotnicy uciekali na łeb, na szyję. Tylko przytomność umysłu Giustinianiego uratowała sytuację. Rycząc jak byk rzucił się w największe zamieszanie i ściał swym dwuręcznym mieczem idących na samym przedzie Turków. Dosięgli już korony ziemnego wału. Równocześnie zapalono pochodnie i beczki ze smołą i zrobiło się jasno jak w biały dzień.

Giustiniani ryczał tak, że zagłuszył krzyk i bębny Turków. Gdy tylko spostrzegł, że idzie tu o wielkie natarcie, posłał gońców po rezerwy. Ale gdy walka szalała już dwie godziny, musieliśmy ściągnąć dodatkowe posiłki z innych punktów na murze po obu stronach bramy św. Romana. Po pierwszym natarciu Turcy wracali regularnymi falami po tysiąc atakujących. Podciągnęli połowe szlangi aż do fosy. Podczas gdy oddziały szturmowe atakowały mur, łucznicy i działa starały się zmusić obrońców do szukania schronienia. Ale osłonięci pancierzami żołnierze Giustinianiego stworzyli znów żywą żelazną ścianę na koronie zewnętrznego muru. Wywracano drabiny, a Turków, którzy pod dachem z tarcz przedzierali się aż do podnóża muru, oblewano smołą i ołowiem, tak że rozpierzchali się i wystawiali na strzały kuszników.

Trudno policzyć, ilu Turków poległo. Giustiniani kazał rozgłosić na mieście, że stopy trupów o świcie sięgały na wysokość muru zewnętrznego, ale była to naturalnie tylko gadanina obliczona na dodanie otuchy. Żadne ich straty nie mogły jednak powetować strat łacinników, którzy padali z przestrzelonym pancierzem albo ściągnięci zostali z murów tureckimi bosakami.

Wobec tego szturmowi wszystkie poprzednie były zabawką. Tej nocy sułtan nie żartował i w ataku wzięła udział znaczna część jego wojsk. W Blachernach zagrożenie było jednak niewielkie. Drabiny szturmowe Turków nie sięgały tu do szczytów murów. Bailon wydzielił więc oddział spośród swoich żołnierzy i polecił mi zaprowadzić ich do Giustinianiego, żeby i Wenecjanie mieli udział w chwale.

Właśnie gdy zdążyliśmy dojść na miejsce, jakiemuś olbrzymiemu janczarowi udało się z ogromnym wysiłkiem dostać na mur. Z okrzykiem radości wzywał swoich towarzyszy i rzucił się na poszukiwanie Giustinianiego. Pancerni rozstępowali się przed nim. Giustiniani walczył w wyłomie nieco poniżej i znalazłby się w trudnej

sytuacji, gdyby jeden z robotników, zwykły Grek, który nawet nie miał pancerza, nie zdołał szerokim toporem odciąć stopy janczarowi rzuciwszy się śmiało na Turka z blanków. Potem łatwo już przyszło Giustinianiemu rozprawić się z napastnikiem. Giustiniani dał swemu zbawcy okrągłą sumkę w nagrodę, ale powiedział, że wolałby raczej dać sobie radę o własnych siłach.

Widok ten oglądałem w świetle pochodni i płomiennych strzał pośród szczęku tarcz i krzyku. Potem nie miałem już czasu myśleć o czymkolwiek, gdyż napór atakujących Turków był tak silny, że my na murze musieliśmy zewrzeć szeregi, by móc się im oprzeć. Mój miecz jest dziś tępy. Gdy Turcy o świtaniu zaczęli z wolna ustępować i cofać się, byłem tak śmiertelnie zmęczony, że ledwie mogłem podnieść ramię. Bolały mnie wszystkie członki, a na ciele miałem pełno sińców i bolesnych guzów. Ale rany żadnej nie odniosłem. Miałem szczęście. Nawet Giustiniani dostał pchnięcie oszczepem w pachę, ale dzięki pancerzowi nie było ono groźne.

Opowiadają, że jakiś Grek pod bramą Selymbryjską zabił tureckiego lennika o randze dającej prawo do buńczuka.

Gdy Giustiniani zobaczył, w jakim jestem stanie, dał mi życzliwą radę:

— W ogniu i napięciu bitwy nierzadko się zdarza, że człowiek wyęży siły o wiele ponad swe zwykłe możliwości. Ale nawet najcięższy atak nie jest tak niebezpieczny jak odprężenie w czasie nagłej przerwy w boju. Wtedy łatwo można przewrócić się ze zmęczenia i brak nawet siły, by podnieść się na klęczki. Dlatego też doświadczony wojownik nie zużywa wszystkich sił nawet w najcięższym boju, lecz oszczędza je do ostatka. Może to być dla niego ratunkiem, gdy atak zacznie się na nowo.

Spojrzał na mnie raźnie swymi wypukłymi oczyma i dodał:

— Wtedy człowiek może przynajmniej uciec i nie musi stać się bezradną ofiarą rzezi.

Był w dobrym nastroju i irytowało go tylko, że zmuszony jest dolewać wody do wina. Wino było na ukończeniu.

— Tak, tak Jeanie Ange — powiedział. — Poznajemy z wolna smak właściwej wojny. Sułtan się rozgrzał. Z pewnością niedługo będziemy musieli odpierać prawdziwe szturmy.

Spojrzałem na niego niedowierzająco.

— Cóż to więc jest prawdziwy szturm? — zapytałem. — Gorszych niż ten jeszcze nigdy nie widziałem i nawet nie mogę sobie wyobrazić. Janczarowie walczyli jak dzikie bestie, a i mnie samemu zdawało się, że przemieniam się w dzikie zwierzę.

— Wiele jeszcze zobaczysz i doświadczysz, Jeanie Ange — powiedział życzliwie Giustiniani. — Pozdrów swoją piękną żonę. Kobiety lubią odór krwi w odzieży mężczyzny. Sam zrobiłem podobne doświadczenie i łono kobiety nigdy nie wydawało mi się rozkoszniejsze niż wówczas, gdy posłałem wielu mężów do nieba za pomocą mego miecza i sam czułem się potem zbity i sponiewierany. Zazdroszczę ci tego przeżycia, Jeanie Ange.

Przybity i ogarnięty obrzydzeniem, nie zwracałem uwagi na jego słowa. Chłodne powietrze cuchnęło od oparów krwi ze stosów ciepłych jeszcze trupów.

Jakżeż mógłbym dotknąć mej żony wciąż jeszcze odrętwiały od śmiertelnego strachu, z krwią na odzieży i na rękach i myślami rojącymi się od widoków z walki. Przeciwnie, obawiałem się, że budzić się będę z krzykiem, gdy tylko zasnę, mimo że niczego nie pragnąłem bardziej, jak spać.

Ale Giustiniani miał słuszość. Miał przeraźliwą słuszość. Skorzystałem z pozwolenia, by udać się do domu, chcąc odpocząć po walce. I nigdy jeszcze moje potłuczone, obolałe ciało nie płonęło takim żarem jak w ten poranek. Sen mój był głęboki. Sen mój był głęboki jak śmierć, gdy spocząłem z głową opartą na białym ramieniu Anny Notaras.

8 maja 1453

Wczoraj późnym wieczorem zebrała się potajemnie Rada Dwunastu. Ostatni atak Turków wykazał jasno, że nasze siły obronne nie są wystarczające. Potężny most, który sułtan kazał przerzucić na pontonach przez Złoty Róg, zagraża przede wszystkim Blachernom. Dlatego Wenecjanie postanowili po długich sporach opróżnić trzy duże statki Trevisana i w ten sposób zwolnić dalsze dwa tysiące ludzi na mury. Ładunek ma zostać złożony w cesarskim arsenale, a załoga i żołnierze mają obsadzić Blacherny.

Trevisano protestował w imieniu armatorów i kapitanów. Argumentował, że jeśli ładunki, mające wartość dziesiątków tysięcy dukatów, zostaną przeniesione na

ład, to nie ma żadnej nadziei na ich uratowanie, gdyby Turcy zdobyli miasto. Poza tym statki, a prawdopodobnie i załogi byłyby stracone.

Mimo to Rada Dwunastu postanowiła, że statki mają zostać opróżnione. Ale gdy załogi dowiedziały się o tym, stawily ze swymi kapitanami na czele zbrojny opór i odmówily zejścia na ład. Stan taki panował także i dziś i radzie dwunastu nie udało się uporać z żeglarzami, mimo że sam cesarz ze łzami w oczach apelował do ich sumienia.

12 maja 1453

Żeglarze nie ustępują. Wszystkie rokowania spełzły na niczym.

Ale radzie dwunastu udało się pozyskać Trevisana i Aloisia Diego. Kapitanowie okrętów dostali dary pieniężne. Wenecjanom zależy jeszcze na tym, żeby utrzymać Blacherny za wszelką cenę.

Bez wątpienia obszar Blachern jest ciężko zagrożony. Lecz niezależnie od samej obrony Wenecjanie pragną tak powiększyć tam swój garnizon, by mogli panować nad miastem, gdyby sułtan czuł się zmuszony odstąpić od oblężenia. Dlatego uważają też obecnie za konieczne wprowadzenie żeglarzy na mury. A poza żeglarzami na pokładach statków z Tany jest też czterystu zakutych w żelazo żołnierzy.

A tymczasem co chwila Grecy oddają krew i umierają na murach. Notaras miał słuszność. Zarówno przy Złotej Bramie, jak i po obu stronach bramy Selymbryjskiej, Grecy własnymi siłami odparli wszelkie ataki i szturm. Co prawda mury nie są tam tak bardzo uszkodzone jak przy bramie św. Romana i bramie Charsiosa. Większość obrońców jednak to rzemieślnicy i mnisi, których ledwie zdążono nauczyć obchodzenia się z bronią. Są wśród nich słabi mężczyźni, którzy tracą ducha, gdy Turcy szturmują, i uciekają na łeb, na szyję. Ale o wiele więcej jest Greków takiego pokroju jak ci, którzy walczyli pod Termopilami i Maratonem.

Wojna ujawnia w człowieku najlepsze cechy. Tak jak i najgorsze. Im dłużej trwa oblężenie, tym większą przewagę uzyskują właściwości złe. Czas nie pracuje dla nas, lecz przeciwko nam.

Podczas gdy łacinnicy, grubi, czerwoni na gębach i lśniący od tłuszczu, spierają się między sobą, Grecy z dnia na dzień chudną. Łyk najtańszego i najkwaśniejszego wina oto wszystko, co otrzymują z zapasów cesarza. Ich żony i dzieci płaczą z głodu, wędrując w rozmodlonych procesjach do kościołów. Od rana do wieczora i od

wieczora do rana wznoszą się płomienne modły pokornych i nieszczęśliwych ku niebu. Gdyby modlitwy mogły uratować miasto, Konstantynopol przetrwałby do Sądu Ostatecznego.

Kiedy więc łacinnicy radzą w kościele św. Dziewicy i w Blachernach, cesarz wezwał Greków na nabożeństwo i radę wojenną dziś wieczorem do kościoła Mądrości Bożej. Giustiniani posyła mnie tam zamiast siebie. Sam nie chce oddalać się z muru.

13 maja 1453

Rada wojenna zaczęła się w nastroju przygnębienia i przerwały ją niemal natychmiast sygnały alarmowe z murów. Przed kościołem spotkaliśmy gońca, który doniósł, że Turcy zaatakowali Blacherny zarówno na brzegu, jak i koło bramy Kaligaryjskiej. Ale najcięższy atak skierowany był w wyłom koło bramy Charisiosa.

W nocy rozbrzmiewały dzwony i kołatki. Światła zapłonęły w domach i na wpół odziani ludzie wybiegli przerażeni na ulice. W porcie okręty podpłynęły ku zaporze, jak gdyby i tam spodziewano się ataku. Była północ i w cichym powietrzu zgiełk walki z Blachern niósł się po całym ogromnym mieście aż do hipodromu. Płonące jasno tureckie ogniska obozowe otaczały miasto nieprzerwanym kręgiem.

Spięliśmy ostrogami konie i pędziliśmy ulicami przy świetle latarni pełnym galopem. Kiedy zbliżaliśmy się do bramy Charisiosa, spotkaliśmy biegnącą ku nam wielką rzeszę uciekających, a wśród nich mężczyzn z bronią w ręku. Cesarz ściągnął konia i zaklinał ich donośnym głosem na imię Chrystusa, by zawrócili na mur. Ale ludzie byli tak zaślepieni strachem, że nie zważali na jego słowa. Żołnierze gwardii w naszym orszaku zmuszeni byli wjechać w tłum i zwalić wielu na ziemię, zanim pozostali zatrzymali się, rozejrzeli dokoła, jakby nie wiedząc, gdzie się znajdują, a potem powoli i opieszale poszli z powrotem na mur.

Cesarz nie czekał na nich. Nasz oddział zdążył w ostatniej chwili. Obok bramy Charisiosa wielki mur runął do połowy wysokości. Obrońcy ulegli tu naporowi i wielu Turków wdarło się już na graniczące z murem ulice, wrzeszcząc ochryple i ścinając wszystkich, którzy znaleźli się na ich drodze. Nasz oddział jeźdźców zmiotł ich jak słomę. Wnet okazało się, że były to resztki rozproszonej fali atakujących. Obrońcy przepuścili ich, ale zdążyli obsadzić mury na nowo, nim dotarła następna fala. Przybył także Giustiniani i widzieliśmy, jak organizował obronę na murze.

Ale wydarzenie to wykazało, jak niewiele dzieli teraz miasto od zagłady. W innych miejscach jednak Turcy nie mieli takiego powodzenia.

O świcie atak ustał. Nie był to mimo wszystko szturm generalny, gdyż flota turecka zachowywała się spokojnie. Giustiniani oblicza, że w nocnym szturmie wzięło udział około czterdziestu tysięcy Turków.

— Sułtan nadkrusza nasze siły — mówił. — Nie wyobrażaj sobie tylko, że odnieśliśmy zwycięstwo. Mamy ciężkie straty. Nawet tobie nie chcę powiedzieć, ilu ludzi padło. Ale chętnie przyznaję, że także i Wenecjanie poważnie dziś poprawili swą nadwreżoną sławę.

Gdy słońce wzeszło, ziemia zasłana była tureckimi trupami, od brzegu aż do bramy św. Romana. Trupy tych, którzy wtargnęli aż do miasta, wyrzucono przed mur zewnętrzny. Było ich ponad czterystu.

Gdy żeglarze Trevisana zobaczyli, jak ich rodacy walczą o życie, zaprzestali w końcu oporu. W ciągu dnia wyładowali towary ze statków, a wieczorem do Blachern wmaszerowało czterystu żołnierzy z Trevisanem na czele i zgłosiło się u bailona. Przydzielono im najniebezpieczniejsze i najzaszczytniejsze posterunki, północny cypel miasta koło Kynegionu, gdzie spotykają się mur lądowy i mur portowy. Również i żeglarze obiecali przyjść jutro rano i narażać życie dla ran Chrystusa.

Posiłki są konieczne. Bez nich miasto nie przetrzymałoby następnego nocnego ataku. Przez cały ten dzień Turcy nacierali małymi siłami w różnych punktach, mając na celu jedynie przeszkodzenie obrońcom w odpoczynku. Toteż ludzie śpią na zmiany. Ale gdy cesarz obchodził mury dziś rano, widział, że w wielu miejscach wszyscy leżą jak martwi, pogrążeni w głębokim śnie. Własnymi rękami potrzasał nimi budząc ze snu i pocieszając, gdy szlochali ze zmęczenia. Dowódcom zakazał tym razem karać tych, co zasnęli na posterunku. Czym można by ich zresztą karać? Racje żywnościowe i tak są za skąpe. Wino się skończyło. A trwanie na murach jest już samo w sobie dostateczną karą.

Gdy słońce stanęło czerwone nad wzgórzami Pery, ujrzałem, jak bracia Guacchardi odcinają mieczami głowy Turkom, którzy dotarli aż do muru i tam padli. Zbroje trzech mężów były zbryzgane krwią od hełmu po nakolanniki. Przerzucali się tureckimi głowami, nawołując i śmiejąc się, jak gdyby grali w jakąś dziwną piłkę. Robili zakłady, który znajdzie najdłuższą brodę, i brązowe, czarne i siwe brody powiewały już na wietrze zawieszane u ich pasów. W swym współzawodnictwie nie

chcieli przyznać się do wyczerpania po nocnych bojach, lecz przemienili je w zabawę i nieprzystojne szyderstwo.

Z krwi, spalenizny i gruzu wystrzeliło na murze kilka żółtych kwiatów.

Tej nocy oszczędzone mi były najcięższe boje, gdyż głównym moim zadaniem było roznoszenie rozkazów Giustinianiego w różne punkty muru. Mimo to chwiałem się na nogach ze zmęczenia i wyczerpania i wszystko wydawało mi się nierzeczywiste jak sen. Działa tureckie zaczęły znowu grzmieć i mur zadrżał od kamiennych kul, ale wszelkie dźwięki docierały do moich uszu tylko jako odległe echa. Słońce zabarwiło na czerwono wzgórze Pery. Bracia Guacchardi w krwawych zbrojach grali w piłkę głowami poległych Turków. Ta niezapomniana poranna chwila wryła mi się w serce. Niebo i ziemia, w całym swym kolorycie, nawet spalenizna i krew, wszystko to było niewypowiedzianie piękne w moich żywych oczach w tym momencie, gdy trupy wokół patrzyły w nicość zgaszonymi spojrzeniami.

Już raz w życiu widziałem tak wszystko wokół siebie równie nierzeczywiste, niewiarygodne i nieziemskie. Było to w Ferrarze, kiedy zapadłem na zarazę, ale jeszcze nie wiedziałem, że jestem chory. Chmurny listopadowy dzień wdarł się przez malowane okna kaplicy, kadzielnica rozsiewała gorzki aromat oczyszczających ziół, gęsie pióra skrzypiały jak zwykle, gdy nagle wszystko to odsunęło się ode mnie daleko i tylko w uszach mi szumiało. Widziałem wtedy świat jaśniej i prawdziwiej niż kiedykolwiek przedtem. Widziałem, jak mieni się zółtozielono zawistna twarz cesarza Johannesesa, siedzącego na tronie dokładnie tak wysokim jak tron papieża Eugeniusza, z łaciatym czarno-białym psem u stóp. Widziałem, jak duża jowialna twarz Besariona zmienia się i staje się nieczuła i zimna. A łacińskie i greckie słowa zapadały się gdzieś i brzmiały w zielonkawej poświacie kaplicy bezmyślnie jak odległe szczekanie psów.

Wtedy to doznałem Boga po raz pierwszy. Zapadłszy na zarazę. W przeblasku prawdy zrozumiałem teraz nagle, że owa chwila kryła już w sobie ten dzisiejszy poranek, jak kora kryje drzewo. I gdybym wówczas patrzył w przyszłość jak jasnowidz, mógłbym być już wtedy przeżyć i zobaczyć to, co oglądałem dziś. Obie te chwile wydarzyły się we mnie i w wieczności jednocześnie i upływ czasu między nimi był jedynie złudzeniem i urojeniem. Tygodnie, miesiące, lata to tylko miara stworzona przez człowieka. Z prawdziwym czasem, z czasem Boga, nie mają nic wspólnego.

W tej chwili wiedziałem też, że przyjdę na świat znowu w zgodzie z niezgłębionym planem Boga. I kiedy pewnego dnia urodzę się ponownie, będę kryć w sercu także i ten moment, zamknięty w widzeniach, które mieć będę w moim nowym

życiu. Zobaczą wówczas jeszcze raz trupy z odciętymi głowami na zwałonym murze, trzęsącym się od huków ogromnego działa. Małe żółte kwiatki będą błyszczeć wśród spalenizny i krwi, a bracia Guacchardi w okrwawionych zbrojach będą dziarsko grać w piłkę głowami wrogów.

Ale świadomość ta nie wzbudziła we mnie ani ekstazy, ani nawet radości, lecz tylko niewypowiedziany smutek, gdyż jestem i pozostanę człowiekiem, iskrą, którą wichry Boga miotają z jednej ciemności w drugą. Silniej niż ból i zmęczenie odczuwałem w tej chwili tęsknotę serca do niewypowiedzianego wypoczynku zapomnienia. Ale zapomnienie nie istnieje.

Nie istnieje żadne zapomnienie.

15 maja 1453

Ugodzono mnie w samo serce. Wiedziałem, że mnie to czeka, i przeczuwałem to. Człowiek traci, co musi stracić, i nawet największe szczęście nie trwa wiecznie. Teraz, z perspektywy czasu, to, że ukrywaliśmy się tak długo, wygląda na cud. Od dawna wszyscy w tym mieście narażeni są na wizyty cesarskich patroli porządkowych, które mają prawo bez ostrzeżenia wdzierać się nawet do szlachetnie urodzonych i przetrząsać spiżarnie i piwnice w poszukiwaniu dezertersów, żywności oraz gotówki. Garść mąki, ukrytą przez biedaka, konfiskują równie bezlitośnie jak worek pszenicy czy dzban oliwy bogaczowi.

Wieczorem odwiedził mnie na murze w Blachernach mój sługa Manuel. Miał łzy w oczach; ktoś wytargał go za brodę tak, że jego sinawe policzki usiane były krwawymi cętkami.

— Panie — wysapał z ręką na sercu — stało się nieszczęście.

Biegł przez całe miasto tak, że chwiało się teraz na chorych nogach i wciąż jeszcze tak był wzburzony, że nie zważał, czy ktoś słyszy jego słowa. Opowiedział, że rano kilku ludzi ze straży porządkowej przeszukało mój dom. Niczego nie znaleźli, ale jeden z nich badawczo przyglądał się Annie i widocznie poznał ją, gdyż po południu wrócili, tym razem pod dowództwem jednego z synów Notarasa. Brat natychmiast rozpoznał swą siostrę i Anna poszła z nimi nie stawiając oporu, gdyż i tak nic by nie wskórała. Manuel próbował jej bronić tłumacząc im usilnie, że nie ma mnie w domu,

ale szarpnęli go tylko za brodę, obalili i skopali. Zapominając o swej godności brat Anny uderzył go nawet w twarz.

Pozbierawszy się jakoś Manuel poszedł za nimi w oddaleniu i widział, że zaprowadzili Annę do domu megaduksa Notarasa.

— Gdyż ona jest przecież jego córką — powiedział rzeczowo. — Wiedziałem to niemal od samego początku, choć udawałem, że nic nie wiem, bo chciałem zachować to w tajemnicy. Ale to osobna sprawa. Panie, musisz teraz uciekać, bo megaduks Notaras bez wątpienia już cię szuka, by cię zabić. A jego wierzchowce są szybsze niż moje nogi.

— Dokąd mam uciec? — zapytałem. — Nie ma miejsca w tym mieście, gdzie by mnie nie znalazł, jeśli zechce.

Manuel do tego stopnia stracił opanowanie, że potrząsnął mnie za ramię.

— Wnet będzie ciemno — rzekł żarliwie. — Pod murem panuje spokój. Możesz spuścić się na linie i uciekać do obozu sułtana. Tam jesteś przecież jak w domu. Wielu już tak zrobiło. Jeśli chcesz, pomogę ci i wciągnę potem linę, tak żeby nie został żaden ślad po twej ucieczce. Ale pamiętaj za to o mnie, gdy wrócisz tu ze zwycięzcami.

— Nie pleć bzdur, staruszku — powiedziałem. — Sułtan każe wbić moją głowę na pał, jeśli mnie złapie.

— Tak, tak, naturalnie, naturalnie — upierał się Manuel zerkając na mnie chytrze oczami w czerwonych obwódkach. — To przecież jest ta twoja historia, której chcesz się trzymać, i nie wypada mi jej kwestionować. Ale wierz mi, w sułtańskim obozie byłbyś od tej chwili bezpieczniejszy niż w Konstantynopolu i może mógłbyś przed sułtanem powiedzieć dobre słowo w obronie nas biednych Greków.

— Manuelu — zacząłem, ale urwałem w pół zdania. Jakżeż zdołałbym przeniknąć pancerz jego przesądów.

Tknął mnie palcem wskazującym w pierś.

— Naturalnie, że jesteś wysłannikiem sułtana — powiedział. — Czy sądziłeś rzeczywiście, że zdołasz wyprowadzić w pole starego Greka? Łacinników możesz sobie oszukiwać, jak chcesz, ale nie nas. Jak sądzisz, dlaczego by w innym razie wszyscy ustępowali ci z drogi z takim szacunkiem i błogosławili twoje kroki? Włos przecież nie spadł ci tu z głowy. To wystarczający dowód. Nikt nie śmiał cię tknąć, bo sułtan jest twoją tarczą. I nie jest to żadna hańba, że każdy służy swemu własnemu panu. Nawet cesarz zawierał w razie potrzeby sojusze z Turkami i posługiwał się nimi.

— Milcz, szaleńcze — ostrzegłem go i rozejrzałem się wokoło. Wenecki wartownik zbliżył się i przyglądał się z rozbawieniem podnieconemu staruszkowi. W tejże chwili huknęło działo i obok uderzyła kamienna kula, tak że mur zatrzęsł się pod naszymi stopami. Manuel schwycił mnie za ramię i dopiero teraz rzucił wzrokiem na osnuty dymem i plujący ogniem teren pod nami.

— Nie stoimy chyba na żadnym niebezpiecznym miejscu? — zapytał bojaźliwie.

— Twoje nierozważne słowa są dla mnie o wiele niebezpieczniejsze niż tureckie działa — odparłem gniewnie. — Wierz mi, na Boga, Manuelu. Kimkolwiek jestem, żyję i umrę za to miasto. Nie mam żadnej innej przyszłości. Nie pragnę ani władzy, ani purpury. Władza jest martwa. Tylko za samego siebie chcę odpowiadać przed Bogiem. Zrozum to wreszcie, jestem samotny, całkiem samotny. To, co kryję w sercu, umrze wraz ze mną, kiedy przyjdą Turcy.

Mówiłem tak poważnie i przekonująco, że Manuel wpatrywał się we mnie zaskoczony. Musiał mi uwierzyć. Potem zalał się łzami rozczarowania i jęknął:

— W takim razie to ty jesteś szalony, a nie ja. Płakał długo, po czym wytarł nos, przyjrzał mi się i powiedział już spokojnie:

— Niech i tak będzie. Mieliśmy i szalonych cesarzy i nikt nie uważał tego tutaj za jakieś prawdziwe nieszczęście. Tylko syn Andronikosa był tak okrutny, że lud w końcu powiesił go na Hipodromie i przebito go mieczem od odbytnicy do gardła. Ale ty nie jesteś przecież okrutny, lecz raczej łagodny. Dlatego też jest moim obowiązkiem towarzyszyć ci nawet na drodze szaleństwa, skoro już cię rozpoznałem.

Obejrzał się dokoła i westchnął ciężko dodając:

— Trochę tu kiepsko, ale do twego domu nie mogę wrócić, tak bardzo boję się megaduksa Notarasa. Wolę już chwycić tasak i zetrzeć się z wściekłym Turkiem, niż spotkać się z wielkim księciem po tym, jak ci dopomogłem uprowadzić jego córkę. Bo widzisz, Anna Notaras jest już od dawna przeznaczona do sułtańskiego haremu, jeśli zupełnie się nie zgubiłem w tajnej polityce.

Znów miałem powód do zdumienia, ile zwykły człowiek, taki jak Manuel, wiedział i domyślał się. Cóż mogło lepiej odpowiadać planom Łukasza Notarasa, niż wydanie córki za sułtana dla wzmocnienia obopólnej przyjaźni. Być może chciał on wysłać Annę na bezpieczną Kretę przed oblężeniem tylko po to, by móc lepiej nią kupczyć. W żądzy jest Mehmed wszystkożercą i naśladuje także i pod tym względem swój wzór, Aleksandra Wielkiego. Kobieta z najznamienitszego rodu Konstantynopola zaspokoilaaby jego ogromną potrzebę podkreślania swego znaczenia.

— Skąd wiesz to wszystko, co wydaje ci się, że wiesz? — nie mogłem się powstrzymać od pytania.

— To wisi w powietrzu — odparł rozkładając ręce. — Jestem Grekiem. Politykę mam we krwi. Ale nie chcę w żaden sposób mieszać się do twojej rozprawy z teściem. Raczej wolę przyglądać się temu z boku, jeśli pozwolisz.

Uświadomiłem sobie, że istotnie jest bezpieczniejszy na murze niż w moim domu. Jeśli Łukasz Notaras zamierza mnie własnoręcznie zabić albo kazać mnie zamordować, to pewniej będzie, jeśli równocześnie usunie wszelkich świadków mojego małżeństwa. Dlatego też pozwoliłem Manuelowi przyłączyć się do greckich robotników, których zatrudnili Wenecjanie, i prosiłem go, by sam sobie jakoś dawał radę.

Moją pierwszą myślą na wieść, że utraciłem Annę, było popędzić do domu jej ojca i zażądać oddania jej, gdyż jest moją żoną. Ale jaki z tego pożytek? Notarasowi byłoby tam łatwo zamordować samotnego przybysza. Zamknięta na cztery spusty w pałacu Notarasa Anna jest dla mnie nieosiągalna. Jest moją żoną. Dlatego muszę wystrzegać się Notarasa. Najłatwiejszym dla niego sposobem, by unicestwić nasze małżeństwo, jest zabić mnie. A ja nie chcę umrzeć z greckiej ręki.

Czuwałem i pisałem. Czasem zamykałem oczy i opierałem rozpalone czoło na dłoniach. Ale sen nie przychodził, by zmiłować się nade mną. Poprzez powieki zasypane piaskiem zmęczenia widziałem jej piękność. Jej usta. Jej oczy. Czulem, jak dotknięcie mojej dłoni rozpala jej policzki. Jak przeszywa mnie płomienny dreszcz, gdy dotykam jej nagiego biodra. Nigdy nie pragnąłem Anny tak szaleńczo jak teraz, kiedy wiedziałem, że ją utraciłem.

16 maja 1453

Nie mogłem zatem spać, mimo że moje stanowisko pozwalało mi na ten luksus. Samotność i sen to przecież dwa największe przywileje w czasie wojny. Gwiazdy błyszcząły jeszcze jak piękne srebrne szpilki na niebie, gdy pędzony niepokojem wyszedłem na dwór. Noc była cicha i lodowato zimna w te ostatnie godziny przed brzaskiem.

W pobliżu bramy Kaligaryjskiej przystanąłem i nasłuchiwałem. To nie było tylko bicie mego serca. Zdawało mi się, że słyszę głucho łomotanie głęboko pod

stopami. Potem zobaczyłem Niemca Granta, idącego naprzeciw mnie z pochodnią w dłoni. Za murem stały ustawione kadzie z wodą. Szedł od jednej do drugiej i zatrzymywał się przy każdej. Zrazu sądziłem, że stracił rozum albo uprawia jakieś czary, gdyż do muru było daleko i nie groził tu żaden pożar.

Pozdrowił mnie w imię Chrystusa, oświecił pochodnią jedną z kadzi i poprosił, żebym spojrział. W krótkich odstępach czasu ciemną powierzchnię wody znaczyły drżące kręgi, choć noc była cicha i działa milczały.

— Ziemia się trzęsie — stwierdziłem. — Czy w tym mieście nawet ziemia drży ze śmiertelnego strachu?

Grant roześmiał się, ale twarz miał ponurą.

— Nie rozumiesz tego, czego świadkami są twoje własne oczy, Jeanie Ange — powiedział. — Gdybyś to rozumiał, zimny pot oblałby ci kark, tak jak mnie przed chwilą. Pomóż mi przesunąć kadź, gdyż moi pomocnicy zmęczeni się i poszli spać.

Wspólnymi siłami przesunęliśmy kadź o kilka kroków w bok. W miejscu, gdzie stała przedtem, Grant wetknął kij w ziemię. Gdy przesuwaliśmy ją jeszcze kilka razy, woda zaczęła znowu marszczyć się na powierzchni. Ogarnął mnie zabobonny lęk, jak gdybym był świadkiem jakiejś czarnej magii. Jeśli kto, to właśnie Grant mógł znać takie tajemnice. Widać to było po jego twarzy.

Wskazał na wijący się wąż kijów, które wetknął w ziemię, a które ciągnęły się aż do muru.

— Ziemia jest kamienista — rzekł. — Jak widzisz, ryją jak krety. Ciekawe, jak długo oni będą kopać, zanim się wydostaną na powierzchnię.

— Jacy oni? — zapytałem zbity z tropu.

— Turcy — powiedział. — Kopiają pod naszymi stopami. Jeszcze nie rozumiesz?

— Jak to możliwe?! — wykrzyknąłem. Ale w tejże chwili przypomniałem sobie o serbskich górnikach, których sprowadził sułtan. Przy poprzednich oblężeniach Turcy czasem próbowali ryć chodniki pod murami, ale nigdy im się to nie udawało z powodu kamienistego gruntu. Dlatego też tym razem nie zwracano uwagi na to niebezpieczeństwo, choć nasze posterunki obserwacyjne otrzymały rozkaz wypatrywania podejrzanych kup ziemi pod murami. Jednakże żadnego śladu prac ziemnych nie można było dostrzec i cała sprawa poszła w zapomnienie.

Przestałem na chwilę myśleć o własnych zmartwieniach i ożywiłem się tak samo jak Grant.

— Chytrzy są! — zawołałem. — Musieli zacząć kopać pod osłoną najbliższego pagórka, ponad pięćset metrów od muru. I to jest najkorzystniejsze miejsce, jakie mogli wybrać, gdyż tu, pod Blachernami, nie ma muru zewnętrznego. Teraz sięgnęli już poza mur. Co robić?

— Czekać — odparł Grant spokojnie. — To nic groźnego, kiedy już wiem, jak biegnie ich chodnik. Są wciąż jeszcze głęboko pod nami. Czas działania nadejdzie, gdy zaczną przedzierać się ku górze.

Spojrzał na mnie ponuro.

— Sam brałem udział w robieniu podkopów. To straszna robota. Brak powietrza. Ustawiczna trwoga. A śmierć w krecim chodniku, w ogniu czy w wodzie, to śmierć straszliwa.

Zostawił swoje kadzie i zabrał mnie na wędrowkę po murze. W różnych wnękach poustawiał bębny i nasypał grochu na skórę. Ale miejsce, w którym woda się marszczyła, było dotychczas jedynym, gdzie coś zauważył.

— Podziemny chodnik jest niebezpieczny tylko wtedy, gdy nie zostanie w porę wykryty — pouczał. — Na szczęście Turcy próbują się wdrzeć aż do samego miasta. Gdyby zadowolili się podkopem pod sam mur, podparli go belkami, a w końcu podpaliли podpory, udałoby im się może zwalić dużą część muru. Ale przypuszczalnie grunt nie nadaje się do tego.

Podczas gdy gwiazdy bladły, wyłożył mi, jak się zakłada kontrminę, którą można zaopatrzyć w ruchomą kratę z oszczepów, i jak wprowadza się pary płonącej siarki do chodników minerskich wroga.

— Jest wiele sposobów — powiedział. — Możemy wpuścić tam wodę z cysterny i potopić ich jak szczury. Wypełniony wodą chodnik nie nadaje się do użytku. Jeszcze lepiej byłoby usmażyć ich w greckim ogniu. Zapalić równocześnie wszystkie podpory i chodnik by się zapadł. Ale najlepsze byłoby wykopanie własnego chodnika i czekanie na nich w zasadzce za cienką ścianką, ażeby w korzystnym momencie porwać kopiących. Stosując tortury można się dowiedzieć, czy jest więcej chodników i gdzie są położone.

Te wypowiedziane z zimną krwią słowa wzburzyły mnie do głębi. Myślałem o ludziach ryjących pod naszymi stopami, jak zdyszani, ociekający potem i oślepieni sypiącą się ziemią harują jak zwierzęta, nie przeczuwając, że każde uderzenie kilofa i łopaty zbliża ich do nieuchronnej śmierci. Jeśli to rzeczywiście Serbowie, to są oni przecież moimi chrześcijańskimi braćmi, mimo że służyli sułtanowi, zmuszeni do tego

układem przyjaźni zawartym przez swego sędziwego despotę. Ale Grant patrzył na mnie bez zrozumienia swoimi ciemnymi nieruchomymi oczyma.

— Daleki jestem od okrucieństwa — rzekł. — Dla mnie wszystko to jest matematyką. Pasjonującym zadaniem, które daje mi okazję do najrozmaitszych obliczeń.

Kiedy jednak tak stał nad kadzią wody, podobny był zupełnie do czarnego kota czyhającego koło mysiej dziury.

Niebo zbladło nad nami. Wzgórza pod Perą zaczęły różowieć. Wielkie działo huknęło i zbudziło Turków do modlitwy porannej. Z budynków Blachern i sklepień pod murem zaczęli wyłazić senni żołnierze, by załatwić poranną potrzebę. Niektórzy podchodzili do nas i gapili się z otwartymi ustami to na nas, to na kadzie z wodą. Inni, zaspani, zaciągali gniewnie rzemienie pancerzy i udawali się w milczeniu na mur, by zluzować posterunki.

Szybkimi krokami, odziany w płaszcz w kolorze cesarskiej zieleni, nadszedł megaduks Łukasz Notaras. Za nim kroczyli poważnie obaj jego synowie, z rękami na rękojeściach mieczy. Innego orszaku nie miał. Cofnąłem się krok w tył, stając obok Granta, tak że kadź z wodą znalazła się przede mną. Notaras też przystanął. Jego godność nie pozwalała mu zacząć gonić mnie wokół kadzi z wodą. Nie mógł też nakazać strażnikom, żeby mnie aresztowali, ponieważ Blacherny były w rękach Wenecjan, a on nie miał przy sobie własnej straży porządkowej.

— Chcę z tobą porozmawiać, Johannesie Angelosie — powiedział. — Na osobności.

— Nie mam żadnych tajemnic — odparłem.

Jego mroczna i dumna twarz była niezgłębiona i nie miałem ochoty iść za nim jak jagnię ofiarne.

Otworzył usta do gwałtownej odpowiedzi, ale w tejże chwili ujrzał powierzchnię wody w kadzi. Działa huczały od czasu do czasu, ale także w przerwach woda drżała tworząc wyraźne kręgi. Wpatrzył się, zmarszczył czoło, rzucił spojrzenie na Joanna Granta. Był tak bystry, że natychmiast, bez tłumaczeń, zrozumiał, o co tu chodzi. I równocześnie pracował też jego polityczny rozsądek mający swoje własne kalkulacje. Bez słowa odwrócił się i odszedł równie szybko, jak przyszedł. Synowie rzucili mu zdziwione spojrzenie, ale poszli posłusznie za ojcem.

Podkop był już i tak wykryty. Notaras nie mógł więc zaszkodzić Turkom, nawet gdyby pośpieszył donieść o tym cesarzowi. Mógł tylko zyskać chwałę z odkrycia i

zdobyć zaufanie cesarza. Niebawem cesarz przyjechał do nas konno w otoczeniu świty.

— Megaduks przywłaszczył sobie twoją chwałę — rzekłem do Granta.

— Nie przyszedłem tu, by zdobywać chwałę i sławę — odrzekł kwaśno. — Jedyne, czego pragnę, to powiększać swoją wiedzę.

Ale Notaras bez zwłoki podszedł do niego, położył mu w dowód łaski prawicę na ramieniu i zaczął przed cesarzem wychwalać wynalazczość i przenikliwość Granta, nazywając go łaskawie człowiekiem honoru i uczciwym Niemcem. Także cesarz okazał mu swoją łaskawość, obiecał dar pieniężny i prosił, by pod kierownictwem Notarasa wyszedł i zniszczył tureckie podkopy. W tym celu miał otrzymać potrzebną załogę z muru, a także cesarskich techników do dyspozycji.

Zobaczyłem, że i Giustiniani otrzymał wiadomość o odkryciu i przybył niebawem konno, by wziąć udział w powszechnej radości. Grant podjął natychmiast odpowiednie kroki i kazał rozesłać potajemnie gońców do wszystkich w mieście i na murze, którzy mieli jakieś doświadczenie w pracy górniczej. Równocześnie wybrał kilku ludzi, którzy mieli obserwować kadzie z wodą i bębny, ale ci wywołali wiele fałszywych alarmów, nim przywykli do swego zadania. Za każdym razem, gdy huczały w pobliżu działa, woda marszczyła się i groch tańczył na bębnach, i wartownicy ze zjeżonym włosiem wybiegali i raportowali, że Turcy przebijają się przez grunt ku górze.

Gdy Grant wszczął roboty, zwrócił się do cesarza i powiedział:

— Nie wstąpiłem na służbę do ciebie, by zarabiać pieniądze czy zdobywać sławę, lecz aby szukać wiedzy Greków. Pozwól mi przejrzeć katalogi w bibliotece i studiować manuskrypty, które leżą pogrzebane w lochu, oraz wypożyczyć stamtąd pisma pitagorejczyków. Wiem, że są tam dzieła pitagorejczyków i Archimedesesa, ale twój bibliotekarz strzeże ich jak wściekły pies i nie pozwala nawet zapalić tam światła czy lampy.

Cesarzowi nie w smak było jego życzenie. Wychudła twarz Konstantyna przybrała udęczonego wyraz. Unikał patrzenia Grantowi w oczy, gdy mu odpowiadał:

— Mój bibliotekarz spełnia tylko obowiązek. Jego urząd jest dziedziczny i dokładnie ustalony ceremoniałem, tak że nawet on sam nie może złamać statutów biblioteki. Wyzywasz Boga chcąc w krytycznej dla miasta chwili szukać pism pogańskich filozofów. Tylko jeden Bóg jest potrzebny, powinienes to wiedzieć. Ani

Pitagoras, ani Archimedes nie może ci pomóc, tylko Jezus Chrystus, który oddał swe życie za odpuszczenie naszych grzechów i powstał z martwych dla naszego zbawienia.

Grant mruknął:

— Skoro tylko jeden Bóg jest niezbędny, to chyba zbyteczne, żebym trwoniał moje wynalazki i obliczenia na to, by trzymać Turków z dala od miasta.

Cesarz machnął z rozdrażnieniem ręką i powiedział:

— Grecka filozofia jest naszym wiecznym dziedzictwem i tych pism nie wypożyczamy barbarzyńcom na niewłaściwy użytek.

Giustiniani zakaszlał mocno, a także bailon, który również tam przybył, urażony potoczył nabiegłymi krwią oczyma. Gdy tylko Grant odszedł, cesarz oświadczył pojednawczo, że mówiąc o barbarzyńcach nie miał wcale na myśli łacinników. Grant natomiast jest Niemcem i skutkiem tego barbarzyńcą z urodzenia.

Przez cały dzień trwał ogień z dział, może nawet gwałtowniejszy niż zwykle. Także i wielki mur zwałił się już w wielu miejscach. Kobiety, dzieci i starcy zgłaszali się na ochotnika jako murarze. Lęk i trwoga dawały im nadludzkie siły, dźwigali kamienie i nosili na szańce kosze, które nawet silny mężczyzna uznałby za zbyt ciężkie.

Mówili:

— Wolimy raczej umrzeć z naszymi mężami, ojcami i synami, niż zostać niewolnikami u Turków.

Straszliwe zmęczenie przytępiło strach obrońców i wielu wystawiało się na strzały tureckie, jeśli tylko mogli dzięki temu zaoszczędzić parę kroków. Pozbawieni osłony mężczyźni z piekącymi od czuwania oczyma podchodzili chwiejnie do forsy, by hakami wyławiać tureckie belki i wiązki chrustu. Z muru nie można już dostrzec ani jednego krzaczka, ani jednego drzewa. Turcy usiłując wypełnić fosę wycięli wszystko w polu widzenia. Nawet wzgórki koło Pery i na azjatyckim brzegu po drugiej stronie Bosforu są огоłocone z drzew i zarośli.

17 maja 1453

Flota turecka podpłynęła do zapory portowej, ale ustawiła się w pewnej odległości od niej. Nasze okręty oddały co najmniej sto strzałów armatnich, ale nie wyrządziły większych szkód wrogowi. Weneccy żeglarze chełpią się zwycięstwem: —

Jeśli każdy na murach spełni swój obowiązek równie nieustraszenie jak my, Konstantynopolowi nic się nie stanie — mówią.

Widać jednak, że sułtan chce tylko dać naszej flocie zajęcie, żeby nie można było stamtąd ściągnąć na mur dalszych posiłków.

Wielu starało się dostać do służby przy kadziach z wodą Granta, ale on mądrze wybrał do czuwania jedynie niezdatnych do noszenia broni mężczyzn i starców, byle tylko mieli dobry wzrok. Chciałem postarać się dla Manuela o taką lekką pracę ze względu na jego siwą brodę i chore nogi. Ale gdy go odszukałem, stwierdziłem, że zdążył już uwolnić się od służby na murze i zyskał przychylność Wenecjan. Zna miasto, wie, gdzie znajdują się najlepsze zamtuzy, i potrafi znaleźć kobiety, które chętnie zamieniają cnotę na kandyzowane owoce i świeży chleb Wenecjan. Nawet na wpół dorosłe dziewczęta czekają przed bramami Blachern, żeby stręczyć się Wenecjanom. Kiedy natknąłem się na Manuela, wybierał się właśnie do miasta, z grzbietem ugiętym pod workiem zakazanych środków żywności. Dostał wenecki paszport do okazywania patrolom i chełpił się, że zdąży się wzbogacić, jeśli oblężenie potrwa jeszcze jakiś czas.

Gdy mu robiłem wyrzuty, poczuł się obrażony i powiedział:

— Każdy jest sam sobie najbliższy. W całym mieście prowadzi się potajemny handel wyzyskując zarówno cesarskie, weneckie, jak i genueńskie paszporty. Wielu zbiło majątek, a tylko nieliczni skręcili na tym kark. Tam, gdzie jest popyt, jest i podaż. Taki jest bieg świata. Jeśli się nie pospieszę, ktoś inny zagarnie zysk. Chyba lepiej, żeby weneckie przysmaki trafiały do greckich ust, niż do ich własnych przepastnych brzuchów. I nie jest to też moja wina, gdy tłuści i grubi młodzi mężczyźni są pełni zdrożnych żądz i w przerwach między walkami szukają sobie kobiet albo młodych chłopców dla zaspokojenia.

Podniecał się coraz bardziej i wołał:

— Wenecjanie są naszymi przyjaciółmi! Ofiarują życie i krew za nasze miasto. Cóż w tym złego, jeśli uboga dziewczyna sprzeda dziewictwo, żeby ich zabawić, a rodzicom zapewnić kawałek chleba. Albo nawet jeśli ucziwa małżonka na chwilę położy się na grzbiecie, by zamienić swe skromne walory na słoik konfitury, której słodczy jej ciało tak długo było pozbawione. Dzieje się to na chwałę bożą i na błogosławieństwo dla całego chrześcijaństwa, jak zwykli mówić Wenecjanie. Panie, nie mieszaj się do biegu spraw świata, na który i tak nie możesz wpłynąć. Wszyscy jesteśmy tylko biednymi grzesznikami.

I dlaczego nie miałyby mieć słuszności? Kimżeż jestem, bym go sądził? Każdy sam jest kowalem swego losu zgodnie ze swymi warunkami.

Na próżno czekałem, że Łukasz Notras znowu mnie odwiedzi. Dziś widziałem go kilka razy z daleka, ale zadowolili się tylko rzuceniem mi złowrogiego spojrzenia i spiesznie mnie minął. Od Anny nie miałem jeszcze najmniejszego znaku życia.

W gorączkowym odurzeniu, w jakim żyję, postanowiłem przynajmniej zrobić jakiś dobry uczynek. Może być, że Joann Grant jest niewolnikiem czasów, które przyjdą pod znakiem bestii, ale ja lubię go jako człowieka, z jego nieruchomym spojrzeniem i pooranym myślami czołem. Dlaczego nie miałby stać się szczęśliwy na swój sposób, kiedy jeszcze jest czas. Udałem się więc dziś do biblioteki i rozmawiałem z bezzębnym, na wpół głuchym bibliotekarzem, który nie troszcząc się o oblężenie i zgiełk wojenny codziennie odziewa się w swój ceremonialny strój z łańcuchem i innymi insygniami.

Pokazałem mu kierunek tureckich podkopów i udowodniłem, że Turcy zdążają do podziemnego lochu biblioteki, by tą drogą wdrzeć się do miasta. Tak był przekonany o własnej ważności i znaczeniu, że uwierzył mi ślepo, gdy tylko zrozumiał, o co tu chodzi.

— Ha! — wykrzyknął przerażony — to nie może się stać. Mogliby przecież podeptać i uszkodzić księgi, i może nawet podpalić bibliotekę pochodniami i tak dalej. Byłaby to niepowetowana szkoda dla całego świata.

Doradziłem mu, żeby zwrócił się do Granta i prosił go o podjęcie kroków dla ochrony biblioteki. W biedzie spokorniał, sam zaprowadził Granta do podziemia i pokazał mu każdy zakamarek. Grant kazał ustawić w piwnicy kadzie z wodą i chętnie obiecał przychodzić sprawdzać je, gdy tylko będzie miał chwilę czasu. Otrzymał nawet pozwolenie zapalenia tam lampy, by móc obserwować powierzchnię wody. Bibliotekarz wygrzebał skądś zardzewiały miecz i poprzysiągł wojowniczo, że Turcy tylko po jego trupie dosięgną jego półek.

Na szczęście nie wie, że Wenecjanie od dawna już zaczęli używać świętych ksiąg w pałacu na rozpałkę i na przybitki.

Ale Grant nie mógł długo zagłębiać się w swoich studiach. Wkrótce po zapadnięciu ciemności wezwano go do bramy Kaligaryjskiej, gdzie tureccy minerzy tym razem dostali się, jak na to wyglądało, pod sam mur. Grant kazał już przedtem wykopać kontrminę, którą obecnie wykorzystano, tak że Turcy znaleźli się w pułapce i podusili się od trującego siarkowego dymu. Tylko paru ludzi uszło z życiem. Grant

kazał w odpowiednich miejscach porobić otwory i wnet podpory w tureckiej minie obróciły się w huczące morze ognia, aż cały chodnik zapadł się i runął. Ale był tak głęboko położony, że nie naruszyło to zupełnie muru. W dali za wzgórzem, w odległości pięciuset kroków, otwór chodnika długo jeszcze pluł czarnym, duszącym dymem, zanim Turcy zdążyli zatkać swój podkop.

18 maja 1453

Koniec jest bliski. Nic nie może go już powstrzymać. I żadne z naszych dotychczasowych przeżyć nie może mierzyć się ze strachem, jaki odczuwaliśmy dzisiaj.

Gdy nastał brzask, ujrzeliśmy napawające strachem zjawisko przed murem w pobliżu bramy św. Romana. W ciągu nocy pod osłoną ciemności Turkom udało się niesłychanie szybko, z pomocą złych duchów, zbudować ruchomą, olbrzymią drewnianą wieżę oblężniczą tuż na skraju fosy, zaledwie o trzydzieści metrów od resztek muru zewnętrznego, na którym przez całą noc pracowali obrońcy. Jak to się mogło stać, nikt nie rozumie.

Ta beluarda, którą można przesuwac na ogromnych drewnianych wałkach, ma trzy kondygnacje i wznosi się wyżej niż korona zewnętrznego muru, tak że panuje nad nim. Jej łatwo zapalne drewno chronione jest wszędzie wieloma warstwami skór wielbłądzich i wołowych. Ściany są podwójne, wypełnione wewnątrz ziemią, i nawet małe armatki nie mogą ich uszkodzić. Strzały świszczą ze strzelnic, a z najwyższego piętra zaraz tegoż ranka duża katapulta zaczęła miotać potężne bloki kamienne, by zwalić nasze prowizoryczne oszańcowania. Z obozu tureckiego prowadzi do wieży na pięćset metrów długi, przykryty deskami rów, załoga może więc bez przeszkód przychodzić i odchodzić.

Podczas gdy katapulta wyrzuca kamienie, strzały świszczą, a wiele mniejszych balist miota ogień na nasze palisady i szańce, otwierają się nieprzerwanie luki na najniższym piętrze wieży plując do fosy ziemią, kamieniami, wiązkami chrustu i belkami. Gdy, przerażeni, zebraliśmy się patrząc na tę beluardę, która chwiejąc się pracuje bez pojawienia się choćby jednego człowieka i wygląda jak jedna potężna machina albo żywy potwór, otwarła się z hurgotem wielka luka w środkowym piętrze i

wysunął się z niej ruchomy mostek szturmowy, sięgający w stronę zewnętrznego muru. Na szczęście odstęp był za duży.

Grant także przybył, by zobaczyć tę maszynę, której podobnej jeszcze nigdy nie oglądano. Ocenił na oko jej wymiary, zapisał w pamięci i powiedział:

— Mimo że wieża musiała być zbudowana zawczasu i złożona na miejscu z poszczególnych części, to samo jej zbitcie w jedną noc jest cudem technicznej biegłości i organizacji. Sama w sobie wieża ta nie jest żadną nowością. Takich wież oblężniczych używano, odkąd na świecie były w użyciu mury. Tylko jej wielkość czyni ją godną uwagi: przekracza wszelkie wymiary, które podają Grecy i Rzymianie. I gdyby nie było tu fosy, Turcy mogliby podtoczyć ją aż do muru, i użyć jako taranu.

Obejrząwszy beluardę, odwrócił się i odszedł, gdyż nie dopatrywał się niczego nowego w samym wynalazku. Ale Giustiniani zgrzytał zębami i trzął głową. Zanadto go dotknął fakt, że można było wznieść wieżę tuż przed jego odcinkiem muru, tak że nikt tego nie zauważył.

— Poczekajmy na następną noc — odgrażał się. — To, co człowiek zbudował, potrafi też zniszczyć.

Ale olbrzymia wieża, która pluje ogniem, kulami, strzałami i kamieniami i dudni od swej własnej ogromnej siły, jest tak przerażająca, iż nikt mu nie wierzy. Cesarz bezradnie ronił łzy widząc, jak wielu greckich robotników pada rażonych kamiennymi blokami. Dopóki ta wieża panuje nad murem zewnętrznym, nie można go naprawić.

Po południu dużym działom tureckim udało się rozbić jedną z baszt na wielkim murze, niemal naprzeciwko maszyny oblężniczej, i kawałek muru zwałił się grzebiąc gromadkę łacinników i Greków.

Podczas gdy dowódcy zastanawiali się, co by zaradzić na to największe dotychczas zagrożenie, Giustiniani wybuchnął przeciw Notarasowi domagając się, by tamten oddał mu oba większe działa, które wciąż jeszcze stały na murze portowym i z małym pożytkiem od czasu do czasu ostrzeliwały tureckie galery po drugiej stronie Złotego Rogu.

— Potrzebuję prochu i dział, by móc bronić miasta — mówił. — W porcie już zbyt dużo cennego prochu poszło na marne.

Notaras odpowiedział zimno:

— Działa są moje, a za proch płacę sam. Zatopiłem jedną galerię i uszkodziłem wiele innych. Jeśli chcesz, będę oszczędzał prochu, ale działa są w porcie niezbędne,

by trzymać Turków z dala. Wiesz sam, że mur przy wewnętrznym porcie jest najsłabszym punktem miasta.

Giustiniani krzyknął:

— I jakież u diabła pożytek z weneckich okrętów, jeśli nie potrafią utrzymać Turków w ryzach w samym porcie! Twoje argumenty to wymówki i bzdury, a w gruncie rzeczy chcesz osłabić obronę w najbardziej narażonym punkcie, który jest tutaj. Nie myśl, że cię nie znam. Twoje serce jest czarne jak broda sułtana.

Cearz usiłował pośredniczyć między nimi.

— Na Chrystusa, drodzy bracia, nie pogarszajcie jeszcze naszej sytuacji spierając się bez żadnego pożytku. Obaj macie jak najlepsze zamiary. Megaduks Notaras uratował miasto od zagłady, gdy Turcy usiłowali podkopać się pod mury. Jeśli uważa, że działa są niezbędne w porcie, musimy go słuchać. Uściskajcie się więc, bracia, gdyż wszyscy walczymy za wspólną sprawę.

Giustiniani odparł szorstko:

— Jestem gotów po bratersku uściskać samego diabła, jeśli tylko da mi działa i proch. A megaduks Notaras nie daje mi niczego.

Także i Łukasz Notaras nie przejawiał żadnej ochoty, by uściskać Giustinianiego, lecz oddalił się urażony i pozostawił cesarza i Giustinianiego, by sami kontynuowali naradę.

Ale kiedy uświadomiłem sobie, że koniec jest teraz bliski, ugięła się moja duma. Pobiegłem za Notarasem, zatrzymałem go i powiedziałem:

— Chciałeś rozmawiać ze mną na osobności. Czyżbyś już o tym zapomniał?

Ku memu zdziwieniu uśmiechnął się życzliwie. Położył mi dłoń na ramieniu i rzekł:

— Unurzałeś honor mego rodu w błocie i zbuntowałaś córkę przeciw ojcu, Johannesie Angelosie. Ale żyjemy w niedobrych czasach i nie mogę sobie pozwolić na spory. Moja córka jest mi droga. Jej prośby sprawiły, że zmiękłem. Od ciebie tylko zależy, czy ci wybaczę twoje łacińskie zachowanie w tej sprawie.

Nie wierząc własnym uszom zapytałem:

— Rzeczywiście pozwolisz mi spotkać się znowu z twoją córką Anną, moją żoną?

Spochmurniał.

— Nie nazywaj jej jeszcze swoją żoną. Ale możesz się z nią spotkać i porozmawiać. Tak, najlepiej, żeby ona sama przedłożyła ci moje warunki. Jest córką swego ojca i ufam jej rozsądkowi, choć zdołałeś na czas jakiś zaślepić jej serce.

— Niech cię Bóg błogosławi, Łukasz Notarasie! — wykrzyknąłem z całego serca. — Pomyliłem się co do ciebie i co do twoich celów. Jesteś mimo wszystko prawdziwym Grekiem.

Uśmiechnął się z zakłopotaniem i powiedział:

— Doprawdy. Jestem prawdziwym Grekiem. I mam nadzieję, że i ty się nim okażesz.

— Kiedy i gdzie mogę się z nią spotkać? — zapytałem czując, że zapiera mi dech w piersi na samą myśl o tym.

— Weź mego konia, jeśli chcesz, i jedź do mego domu natychmiast — powiedział życzliwie i roześmiał się głośno. — Myślę, że moja córka czeka na ciebie niecierpliwie od kilku dni. Ale sądziłem, że trochę czekania zrobi dobrze wam obojgu i nieco was utemperuje.

Powinienem był zrozumieć, że jego życzliwość była zbyt wielka. Ale zapomniawszy o armatach i Turkach, o Blachernach i o moich zadaniach wskoczyłem na jego karego bojowego rumaka i pędziłem w cwał przez miasto ku morzu Marmara. Siedząc w siodle krzychałem głośno z radości. Dzień majowy mienił się złotem i błękitem nieba wokół mnie, choć mur i port leżały spowite w czarne chmury dymu prochowego.

Dotarłszy do szlachetnego w swej prostocie kamiennego domu, sam nie wiem kiedy przywiązałem konia. Szybko — jak młodzieniec na pierwsze miłosne spotkanie — pobiegłem, by uderzyć w kołatkę u drzwi. Dopiero wtedy pomyślałem o swoim wyglądzie, usiłowałem zetrzeć pył i sadzę z twarzy, splunąłem w dłonie i wytarłem pancerz do połysku.

Otworzył mi służa w niebiesko-białym stroju. Ale nie poświęciłem mu ani jednego spojrzenia. Przez sień szła ku mnie spieszenie Anna Notaras, smukła i piękna, ze wzrokiem promieniejącym z radości. Tak była młoda i piękna w swym własnym otoczeniu, że nie ważyłem się wziąć jej w ramiona, tylko patrzyłem na nią z zapartym tchem. Szyję miała nagą. Uszmiłkowała wargi i brwi. Cudowny hiacyntowy zapach otaczał ją jak wtedy, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz.

— Nareszcie — szepnęła żarliwie. Ujęła moją głowę w dłonie i pocałowała mnie w usta. Policzki jej płonęły.

Nikt jej nie pilnował. Nikt nie zamknął jej w kobiecej części domu. Nie rozumiałem tego.

Wzięła mnie za rękę. To wystarczyło. Trzymając się za ręce poszliśmy na górę do dużej sali na górnym piętrze. Przez wąskie łukowate okienka błyszcząły srebrne fale morza Marmara.

— Koniec jest blisko, Anno — powiedziałem. — Nie wiesz, co dzieje się teraz na murze. Dziękuję Bogu za łaskę, że jeszcze raz mogę cię spotkać i spojrzeć ci w oczy.

— Tylko spojrzeć mi w oczy? — uśmiechnęła się. — To wszystko, czego chcesz? Choć jestem twoją żoną?

Nie, nic z tego nie rozumiałem. Wydawało mi się to snem. Może byłem już martwy? Może kula armatnia zmiażdżyła mnie tak szybko, że dusza moja wciąż jeszcze trwała na ziemi związana ziemskimi pragnieniami.

— Pij — szepnęła moja żona, Anna Notaras, i nalała mi do pucharu mieniącego się brązowo wina. Spostrzegłem, że na sposób turecki domieszała do wina ambry. Dlaczego chciała mnie podniecić? Pragnąłem jej już i tak dostatecznie.

Jej wargi były dla mnie rozkoszniejszym pucharem. Najrozkoszniejszym i najpiękniejszym pucharem na ziemi było dla mnie jej ciało. Ale kiedy chciałem jej dotknąć, powstrzymała mnie dłonią. Żrenice jej rozszerzyły się i pociemniały. Rzekła:

— Nie. Jeszcze nie. Usiądź, mój ukochany. Musimy wpierw porozmawiać.

— Nie mów nic — prosiłem zawiedziony. — Nie mów nic, najdroższa. Obraca się to tylko w kłótnię i ostre słowa, tak że ranimy się nawzajem. To nie przez słowa rozumiemy się najlepiej, lecz w całkiem inny sposób.

Patrząc w podłogę powiedziała z wyrzutem:

— Więc tylko do łóża chcesz iść. Nic innego. Czyż jestem dla ciebie jedynie ciałem?

— Sama tak chciałaś — odparłem z cierniem w krtani.

Spojrzała na mnie i zamrugła oczyma, aż nabrały łzawego połysku.

— Zdobądź się wreszcie na rozsądek — rzekła. — Spotkałeś mego ojca. Gotów jest przebaczyć mnie i tobie, jeśli tylko zechcesz. Po raz pierwszy rozmawiał ze mną jak z dorosłym człowiekiem, wytłumaczył mi, co myśli, czego się spodziewa, do czego dąży. Pierwszy raz zrozumiałam go właściwie. Ty także musisz go zrozumieć. Ma on pewien plan.

Spochmurniałem i ostygłem, ale Anna mówiła dalej żarliwie pieszcząc moją dłoń w swoich dłoniach.

— Jest moim ojcem. Mój ojciec nie może zrobić nic niesłusznego. Jest najznamienitszym mężem po cesarzu. Skoro cesarz zdradził swój lud i wiarę i sprzedał miasto łacinnikom, mój ojciec ponosi odpowiedzialność za los tego ludu. To jego obowiązek i nie może się od niego uchylić, choć jest on ciężki i upokarzający. Rozumiesz to chyba dobrze.

— Mów dalej — powiedziałem gorzko — zdaje mi się, że już to przedtem słyszałem.

Anna zaperzyła się:

— Ojciec nie jest zdrajcą. Do czegoś takiego nigdy by się nie zniżył. Jest politykiem, który musi ratować, co się tylko da, z ruin naszego miasta.

Śledziła mnie ciekawie spod rzęs. Łez żadnych nie było już widać w jej oczach, choć żywo nimi mrugała. Przeciwnie, wydawało się, jakby w głębi duszy schlebiali to jej kobiecej próżności, gdy ciągnęła dalej:

— Po upadku miasta mogłabym zostać małżonką sułtana Mehmeda. Przez to sułtan zawarłby przymierze z ludem greckim. Mój ojciec bardzo to sobie wziął do serca, kiedy odkrył, że przez kaprys pokrzyżowałam te jego zamiary. Ale nie mogłam się przecież tego domyślić. Nigdy nie wspomniał o tym ani słowem.

— Doprawdy dużo straciłaś — wtrąciłem szyderczo. — Najpierw miałaś zostać bazyliisą. Potem jedną z dziesiątków żon przyszłego władcy świata. Miałaś pecha. Rozumiem, że żałujesz, ale nie bierz sobie tego zbyt do serca. Nie mam tak wiele życia przed sobą. A potem będziesz znowu wolna.

— Jak możesz mówić do mnie takim tonem — odparła gwałtownie. — Wiesz, że cię kocham. I mylisz się, jeśli mówisz o śmierci. Zarówno ty, jak i ja mamy jeszcze wiele lat przed sobą. Zobaczysz! Jeśli tylko pójdiesz za radą ojca.

— Więc powiedz mi, jakie są te rady, których sam nie ośmielił się mi udzielić — rzekłem gorzko. — Ale spiesz się. Muszę wracać na mury.

Chwyciła mnie oburącz, jak gdyby chciała mnie siłą zatrzymać.

— Nie wrócisz tam! — wykrzyknęła. — Jeszcze dziś w nocy pójdiesz do obozu sułtana. Nie musisz mu dawać żadnych informacji o obronie miasta, jeśli ubliża to twojej czci. Masz tylko przekazać tajemne posłanie od mego ojca. Sułtan zna cię i wierzy ci. Innym Grekom mógłby nie ufać.

— Jakie jest to posłanie? — zapytałem.

— Ojciec nie może go napisać — wyjaśniła Anna żywo. — Choć ufa tobie i sułtanowi, to jednak pisemne posłanie byłoby zbyt niebezpieczne. Są ludzie nawet w

najbliższym otoczeniu sułtana, którzy mu brużdżą i podburzają Greków do oporu. Wiesz o tym może. Masz więc powiedzieć sułtanowi, że istnieje w mieście silna partia pokojowa, która nie uznaje cesarza i jest gotowa do współpracy z Turkami na warunkach, jakich życzy sobie sułtan. Powiedz mu: Jest nas trzydziestu wysoko postawionych i wpływowych mężów — ojciec powie ci, którzy to — co rozumieją, że przyszłość ludu greckiego w Konstantynopolu zależy od porozumienia i przyjaźni z sułtanem. Nasz honor nie pozwala nam bezpośrednio interweniować w walkach na korzyść sułtana, dopóki miasto może się bronić. Ale potajemnie działamy dla niego i kiedy miasto padnie, istnieć będzie już gotowy aparat urzędniczy, cieszący się zaufaniem ludu. Nas trzydziestu oddaje się więc pod opiekę sułtana i pokornie prosi, by nasze osoby, rodziny i mienie zostały oszczędzone, gdy sułtan weźmie miasto.

Spojrzała na mnie.

— Czy jest w tym coś złego? — zapytała. — Czy nie jest to honorowa i obiecująca politycznie propozycja? Między Turkami i łacinnikami tkwimy przecież jak między młotem a kowadłem. Tylko jeśli usuniemy cesarza i złożymy broń możliwie najbardziej zjednoczeni, możemy uratować przyszłość miasta. Nie zdajemy się przecież na jego łaskę i niełaskę. Przeciwnie, polityczny rozsądek powinien mi powiedzieć, że to rozwiązanie jest najpożyteczniejsze dla niego samego. Nie jesteś łacinnikiem. Dlaczego miałbyś się bić o sprawę łacinników?

Kiedy milczałem dręczony rozpaczą, sądziła, że się zastanawiam i ciągnęła dalej:

— Upadek miasta jest kwestią zaledwie kilku dni, jak mówi ojciec. Dlatego musisz się spieszyć. Gdy sułtan pokona opór łacinników, wkroczysz ze zwycięzcami i zabierzesz mnie do swego domu jako żonę. Będziesz spokrewniony z rodem Notarasów. Rozumiesz chyba, co to znaczy.

Wskazała na marmurowe ściany, dywany, drogocenne meble, które nas otaczały, i dodała coraz bardziej podniecona:

— Czy wszystko to nie jest lepsze niż twój nędzny drewniany domek, dokąd mnie zaprowadziłeś? Kto wie, może pewnego dnia zamieszkamy w Blachernach. Jeśli udzielisz poparcia memu ojcu, będziesz należeć do najznakomitszych ludzi w Konstantynopolu.

Umilkła z płonącymi policzkami. Musiałem coś powiedzieć.

— Anno — rzekłem. — Jesteś córką swego ojca. Tak też być powinno. Ale ja nie będę załatwiał jego spraw u sułtana. Niech wybierze kogoś innego, kto ma więcej politycznego rozsądku.

Twarz jej stężała.

— Boisz się? — zapytała chłodno.

Chwyciłem hełm i rzuciłem go z trzaskiem na podłogę.

— Dla dobrej sprawy poszedłbym w tej chwili do sułtana, by dać wbić się na pal! — zawołałem. — Nie o to chodzi. Wierz mi, Anno, żądza władzy zaślepiała twego ojca. Kopie sobie grób zwracając się do sułtana. Nie zna Mehmeda. Ja go znam.

Gdybyśmy żyli w dawnych czasach — ciągnąłem — wtedy można by się dopatrzeć jakiegoś rozsądku w jego planach. Ale wielkie działo sułtana zwiastuje nową epokę. Epokę zagłady. Epokę bestii. Czas, kiedy nikt nie może już ufać swemu najbliższemu, i człowiek jest bezbronnym narzędziem w ręku władzy. Gdyby sułtan nawet poprzysiągł na Proroka i wszystkie anioły, z ręką na Koranie, to i tak śmiałyby się urągliwie w duchu, gdyż nie wierzy ani w Proroka, ani w anioły. Twego ojca usunąłby z drogi, gdy tylko przestałby go potrzebować. Ale na nic się nie przyda ostrzegać Notarasa. I tak mi nie uwierzy.

A nawet gdyby można było ufać sułtanowi — mówiłem — to nigdy nie wróciłbym do niego, choćbyś mnie prosiła o to na kolanach. To jest moje miasto. Kiedy ono walczy, ja walczę wraz z nim. Kiedy jego mury zawałą się, zginę wraz z nimi. To moje ostatnie słowo, Anno. Nie dręcz mnie dłużej. Nie dręcz samej siebie.

Anna wpatrywała się we mnie, blada z rozgoryczenia i zawodu.

— A więc mnie nie kochasz — powiedziała jeszcze raz.

— Nie, nie kocham cię — odparłem. — To była pomyłka i złudzenie. Sądziłem, że jesteś inna. Ale wybac mi to. Niebawem uwolnisz się ode mnie. Jeśli pięknie poprosisz, sułtan może się wzruszy i weźmie cię do haremu. Idź za radami swego ojca. On załatwi wszystko jak najlepiej.

Wstałem i podniosłem hełm z podłogi. Fale morza Marmara lśniły jak roztopione srebro. Gładko wyszlifowany marmur na ścianach odbijał obraz mojej postaci. Tak nieodwołalnie straciłem ją, że byłem w tej chwili zimny jak lód.

— Anno... — rzekłem, ale głos mi się załamał. — Jeśli jeszcze zechcesz spotkać się ze mną, znajdziesz mnie na murach.

Nic nie odpowiedziała. Zostawiłem ją i odszedłem. Ale na schodach dogoniła mnie i wykrzyknęła, czerwona z upokorzenia:

— Żegnaj zatem, przeklęty łacinniku! Nigdy się już nie spotkamy. Będę się dzień i noc modlić do Boga, żebyś zginął i żebym się ciebie pozbyła. A jeśli zobaczę twego trupa, kopnę cię w twarz, żeby się od ciebie uwolnić.

Z tym przekleństwem w uszach wyszedłem na dwór i z drżącymi wargami włożyłem na głowę hełm. Czarny jak sadza rumak Notarasa podniósł z rżeniem głowę. Nie pogardziłem nim. Wskoczyłem na siodło i wbiłem pięty w końskie boki.

Jest teraz północ. Tej nocy tęsknię do śmierci bardziej, niż kiedykolwiek tęskniłem za czymkolwiek. Giustiniani pozwolił mi szukać śmierci, gdyż znam język turecki i mogę mu pomóc w jego dziele. Jezusie Chrystusie, Synu Boży, zmiłuj się nade mną!

Bo kocham. Kocham ją nieprzytomnie, a więc bez pociechy. Żegnaj, Anno Notaras, moja najdroższa.

19 maja 1453

A więc mam wypić puchar zagłady i śmierci do ostatniej kropli.

Nie dane mi było polec tej nocy.

By wyrzucić wrażenie na Giustinianim, powiedziałem mu raz, że jestem twardy. Miałem na myśli tylko to, że duch może panować nad ciałem i jego doznaniem. Ale ja nie jestem twardy.

I ciało moje nie jest już posłuszne memu duchowi.

Zawodowi wojacy mówią z zawiścią:

— Masz szczęście, Jeanie Ange!

To nie jest szczęście. Rozumiem tylko bardziej gorzko niż poprzednio że nikt nie umiera, dopóki nie wybije jego godzina.

Bez względu na to, jak przypadkowo, jak nonsensownie śmierć szaleje na murach mego miasta w te dni i te noce, każda kula biegnie swoim wytyczonym przez Boga torem.

Dziś w nocy spaliliśmy więc turecką beluardę. Zdaniem wielu jest to jeszcze większy cud niż zbudowanie jej w jedną noc.

W najciemniejszych godzinach leżałem u stóp wieży odziany w strój turecki. Ktoś nadepnął na mnie w ciemności, ale udałem trupa i ani drgnąłem.

Na dwie godziny przed brzaskiem wtargnęliśmy do wieży, wylamaliśmy luki i udało nam się wrzucić do wnętrza kilka glinianych dzbanów, wypełnionych prochem. Inaczej nigdy nie zdołalibyśmy podłożyć tam ognia. Włosy i brwi mam opalone. Ręce pełne oparzeń i pęcherzy. Giustiniani nie poznał mojej twarzy, gdy wróciłem czołgając się jak robak po ziemi. Z tych, którzy byli w wieży, ja jeden wróciłem.

Kilku z tureckiej załogi uciekło. Rano sułtan kazał ich stracić i wbić ich głowy na pale.

Huk dział szumi mi w uszach i podłoga trzęsie się pod stopami.

Ale bardziej niż twarz i ręce piecze mnie gorzycz w sercu.

Pierwszy raz po trzęsieniu ziemi na Węgrzech. Potem pod Warną. Wtedy powiedział: "Spotkamy się znowu pod bramą św. Romana". Dziś w nocy czekałem na niego. Ale nie przyszedł.

20 maja 1453

W ciągu nocy Turcy podsunęli przed mur wiele nowych wież bojowych. Ale żadna z nich nie jest równie wielka i groźna jak ta, którą spaliliśmy.

Co dzień ich flota podpływa o wiosłach do zapory, by wiązać weneckie okręty i ich załogi.

Ale wszystkiego tego dowiaduję się od innych. Jeszcze nie mogę odziać się i udać na mury.

21 maja 1453

Przyszedł w odwiedziny Niemiec Grant, by pokazać, że opalił sobie brodę i poparzył ręce. Turcy nauczyli się już prowadzić wojnę pod ziemią i bronić podkopów. Ludzie Granta, którzy wykopali kontrminę w pobliżu bramy Kaligaryjskiej, spotkali się dziś z ulewą płynnego ognia. Odsiecz została zatrzymana ścianą oszczepów i jadowitym dymem.

Sam Grant zmuszony był zejść pod ziemię, by dodać otuchy swoim ludziom. Udało im się zniszczyć chodnik turecki, ale ponieśli ciężkie straty. Podziemne walki wzbudzają w mieście zabobonną trwożę.

Oczy Granta były opuchnięte i obramowane czerwonymi obwódkami od nocnego czuwania i dymu siarkowego. Opowiadał:

— Znalazłem pismo samego Pitagorasa, ale litery tańczą mi przed oczyma jak muchy. Nie mogę już czytać.

Twarz jego wykrzywiła się w bezsilnym gniewie, wygrażał pięściami i krzyczał:

— Cóż to za ślepa plama, którą nawet najmędrsi greccy matematycy i technicy nosili w swym spojrzeniu. Mogli byli poruszyć ziemię z orbity, jak to obiecywał Archimedes, ale kiedy zdawało mi się, że znalazłem nową wiedzę, przeczytałem tylko, że duch mieszka w drzewach, ba, w kamieniach. Także Pitagoras. Mógł był budować maszyny, by pokonać nimi siły natury. Ale on uważał je za mało wartościowe. Uciekał do duszy, do swego wnętrza, do Boga.

Powiedziałem:

— Dlaczego więc nie wierzyć greckim mędrcom, nawet jeśli nie chcesz wierzyć w dowody Biblii i Ojców Kościoła?

— Tak, sam już nie wiem — wyszeptał i przetarł oczy pięściami. — Nie jestem może już w pełni rozumu. Nocne czwanie, ustawiczne napięcie i pasja poszukiwania wiedzy uczyniły mnie chorym z podniecenia. Moje myśli krzyżują się ze sobą jak ptaki w powietrzu, tak że nie jestem już panem ich lotu. Cóż więc oznacza owa straszliwa droga, która prowadzi w głąb człowieka, i która kończy się w ciemności. Pitagoras umiał zbudować wszechświat z liczb. Ale potem zatrzymał się przed człowiekiem, którego nie można zbudować z liczb. Czyżby więc mrok człowieka był mimo wszystko czymś istotniejszym niż światło natury i wiedzy?

Rzekłem:

— Duch Boży unosił się nad ziemią. Duch Boży niczym ogniste płomienie spadł na śmiertelnych. Nie możesz chyba w to wątpić.

Wybuchnął przeraźliwym śmiechem, bił się pięściami w skronie i krzyczał:

— Wiekuisty ogień też niszczy ciało ludzkie! Z luf armatnich przebłyskuje rozum ludzki. Wierzę w wolność wiedzy i człowieka. W nic innego.

— Stoisz po fałszywej stronie — rzekłem jeszcze raz. — Lepiej sprawdziłbyś siebie służąc sułtanowi niż ostatniemu Rzymowi.

— Nie — odrzekł uparcie. — Służę Europie i wolności ludzkiego rozumu. Nie władzy.

22 maja 1453

Odkryto dwa podkopy w pobliżu bramy Kaligaryjskiej. Jeden zniszczono dopiero po gwałtownej walce. Drugi zapadł się sam, gdyż był niezgrabnie podparty. Grant przypuszcza, że większość doświadczonych górników spotkała już śmierć, tak że sułtan musi używać ludzi nie wyszkolonych.

Krótko przed północą przeleciał po nocnym nieboskłonie świecący dysk, czego nikt nie umiał wytłumaczyć. Cesarz powiedział:

— Wróżby zaczynają się spełniać. Niebawem skończy się tysiącletnie cesarstwo. Utworzone przez pierwszego Konstantyna, zginie z ostatnim Konstantynem. Urodziłem się pod nieszczęśliwą gwiazdą.

23 maja 1453

Przepadła nasza ostatnia nadzieja. Cesarz ma słuszość. Przygotowany postami, czuwaniem i modlitwami czuje wyraźniej niż inni ostatnie opieszale uderzenia pulsu swego królestwa.

Brygantyna, którą wysłano na poszukiwanie floty weneckiej, wróciła dziś rano nie wykonawszy zadania. Z pomocą nie pojętego szczęścia, żeglarskiej biegłości i śmiałości udało jej się przedostać z powrotem przez cieśninę Gallipoli obok tureckich okrętów wartowniczych.

Dwunastu ludzi wypłynęło. Dwunastu ludzi wróciło. Sześciu z nich to Wenecjanie, sześciu Grecy. Dwadzieścia dni krążyli po Morzu Greckim nie widząc ani śladu chrześcijańskiego okrętu, w każdej chwili narażeni na zagarnięcie przez tureckie okręty patrolowe.

Kiedy spostrzegli, że szukają na próżno, naradzili się między sobą. Niektórzy mówili:

— Spełniliśmy swój obowiązek. Więcej nie możemy zrobić. Może Konstantynopol jest już zdobyty. Dlaczego mielibyśmy wracać do piekła oblężenia. Upadek miasta jest pewny.

Inni mówili:

— Cesarz nas wysłał. Cesarzowi powinniśmy złożyć raport, choć wyprawa nasza była bezowocna. Ale głosujmy.

Spojrzeni sobie nawzajem w oczy, wybuchnęli śmiechem i głosowali jednogłośnie, że brygantyna ma wrócić do Konstantynopola.

W Blachernach spotkałem dwóch z tych mężczyzn. Śmieli się wciąż jeszcze szeroko, opowiadając o swojej bezpłodnej podróży, podczas gdy Wenecjanie nalewali im wino i klepali po plecach. Ale oczy ich, w których odbijały się przebyte na morzu niebezpieczeństwa, nie kłamały.

— Jak zdobyliście się na odwagę, by wrócić na pewną śmierć? — zapytałem.

Odwrócili ku mnie zdziwione, owiane wiatrami twarze i odrzekli chórem:

— Jesteśmy weneckimi żeglarzami.

Może to i wystarczy. Wenecja, królowa mórz, jest chciwa, okrutna i wyrachowana. Ale wychowała swoich żołnierzy, by żyli i umierali za jej chwałę.

Ale sześciu z tych dwunastu było Grekami. Udowodnili, że także Grek może być wierny do śmierci, wierny sprawie, która jest już beznadziejnie przegrana.

24 maja 1453

Po południu do muru koło bramy św. Romana zbliżył się wspaniały orszak. Turcy wymachiwali flagami, dęli w trąbki i wołali o wpuszczenie do miasta sultańskiego posła dla odbycia rokowań z bazylosem Konstantynem. Równocześnie działa ich zaniechały ognia, a tureccy wojownicy wycofali się do swego obozu.

Giustiniani podejrzewał podstęp wojenny i nie chciał, żeby turecki wysłannik zobaczył, jak bardzo uszkodzony jest mur zewnętrzny i jak słabe są prowizoryczne szańce. Jednak cesarz Konstantyn wszedł na mur i rozpoznał w pośle swego osobistego przyjaciela, emira Synopy, Ismaila Hamzę. Jego ród miał od wielu pokoleń przyjazne stosunki z cesarzami Konstantynopola. Ale na krótko przed śmiercią stary Murad zdążył zawrzeć przymierze także z Hamzą żeniąc Mehmeda z jego córką. W każdym razie Konstantyn przywitał go życzliwie i kazał przepuścić go przez oszańcowania. Przez bramę wypadową wprowadzono Hamzę do miasta.

Gdy tylko wenecki bailon dowiedział się o przybyciu wysłannika, zwołał Radę Dwunastu, kazał ściągnąć część Wenecjan z muru i pomaszerował na czele dwunastu zakutych w żelazo żołnierzy do cesarskiej głównej kwatery. Giustiniani ze swej strony kazał rozdzielić swoim ludziom żywność i resztki wina, chodził od jednego do drugiego, grożąc im pięścią, i nakazywał:

– Śmieście się, śmieście się, bo inaczej poskręcę wam karki!

Gdy Ismail Hamza gładząc brodę rozglądał się uważnie dokoła, widział tylko śmiejących się zakutych w żelazo żołnierzy, którzy obgryzali kawałki mięsa i niedbale rzucali resztki na ziemię. Cesarz Konstantyn podał mu rękę do ucałowania i ubolewał, że spotykają się w tak nieszczęsnych okolicznościach.

Emir z Synopy oznajmił głośno i wyraźnie, tak aby i żołnierze mogli to usłyszeć:

– Niech ten dzień będzie dniem błogosławionym, gdyż sułtan Mehmed przysłał mnie, bym ci zaproponował pokój na honorowych warunkach.

Genueńczycy Giustinianiego wybuchnęli na to jeszcze głośniejszym śmiechem niż przedtem, choć wielu z nich dławili łzy z wyczerpania. Giustiniani ujął sztylet między kciuk i palec wskazujący i chodził za nimi, ukradkiem kłując w udo każdego, który nie śmiał się dostatecznie głośno.

Ismail Hamza prosił o rozmowę z cesarzem na osobności. Bez lęku cesarz Konstantyn wziął go do swojej kwatery i zamknął się z nim w małej izdebce, nie bacząc na przestrogi doradców. Tymczasem wenecki bailon kazał swoim ludziom otoczyć wieżę, wszedł do niej na czele rady dwunastu i prosił, by powiadomiono cesarza, że Wenecjanie nie ścierpią żadnych tajnych rokowań z Turkami.

Cesarz odpowiedział, że wcale nie zamierzał podejmować żadnych decyzji za plecami sprzymierzeńców, zwołał swych własnych doradców i zakomunikował im potem propozycje pokojowe sułtana. Ismail Hamza oświadczył poważnym tonem:

– Dla twego własnego dobra i dla dobra twego ludu proszę cię, żebyś przyjął te pokojowe warunki, najlepsze, jakie być mogą. Twoje miasto jest w rozpaczliwym położeniu. Obrońcy są wygłodzeni i jest ich niewielu. Ludność doprowadzona jest do rozpacz. To twoja ostatnia szansa. Jeśli nie podporządkujesz się teraz, sułtan pozabija wszystkich mężczyzn, sprzeda kobiety i dzieci w niewolę i odda miasto na splądrowanie.

Wenecjanie zakrzyknęli:

– Na miłość boską, nie ufaj zdracliwemu sułtanowi! Cóż on ci może obiecać? Turcy łamali już przedtem słowo. Czyżbyśmy więc lali na próżno krew i czyżby nasi ludzie nadaremnie złożyli życie na murach, by osłaniać twój tron? Nie, nie, sułtan waha się i jest niepewny zwycięstwa. Inaczej nie starałby się opanować miasta podstępными propozycjami pokojowymi.

Ismail Hamza, bardzo dotknięty, powiedział:

— Gdybyście mieli odrobinę rozsądku w głowie, sami byście zrozumieli, że sytuacja Konstantynopola jest beznadziejna. Jedyne z miłości bliźniego, żeby uniknąć okropności ostatecznego szturmu, sułtan ofiarowuje cesarzowi możliwość swobodnego odejścia i zabrania ze sobą skarbcza dworu i osobistej świty. Mieszkańcy, którzy chcą odejść z cesarzem, mogą też zabrać swoją własność. Tym, którzy zostaną, sułtan gwarantuje życie i mienie. Jako sprzymierzeniec sułtana, cesarz może zatrzymać Moreę, a sułtan wesprze go w razie jakiegokolwiek napaści.

Wenecjanie zaczęli na to krzyżeć i hałasować i szczękać tarczami, by zagłuszyć jego słowa. A byzyleus podniósł głowę i rzekł:

— Twoje warunki są upokarzające i niesprawiedliwe. Przyjęcie ich nie byłoby do pogodzenia z moją godnością byzyleusa, nawet gdybym mógł to uczynić. Ale i tak nie mogę, gdyż poddanie miasta nie leży w mojej mocy ani w mocy nikogo z tych, którzy tu są obecni. Jesteśmy gotowi umrzeć i wyrzekamy się życia bez skargi.

Smutno i pogardliwie spoglądał na krzyczących Wenecjan, którzy tak kwapili się do walki "aż do ostatniego Greka". Mają przecież swoje duże okręty w porcie i dzięki temu możliwość ucieczki, gdy mury padną.

Prawdopodobnie sułtan wiedział doskonale, że Konstantyn nie pójdzie na takie warunki. Ale ze względu na partię pokojową i niezadowolone z niepowodzeń wojsko zmuszony jest szukać także i tego wybiegu, by wykazać swoim poddanym, jak nieprzejednani są Grecy. Jest on tylko człowiekiem i w głębi duszy jest słaby.

Niepewność sułtana Mehmeda jest równie trudna do wytrzymania, jak dręczący niepokój i przygnębienie, które ogarnęły miasto w tych dniach. Postawił on wszystko na jedną kartę i nie ma innego wyboru, jak zwyciężyć albo upaść. Walczy przecież nie tylko przeciw miastu, ale także przeciw ludziom z własnego obozu.

Dlatego też sułtan Mehmed jest w tych dniach najsamotniejszy z samotnych. Jeszcze samotniejszy niż cesarz Konstantyn, który dokonał już swego wyboru. Dlatego też łączę się w tych dniach z sułtanem Mehmedem w tajnym braterstwie, tak że brakuje mi go i jeszcze raz chciałbym zobaczyć jego nieprzystępną twarz, upartą brodę i złoto mieniące się spojrzenie drapieżnika. Chciałbym z nim porozmawiać, by raz jeszcze upewnić się, że nie chcę żyć w czasach, kiedy on i jemu podobni władają światem.

On jest przyszłością. On zwycięży. Ale przyszłość z nim nie jest warta, by jej dożyć.

— ŚmieJCie się, śmieJCie — nakazywał Giustiniani swoim Genueńczykom. I kiedy emir z Synopy oddalił się, śmieli się niepohamowanie, pokazując wychudłe, poczerńiałe od prochu twarze, pogięte pancerze, zakrwawione opatrunki na rękach i nogach. Śmieli się z całego serca i nienawidzili Giustinianiego, który zmuszał ich do nadludzkich wysiłków. Nienawidzą go, ale równocześnie go kochają. Gdzieś na dnie ich myśli majaczy marzenie o winnicy i białym domku na zboczach Lemnos. O greckich niewolnikach na żyznych polach. O prawie do pierwszej nocy z ładnymi wiejskimi dziewczętami i o książęcych ucztach dla książęcych wojowników.

Ze łzami zmęczenia w oczach zanosili się od niepohamowanej wesołości i chwiejąc się na nogach wracali na mur, podczas gdy turecki orszak odjeżdżał z powiewającymi proporcami i w ryku trąb. Gdy setki dział znowu zagrzmiały w jednym nieprzerwanym huku, sam Giustiniani schylił się i podjął z ziemi kość, na której zostało jeszcze trochę mięsa, otarł ją z piasku i ogryzł do czysta.

— Drogo mnie kosztuje książęca korona — powiedział. — Zabrała mi już sporo mego własnego ciała krwi i jeszcze nie widać zwycięstwa.

Tak, zwycięstwa nie widzę — powtórzył i rzucił wzrokiem na wielki wyłom, teraz szeroki na ponad tysiąc stóp, gdzie nie wznosi się już żadna wieża i gdzie zamiast muru zewnętrznego jest tylko rzadkie oszańcowanie. Wał z ziemi, drewna, wiązek chrustu i stosów kamieni. I z koszy wypełnionych żwirem dla ochrony przed łucznicami.

Dziś mamy czwartek. Jutro święty dzień islamu. Następnego czwartku może już nie dożyję. Mehmed dopełnił przepisów Koranu i zaofiarował pokój, zanim pójdzie do szturmowania ostatni raz. Dojrzał do wielkiego natarcia islamu: to wojsko jest najpotężniejsze, ten książę największy spośród książąt, który zdobędzie Konstantynopol.

Jesteśmy bramą na Zachód. Ostatnim przedmurzem Zachodu. Gdy mury runą, zastąpią je nasze żywe ciała.

25 maja 1453

Bazyliusz Konstantyn zwołał wczesnym rankiem senat, swych doradców i przedstawicieli Kościoła. Powiadomił ich, że patriarcha Gregorios Mammias zrzekł się swej godności. Kardynał Izydor też nie stawił się na spotkanie, przebywa w więzi, której obrony się podjął.

Jest to ostatnia próba pogodzenia zwolenników unii z jej przeciwnikami. Ale i to stanęło w pół drogi. Uwolniliśmy się od starucha, którego Grecy nienawidzą, a którym łacinnicy pogardzają, lecz kościół jest teraz bez patriarchy. Niewidzialny, z mnisiej celi w Pantokratorze, nieprzejednany duch Gennadiosa, głoszącego nieuniknioną zagładę, rządzi teraz kościołami i klasztorami.

Sułtan wydał rozkaz o powszechnym poście w obozie i nakazał wiernym dokonywać przepisanych ablucji i modłów. Rozdrażnieni głodem i pragnieniem Turcy atakowali przez cały dzień, wyjąc jak zgraja psów za każdym razem, gdy widzieli, jak chrześcijanin pada na murze. Czasem wołają chórem: "Nie ma boga prócz Allacha, a Mahomet prorok jego!" To ich żalosne i zwycięskie zarazem wołanie działa przygnębiająco na Greków i na łacinników. Wielu prostodusznych łacinników zaczyna roztrząsać te rzeczy. "Czyżby Bóg pozwolił Turkom zwyciężyć?" — pytają. Jeśli tak, czyż nie dowodzi to, że ich bóg jest silniejszy od chrześcijańskiego, a ich Prorok potężniejszy niż Chrystus, który dał się ukrzyżować?

Wenecki bailon Minotto zrobił się pobożny i przyjął święte sakramenty. Postanowił podjąć współzawodnictwo z Giustinianim, by pokazać, że Genueńczyk nie jest dzielniejszy od Wenecjanina. Weneccy żołnierze morscy z niezrównaną odwagą bronili północnego cypla Blachern, twierdzy Pentapyrgion. Ani jeden Turek nie dosięgnął tam jeszcze korony muru.

Wieczorem rozniecono w obozie tureckim wielkie ognisko. Bębny i trąby huczały i podnosiły taki hałas, że wielu na murach sądziło, iż wybuchł tam pożar. Ale należy to tylko do tureckiego zwyczaju obchodzenia postu. Gdy zapada ciemność, wolno im jeść i pić i post zaczyna się znowu o świcie, gdy tylko można odróżnić czarną nitkę od białej. W blasku tych ogromnych ognisk obóz oświetlony był jak w biały dzień.

Im bliższa jest godzina rozstrzygnięcia, tym bardziej krzywo patrzą na mnie Wenecjanie. Twierdzą, że ich szpieguję na zlecenie Giustinianiego. Ale ich opryskliwość wykazuje, że mają coś do ukrycia. Przypuszczalnie ułożyli już plany, by wyzyskać zwycięstwo na korzyść Wenecji, w razie gdyby szturm się nie udał i sułtan odstąpił od oblężenia. Korzyści, które ich nęcą, są tak wielkie, że opłaca się próbować niemożliwości. Poza tym mur wokół Blachern jest wciąż jeszcze tak mocny, że Turcy, przynajmniej dopóki bronią go Wenecjanie, nie mogą wtargnąć do miasta tą drogą.

Tam, gdzie mur zewnętrzny i wielki mur łączą się pod kątem prostym z murem Blachern, jest na wpół wkopana w ziemię furta wypadowa, która prowadzi na uliczkę

między oboma murami miejskimi. Była ona od wielu pokoleń w użyciu jako przejście z pałacu do cyrku, założonego za murem miejskim. Dlatego nazywa się wciąż jeszcze Kerkoporta, ale została później zamurowana. Obecnie otwarto ją na nowo, podobnie jak inne bramy wypadowe. Można przez nią najwygodniej dostać się z pałacu Porfirogenetów do braci Guacchardi przy bramie Charisiosa, a stamtąd dalej między murami na odcinek Giustinianiego.

Przy Kerkoporcie mur jest nie uszkodzony i Turcy nigdy nie próbowali tędy napadać, dlatego, że kąt prosty muru wystawia atakującego na ciężki ogień krzyżowy. Tą osłoniętą drogą można zatem najszybciej posłać odsiecz do bramy Charisiosa, gdzie mur zwałił się niemal tak doszczętnie, jak przy bramie św. Romana. Wenecjanie stworzyli specjalny oddział rezerwowy, który w razie potrzeby można przydzielić do pomocy braciom Guacchardi. Na tym spokojnym odcinku przy Kerkoporcie strzeże muru zewnętrznego i wewnętrznego tylko garść Greków. Trzeba zapisać na dobro łacinników, że chętnie przejęli najniebezpieczniejsze posterunki.

Krótko przed północą odwiedził mnie Manuel. Był bardzo przestraszony i powiedział:

— Bazylika stoi w płomieniach.

Weszliśmy na dach pałacu, gdzie zebrała się już wielka rzesza gapiów. Ogniska tureckie wciąż jeszcze płonęły wysoko, ale pośrodku ciemnego miasta wznosiła się olbrzymia kopuła kościoła Mądrości Bożej promieniując dziwnym nadziemskim blaskiem. Nie był to ogień, lecz raczej silny niebieskawy blask. Łacinnicy, patrząc na to, szeptali między sobą i mówili, że to zły znak.

Dziwny blask kłębił się pod kopułą, to słabiej, to znów silniej. Udałem się do miasta w kierunku kościoła. Nie byłem sam. W ciemności wokół mnie szemrała wzburzona masa ludzka. Wszyscy zdążali do tego samego celu. Słyszałem szlochania kobiet i śpiew mnichów. W pobliżu kościoła niebieskawy blask lśnił tak mocno, że nikt nie ważył się podejść. Ludzie padali na kolana na wilgotną ziemię i zaczęli się modlić. Bóg dał nam znak. To, co nadziemskie, przybrało ziemską postać. Kiedy ujrzałem to własnymi oczyma, nie mogę już dłużej wątpić, że epoka Chrystusa jest skończona i nadszedł czas bestii.

Kopuła błyszczała i płonęła przez godzinę. Potem blask zaczął nagle słabnąć, drżał przez chwilę i zgasł. Niebo było tak zasnute chmurami, że noc wokół nas zrobiła się nagle czarna jak węgiel. Tureckie ogniska pogasły, ich łuna nie świeciła już na

niebie nad nami. Noc była parna, przesycona zapachem ziemi i butwiejących liści i człowiek czuł się tak, jak gdyby kroczył po cmentarzu między otwartymi grobami.

W ciemności wsunęła się w moją rękę smukła, gorąca dłoń. Może było to tylko samooszukiwanie się, ale odniosłem wrażenie, że ją poznaję wśród tysięcy. Nie śmiałem jej uścisnąć ani się odezwać. Może było to tylko zbłąkane dziecko, które szukało oparcia w mojej dłoni. Albo jakaś kobieta, która podniecona ciemnością i strachem chciała czuć bliskość mężczyzny. Ale ja poznałem jej dłoń. Ciepła i bezradna — była jak nieme posłanie o pojednaniu przed śmiercią.

Ona też nic nie powiedziała. W ciemności słyszeliśmy tylko swoje oddechy i nasze dłonie się zetknęły. Nasze tętna łomotały boleśnie w pobliżu siebie jako cisi świadkowie wspólnoty dwojga ludzi. Tak było dobrze. Tak było najlepiej. Tak rozumieliśmy się nawzajem. Słowa zrywały tylko więź między nami.

Tak po prostu, tak oczywiście, tak skromnie, biednie, bezbrinnie. Rozpalona dłoń w ciemności, w ciężkim zapachu zbutwiałych liści. Nad grobami, nad śmiercią podaliśmy sobie dłoń do pojednania. A potem ona znowu znikła.

I nawet jeśli było to tylko złudzenie i przywidzenie, złagodziło to ból w moim sercu. Kiedy jak lunatyk szukałem drogi powrotu do Blachern, gorycz nie żarła już tak bardzo mojej duszy. Byłem wolny, czułem jasność. Byłem świadkiem cudu i trzymałem dłoń człowieka w mojej dłoni.

26 maja 1453

Nocny cud koło kościoła Mądrości Bożej wprowadził miasto w takie podniecenie, że ludzie wcześniej rano, z mnichami i mniszkami na czele, wtargnęli do Blachern, zabrali z kościoła ikonę cudownej Dziewicy i zanieśli ją na mury, by broniła miasta. Święta Dziewica o wąskim, niesłychanie smutnym obliczu patrzyła na swój lud, otoczona złotem i szlachetnymi kamieniami. Wielu widziało, jak twarz jej się porusza i z oczu kapią łzy. Kilku chciało dotknąć obrazu i w tłoku upadł on na ziemię. W tejże samej chwili krople deszczu, wielkie jak gołębie jaja, zaczęły spadać z niskich chmur. W okamgnieniu deszcz przerodził się w ulewę, w powietrzu pociemniało i woda zaczęła płynąć ulicami. Cudowna ikona zrobiła się od wilgoci ciężka jak ołów, tak że tylko najsilniejsi mnisi wspólnymi siłami zdołali ją podnieść z ziemi i ukryć w bezpiecznym miejscu w klasztorze Chora.

Spodziewaliśmy się, że nagły deszcz zamoczy proch Turkom, ale były to próżne nadzieje. Nawet w czasie ulewy grzmiały od czasu do czasu działa, a po jej ustaniu, kiedy ziemia parowała jeszcze od wilgoci, Turcy rozpoczęli tak szaleńczy atak, jak gdyby chcieli odrobić stracony czas.

Turcy wciąż poszczą. Będąc na murze widziałem później w ciągu dnia, jak tureccy dowódcy z różnych odcinków zebrali się przy namiocie sułtana na wzgórzu. Rada wojenna trwała przez całe popołudnie. Potem rozbiegli się galopem odziani na zielono sułtańscy czauszowie do różnych części obozu, by obwieścić decyzję sułtana. Ryk, który podniósł się przy tym i rósł coraz bardziej, radosny wrzask i zgiełk instrumentów muzycznych i głosów ludzkich w całym obozie przewyższyły wszystko, co dotychczas słyszeliśmy, i urosły pod wieczór do nieprzerwanego szumu jakby ogromnego morza. Nietrudno odgadnąć, że sułtan wyznaczył dzień i godzinę ostatecznego szturmu.

Kiedy zobaczyłem, że sułtan zwołał Wielki Dywan, udałem się do bramy św. Romana i odszukałem Giustinianiego, który na murze prowadził ustawiczne roboty przy oszańcowaniach.

— W Blachernach wszystko w porządku — powiedziałem.

— Szturm jest bliski. Pozwól mi walczyć z tobą przy bramie św. Romana. Umówiłem się tu na spotkanie dziewięć lat temu przed Warną. Nie chcę być podobny do kupca w Samarze, kiedy nadejdzie ta chwila.

Wziął mnie przyjaźnie pod ramię, podniósł przyłbicę i przyjrzał mi się z uśmiechem w nabiegłych krwią wolic oczach. Tak jakby śmiał się ukradkiem z czegoś, o czym nie wiedziałem.

— Wielu zgłasza się tu dzisiaj — rzekł. — Pochlebia mi to, gdyż dowodzi, że jest to miejsce zaszczytne.

Nawet sułtan Mehmed zaszczycił mnie swoją uwagą — ciągnął i wskazał na belkę sterczącą z ziemnego wału. Na jej końcu wisiał piętami dotykając ziemi trup jednego ze sprzedawców obozowych z rozcapierzoną brodą, wciąż jeszcze w wytartym baranim kozuszk.

— Sułtan kazał mi zakomunikować, że podziwia moje męstwo i sztukę wojenną. Nie żąda ode mnie żadnej zdrady, gdyż nie chce urazić mego honoru. Ale jeśli wycofam się z muru na okręty wraz z moimi ludźmi, obiecuje zrobić mnie bogatym człowiekiem i dać mi dowództwo nad swymi janczarami. Pozwala mi nawet zachować moją religię, gdyż w jego wojsku służą także i chrześcijanie. Na znak zgody

powiniennem opuścić flagę. Zamiast tego kazałem powiesić jego posłańca. Taka jest moja odpowiedź i mam nadzieję, że ją widzi, choć nie mogę teraz trudzić moich ludzi budowaniem zbyt wysokiej szubienicy. Otarł twarz z potu i kurzu i dodał:

— Posłanie takie jak to daje nam trochę nadziei. Los miasta spoczywa na naszych mieczach. Cesarz pošle tu elitę swojej gwardii i swych najlepszych wojowników. Pokażemy sułtanowi, że żywy mur żelazny jest wciąż jeszcze mocniejszy niż mur z kamienia.

Ale nie ufam niczemu i nikomu — ciągnął rzucając mi niełaskawe spojrzenie: — Szczególnie podejrzane jest, że właśnie ty chcesz dzisiaj wrócić tutaj. Ten kupczyk wycharczał w ostatnich tchnieniu, że sułtan ma wiele sposobów, żeby się mnie pozbyć. Dlatego nie chciałbym mieć za plecami człowieka, który zbiegł z obozu sułtana, choć jesteśmy tak dobranymi przyjaciółmi, Jeanie Ange.

Radosny zgiełk w tureckim obozie spłynął na nas jak fala sztormowa.

— Jeśli sułtan Mehmed powziął decyzję, to przeprowadzi ją obojętne jakimi środkami — przyznałem. — Jeśli staniesz na jego drodze, nie zawaha się ani przez moment, by wynająć skrytobójcę, skoro tylko będzie miał do tego okazję.

— Rozumiesz więc, że nie chcę, by obcy roili się wokół mnie — powiedział Giustiniani życzliwym tonem. — Ale są ludzie, którym nie można odmówić, jeśli się ma dobre serce. Poza tym należy do moich obowiązków jako prostostratora czuwać nad tobą, abyś w ostatniej chwili nie porwał się na coś nierozważnego. Bądź mi więc na oczach, kiedy zacznie się atak, bo inaczej pošlę za tobą kata.

W tejże chwili ujrzełiśmy megaduksa Notarasa, który zbliżał się galopem na karym rumaku, otoczony oddziałem straży porządkowej. Przy bramie wypadowej zsiadł, żeby udać się na odcinek Giustinianiego. Giustiniani złożył pięści w rurkę przy ustach i ryknął na swoich ludzi, by nie wpuszczali wielkiego księcia na oszańcowanie. Twarz Notarasa pociemniała od gniewu. Zawołał:

— Muszę wejść, dokąd chcę, żeby wypełniać zlecenia cesarza. Wśród greckich robotników na murze są zbiegli przemytnicy i przestępcy.

Giustiniani zsunął się po szczątkach muru i zeskoczył na ziemię przed Notaraszem, aż zaszczekał pancerz.

— Na moim murze nie będziesz szpiegować! — krzyknął. — Tutaj ja jestem królem. Oddaj mi raczej moje dwie bombardy. Teraz potrzebuję ich najbardziej.

Notaras roześmiał się urągliwie:

— Uważasz, że Grecy mają bronić portu gołymi rękami. Właśnie teraz działa te są najpotrzebniejsze, by trzymać z dala okręty tureckie.

Giustiniani zgrzytnął zębami, aż trzasnęło mu w szczękach, i ryknął:

— Nie rozumiem, dlaczego nie przebijam cię mieczem, przeklęty zdrajco.

Notaras zrobił się szary na twarzy. Rozejrzał się dokoła macając za mieczem, ale był na tyle rozsądny, że nie rzucił się na męża wzrostu Giustinianiego. Cofnął się o parę kroków, tak że tył miał osłonięty przez swoich ludzi, i usiłując uśmiechnąć się, odpowiedział spokojnym głosem:

— Niech Bóg osądzi, kto tu jest zdrajcą, cesarz czy ja. Czy nie jest prawdą, że nosisz przy sobie pisemną obietnicę z potrójną pieczęcią, że otrzymasz Lemnos jako księstwo, jeśli obronisz miasto.

— A jeśli tak? — zapytał Giustiniani wpatrując się bystro w Notarasa, żeby odkryć jakiś znak kłamstwa.

Ale w głosie Notarasa był akcent szczerości, gdy mówił dalej:

— Przeklęty łaciński głupcze. Czyż nie wiesz, że cesarz już przed oblężeniem obiecał Lemnos królowi Katalonii w zamian za okręty i oddziały posiłkowe? Żadne okręty nigdy się nie pojawiły, ale Katalończycy dawno już obsadzili wyspę. Będziesz musiał prowadzić tam wojnę, jeśli z tej wyjdiesz z życiem.

Ciałem Giustinianiego zaczęły wstrząsać skurcze. Wybuchnął straszliwym śmiechem.

— Grecy są i pozostaną Grekami! — krzyknął ciężko dysząc. — Czy gotów jesteś ucałować krzyż na potwierdzenie swoich słów?

Notaras wyciągnął miecz i ucałował krzyż rękojeści.

— Jak prawdą jest, że Bóg osądzi nas wszystkich według naszych uczynków, tak prawdą jest, że cesarz Konstantyn złotą bullą potwierdził przynależność Lemnos do Katalończyków. Zasługujesz na błazeńską koronę, Giovanni Giustiniani, a nie na wielkie księstwo.

Czy zatruta strzała mogła trafić mężczyznę w serce w bardziej decydującej chwili? Notaras wsiadł na konia i zadowolony odjechał. Wyszedłem przed bramę wypadową do Giustinianiego. Gdy mnie zobaczył koło siebie, położył mi na ramieniu ciężką dłoń, jakby szukając oparcia i powiedział:

— Zdrada i oszustwo czyhają wszędzie wśród ludzi. Może moje własne serce też nie jest całkiem wolne od zdrady. Walczyłem bardziej dla Genui niż dla cesarza. A w tej chwili przysięgam, że będę walczyć do upadłego, dopóki jest jakaś nadzieja, tylko

dla mojej własnej nieprzemijającej chwały po to, by o mnie i o moim mieście rodzinnym wspomniano, dopóki istnieć będzie choćby jeden kamień z murów Konstantynopola.

Łzy goryczy zaczęły mu płynąć z oczu, przeżegnał się wielokrotnie krzyżem i modlił się:

— Boże zmiłuj się nade mną, biednym grzesznikiem, i jeśli taka jest Twoja wola, oddaj to miasto raczej Turkom niż Wenecjanom. Niech okrętowe czerwie zniszczą deski w ich okrętach, niech sztorm porwie ich żagle na strzępy. A Greków nie chcę nawet przeklinać. Nimi niech zajmą się Turcy.

Po tej modlitwie kazał swoim ludziom zdjąć purpurowy proporzec cesarza i zostawił tylko swoją własną flagę powiewającą nad kupą gruzów, która została z wielkiego muru.

Noc znowu jest ciemna i ogniska tureckie płoną pod chmury. Nie mogę nadziwić się sercu ludzkiemu i mirażowi sławy, który każe nawet tak zahartowanemu zawodowemu wojownikowi jak Giustiniani odsunąć na bok własną korzyść i narażać życie tylko dla chwały. Skoro cesarz w przymusowym położeniu usiłował sobie kupić pomoc nie dotrzymując słowa, Giustiniani bez żadnej ujemy dla honoru mógł wypowiedzieć umowę i zaokrętować swoich ludzi. Sułtan obsypałby go buńczukami i honorowymi kaftanami, gdyby po oblężeniu zgodził się wstąpić na służbę do Turków.

W człowieku jest więc coś szlachetniejszego niż sam egoizm i żądza chwały.

Czyżby także w Łukaszu Notarasie było coś więcej niż tylko żądza władzy?

Mój służący Manuel liczy swoje pieniądze. Rozgląda się niespokojnie dokoła i przeżywa ciężką rozterkę duchową, bo nie wie, gdzie je ukryć przed Turkami.

28 maja

Turcy szykują się do ataku i w ciemności słyhać nieprzerwany szum — przynoszą i ustawiają drabiny szturmowe, belki, mosty i wiązki chrustu. Ich ogniska zapłonęły tylko na krótką chwilę; zgasły, gdy sułtan dał wojskom kilka godzin odpoczynku przed szturmem.

Ale jak spać w taką noc jak ta. Z miasta napłynęli dziś ochotnicy, by jeszcze w ostatniej chwili nosić kamienie i ziemię do wyłomów. Dlatego Giustiniani też pozwolił

swoim zbrojnym na odpoczynek. Dziś w nocy i jutro każdy musi dać z siebie wszystkie swoje siły. A jak mógłbym spać na łożu śmiertelnym mego miasta?

Nikt dzisiaj nie oszczędzał drewna ani prowiantu. Cesarz kazał opróżnić magazyny i rozdzielić wszystko do ostatka, także między łacinników.

Dziwne jest uczucie, że ta noc ma być także moją ostatnią nocą, na którą czekałem, tak jakby całe życie było tylko przygotowaniem do niej. Nie znam siebie samego dostatecznie. Ale mam nadzieję, że zachowam odwagę. Wiem też, że śmierć nie jest bolesna. Podczas ostatnich tygodni widziałem dużo śmierci.

Jestem dziś w nocy pokorny. Spokojny. Cichy. I szczęśliwszy niż kiedykolwiek.

Może to dziwne odczuwać szczęście w noc taką jak ta. Ale ja nie oskarżam ani nie sądzę nikogo. Patrząc niechętnie, jak Weneccjanie załadowują okręty do pełna cesarskimi zapasami. Pozwalam im nawet zabierać całe łodzie drogocennych mebli, dywanów i naczyń. Nie ganię bogatych, znamienitych i mądrych, którzy jeszcze w ostatniej chwili kupują życie i przekupstwem zyskują miejsce dla siebie i swych rodzin na weneckich okrętach.

Każdy działa i postępuje, jak mu każe sumienie. Także Łukasz Notaras. Także Gennadios. Cesarz Konstantyn. Giustiniani.

Bracia Guacchardi grają w kości, śpiewają włoskie pieśni miłosne i piją umiarkowanie wino w tej jedynej wieży, która stoi jeszcze cała przy bramie Charisiosa.

Takie piękne, takie szczęśliwe, takie pełne pojednania i spokojne jest wszystko. Jeszcze nigdy papier nie wydawał mi się tak gładki i czysty pod dotknięciem palców. Jeszcze nigdy pióro moje nie skrzypiało tak miarowo posuwając się po nim. Jeszcze nigdy nie widziałem, by atrament lśnił taką czernią. Jest tak, jakby wszystkie moje zmysły zaostrzyły się, czuję wszystko wyraźniej niż przedtem. W taki to więc sposób przeżywa skazany na śmierć jeszcze ostatni raz całą próżność życia.

Dlaczego jestem taki szczęśliwy? Dlaczego śmieję się dziś w nocy ze śmierci?

Wczesnym rankiem zgłosiłem się u Giustinianiego. Spał wciąż jeszcze w swej kazamacie pod wielkim murem, choć ściany trzęsły się już od pierwszych w tym dniu armatnich wystrzałów. Spał w pełnym uzbrojeniu, a obok niego leżał grecki młodzieniaszek w błyszczącym nowym pancerzu. Domyśliłem się, że był to jeden ze znamienitszych Greków, których cesarz obiecał Giustinianiemu dla wzmocnienia. Poprzysięgli oni, że spotkają śmierć przy bramie św. Romana.

Chłopak zbudził się i usiadł, ziewnął, przetarł oczy brudnymi pięściami i przyglądał rozwichrzone włosy. Rzucił mi wyniosłe spojrzenie, a ja wziąłem go za jednego z synów Łukasza Notarasa. Był podobny do ojca. Odczułem ukłucie zazdrości z powodu łaski, jaką okazał mu Giustiniani, i oczy nasze się spotkały. W tejże chwili zbudził się Giustiniani i przeciągnął się, aż w stawach zatrzeszczało. Zapytałem sarkastycznie:

— Chyba nie popadłeś znowu w stary grzech Italczyków, Giustiniani? Czy nie ma już w mieście kobiet, które chciałyby się zabawić?

Giustiniani wybuchnął śmiechem, zwichrzył chłopcu włosy i klepnął go po grzbiecie:

— Wstawaj, leniuchu, i zajmij się swoimi obowiązkami — powiedział.

Chłopak wstał, zezując na mnie, i poszedł do beczki z winem, napełnił puchar i podał go Giustinianiemu uginając kolano. Rzekłem szyderczo:

— Ten chłopak nie potrafi nawet zasłonić cię od tyłu, jak przyjdzie co do czego. Jest zbyt słaby i wątpy. I raczej ubrany na paradę niż uzbrojony do walki. Wyrzuć go i pozwól mi zachować miejsce u swego boku. Bailon mnie już nie potrzebuje w Blachernach.

Giustiniani potrząsnął byczą głową i łypnął na mnie okiem wesoło:

— Czy rzeczywiście jesteś ślepy? — zdziwił się. — Nie poznajesz tego szlachetnego młodzieńca?

Właśnie ją poznałem i zobaczyłem na jej szyi honorowy łańcuch Giustinianiego.

— Na Boga! — krzyknąłem, omdlały ze wzruszenia. — To ty, Anno! Jak tu się znalazłaś?

Giustiniani rzekł:

— Przyszła jeszcze wczoraj i oddała się pod moją opiekę. Strażnicy wpuścili ją, gdyż miała mój znak na szyi. A co z nią zrobimy, to już ty zadecydujesz.

Spojrzałem nieufnie na Giustinianiego, on zaś cofnął się o krok, zrobił trzy znaki krzyża i przysiągł na Chrystusa, że spędził noc cnotliwie i że honor jego nie pozwolił mu zbliżyć się do żony przyjaciela w zdrożnych zamiarach.

— Choć pokusa była silna — dodał z westchnieniem — ale zbyt byłem zmęczony czuwaniem i walkami oraz moją ciężką odpowiedzialnością, by jeszcze myśleć o kobietach. Wszystko ma swój czas.

Anna wtrąciła bezwstydnie:

— Dobrze teraz rozumiem francuską Joannę, która włożyła spodnie, by móc bezpieczniejsz poruszać się wśród żołnierzy.

Zarzuciła mi ramiona na szyję, pocałowała w policzki, przycisnęła głowę do mej piersi i rzekła z tłumionym szlochem:

— Więc jestem taka brzydka, że mnie nie poznałeś? Musiałam obciąć włosy. Inaczej nie zdołałabym włożyć hełmu.

Leżała w moich ramionach. Była blisko mnie. Nie nienawidziła mnie już.

— Dlaczego opuściłaś ojca? — zapytałem. — I czy to ty wsunęłaś swoją dłoń w moją owęj nocy przy kościele Mądrości Bożej?

Giustiniani odchrząknął, roztarł bok obolały od pancerza i powiedział delikatnie:

— Muszę sprawdzić straż. Jedźcie i pijcie, co znajdziecie, a drzwi możecie zresztą zamknąć, jeśli chcecie zapewnić się nawzajem o swej przyjaźni i nie boicie się strzałów armatnich.

Wyszedł zamykając za sobą grube drzwi. Z jego miny widziałem, że był zakochany w Annie i bardzo mi zazdrościł. Anna spojrzała na mnie spod grzywki, ale ja nie miałem odwagi zaryglować drzwi. Sama więc, jakby od niechcenia, zasunęła rygiel.

— Ukochany — rzekła. — Czy zdołasz mi kiedyś wybaczyć, że byłam uparta i samolubna i nie rozumiałam ciebie?

— Ukochana — rzekłem — wybacz mi, że nie jestem taki, za jakiego mnie miałaś!

Ale tu nie możesz zostać — dodałem z bólem serca. — Musisz wrócić do domu swego ojca. Tam jesteś bezpieczna tak, jak można być bezpiecznym w tym mieście, kiedy zaczyna się szturm. Myślę, że sułtan weźmie go pod swoją opiekę po zdobyciu miasta.

— Z pewnością — odparła. — Wiem już, że pierwszą rzeczą, którą zrobi sułtan, będzie posłanie czauszów do nas, by trzymali straż przy domu. Ale wiem też, z jakiego powodu. I dlatego nie chcę tam wracać.

— Co się stało? — zapytałem ze złymi przeczuciami.

Podeszła do mnie, położyła dłonie na moich biodrach i patrzyła na mnie niewypowiedzianie poważnymi brązowymi oczyma.

— Nie pytaj — prosiła. — Jestem córką mego ojca. Nie mogę go zdradzić. Czy nie wystarczy ci, że przyszedłam do ciebie? Czy nie wystarczy, że obciąłam włosy i włożyłam pancerz mego brata, żeby umrzeć na murze, gdyż taka jest wola Boża?

— Nie możesz umrzeć — powiedziałem. — Nie wolno ci umrzeć. Nie może tak być. Twój strój jest równie szalony, jak twoje zamiary.

Odrzekła:

— Nie po raz pierwszy od tysiąca lat kobieta chwyta za miecz, by bronić naszego miasta. Wiesz o tym dobrze. Zdarzyło się, że bazyliissa włożyła pancerz, kiedy cesarz poległ.

— Nie wolno ci — upierałem się. — Pierwszy Turek, którego spotkasz, obali cię na ziemię i zetnie twoją piękną głowę. To się na nic nie przyda.

Patrzyła na mnie ze śmiertelną powagą i rzekła:

— Wiesz sam, że cała obrona na nic się nie przyda. Sułtan zwycięży. Mur zawalił się. Przewaga jest zbyt wielka. Jest nas za mało. Tysiące ludzi umrze nadaremnie przed następnym świtaniem. I jeśli myślisz o pożytku, to i ty nie powinieneś być tutaj. Pozwól mi więc wreszcie myśleć tak jak ty.

Ucisnęła moje ramię obiema rękami. Jej twarz była blada pod krótko uciętymi włosami.

— Jestem twoją żoną — powiedziała. — Dla nas nie ma żadnej przyszłości. Dlatego mam przynajmniej prawo umrzeć z tobą. Kocham cię przecież. Co znaczy dla mnie życie, jeśli padniesz. Raczej zyskam męczeńską koronę.

Wielka kamienna kula zmiotła kawałek muru gdzieś nad nami i słyszeliśmy łoskot spadających kamieni. Z pułapu posypały się zaprawa murarska i gruz.

Podniosła ku mnie twarz, skrzyżowała ramiona i rzekła:

— Doszłam do jasności. Dlaczego mamy trwonić czas, dopóki możemy jeszcze widzieć się nawzajem?

Niewprawnymi rękami zaczęła rozwiązywać rzemienie pancerza, zaśmiała się i rzekła:

— Ukochany, pomóż mi z tymi okropnymi haczykami z tyłu. Tylko mężczyźni mogli wymyślić coś podobnego.

Z wyschniętym gardłem odparłem:

— Dziękuj swemu szczęściu, że nie masz prawdziwego pancerza rycerskiego z tajemnymi zamkami od stóp do głów. Są tak wymyślne zamki i tak twarda stal, że nie można zakłuć rycerza, nawet gdy spadnie z konia i leży bezradnie na ziemi. Pod

Warną Turkom nie udało się i młotem rozbić pancerza na niektórych niemieckich rycerzach.

— Jak ty dużo wiesz — szepnęła pieszczotliwie. — Jak ty dużo widziałeś. Ale także kobiety mają swój pancerz. Zamku kobiety nie potrafi otworzyć nawet najmocniejszy mężczyzna, jeśli ona sama tego nie zechce. Wnet zobaczą to Turcy. Ale takich kobiet nie jest dużo.

— Tylko ty — rzekłem drżącym głosem. — Tylko ty, Anno Notaras.

Świadoma swej piękności, wykręcała się i wyginała wysuwając się z ciasnego pancerza zręcznie jak chłopiec.

— Z tymi krótkimi włosami jesteś jak ładny chłopak. A mimo to piękniejsza niż kiedykolwiek.

— Nie jestem wcale chłopcem — odparła igrając ze mną zalotnie. — Czy nie widzisz tego? — Strzał armatni sprawił, że mur zadrżał znowu. Zarzuciła mi nagie ramiona na szyję. — Nie bój się armat, ukochany, i ja się ich nie boję. Ciesz się mną, tak jak ja się cieszę tobą. Lampka naszego życia gaśnie i dopala się już do końca. Śmierć jest długa, a miłość niecielesna jest chudą miłością.

Ale nasza miłość była gorzka jak sól, która pali wargi i zwiększa pragnienie, i obejmowaliśmy się raz po raz z nieugaszonym pożądaniem. W tej izbie z kamienia, wypełnionej stęchłym zapachem skóry, zjełczalej oliwy, prochu i przepoconej odzieży kochaliśmy się, podczas gdy śmierć meła na proch mur nad nami kawałek po kawałku. Mimo to jednak miłość nasza była nie tylko cielesna, gdyż za każdym razem kiedy patrzyłem na jej twarz, spotykałem jej oczy, rozwarte, nagie i dobrze znane, i było mi tak, jak gdybym przez jej oczy sięgał wzrokiem poza wszystko, co doczesne.

— Wrócę, ukochana — szeptałem. — Wrócę kiedyś do więzów czasu i przestrzeni, żeby odnaleźć cię na nowo. Ludzie, nazwy i ludy zmieniają się i przekształcają, ale z ruin muru oczy twoje patrzeć będą pewnego dnia na mnie jak aksamitne brązowe kwiaty. I odnajdziemy się znowu.

Uśmiechając się pieściła moją szyję i ramiona, a lzy namiętności ciekły jej po rozpalonych policzkach.

— Mój najdroższy — powiedziała. — Może nie ma nic więcej. Może jest tylko ta chwila. Ale to wystarczy. Jestem szczęśliwa. Jestem przepelniona tobą. Jestem tobą. To łatwe, to pięknie umrzeć po tym.

Rozejrzała się po mrocznej sklepionej izbie, oświetlonej migocącą lampą, i powiedziała:

– Takie piękne, wszystko jest takie piękne! Tak piękne jeszcze nigdy nie było!

Spoczywając zmęczonymi ustami na jej ciepłym ramieniu, zastanawiałem się, czy mimo wszystko nie powinienem jej wyznać mojej tajemnicy. Wydawała się ona taka czcza i nieistotna, ale nie chciałem, nie mogłem ukrywać już przed Anną niczego. Toteż rzekłem:

– Ukochana, kiedy przyszedłem na ten świat, matka moja ścisnęła w dłoni kawałek porfiru. Jestem zrodzony w purpurowych butach. Mogę ci to teraz powiedzieć, ponieważ to już niczego nie zmieni między nami.

Uniosła się gwałtownie na łokciach i wpatrywała się we mnie rozszerzonymi oczami.

– Jestem urodzony w purpurowych butach – powtórzyłem. – Mój ojciec był przyrodnim bratem starego cesarza Manuela. Moim dziadkiem był cesarz Johannes. Ten Johannes, który udał się do Rzymu i do Awinionu i osobiście wyrzekł się swojej wiary i uznał papieża, nie wiążąc przez to swego ludu i swego kościoła. Uczynił to, aby w największej tajemnicy poślubić przed papieżem Wenecjanę, którą kochał. Miał wtedy lat czterdzieści. Signoria zapłaciła jego długi i zwróciła mu bizantyjskie klejnoty koronne, które zastawił. Papież i Wenecja obiecali mu także poparcie Zachodu i krucjatę. Ale syn jego Andronikos zdradził go i podniósł bunt. Tak jak i syn Andronikosa. A kiedy i Zachód go zawiódł, zmuszony był zawrzeć przymierze z sułtanem i uznać za następcę tronu swego syna Manuela. W gruncie rzeczy jedynym legalnym następcą był mój ojciec. Dlatego też Manuel posłał swoich aniołów, by go odszukali i oślepiłi. Po tym mój ojciec nie chciał już żyć dłużej. Rzucił się ze skały za pałacem papieskim w Awinionie. Złotnik, u którego przechowywał swoje papiery i mienie, oszukał mnie po jego śmierci. Ma on wciąż jeszcze dokumenty, które dowodzą mego prawowitego pochodzenia. O ile wiem, także kuria papieska i wenecka signoria wiedzą o moim istnieniu, jakkolwiek straciły mnie z oczu. Jestem bazyleusem, ale nie pragnę żadnej władzy. Władza nie jest dla mnie. Ale mam prawo umrzeć na murach swego miasta. Czy rozumiesz teraz, dlaczego muszę dopełnić mego losu?

Patrzyła wciąż na mnie przerażona i przesunęła koniuszkami palców po mojej twarzy. Nie golilem się już, by zmienić swój wygląd, i pozwoliłem brodzie rosnąć swobodnie.

– Wierzysz teraz, że wszystko, co się dzieje, ma sens? – zapytałem. – Musiałem spotkać ciebie i twego ojca, żeby oprzeć się także ostatniej pokusie. Po ogłoszeniu przez Konstantyna unii mogłem być dać się poznać i z pomocą twego ojca

doprowadzić do powstania ludowego w mieście, oddać je sułtanowi i rządzić tu jako cesarz-lennik. Ale czy byłoby to godne mego pochodzenia?

Rzekła z udręką:

— Jeśli to prawda, co mówisz, poznałam cię tylko z portretu cesarza Manuela. Także do Konstantyna jesteś podobny. Kiedy teraz mówisz mi o tym, aż dziwne, że nikt wcześniej nie zauważył podobieństwa.

— Mój sługa Manuel zobaczył je od razu — powiedziałem.

— Krew jest pełna tajemnic. Wraca tam, skąd wyszła. Gdy powróciłem do kościoła mego ojca, także i odstępcą Johannes we mnie odzyskał wspólnotę z świętymi tajemnicami. W moim losie dokonało się wielokrotne pojednanie.

Rzekła:

— Bazyleus Johannes Angelos z rodu Paleologów. I Anna Notaras, córka megaduksa Notarasa. Doprawdy, pojednanie będzie wielokrotne, gdy nasze losy dokonają się.

Nie wierzę już w nic! — krzyknęła. — Nie wierzę, że wrócisz. Nie wierzę, że i ja wrócę. Nie wierzę w nic nieprzemijającego. Tylko w podobieństwo, które nęciło mnie, choć o nim nie wiedziałam. Bezwiednie poznałam w tobie tylko krew królewską, a nie mężczyznę spotkanego w jakimś poprzednim życiu, tak że był mi bliski, gdy po raz pierwszy spojrzałam mu w oczy. O, dlaczego powiedziałeś mi o tym. Dlaczego zabrałeś mi wiarę, która miała mi dać pociechę w śmierci?

Zmieszany jej żalnością, odparłem:

— Myślałem, że to zadowoli twoją kobiecą próżność. Nasze rody są równorzędne. Nie poniżyłaś się wybierając mnie.

Rzekła gwałtownie:

— Co mnie obchodzą rody i stany. Chodzi mi o ciebie. Ale dzięki za weselny podarunek. Dzięki za niewidzialną koronę. Jestem więc bazylissą, jeśli może ci się to wydać miłe. Jestem, czym chcesz i czym ci się spodoba.

Jak była naga, zerwała się gwałtownie i podniosła dumnie swoją piękną głowę.

— Bądź więc sobie aniołem albo bazyleusem, kim zechcesz! — wykrzyknęła. — Otul się w twoją niewidzialną i nie istniejącą chwałę. Ja jestem kobietą, tylko kobietą. I nie masz mi nic do dania. Ani domu, ani dzieci, ani nawet nocy, kiedy stara i zwiędła mogłabym budzić się bezpiecznie u twego boku i słyszeć twój oddech. Mogłabym dotykać ciebie, całować twoje usta pomarszczonymi wargami. To byłoby szczęście. Ale tego nie chcesz mi dać z powodu twojej szaleńczej żądzy chwały. Cóż to za sens umierać

dla przegranej sprawy? Kto ci za to podziękuje? Kto będzie cię choćby tylko pamiętać, gdy legniesz skrwawiony i kurz otuli twoją twarz? Twoja ofiara jest tak nierozumna, że może doprowadzić każdą kobietę do płaczu.

Szlochając podniosła głos, aż wybuchła nagle gorzkim płaczem, rzuciła mi się na szyję, objęła mnie i całowała żarliwie:

— Wybacz mi — prosiła. — Obiecałam sobie, że nie będę cię więcej dręczyła, ale jestem słaba. Kocham cię przecież. Choćbyś był żebrakiem albo zdrajcą, albo wyrzutkiem, to i tak kochałabym cię i chciałabym móc żyć razem z tobą. Może byłabym niezadowolona i ciągle bym cię raniła, ale mimo to kochałabym cię. Wybacz mi!

Nasze łzy zmieszały się, piłem ich sól z jej policzków i ust. Marność wszystkiego paliła mi serce jak rozżarzone żelazo. Podobnie jak płomień, który bucha wysoko, nim zgaśnie. W tej chwili wątpiłem w siebie i chwiałem się. I to była moja ostatnia pokusa, cięższa niż pokusy na kolumnie Konstantyna. W porcie stoją okręty Giustinianiego gotowe do żeglugi, gdyby okazało się to konieczne. Nawet setki tureckich okrętów nie mogłyby im przeszkodzić w wyłamaniu się, gdyby jutro wiatr okazał się pomyślny.

Przed zachodem słońca zastukał do drzwi Giustiniani i zawołał nas. Odryglowałem drzwi i wszedł do wnętrza, dwornie nie rozglądając się po izbie.

— U Turków cicho — oznajmił. — Ta cisza straszniejsza jest niż zgiełk i ogniska. Sułtan podzielił ich na grupy po tysiąc ludzi i nazaczył każdej grupie godzinę ataku. I nie o islamie mówił do nich, lecz o największej grabieży wszechczasów. O skarbach w pałacu, o świętych naczyniach w kościołach, o perłach, o klejnotach. Opowiadają, że przez dwie godziny mówił o wszystkim, co można zrabować i splądrować w Konstantynopolu, i nie zapomniał przy tym nadmienić o pięknych greckich młodzieniaszkach i dziewczętach, na które nie spojrział jeszcze żaden mężczyzna. Dla siebie zastrzegł tylko mury i wszystkie publiczne budynki. Turcy pocięli na proporczyki do oszczepów wszystkie materiały, jaki mieli, by oznaczać w ten sposób — każdy dla siebie — domy do splądrowania. Biegli w piśmie derwisze nazaczyli proporczyki literami i liczbami islamu i to zajęcie dało im więcej pracy niż ostrzenie mieczy i zbijanie drabin szturmowych.

W ciągu dnia Giustiniani kazał balwierzowi obciąć i ufarbować sobie brodę i przepleść ją złotą nitką. Jego pancerz bez jednej plamki błyszczał, a płatnerz wyrównał młotkiem wszelkie jego nierówności. Giustiniani pachniał z daleka wonnymi maściami i wglądał ze wszech miar okazale.

— Nie pójdziecie ze mną do kościoła, drogie dzieci? — zapytał. — Turcy odbywają drzemkę przed szturmem. To, co działa zdążą jeszcze zniszczyć, mogą naprawić moi ludzie. Pospieszcie się i odziejcie przyzwoicie, by jako uczciwi chłopcy móc przystąpić do ostatniej komunii i złożyć śluby na dzisiejszą noc.

Obrzucił nas wzrokiem i nie mógł się powstrzymać, by nie dodać:

— A z waszych twarzy widzę, że będzie to łatwiejsze dla was niż dla wielu innych.

Pojechaliśmy razem do kościoła, gdy dzień zgasł za tureckim obozem ostatnią krwawą luną rzuconą na zielone kopuły kościołów. Cesarz Konstantyn przybył do bazyliki z całym swoim dworem, senatorami i archontami w szyku przepisany ceremoniałem i każdy był odziany stosownie do rangi i stanowiska. W sercu mym wiedziałem, że Bizancjum, które nigdy więcej nie miało się odrodzić, zebrało się tu po raz ostatni, by poświęcić się śmierci.

Wenecki bailon, rada dwunastu i weneccy szlachcice też byli uroczyście odziani. Ci, którzy przysli z murów, mieli zamiast jedwabi i aksamitów błyszczące pancerze. Dowódcy genueńscy zebrali się wokół Giustinianiego. Potem grecki lud Konstantynopola wypełnił święty kościół Justyniana, nie bacząc już na religijne spory. W tej ostatniej chwili przysły tam także setki księży i mnichów, na przekór klątwie. W obliczu śmierci nie było już niezgody, nieufności i wewnętrznej nienawiści. Każdy schylał głowę przed niewytłumaczalnym misterium wedle swego sumienia.

Setki lamp płonęły aromatycznymi płomieniami i oświetlały kościół jak w biały dzień. Ogromne i łagodne, niewypowiedziane melancholijne patrzyły mozaikowe obrazy ze złocistych ścian. Gdy chóry anielsko czystych głosów zaśpiewały święte hymny, załzawiły się nawet spuchnięte oczy Giustinianiego, tak że musiał je ocierać obiema rękami. Wielu dzielnych mężów płakało głośno.

Wobec nas wszystkich cesarz wyznał swoje grzechy w uświęconych przez wieki słowach. Także łacinnicy przyłączyli się do niego w mrużącym chórze.

Wyznanie wiary wygłosił grecki metropolita, opuszczając drażliwe słowa "i od Syna". Biskup Leonard wygłosił łacińskie wyznanie wiary dla łacinników. W greckiej modlitwie nie wymieniono już papieża. Łacinnicy włączyli go do swoich modłów. Ale nikogo nie oburzały w ten wieczór takie różnice. Wszystko odbywało się jakby za cichym porozumieniem i Grecy płakali z wielką ulgą, słysząc, że wiara ich nie jest już więcej naruszana.

Po nabożeństwie cesarz Konstantyn przemówił do ludu i powiedział głosem drżącym od wzruszenia:

— Turcy mają działa i mrowie ludzi, ale my mamy naszego Boga i Zbawiciela. Nie traćmy nadziei.

Uściskał przyjaciół i najbliższych, ucałował każdego z nich i prosił, by wybaczyli mu wszystko, co wobec nich zawinił. Także najbliżej stojących prostych ludzi całował, prosił o przebaczenie i obejmował w uścisku. Jego przykład sprawił, że łacinnicy też zaczęli ścisnąć się i prosić o wybaczenie, i nawet wenecki bailon ze łzami w oczach uściskał Giustinianiego błagając o darowanie mu jego złych myśli. Weneccjanie i Genuelczycy obejmowali się nawzajem i obiecywali sobie walczyć dzielnie i współzawodniczyć ze sobą o chwałę. Myślę, że dzisiaj wszyscy uczciwie myśleli to, co mówili.

Było już ciemno, gdy wyszliśmy z kościoła, ale we wszystkich domach płonęło światło, a główna ulica oświetlona była pochodniami i latarniami od kościoła Mądrości Bożej aż do Blachern i bramy Charisiosa. Dzwony i kołatki dzwoniły we wszystkich kościołach i klasztorach, tak że ten wieczór był jak jedno wielkie radosne święto.

A nad światłami miasta płonęły jasne gwiazdy na czarnym niebie.

Przy kościele świętych Apostołów odłączyliśmy się od orszaku cesarskiego. Konstantyn uściskał jeszcze raz Giustinianiego i prosił go o wybaczenie. Wielu Greków poszło do domów zdjąć uroczyste szaty, pożegnać się z żonami i dziećmi i włożyć pancerze, by potem pośpieszyć na mury.

W czasie tej przerwy spotkałem Niemca Joanna Granta i zsiadłem z konia, by go uściskać i podziękować mu za jego przyjaźń. Miał twarz osmoloną prochem, poruszał się z trudem i mrugał bezustannie oczyma. Ale jeszcze w ten ostatni wieczór pochłaniała go niezaspokojona żądza wiedzy. Wskazał na dwóch sędziwych, łysych i bezzębnych staruchów, którzy chwiejąc się na nogach przechodzili obok, prowadzeni przez młodzieńca w stroju cesarskich techników, ale zaopatrzonego w szczególnie czerwony znak honorowy, jakiego przedtem nigdy jeszcze nie widziałem.

— Wiesz kto to jest? — zapytał. Potrząsnąłem głową. Powiedział: — Przychodzą z najtajniejszej podziemnej komory w arsenale, gdzie sporządza się ogień grecki. Widzisz, jak żółty na twarzy jest ten chłopak i jak przerzedzone są już jego włosy? Starcy stracili wszystkie zęby i skóra łuszczy się im na całym ciele. Chętnie bym z nimi

pomówił, ale są czujnie strzeżeni i każdy, kto próbuje do nich zagadać, ginie na miejscu.

Zapas surowców już się skończył — ciągnął. — Ostatecznie naczynia wyniesiono na mur i na okręty. Znam część ingrediencji, ale nie wszystkie i nie wiem, jak się je miesza. Najdziwniejsze jest, że ten ogień sam się zapala, gdy tylko wytryśnie. Nie jest to oddziaływanie powietrza, gdyż w dzbanach wyrzuconych przez katapulty znajdują się specjalne zapalniki, które zapalają ciecz. Musi ona zawierać sporo nafty, gdyż pływa na wodzie i nie daje się ugasić wodą. Tylko piaskiem i octem można ją zgasić. Weneccy żeglarze twierdzą, że w razie konieczności niewielkie krople tej cieczy da się ugasić moczem. Ci starcy, to ostatni ludzie znający tę dziedziczną tajemnicę, która liczy sobie tysiąc lat. Nikomu nigdy nie było wolno jej zapisać, a dawniej odcinano język wszystkim, którzy pracowali w podziemnych komorach. Gdyby Turcy jutro zdobyli miasto, ostatnim zadaniem strażników arsenału jest zabicie staruchów, tak aby zabrali oni tajemnicę z sobą do grobu. Dlatego też pozwolono im dziś przyjść do kościoła pierwszy raz od dziesiątków lat.

Wzruszył ramionami i westchnął:

— Wiele jest tajemnic, które umrą z tym miastem. Tyle cennej wiedzy. Wszystko na próżno, Johannesie Angelosie, nie ma nic bardziej nienawistnego jak wojna. Mówię to teraz, po zniszczeniu dziewiętnastu tureckich podkopów i użyciu całej mojej biegłości i wiedzy po to, by dopomóc cesarskim technikom w zabijaniu Turków.

— Nie traćmy nadziei — wtrąciłem, choć wiedziałem, że wszelka nadzieja przepadła.

Splunął i rzekł gorzko:

— Moją jedyną nadzieją jest miejsce na weneckim okręcie, w razie gdyby w ostatniej chwili udało mi się dostać do portu. Innej nadziei nie mam — zaśmiał się sam do siebie, zmarszczył osmalone czoło i dodał: — Gdybym był bardziej stanowczym człowiekiem, pobiegłbym — gdy tylko miasto padnie — do biblioteki z mieczem w ręku i ogołocił ją z rękopisów, które chciałbym mieć, oraz zabrał je ze sobą na okręt. Ale czegoś takiego nie zrobię, bo jestem Niemcem i wychowano mnie w szacunku dla wierności. Gdybym był Italczykiem, może bym to potrafił, gdyż Italczycy są swobodniejsi i rozsądniejsi niż my, mieszkańcy północy. Dlatego też gardzę samym sobą.

Powiedziałem:

— Żal mi ciebie, Joannie Grant, z powodu twojej straszliwej namiętności. Czyż nawet święte misterium dziś wieczorem nie zdołało oswobodzić ciebie od własnego ja?

— Nie — odparł. — Nic prócz wiedzy nie może mnie uwolnić od mego własnego ja. Wiedza jest jedyną wolnością człowieka. A kiedy rozstawaliśmy się, objął mnie i powiedział:

— Nie jesteś zadufany w siebie i nie narzucasz swojej wiary nikomu innemu. Dlatego lubiłem cię, Jeanie Ange.

Kiedy zbliżaliśmy się do bramy św. Romana w chłodną noc, uderzył nas w nozdrza straszliwy trupi odór, na który, przebywając stale na murach, prawie nie zwracało się uwagi. Anna Notaras zaczęła drżeć, ale gdy zsiadliśmy z koni, Giustiniani powiedział:

— Odpocznijcie, moje dzieci, i prześpijcie się chwilę, póki czas. Godzinę, dwie albo może trzy mamy jeszcze dla siebie. Gdy tylko dokonam przeglądu posterunków wartowniczych, prześpię się i ja chwilkę w tę bezgrzeszną noc mając za poduszkę moje czyste sumienie. Zostałem oszukany, ale z łaski Boga, nie z własnej zasługi, sam nie potrzebowałem nikogo oszukać.

I dodał:

— Później, gdy wszyscy staną już na swoich posterunkach, by bronić resztek tego, co zostało z zewnętrznego muru, bramy wypadowe zostaną zamknięte, a klucze przekazane cesarzowi. Tak postanowiono. Gdy wszyscy będą o tym wiedzieć, nikt nie dozna pokusy, by szukać ucieczki. Ci, którzy stoją na zewnętrznym murze, muszą wytrzymać albo polec. Dlatego przyjęliśmy dziś komunię i nasza noc jest bez grzechu.

Anna Notaras zapytała:

— Gdzie jest moje miejsce?

Giustiniani roześmiał się życzliwie:

— Myślę, że musisz zadowolić się wielkim murem. Na pierwszej linii będziemy zanadto zajęci, by móc się tobą opiekować. Szczerze mówiąc, będziesz tam przeszkadzać.

— Idź do Kerkoporty — rzekłem szybko. — Tam będziesz wśród swoich rodaków, pomiędzy braćmi Guacchardi i Wenecjanami i w razie konieczności możesz wycofać się do Blachern. Jeśli polegniesz, wola boska, ale nie będzie grzechem, jeśli schronisz się na jakiś okręt łański. Nie będziemy się niepokoić o siebie.

Na moje słowa zbladła jak trup i ścisnęła moje ramię, aż się zląkłem i zapytałem:

— Co ci jest? Nie czujesz się dobrze?

Szepnęła:

— Dlaczego wymieniałeś akurat Kerkopoportę? Czy miałeś na myśli coś szczególnego?

— Miałem na myśli tylko to co powiedziałem — odrzekłem, choć nie była to cała prawda. — Co też ci się stało?

Powiedziała słabo:

— To może ten odór trupi przyprawia mnie o mdłości. Jestem kiepskim żołnierzem i nie chcę wam przeszkadzać. Pójdę do Kerkopopty i odtąd nie będziemy się już niepokoić o siebie. Ale do północy możemy chyba być razem. Proszę cię o to.

Ucieszyłem się, że tak chętnie zgodziła się na moją propozycję, gdyż miałem pewien plan i obawiałem się, że będę zmuszony przekonywać ją wbrew jej woli. Kerkopoporta to najbezpieczniejsze miejsce w czasie szturmów i nie chciałem, by musiała bronić się przed szybkimi jak błyskawice mieczami janczarów.

Zasnęła teraz, ale jak ja miałbym usnąć, kiedy po raz ostatni mogę rozkoszować się jej bliskością. Pisałem przez ten czas i aż tutaj dochodził głuchy szum tysięcy Turków, krzątających się w oddali w swoim obozie, wlokących drabiny szturmowe i układających stosy strzał dla łuczników.

Niebawem będzie północ i przyjdzie Manuel, żeby zabrać moje papiery. Pisałem szybko. Nie na próżno przez dwa lata byłem pisarzem w Soborze. Giustiniani opróżnił już skrzynię i spalił dokumenty, które nie powinny wpaść w ręce Turków. Także z wielkiego komina w Blachernach unosi się snop płomieni i zwęglone strzępki papieru fruwią na wietrze. Wieje od północy. Może to oznaczać ratunek dla setek łacinników.

Ponad czterdziestu młodzieńców z Pery zgłosiło się dziś do Giustinianiego, by walczyć wespół ze swymi rodakami.

Honor nie pozwolił im pozostać bezpiecznie w neutralnej Perze, choć podesta dał się zastraszyć sułtanowi i zagroził karą śmierci każdemu, kto wystawi na szwank neutralność Pery. Kazał zamknąć bramy miejskie, ale ci młodzieńcy przeleźli przez mury nadbrzeżne, a strażnicy przymknęli oko i udawali, że nie słyszą skrzypienia wiosła w łodziach.

Dziś w nocy nikt nie oskarża bliźniego, wszystkie grzechy są wybaczone i każdy pozwala innym, by szli za głosem sumienia. Jeśli ktoś ucieknie na wenecki okręt i przekupi kapitana, to jego sprawa. Jeśli ktoś w ostatniej chwili wymknie się z muru i ukryje w mieście, odpowiadać za to będzie tylko przed własnym sumieniem. Dezerterzy nie zostaną już schwytani, gdyż jest ich niewielu, jest ich niewiarygodnie mało, jeśli pomyśleć o tych wszystkich kalekach, starcach i dziesięcioletnich chłopcach, którzy w ciągu dnia przyszedli na mur, by umrzeć za swoje miasto.

To jest noc Greków. Widziałem ich oczy naznaczone wielusetletnią melancholią. Na dworze huczą dzwony i kołatki, śmiertelne dzwony dla ostatniego Rzymu.

Niebawem przyjdzie Manuel. Należy on do tych, którzy nie giną.

29 maja 1453

Aleo he polis

Miasto jest stracone.

Ten okrzyk będzie brzmieć, dopóki istnieje świat. I jeśli po wiekach mam odrodzić się do życia, słowa te będą wywoływać zgrozę w moich uszach i włosy będą mi się jeżyć od strachu. Będę je pamiętać i poznawać, nawet gdybym nie pamiętał nic innego i dusza moja była jak czysto wygładzona woskowa tabliczka.

Aleo he polis

Ale ja wciąż jeszcze żyję. Tak zatem miało być. Mam wychylić do dna także i ten ostatni kielich i własnymi oczyma patrzeć na zagładę mego miasta i mego ludu. A więc piszę dalej. Lecz aby prawidłowo to opisać, powinienem umoczyć pióro we krwi i kreślić nią każdą literę. A krwi by nie zabrakło. Krew płynie rynsztokami jak skrzepła i kleista maź. Krew spływa wciąż jeszcze z ran umierających w gorące kałuże. Na głównej ulicy, koło Hipodromu i wokół bazyliki, leży tyle trupów, że ledwie można tamtędy przejść, żeby na nie nie nadepnąć.

Jest znowu noc. Siedzę w moim domu, którego strzeże oszczep z zielonym proporczykiem. Zatkąłem sobie uszy woskiem, by nie słyszeć wrzasków hańbionych kobiet i dzieci, ryku plądrujących, którzy biją się o łupy, krzyku śmierci, który unosi się bez przerwy nad moim miastem.

Zmuszam się, żeby być chłodnym. Piszę, choć ręka mi drży. Drzę na całym ciele. Nie z lęku. Nie boję się o siebie. Moje życie jest mniej warte niż ziarenko piasku na ulicy. Ale z powodu tego cierpienia i bólu, które wylewają się z tysięcy źródeł wokół mnie w tę noc bezmiernego strachu.

Widziałem młodą dziewczynę skalaną okrwawionymi rękami, jak rzucała się do studni. Widziałem, jak jakiś łotr wyrwał matce oseska i śmiejąc się nadział go na oszczep swego towarzysza, by potem przewrócić kobietę na ziemię. Widziałem wszystko, co ludzie mogą wyrządzić sobie nawzajem. Tak, widziałem nad miarę.

Wkrótce po północy ci, którzy poświęcili życie obronie, zajęli posterunki na murze zewnętrznym. Następnie zamknięto bramy wypadowe w wielkim murze i klucze przekazano głównodowodzącym na różnych odcinkach. Niektórzy modlili się, ale większość ułożyła się na spoczynek na ziemi, a wielu naprawdę usnęło.

Tymczasem lekkie okręty tureckie zaczęły się zbliżać do muru portowego. Także wielka flota turecka wypłynęła z Bosforu i rozwinęła się wzdłuż muru morskiego od Wieży Marmurowej aż do Neorionu i zapory portowej. W ten sposób sułtan atakował mur miejski wszędzie, tak że nigdzie nie można było zwolnić żadnych sił dla wsparcia zagrożonych punktów. Wszędzie Turcy dostali rozkaz atakowania nas rzeczywiście, a nie tylko dokonywania pozornych ataków jak dotychczas. Dlatego też nawet okręty wyposażone były w drabiny i mostki szturmowe, a ich maszty obsadzone gęsto przez łuczników.

Pierwszemu, kto stanie na murze, sułtan obiecał buńczuk i namiestnictwo prowincji. Każdemu, kto się wycofa albo złoży broń, obiecał śmierć. Pierwsze jego oddziały szturmowe otoczone były czauszami.

Na trzy godziny przed świtem zaczęły grać bębny i piszczałki i wybuchł ogromny zgielk, gdy czołowe oddziały szturmowe głośnym krzykiem podniecały się do natarcia. Wyłom, którego broniliśmy koło bramy św. Romana, był szeroki na ponad tysiąc stóp. Jako pierwsze wysłał sułtan swoje oddziały pomocnicze, samych pastuchów i koczowników, którzy przybyli z krajów Azji, żeby uczestniczyć w świętej wojnie islamu. Byli oni uzbrojeni tylko w oszczepy lub miecze i mieli dla ochrony jedynie wąskie tarcze drewniane.

Kiedy zbliżył się do muru, tureckie hakownice i szlangi otworzyły gwałtowny ogień i spadła na nas z szumem chmura strzał. Potem podniosły się nieraz setki drabin szturmowych opierając się o prowizoryczny wał. Wzywając Allacha, modląc się, bluzgając obelgami i rycząc ze strachu ruszyły do szturmowania pierwsze oddziały po

tysiąc ludzi. Ale ich drabiny przewrócono, trysnął na nich ogień grecki, a kłębowisko ludzkie pod wałem zasypało strzałami, gotującą się smołą i roztopionym ołowiem z łyżek o długich rękojeściach. Zgiełk i ryk były tak ogłuszające, że niebawem nic już nie słyszeliśmy. Turcy atakowali wzdłuż całego muru lądowego, a ich działa zaczęły grzmieć także w porcie i na morzu.

Ciężko poparzeni, niektórzy z atakujących usiłovali rycząc uciekać, ale czauszowie, którzy zajęli stanowiska nad fosą, rozcinali im głowy mieczami i zwalali z zimną krwią ich trupy wypełniając nimi rów fosy. Wkrótce wzdłuż wału wznosiły się pagórki trupów, sięgając w niektórych miejscach do połowy jego wysokości.

Po oddziałach nieregularnych sułtan posłał oddziały chrześcijańskie swoich przymusowych sprzymierzeńców oraz żądnych rabunku renegatów, którzy zebrali się pod jego sztandarami z różnych krajów. Walczyli o życie i wielu z nich stanęło przez chwilę na murze, dopóki nie spadli na dół na góry trupów. Straszne było słyszeć, jak we wszystkich językach Europy wzywają Chrystusa i Świętą Dziewicę, podczas gdy Turcy wzywali Allacha i Proroka. Wiele razy stałem oko w oko z twarzą, która wykrzywiała się śmiertelnym przerażeniem, a potem znikła w ciemności na dole.

Wielu z zakutych w żelazo Geneuńczyków odniosło rany lub padło od tureckich kul, gdyż ostrzeliwanie fosy z drugiej strony nie ustawało ani na chwilę i Turcy nie zważali, czy trafiają własnych ludzi, czy nas. Ranni Genuczyści walczyli jeszcze klęcząc na skraju wału i nie usiłując odczołgać się w bezpieczne miejsce, dopóki atakujący nie ściągnęli ich w dół żelaznymi hakami.

Mniej więcej po godzinie sułtan pozwolił tym, którzy przeżyli, wycofać się i kazał dać ognia z wycelowanych wielkich dział. Straszliwe kule kamienne rozsadziły nasze przedpiersia i zmiotły drewniane skrzynie i beczki z ziemią w uliczkę między murami. Łomot spadających belek wypełnił powietrze. Kurz jeszcze nie osiadł i dym prochowy nie rozproszył się, gdy ruszyli do szturmowania Turcy anatolijscy.

Byli to szybcy i dzicy ludzie, którzy śmieli się radośnie wdrapując się sobie nawzajem na ramiona gęstymi gronami, by dosięgnąć korony wału. Nie potrzebowali czauszów do podgania, gdyż byli to prawdziwi Turcy, którzy mieli wojnę we krwi. Nie prosili o łaskę, lecz ginęli z imieniem Allacha na ustach. Wiedzieli, że unosi się nad nimi dziesięć tysięcy aniołów islamu i że w chwili śmierci każdy z nich pójdzie prosto do raj!

Nacierali gęstymi falami po tysiąc ludzi, wyjąc i obrzucając chrześcijan tak straszliwymi obelgami i groźbami, że nie umiem ich opisać. Ale nasza obrona wciąż

jeszcze dotrzymywała placu. Luki w naszych szeregach zamykały się na nowo, a gdzie tylko zdawało się, że żelazny mur zaczyna się uginać, spieszył na miejsce Giustiniani, by dodawać odwagi swoim ludziom i rozcinać Turków do pasa swym dwuręcznym mieczem. Tam, gdzie jego postać pojawiała się na wale, natarcie słabło i Turcy wznosili drabiny w nowym miejscu.

Podczas gdy natarcie Anatolijczyków odpływało od murów, na niebie zaczęły się pojawiać pierwsze trupioszare smugi brzasku. Byłem tak obolały i potłuczony na całym ciele, a moje ramiona tak omdlały ze zmęczenia, że za każdym ciosem sądziłem, iż nie zdołam już unieść miecza. Wielu z zakutych w żelazo Genuńczyków dyszało z utrudzenia i słychać było, jak gra im w płucach, gdy wołali o wodę. Ale gdy Turcy zaczęli się wycofywać, w wielu z nas zbudziła się znowu nadzieja i jakiś biedny głupiec zawołał nawet na wpół zdławionym głosem "victoria!"

Gdy mogliśmy już odróżnić czarną nitkę od białej i gdy noc rozproszyła się, ujrzeliśmy wysokie białe filcowe czapki janczarów w równych szeregach naprzeciwko nas po drugiej stronie fosy. Stali uszykowani w grupach po tysiąc ludzi i czekali w milczeniu na rozkaz natarcia. Sułtan Mehmed sam pojawił się przed nimi z żelaznym nadziakiem dowódcy w dłoni. Spiesznie wycelowaliśmy szlangi i hakownice w tamtą stronę i oddaliśmy salwę, ale go nie trafiliśmy. Wielu janczarów wokół niego padło, ale ich szyki pozostały nieruchome i ciche. Z tyłu wystąpili nowi, by wypełnić luki, i wiedziałem, że dumni są z tego, że mogą stanąć w pierwszym szeregu przed oczyma sułtana, na miejscu, do którego nie upoważniał ich wiek i lata służby. Odziani na zielono czausze ustawili się szybko przed sułtanem, by chronić go własnymi ciałami.

Kobiety i starcy na wielkim murze wykorzystali przerwę, by spuścić nam na linach wodę zmieszaną z winem w ogromnych wiadrach. Choć sam wielki mur rozbity był kulami tak, że w wielu miejscach nie przewyższał zewnętrznego wału ziemnego, wciąż jeszcze trudno się było nań wdrapywać.

Wszystko, co stało się potem, mogę opisać tylko tak, jak to widziałem, i może ktoś inny opowiedziałby to inaczej, gdyż ludzka zdolność obserwacji jest zawsze niedoskonała. Stałem jednak całkiem blisko Giustinianiego i zdaje mi się, że dobrze widziałem, co się stało.

Zdażyłem usłyszeć krzyk i rzucić się na ziemię, gdy Turcy jeszcze raz dali ognia ze swoich czterech dział i wszelkiej innej broni palnej potężną salwą. Wiatr przybrał na sile i zmiótł szybko przewalające się czarne jak węgiel chmury dymu. Podczas gdy łoskot i biadania milkły, zobaczyłem, jak Giustiniani z wolna osuwa się i siada na

ziemi. W jego napierśniku po jednej stronie szczyrzyła się dziura wielkości pięści po ołowianej kuli, która trafiła go skośnie od tyłu. W jednej chwili twarz jego zrobiła się ołowianoszara, a jego animusz zgasł, tak że nagle stał się starcem, choć dzień przedtem ufarbował włosy i brodę. Wypluł przed siebie krwawy kłęb, a z pachwiny też lała mu się krew spod pancerza.

— Dostałem — zachrypiał. — To będzie moja śmierć.

Stojący bliżej Genueńczycy otoczyli go, żeby na wałach nie zobaczono od razu, że jest ranny. Patrzyli groźnie wokół siebie.

— Ta kula padła od tyłu — warknął któryś z nich.

Dwóch podbiegło do mnie, chwycili mnie za ramiona i zdarli mi z rąk pancerne rękawice, by zobaczyć, czy nie mam na palcach śladów prochu. Potem podeszli do greckiego technika, który stał opodal i pospiesznie nabijał hakownicę, zwalili go na ziemię, szarpiąc za brodę i kopiąc obutymi w żelazo nogami. Wszyscy patrzyli w stronę wielkiego muru i wygrażali pięściami.

— Na Chrystusa, bracia — odezwał się Giustiniani słabym głosem. — Nie kłóćcie się teraz. Wszystko jedno, skąd padła kula. Być może odwróciłem się, by spojrzeć na mur, i kula nadleciała od Turków. Dla mnie to obojętne. Zawołajcie lepiej felczera.

Zaczęli chórem wołać o felczera, ale Grecy na murze odpowiedzieli, że nikt nie może przyjść, ponieważ brama jest zamknięta. Wprawdzie odważny człowiek mógłby się łatwo spuścić na linie opierając się grzbietem o mur, ale zrozumiałe było, że żaden lekarz nie chciał tego zrobić nawet dla Giustinianiego, gdyż właśnie w tej chwili zaczęły dudnić bębny janczarów i muzyka zagrała do ataku.

Wzywanie Allacha podczas natarcia byłoby poniżej ich godności. Biegli do szturmów milcząc w cichym i zajadłym współzawodnictwie, kto pierwszy dotrze do wału. W wielu miejscach nie potrzebowali nawet drabin. Tak wysoko leżały spiętrzone trupy przed resztkami naszego muru zewnętrznego. Natarcie było tak szybkie i gwałtowne, że tylko kilku z obrońców zdążyło się napić wody z winem, mimo że wszyscy umieraliśmy z pragnienia. Wiadra przewracały się u naszych stóp, a w chwilę potem szalała już walka pierś o pierś na szczycie wału.

Nie było to już tylko proste zabijanie, lecz prawdziwa wojna, gdyż janczarowie nosili łuskowate pancerze i kolczugi. Ich miecze cięły szybko jak piorun i samym swym ciężarem zepchnęli obrońców. Genueńczycy Giustinianiego i Grecy przysłani z

odsieczą zmuszeni byli połączyć się w grupki, żeby móc stawić opór łączną wagą swoich ciał.

Właśnie wtedy na szczycie wielkiego muru pokazał się cesarz na białym rumaku. Twarz jego promieniała i wołał radośnie:

— Wytrzymajcie, wytrzymajcie jeszcze raz, a zwycięstwo będzie nasze!

Gdyby stał pośród nas i czuł, jak mdleją nam członki z utrudzenia, milczałby.

Giustiniani uniósł swą byczą głowę, zacisnął zęby z bólu i znowu wypluł krwawy skrzep, zaklął ciężko i zawołał do cesarza, by wydał klucz od bramy wypadowej. Cesarz odkrzyknął w odpowiedzi, że rana z pewnością nie jest niebezpieczna. Nie jest wskazane, by właśnie w takiej chwili opuszczał swoich ludzi.

Giustiniani ryknął:

— Diabelny grecki wiarołomco! Wiem chyba sam najlepiej, jak ze mną jest. Zrzuć klucz, bo inaczej przyjdę na górę i zaduszę cię własnymi rękami.

Jego ludzie wybuchnęli śmiechem nie przerywając walki. Po chwili wahania cesarz ustąpił i zrzucił wielki klucz tuż pod stopy Giustinianiego. Ten podniósł klucz i pokazał nań znacząco najbliższym swoim ludziom. Walka szalała zaledwie o kilka kroków — wśród szczęku i zgrzytu mieczy o pancerze. Olbrzymi janczar ciął wokół siebie zdobytym dwuręcznym mieczem, dopóki zakutym w żelazo Genuńczykom nie udało się go otoczyć i zwalić na kolana. Miał tak dobrą zbroję, że musieli go rąbać po kawałku.

Gdy pierwsza fala janczarów wycofała się na odpoczynek, do ataku poszła następna. Giustiniani wezwał mnie i powiedział:

— Weź mnie pod ramię i pomóż mi stąd wyjść. Dobry dowódca bije się do ostatniej szansy, ale nie dłużej.

Wziąłem go pod ramię, a jeden z jego najbliższych ludzi wziął go pod drugie. Udało nam się sprowadzić go z wału przez bramę wypadową do miasta. Spotkaliśmy tam cesarza, wzburzonego i otoczonego doradcami. Był bez zbroi, żeby móc poruszać się swobodnie, odziany w purpurowe giezło z narzuconym na nie płaszczem w kolorze cesarskiej zieleni, haftowanym złotem. Jeszcze raz zaklął Giustinianiego, by wytrzymał i wrócił do walki, wyrażając nadzieję, że rana nie musi być tak niebezpieczna. Ale Giustiniani nie odpowiedział mu, nie spojrział nawet na niego. Z trudem znosił straszliwy ból, który sprawiał mu każdy krok.

Cesarz wrócił na mur, by obserwować bieg walki i radami dodawać Grekom otuchy. Udało nam się zdjąć z Giustinianiego pancerz. Gdy spadł na ziemię, chlupotała w nim krew.

Giustiniani dał znak swemu pomocnikowi i stęknął:

— Odpowiadasz za życie ludzi. — Tamten skinął głową i odszedł na wał.

Dzień się rozjaśnił.

— Giustiniani — rzekłem. — Dziękuję ci za twoją przyjaźń, ale teraz muszę wracać na mury.

Machnął ręką, skrzywił się z bólu i odparł z trudem:

— Nie pleć takich diabelnych głupstw. Walka jest przegrana. Wiesz to równie dobrze jak ja. Jak może tysiąc śmiertelnie zmęczonych ludzi stawiać dłużej opór dwunastu tysiącom janczarów w pełnym uzbrojeniu? Jest dla ciebie miejsce na moim okręcie. Uczciwie je sobie kupiłeś i zapłaciłeś.

Potem jęczał przez chwilę z głową w dłoniach, aż powiedział:

— Na Chrystusa, idź na mur, a potem przyjdź mi powiedzieć, jak tam idzie.

Chciał tylko się mnie pozbyć, gdyż zaczęli się zbierać wokół niego Genueńczycy, którzy wchodzili pojedynczo przez bramę wypadową chwiejąc się na nogach, zalani krwią od stóp do głów. Wszedłem na mur i zobaczyłem sułtana Mehmeda w brzasku dnia nad wypełnioną po brzegi fosą. Machał żelaznym nadziakiem i zagrzewał do natarcia janczarów, którzy biegli obok niego. Na całym naszym odcinku szalała walka na koronie wału. Genueńczycy zbijali się w coraz bardziej zwartą grupę i tu i tam widziałem, jak jeden uderzał drugiego po ramieniu, zajmował jego miejsce i wysyłał go do tyłu ku bramie wypadowej. Wycofywali się z walki pojedynczo. Zdałem sobie sprawę, że walka jest przegrana. Bębny janczarów dudniły coraz donośniej. Śmiertelna muzyka dla mego miasta.

Nagle ktoś koło mnie pokazał na północny wschód, na Blacherny. Starcy i kobiety, którzy dopiero co łamali ręce i zawodzili głośno z żałoby, umilkli nagle i patrzyli nie wierząc własnym oczom. Ale widok był realny. We wschodzącym słońcu lśniły krwawoczerwone chorągwie sułtana ze srebrnym półksiężycem na obu nie uszkodzonych wieżach koło Kerkoporty.

Był to obraz, którego nigdy nie zapomnę. I w tejże samej chwili zobaczyło go całe miasto, gdyż wzdłuż muru rozszedł się najpierw niedowierzający szmer, a potem potężniejszy krzyk grozy: *Aleo he polis*.

Do okrzyku tego dołączyły się atakujące tureckie oddziały chrapliwym wrzaskiem radości z tysięcy gardeł. Przez chwilę nie mogłem niczego zrozumieć. Było to przecież wbrew wszelkiemu rozsądkowi, że najlepiej zachowana część muru została zdobyta wcześniej niż jakakolwiek inna. Nawet mur zewnętrzny przed Kerkoportą był prawie nie uszkodzony.

Ale tam powiewały na wielkim murze tureckie półksiężycy. W tejże chwili nowe fale atakujących janczarów zmiotły w uliczkę między murami Greków i ostatnich Genueńczyków. Idący na przędzie nie przerywali szturmowi, lecz natychmiast zaczęli zręcznie jak koty wspinać się na wielki mur, czepiając się każdego kamienia i szczeliny. Strach dodał sił kobietom i niedorostkom, którzy staczali na nich głązy. Metalowa paszcza nad bramą zaczęła po raz ostatni rzygać ogniem, gdyż nie groziło już niebezpieczeństwo, że leżące bezładnie na zewnątrz drewno zajmie się płomieniem. Jeden z cesarskich techników manewrował z siłą rozpaczony dźwigniami miotacza ognia. Ale płonący strumień szybko wysechł i ostatnie krople spadły bezsilnie na żwir. Ogień grecki skończył się.

Wszystko to stało się w czasie krótszym, niż mogę to zapisać. Krzyknąłem do cesarza i jego świty, że najwyższy czas iść do kontrataku. A kiedy mnie nie usłyszeli, zeskoczyłem z muru, by pospieszyć z powrotem do Giustinianiego. Przez cały czas brzmiał mi w uszach śmiertelny okrzyk miasta: *Aleo he polis*. Nawet kamienie jakby przyłączyły się do niego, gdyż mur drżał od tupotu stóp.

Genueńczycy pomogli już Giustinianiemu wsiąść na wielkiego rumaka i otoczyli go groźną gromadą z wyciągniętymi mieczami. Liczyli z początku czterystu zakutych w żelazo żołnierzy i trzystu kuszników. Teraz była ich setka, tych którzy zebrali się wokół Giustinianiego. Nie mogłem mu w sercu robić wyrzutów, że chciał ich uratować.

— Powodzenia! — krzyknąłem i pomachałem ręką. — Obyś wnet wyzdrowiał i odebrał Lemnos Katalończykom. Zasłużyłeś sobie na to tysiąckrotnie.

Ale po jego ołowianoszarej twarzy i przymkniętych oczach widziałem, że żołnierze zabierają z sobą do portu umierającego człowieka. Nie zdołał nawet odwrócić głowy, by mi odpowiedzieć. Jego ludzie podpierali go po obu stronach, żeby nie spadł z siodła. Gdy tylko znikł za najbliższym rogiem ulicy, zaczęła się powszechna ucieczka z murów. Wszędzie ludzie zeskakiwali z muru, rzucali broń i na oślepiec uciekali między domy. Cesarz nie mógł ich już zatrzymać.

Gdy Giustiniani znikł, jego zastępca wciąż jeszcze trzymał otwartą bramę wypadową i mieczem nie dopuszczał, by straż cesarska ją zamknęła. Przyjmował jednego po drugim chwiejących się na nogach i potykających się Genuńczyków, zbierał ich w grupki po dziesięciu ludzi i posyłał biegiem do portu. W taki sposób uratowało się jeszcze czterdziestu. Był to brzydki dziobaty mężczyzna. Znalazł jeszcze czas, by splunąć mi pod nogi i krzyknąć:

— Idź do diabła, przeklęty Greku!

W tejże chwili pod sklepieniem bramy pojawili się pierwsi janczarowie z dobytymi mieczami, dysząc od biegu. Wspólnymi siłami udało nam się zamknąć bramę i zaryglować ją, zanim nadbiegło ich zbyt wielu.

Po dziobatym widziałem, że miał ochotę rozciąć mi głowę mieczem tylko dlatego, że byłem Grekiem. Ale zadowolił się otarciem klingi o udo i odmaszerował ze swymi ostatnimi ludźmi. Ich honor nie pozwalał im biec, choć ulica była już zatłoczona uciekinierami.

Stałem samotnie przy bramie wypadowej i czekałem na uzgodniony sygnał rogu do kontrataku. Byłem sam, ale nagle stanął u mego boku ten, którego spotkałem już w czasie trzęsienia ziemi na Węgrzech, a potem pod Warną koło zwłok kardynała Cesariniego. Był mroczny, poważny i był moim własnym odbiciem. Poznałem natychmiast u niego moją własną twarz, moje własne spojrzenie.

Powiedziałem:

— Spotykamy się przy bramie Świętego Romana, tak jak zapowiedziałeś. Nie uciekłem jak ów kupiec z Samary.

Uśmiechnął się chłodno:

— Dotrzymujesz swoich obietnic, Johannesie Angelosie.

Powiedziałem:

— Wówczas nie wiedziałem nawet, gdzie się znajduje ta brama. Ale los przyprowadził mnie tutaj.

Nad nami na koronie muru, biegli już janczarowie. Pierwsze promienie porannego słońca zabarwiały na czerwono ich białe filcowe czapki. Czerwono błyszcząły także ich miecze, gdy ścinali ostatnich obrońców muru, żołnierzy i techników, kobiety, chłopców i starców bez różnicy. W pobliżu nas wołał i machał rękami cesarz Konstantyn, wzywając uciekających do kontrataku. Ale z gromadki, która zebrała się wokół niego, wymykało się wielu, gdy tylko odwrócił się plecami, tak

że jego mały oddziałek topniał z każdą chwilą. Gdy cesarz to spostrzegł, zakrył twarz rękami i wykrzyknął:

— Czyż nie ma żadnego chrześcijanina, który zmiłuje się nade mną i zetnie mi głowę.

Anioł śmierci skinął do mnie z uśmiechem:

— Widzisz sam, że on potrzebuje mnie bardziej niż ty. — I mroczny przybysz, moje odbicie, odszedł cicho ku cesarzowi, by z nim porozmawiać. Cesarz zsiadł z konia, zerwał z szyi łańcuchy i rzucił na ziemię haftowany złotem płaszcz. Wcisnął hełm na głowę, wziął okrągłą tarczę, podaną mu przez kogoś, ruszył pierwszy przeciw janczarom, którzy spadali, staczali się i zeskakiwali z muru. Jego dworzanie i przyjaciele z dzieciństwa, którzy poświęcili życie, poszli za nim pieszo z wyciągniętymi mieczami i ten przykład sprawił, że jeszcze kilku z uciekających zatrzymało się, by pójść za nim.

Było nas prawdopodobnie około stu. Najpierw idąc, a później biegnąc zwartą grupą rzuciliśmy się do ostatniego przeciwnatarcia, gdy janczarowie już wciągali swój sztandar na wielki mur i runęli do miasta. Potem wszystko stało się rojowskiem szczękających tarcz i błyskających kling i w tym zamieszaniu walczących straciłem oparcie dla stóp i padłem nie mogąc już unieść miecza. Dostałem cios w ramię, a potem w głowę i oślepiający czerwony blask zgasił moją świadomość. Jak szalejący sztorm przewalili się Turcy przeze mnie wdeptując mnie w ziemię.

Słońce podniosło się już trochę i nabrało złotego koloru, gdy przyszedłem do przytomności. Zrazu nie zdawałem sobie sprawy, gdzie jestem. Udało mi się odwalić ciepłe jeszcze trupy, które mnie przykrywały. Usiadłem i stwierdziłem, że nie jestem ciężko ranny, jakkolwiek w uszach dzwoniły mi niezliczone dzwony.

Gdy tak siedziałem na wpół oślepiony słońcem, ujrzałem dwóch zielono odzianych czauszów wędrujących wzdłuż muru w poszukiwaniu rannych. Od czasu do czasu zatrzymywali się i oddzielali jednym cięciem miecza jakąś jęczącą głowę od ciała. Zawołałem na nich po turecku i prosiłem, żeby i mnie zadali cios łaski. Ale starszy z nich poznał mnie i skłonił się głęboko przede mną dotykając dłonią czoła. Może widział mnie w świetle sułtana w czasie tych siedmiu lat, które spędziłem u Murada i Mehmeda.

Przyniósł wody i umył mi twarz, pomógł mi zdjąć hełm i kolczugę i wręczył mi turecki płaszcz zdjęty z trupa najmniej okrwawionego janczara w pobliżu. Nie wiem, czy myślał, że brałem udział w natarciu, czy że przebywałem w mieście jako

wywiadowca sułtana. W każdym razie powiedział mi, jak się nazywa, i prosił, żebym go zapamiętał. Kiedy spostrzegł moje zamroczenie, podał mi hasło i janczarów, i czauszów, podjął oszczep, do którego drzewca przywiązany był pasek tkaniny, i powiedział z uśmiechem:

— Nagroda Allacha jest wielka. Tego już nikt nie potrzebuje. Weź to i oznacz tym dom dla siebie.

Podpierając się oszczepem jak laską poszedłem chwiejąc się na nogach pod murem ku Kerkoporcie. Gdy zbliżałem się do bramy Charisiosa, usłyszałem zgiełk, który świadczył, że walka nie jest jeszcze skończona, mimo iż półksiężyc sułtański powiewały już także nad Blachernami. Przyszedłem akurat w porę, by zobaczyć, jak bracia Guacchardi wycofują się z walki ze swymi ludźmi. Ich wieża stawiała opór jeszcze długo po tym, jak Turcy przedarli się przez mur po obu jej stronach i wpadli szturmem do miasta. Obecnie bracia Guacchardi wsiadali na koń i tak wielki był postrach, jaki wzbudzała ich dzika odwaga, że Turcy anatolijscy nie chcieli ich już atakować, woląc zostawić ich w spokoju i udać się w głąb miasta na rabunek. A bracia Guacchardi już się nie śmieli. Najstarszy z nich wezwał swoich braci i zawołał:

— Jesteśmy jeszcze przy życiu, ale miasto jest zgubione. Drżyj, słońce, i biadaj, ziemio. Walka przegrana. Próbujemy uratować życie, dopóki może nam się to jeszcze udać.

Nakazali reszcie swoich ludzi, by chwycili za strzemiona, ogony i popręgi rumaków i odjechali, zostawiając po sobie na ulicy obfite krwawe ślady. Nawet janczarowie schodzili im z drogi i odwracali wzrok, jakby ich nie widzieli. W ten sposób okazywali szacunek męstwu braci Guacchardi, myśleli może, że lepsze jest pewne plądrowanie niż próżna śmierć w chwili zwycięstwa.

Bracia Guacchardi dotarli rzeczywiście do portu, choć całe miasto było już zdobyte, i schronili się na łaciński okręt. Noszą imiona Paulus, Antonius i Troilus, a najstarszy z nich nie skończył jeszcze trzydziestu lat. Nie nienawidzili Greków jak inni łacinnicy. Niech imiona ich żyją dalej.

W końcu doszedłem do Kerkopopty. Wyglądało tam tak, jakby Wenecjanie zrobili wypad z Blachern, gdyż na ziemi leżało wielu janczarów i paru młodych Wenecjan, zeszywniałych w pośmiertnym skurczu, umazanych krwią i piachem. Plac był pusty. Janczarowie już zeszli z korony muru, który zdobyli, i pozostawili tylko chorągwie sułtana. Sama Kerkopoporta była zamknięta i zaryglowana. A przed bramą!

Przed bramą leżał trup Anny Notaras. Krótko ostrzyżone włosy pozlepiane były krwią, a powieki na wpół otwarte. Chmary much roiły się już wokół jej ust i oczu. Jej hełm leżał kawałek dalej. Gardło, pachy, pachwiny, wszystkie miejsca nie chronione pancerzem pokłute były głębokimi ranami, tak że cała krew wypłynęła z jej ciała, które zastygło w straszliwie wykrzywionej pozycji.

— Gdzie jesteś, przybyszu, moje odbicie! — wykrzyknąłem. — Przyjdź do mnie, mroczny aniele! Nadeszła twoja chwila.

Ale on nie przyszedł. Byłem sam. Złapałem się oburącz za głowę i krzyknąłem:

— Manuelu, Manuelu, twoja jest wina! Odszukam cię, choćbyś schował się do piekła. Dlaczego mnie nie posłuchałeś?

Usiłowałem podnieść jej ciało, ale zbyt byłem słaby i bezsilny. Usiadłem koło niej i patrzyłem na jej martwą twarz, by uodpornić swe serce na myśl, że nie żyje. Odkąd zobaczyłem ją tam leżącą, podczas gdy wokół rozlegały się z ulic i domów śmiertelne krzyki, nie wierzyłem już w Boga ani w zmartwychwstanie.

— Kamień jest kamieniem — powiedziałem do siebie. — Ciało jest ciałem, trup jest trupem. Kiedy duch uleciał, nie ma już człowieka. Ten, kto nie oddycha, nie istnieje. Ciało astralne jest urojeniem jak wszystkie inne urojenia.

Wstałem, trąciłem stopą jej zwłoki, aż muchy zabrzęczały, i odszedłem. Trup jest tylko trupem i z trupem nie mam nic do czynienia.

Opierając się na oszczepie szedłem z obnażoną głową dalej główną ulicą w głąb miasta z nadzieją, że spotkam kogoś, kto się nade mną zmiłuje.

Ale nikt nie podniósł na mnie ręki.

Przy ulicy, która wiodła do klasztoru Chora, leżały wśród porąbanych ikon dziesiątki podeptanych trupów kobiecych. Trzymały wciąż jeszcze woskowe świece w kurczowo zaciśniętych palcach, a twarze ich były powykrzywiane w niemym krzyku niewysłowionej zgrozy.

Tu i ówdzie szalały jeszcze walki wokół wielkich domów, których mieszkańcy zabarykadowali drzwi i bronili się kuszami, kamieniami i statkami kuchennymi, wrzącą wodą i ogniem przeciw oblegającym janczarom. Ale na większości domów powiewały już proporczyki pierwszych zwycięzców i na ulicach słyhać było płacz i żalotne krzyki kobiet.

Aż do akweduktu cesarza Walentyna główna ulica usiana była greckimi trupami. Tam jakby to ślepe mordowanie ustało. Zacząłem teraz spotykać długie szeregi powiązanych z sobą Greków, pilnowanych tylko przez paru bosych pastuchów

z oszczepami. Kobiety obrabowane były z klejnotów, ich odzież poszarpana w poszukiwaniu ukrytych pieniędzy, a ręce związane z tyłu ich własnymi przepaskami. Wysocy i niscy, starcy i dzieci, rzemieślnicy i archontowie szli tam obok siebie, by ich potem rozdzielono w tureckim obozie, tak aby biedni mogli zostać sprzedani jako niewolnicy, a bogaci zapłacić okup.

Poszedłem w stronę portu. Duże połacie miasta wyglądały jeszcze na całkiem opustoszałe i nie było tam widać żadnych Turków. Mur portowy naprzeciw Pery, strzeżony przez flotę, utrzymywany był wciąż jeszcze przez łacinników. Ogromny, rojący się tłum tłoczył się przed bramami portu błagalnie wyciągając ręce. Wszyscy żebrawali o miłosierdzie i miejsce na jakimś okręcie. Ale strażnicy zamknęli bramy i rzucili klucze do wody, z wyjątkiem bramy floty, która była bezlitośnie strzeżona przez okręty żołnierzy z oszczepami i mieczami. Na murze nad nimi strażnicy wymachiwali płonącymi lontami i grozili ochrypłymi i skrzeczącymi głosami, że dadzą ognia z hakownic prosto w tłum, jeśli nie cofnie się i nie zrobi miejsca dla łacińskich żołnierzy, którzy pokryci krwią od stóp do głów i bliscy omdlenia od czasu do czasu torowali sobie drogę do czekającego ich w porcie bezpieczeństwa.

Wiele kobiet poraniło sobie ciężko dłonie chwytając za miecze i próbując ubłagać żołnierzy. Bogacze i wielmoże na próżno wyciągali ciężkie mieszki z pieniędzmi, chcąc kupić sobie miejsce na okrętach.

Wszedłem wyżej na wzgórze, by zajrzeć przez mur do portu. Tu i ówdzie stały drabiny oparte o mur i najbardziej przedsiębiorczy z tłumu spuszczały się do wody na linach, żeby wplaw dostać się do okrętów. Przy trapach wiodących na pokłady uzbrojeni strażnicy odpychali płynących albo wskazywali im inne okręty. Tak więc niejedni musieli pływać od okrętu do okrętu, dopóki siły go nie zawiodły i nie utonął. Na niektóre okręty wpuszczano jednak najsilniejszych, gdyż załoga i wiosłarze nie wszędzie byli w komplecie.

Przepełnione po brzegi łodzie podpływały nieustannie do okrętów i wracały po nowe ładunki. Zabierały nie tylko łacinników, którzy uratowali się z muru, ale także towary i skrzynie. W zamieszaniu, jakie panowało tego dnia, tylko flota jakby zachowała jakiś porządek. Także niektórych Greków zabierano na okręty, w miarę jak było miejsce i jeśli mieli stosunki z Genuńczykami albo Wenecjanami.

Gdy tak stałem na zboczu wzgórza, zobaczyłem, jak największy okręt genueński podnosi żagle i z pomocą wiatru i wiosła bierze kurs prosto na zaporę, by starać się ją przerwać. Był to ogromny okręt z co najmniej dwoma tysiącami ludzi na pokładzie.

Łańcuch zapory ustąpił, ale nie pękł i okręt zatrzymał się ze wstrząsem, od którego zadrżał od dziobu do rufy. Maszty się jednak nie połamały, gdyż Genuieńczycy są biegłymi żeglarzami i znają swoje rzemiosło.

Podczas gdy północny wiatr przyciskał okręt do łańcucha zapory, przypominającego łuk, dwaj rośli żeglarze wyskoczyli na bale zapory, każdy z szerokim toporem. Z rozpaczliwą siłą zaczęli je rąbać miarowymi uderzeniami, i nagle łańcuch pękł i okręt dumnie wypłynął z wydętymi żaglami z portu, tak że obaj żeglarze ledwie zdążyli wdrapać się z powrotem na pokład. Za dużym okrętem poszły trzy mniejsze, ale weneckie jednostki dalej stały spokojnie na kotwicy.

Ani jeden okręt turecki nie wypłynął, by atakować uciekających, gdyż tureccy żeglarze opuścili swoje galery na całym morzu Marmara. Podobnie jak żołnierze byli w pełni zajęci znoszeniem łupów wojennych i zganianiem gromad jeńców. Wielu z nich byli to Żydzi, gdyż żeglarze tureccy natrafili przede wszystkim na Giudecę, żydowską część miasta, i zatrzymali się tam, by szukać legendarnych żydowskich klejnotów i złota. Dlatego właśnie tak wielu ludziom udało się uciec do portu, mimo że Turcy zdobyli już większą część miasta.

Podczas gdy pierwsze okręty już uciekały, purpurowy proporzec cesarski powiewał wciąż jeszcze z wieży na przylądku Akropolis. Stawiali tam opór kreteńscy żeglarze i Turcy nie mieli jakoś ochoty atakować ich pełną siłą, gdyż zdawali sobie sprawę, że obrońcy nie zamierzali się poddać, choć całe miasto zostało zdobyte.

Nie miałem nic do roboty w porcie, poszedłem dalej w górę zbocza do mego domu. Wydawał się opuszczony. Nie było widać żadnych Turków, tylko winiarnia naprzeciw była splądrowana i przed schodami lśniła kałuża wina.

Wbiłem oszczep ze strzępką materiału obok kamiennego lwa u bramy i objąłem swój dom w posiadanie. Potem wszedłem do wnętrza i zawołałem na Manuela. Po krótkiej chwili odpowiedział mi z piwnicy drżącym od strachu głosem:

— Czy to ty, panie?

Wypełzył na czworakach i usiłował objąć mnie za kolana. Kopnąłem go mocno w pierś nie zważając na jego wątłość i siwą brodę.

— Dlaczego mnie nie usłuchałeś? Dlaczego nie zrobiłeś tak, jak ci kazałem?! — krzyknąłem z furią usiłując bezsilnymi rękami wydobyć miecz, który przywarł do pochwy. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że była to turecka krzywa szabla, a płaszcz, który dał mi czausz, i turban, którym owinął mi zranioną głowę, upodobniły mnie do Turka.

— Bogu niech będą dzięki, że jednak służysz sułtanowi — ucieszył się Manuel szczerze. — Zręcznie potrafiłeś zachować swoją tajemnicę aż do ostatka, tak że nawet ja ci uwierzyłem. Teraz weźmiesz mnie chyba pod opiekę. Wybrałem już wiele domów, które pomogę ci plądrować.

Rzucił na mnie okiem i dodał spieszenie:

— To znaczy... dla zabicia czasu zastanawiałem się, co bym zrobił, gdybym był Turkiem. Powiedz mi, czy to prawda, co mówią, że cesarz poległ.

A kiedy kiwnąłem głową potakująco, zrobił żywo znak krzyża i powiedział:

— Bogu dzięki. W takim razie nie ma już żadnych wątpliwości, że wszyscy jesteśmy legalnie poddanymi sułtana. Panie, weź mnie na swego niewolnika, żebym mógł odwoływać się do ciebie, gdyby ktoś inny chciał mnie uprowadzić.

Nie mogłem już z nim dłużej wytrzymać. Złapałem go za brodę i szarpnąłem tak, że musiał patrzeć mi w oczy:

— Gdzie jest moja żona, Anna Notaras, którą ci powierzyłem i którą poprzysiągłeś ratować?

— Nie żyje — rzekł Manuel po prostu, wysmarkał się przerażony w palce i wybuchnął gorzkim płaczem. — Powiedziałeś, żebym, gdy wszystko będzie stracone, uderzył ją w głowę, gdyby nie chciała iść ze mną dobrowolnie i przewiózł ją łodzią na okręt Giustinianiego. I ukryłem już w tym celu osiołka, ale straciłbym go chyba zaraz na początku, gdyby nie udało mi się go sprzedać jednemu Wenecjaninowi, który chciał przewieźć z Blachern do portu szafę wykładaną mozaiką. Była to bardzo piękna szafa.

— Anna! — krzyknąłem i szarpnąłem go za brodę.

— Nie szarp mnie za brodę, panie, bo to boli — bronił się Manuel z wyrzutem. — Robiłem, co mogłem, i narażałem życie dla tej szalonej kobiety z czystej wierności dla ciebie, i nie żądam za to żadnego wynagrodzenia. Ale ona nie chciała mnie słuchać. I kiedy się dowiedziałem, jakie są jej powody, nie mogłem postąpić inaczej, jak tylko zostać z nią i czekać na rano.

Patrzył na mnie z wyrzutem, tarł gniewnie kolana i ciągnął na wpół szlochając:

— Takie jest więc twoje podziękowanie, szarpiesz mnie i targasz, choć bolą mnie znowu kolana i na dodatek rozboleła mnie gardło. Widzisz, twoja żona nie mogła zdobyć się, żeby powiedzieć ci o hańbie swego ojca, bo bierzesz wszystko tak poważnie. Ale w domu ojca dowiedziała się przypuszczalnie o jego planie, by w czasie szturmie potajemnie zostawić otwartą i nie strzeżoną podziemną Kerkopoportę, tylko

jako dowód dobrej woli Greków. To znaczy megaduks nie sądził, by to było z jakimś pożytkiem dla sułtana. Turcy nie mogliby przecież i tak wtargnąć tamtędy, między murem zewnętrznym a wielkim murem, co najwyżej jakaś całkiem mała grupa po zdobyciu wpierw muru zewnętrznego koło bramy Charisiosa. Ale Notaras uważał, że miałoby to wielkie znaczenie polityczne, jako dowód współpracy Greków, by brama ta stała otwarta.

— Bez wątpienia — rzekłem. — Granica między opozycją polityczną a zdradą jest naturalnie cieniutka jak włos. Ale pozostawienie otwartej i nie strzeżonej bramy wypadowej jest zdradą. Nikt nie może temu zaprzeczyć. Niejednego już powieszono za dużo mniejsze rzeczy.

— Zdrada, oczywiście — przyznał Manuel skwapliwie. — Tak też uważała twoja żona i dlatego uciekła do ciebie. Naturalnie także i dlatego, że kochała cię, choć nie miała zbyt wielkiego wyobrażenia o twoim rozsądku. Ale ze względu na ojca chciała przeszkodzić zdradzie i dopilnować, by brama nie stała otwarta. Dlatego poszedłem za nią do Kerkoporty, jak sam nakazałeś, gdyż uważałeś, że jest to bezpieczne miejsce, hm, rzeczywiście! I tam zatrzymaliśmy się, choć greccy wartownicy wielokrotnie usiłowali nas odpędzić i mówili, że nikt nas tam nie chce. Kim byli, nie wiem, bo bardzo starannie ukrywali twarze w ciemności. Przypuszczalnie byli to ludzie megaduksa, którzy na jego rozkaz przejęli straż i odesłali poprzednie posterunki.

A później, gdy to się zaczęło — ciągnął Manuel — całkiem po prostu podnieśli rygle i otwarli bramę, gdyż mieli klucz, prawdziwy czy dorobiony. Twoja żona podeszła wtedy ku nim z mieczem w ręku i zażądała klucza. Najpierw usiłowali ją zastraszyć, ale gdy spostrzegli, że to nie pomaga, rzucili się na nią wszyscy naraz, a było ich pięciu, i zakłuli, nim zdążyła krzyknąć.

— A ty, co ty zrobiłeś? — zapytałem.

— Uciekłem — wyznał Manuel z poczuciem winy. — Uciekłem tak szybko, jak mogłem, i w ciemności nie złapali mnie, choć bolały mnie kolana. A skoro nie mogłem inaczej, poszedłem i sprzedałem mego osła Wenecjaninowi, jak ci już mówiłem.

— Na Boga! — wykrzyknąłem. — Dlaczego nie zaalarmowałeś Wenecjan?

— Próbowałem — odparł Manuel — ale mi nie uwierzyli. Byli zajęci obroną muru w Blachernach. I dowódca pokazał mi mapę, na której było zaznaczone, że Kerkoporta nie należy do nich, tylko do Greków.

Manuel zaczął chichotać i przytknął dłoń do ust:

— Myślał z pewnością, że jestem szalony albo że wszystko to jest podstępem Greków w celu osłabienia Wenecjan. W Blachernach mur jest przecież cały pokryty napisami: "Idźcie do domu, łacinnicy!" i tym podobnymi. W końcu zagroził, że mnie powiesi, jeśli będę mu się jeszcze naprzykrzał. Wtedy poszedłem po pomoc do braci Guacchardi, ale było już za późno w nocy i oni mieli aż nadto roboty z odpieraniem Turków z wyłomu w wielkim murze. A potem — tak, wtedy...

Rzucił na mnie nieśmiałe spojrzenie i rzekł z ociąganiem:

— Pewnie mi nie uwierzysz, ale wtedy pomyślałem, że ja też jestem Grekiem i mój ojciec był nosicielem drzewa u cesarza Manuela. Naturalnie myślałem również z żalem w sercu o moich ukrytych pieniądzech i moim jedynym życiu, ale mimo to podniosłem miecz jakiegoś poległego i pobiegłem z powrotem do Kerkoporty.

Jak gdyby dopiero teraz zdumiał się z powodu własnej głupoty, rozłożył ręce i krzyknął:

— Jak prawdą jest, że tu stoję, pobiegłem z powrotem do Kerkoporty myśląc, że może w jakiś sposób zdołam ją znowu zamknąć. Ale na szczęście moja odwaga przyszła za późno. Spotkałem janczarów sułtana, a wtedy odrzuciłem spiesznie miecz i podniosłem ręce prosząc Świętą Dziewicę w Blachernach, by mnie chroniła. I modlitwa moja pomogła cudownie, gdyż Turcy chwycili mnie za oba ramiona jak w śrubsztak i w nędznej greczyźnie kazali, bym ich zaprowadził do klasztoru Chora, choć było ich tylko dwudziestu. I pobiegliśmy tam co siły w nogach. W każdym razie byli to dzielni ludzie.

— Wtedy właśnie Turcy przedarli się przez bramę Świętego Romana — rzekłem — nie, zdrada pod Kerkoportą nie miała żadnego znaczenia. I brama była zamknięta, kiedy byłem tam dziś rano.

— Tak, gdy tylko Wenecjanie ujrzeli sułtańskie chorągwie, zrobili mężny wypad — mówił Manuel. — Kiedy się obejrzałem za siebie, wybiegali właśnie z drzwi w murze pałacowym z błyszczącymi mieczami, w pancerzach i z chorągwią z lwem powiewającym nad nimi. Janczarów, którzy zatrzymali się przy bramie, zabili, a potem zamknęli Kerkoportę, zanim wycofali się z powrotem do Blachern.

— A ty? — zapytałem.

— Pokazałem janczarom drogę do klasztoru Chora i miałem nadzieję, że cudowna Dziewica uspokoi ich dzikie instynkty — wyjaśnił Manuel skłopotany. — Ale tak zła jest ludzka natura, że ich żądza rabunku zwyciężyła wszystko inne. Cały kościół ubrany był różami i przepelniony po brzegi kobietami, które modliły się ze świecami

w dłoniach. Janczarowie zhańbili jednak świątynię i zaczęli wyrąbywać sobie drogę wśród bezbronnych kobiet w stronę ikonostasu. Tam wylamali drzwi i pocięli zaraz cudowną ikonę na cztery kawałki. Wówczas ogarnęła mnie zgroza, nie chciałem dłużej przebywać w tak bezbożnym towarzystwie i uciekłem wraz z kobietami.

Potem przyłączyłem się do Wenecjan, gdy opuszczali Blacherny — opowiadał dalej Manuel. — Na szczęście niektórzy z nich mnie znali. Inaczej zabiliby mnie tylko dlatego, że jestem Grekiem. Kiedy torowali sobie drogę przez miasto, ścinali i Turków, i Greków bez różnicy i splądrowali wiele domów, gdyż mieli sporo czasu. Byli wściekli, że tyłu ich towarzyszy poległo niepotrzebnie na murach, a ich bailon dostał się do niewoli tureckiej. Poszedłem z nimi do portu, a potem ukryłem się tutaj w piwnicy i poleciłem moje życie Bogu. Miałem zamiar wyleźć dopiero jutro, gdy Turcy już się trochę uspokoją. Dziś wygląda to tak, jakby chcieli zabić każdego, kogo napotkają, dla samej tylko przyjemności zabijania, z wyjątkiem kobiet oczywiście, z których mają więcej przyjemności w inny sposób.

— Tutaj jesteś bezpieczny, dopóki ten oszczep stoi przed bramą — powiedziałem. — To mój znak i nikt się tutaj nie wdrze. Dom jest mały i nie ma tu nawet żadnych kobiet. Ale gdyby ktoś przyszedł, powiedz tylko, że dom jest zajęty, wymień moje imię po turecku i powiedz, że jesteś moim niewolnikiem. Wtedy nic ci się nie stanie. Niech Bóg będzie z tobą.

Manuel przerażony czepiał się mnie i wołał:

— Dokąd idziesz, panie? Nie opuszczaj mnie!

— Idę odwiedzić zdobywcę — odrzekłem. — Miano zdobywcy słusznie mu się należy. Niech od tej pory wśród wszystkich sułtanów nazywa się Mehmed Zdobywca. Gdyż on zostanie największym z nich i będzie panować na Wschodzie i na Zachodzie.

Poszedłem aż na brzeg, gdzie załogi tureckich okrętów były żywo zajęte plądrowaniem, i na własne oczy zobaczyłem, iż sułtan rzeczywiście kazał czauszom wziąć pałac Notarasa pod ochronę. Rozmawiałem z nimi i powiedzieli mi, że zarówno megaduks Notaras z dwoma synami, jak i jego chora żona są bezpieczni w murach tego domu.

W południe wróciłem do bazyliki i widziałem stamtąd, jak ostatnie okręty chrześcijańskie wysoko załadowane wypływały z portu. Ani jeden okręt turecki ich teraz nie atakował. Żagle wydeły się północnym wiatrem, a na masztach powiewały znaki wielu chrześcijańskich krajów, nie pokonane, posyłając pożegnanie umierającemu Konstantynopolowi.

— Niesiecie chrześcijaństwu śmiertelne posłannictwo! — zawołałem. — Drzyjcie kraje zachodnie. Po nas przyjdzie kolej na was. Czy nie widzicie, że zabieracie z sobą noc nad Europę?

W tejże chwili zaczęli zbierać się zewsząd tureccy żołnierze, a główną ulicą zbliżał się wspaniały orszak sułtana, otoczony odzianymi na zielono czauszami. Towarzyszyła mu straż przyboczna z napiętymi łukami, a przodem biegli lauferowie wymachując naczyniami, z których unosił się zapach pachnidła. Konie deptały po greckich trupach, leżących jeszcze na ulicy, a haremowi chłopcy z włosami w loczkach sypali płatki różane przed rumakiem sułtana.

Przed wyłamanymi spizowymi wrotami sułtan Mehmed zsiadł ze śnieżnobiałego wierzchowca. Jego młoda, gniewna twarz drżała ze zmęczenia, ale w żółto mieniących się oczach lśniła zimna radość zwycięzcy, radość, jakiej jeszcze nigdy nie widziałem u niego. Patrzyłem na jego szczupłą twarz, wąski orli nos i spiczastą brodę i ogarnęło mnie raz jeszcze to samo połączone ze zgrozą oczarowanie, jak w owych latach, kiedy żyłem w jego pobliżu.

Zsiadłszy z konia ujął żelazny nadziak w lewą dłoń, skłonił się głęboko, podjął garść ziemi i posypał sobie głowę. Janczarowie sądzili, że w taki sposób korzy się przed Bogiem, i milczeli z szacunku. W rzeczy samej sądzę, że przez to wyświęcał siebie na syna prochu i chciał tylko okazać swój szacunek dla śmierci.

Wszedł do kościoła ze świtą, a ja poszedłem za nim pośród pierwszych. Na posadzce leżało kilka okrwawionych trupów. Gromada janczarów plądrowała kościół w najlepsze, niszcząc ikony. Zrywali rami ze srebra i złota i zbierali wszelkie kosztowności w obrusy zdarte z ołtarzy i w haftowane perłami ornaty. Pośrodku kościoła stał janczar i rąbał toporem marmurową płytę, szukając ukrytych skarbów.

Sułtan Mehmed podszedł do niego szybko, zwałił go bezlitośnie na ziemię nadziakiem i zawołał z ciemniejącą od gniewu twarzą:

— Nie tykajcie mojej własności! Obiecałem wam łup, ale budynki są moje.

Towarzysze janczara wywlekli go spiesznie za nogi, zanim sułtan zdążył go zabić. Można było sądzić, że bezmierny gniew sułtana pochodzi z zawiści, iż jego prości podwładni zdobyli sobie tak ogromne bogactwo. Ale Mehmed nie jest taki. Nie skarbów pożąda. Tylko władzy.

Stał i rozglądał się wokół siebie po kościele, jakby nie wierzył świadectwu własnych oczu o jego ogromie i wspaniałości. Młodzi dowódcy ze świty nie mogli się

już dłużej opanować. Jeden z nich umoczył dłoń w kałużę na posadzce, odbił się z całej siły, podskoczył w górę i uderzył dłonią w ścianę na wysokości, którą osiągnął.

— Tam jest mój znak! — krzyknął. Czerwony odcisk dłoni znajdował się tak wysoko, że trzech ludzi musiało stanąć jeden drugiemu na ramionach, by do niego dosięgnąć.

Sułtan Mehmed wziął pozłacany łuk od najbliższego z przybocznej straży, napiął, wycelował w górę i wypuścił drżącą strzałę wysoko w olbrzymią kopułę.

— A tam jest mój! — wykrzyknął, rozejrzał się wokoło i kazał janczarom wyłamać ikonostas, by odsłonić ołtarz. Gdy ściana zwała się, nakazał: — Wołajcie wszyscy razem: “Emir Turków, Mehmed, syn Murada, przybył, żeby poświęcić największy kościół chrześcijaństwa jednemu Bogu!”

Żołnierze, którzy na chwilę zapomnieli o plądrowaniu i wcisnęli się do kościoła, by pójść za sułtanem, wnieśli gromki okrzyk i echo dźwięczało długo pod cudownym sklepieniem. Wtedy stał się cud. Zza ołtarza podniosło się jeden za drugim dwudziestu greckich biskupów, kapłanów i mnichów, odzianych w uroczyste szaty i wszelkie insygnia kościelne. Podeszli do sułtana, padli przed nim na kolana i oddali się w jego ręce. Wśród nich był Gennadios. Podczas zdobywania miasta ukrywali się w jednym z wielu sekretnych zakamarków kościoła.

Wydawało się, że to wszystko dzieje się w wyniku jakiegoś tajnego porozumienia. Tłumaczy to może gniew sułtana, gdy zobaczył, jak jeden z janczarów rozwała kościelną posadzkę. Powiedział bowiem do janczarów:

— To są moi jeńcy, albowiem mnie się oddali. Nikomu nie wolno ich tknąć, ale zapłacę wam sto asprów odszkodowania za każdego z tych wysoko postawionych chrześcijańskich kapłanów. Odprowadźcie ich do jakiegoś klasztoru, który mogą sobie wybrać, i oddajcie pod ochronę czauszów.

Biskupi i kapłani krzyknęli jak jeden mąż: — Wybieramy Pantokratora!

W tejże chwili derwisze i uczeni towarzyszący sułtanowi zawołali, że nadeszła pora południowej modlitwy. Sułtan kazał podać wodę i umył się spiesźnie, podczas gdy Janczarowie wyprowadzali chrześcijańskich kapłanów. Potem wszedł bosy na ołtarz, podeptał krzyż, zwrócił twarz ku wschodowi i zaintonował modlitwę. Jego świta i żołnierze padli na twarze, przycisnęli czoła do podłogi i muzułmańską modlitwą poświęcili najcudowniejszy kościół chrześcijaństwa Allahowi.

Po modlitwie sułtan nakazał derwiszom, żeby dopilnowali, by kościół oczyszczono różaną wodą z wszelkiego chrześcijańskiego brudu.

Gdy szedł przez kościół, by wyjść na zewnątrz, wystąpiłem przed niego bez słowa: poznał mnie. Twarz jego zrobiła się szara jak glina, rozejrzał się dokoła i szepnął:

— Już przyszedłeś, żeby mnie zabrać, Aniele?

Gdy tylko się opamiętał, podniósł dłoń i nakazał świcie:

— Nie tykajcie go! — Potem przystąpił do mnie blisko, dotknął mojej twarzy, wybuchnął śmiechem i wykrzyknął:

— Więc jeszcze żyjesz, nieprzekupny! Wierzysz już, że pewnego dnia będę stawiał konie w kościołach twego papieża?

Powiedziałem:

— Wiedziałeś więcej niż ja. Nie było mi pisane umrzeć na murach mego miasta. Każ zatem ściąć mnie teraz, aby twoje zwycięstwo było zupełne.

Uśmiechnął się rzucając złotomigotliwe spojrzenie i rzekł:

— Aniele, miej cierpliwość. Na wszystko jest czas.

Nie troszcząc się o mnie więcej wyszedł z kościoła. Przyłączyłem się do świty, żeby być w jego pobliżu, gdyż moje pragnienie śmierci było silniejsze od wszelkich pragnień, jakich zaznałem. W świcie sułtana było też wielu takich, co mnie znali, ale nikt nie chciał ze mną rozmawiać.

Tymczasem przyprowadzono do kościoła magaduksa Łukasza Notarasa i grupę znakomitych greckich jeńców. Uklękli przed sułtanem Mehmedem. Przemówił do nich surowo, pytając, dlaczego tak zaciekle bronili się i przez to narazili tylko miasto na niepotrzebne zniszczenie, a wojska sułtańskie na wielkie straty.

Notaras patrzył w milczeniu na wielkiego wezyra Halila, który z długą brodą, przygnębiony, stał po prawej ręce sułtana. Mehmed wziął go z sobą celowo, by pokazać mu pełnię swego zwycięstwa.

— Mów swobodnie! — powiedział sułtan.

— Czyż mogliśmy inaczej, skoro w twoim własnym obozie i między najbliższymi ci mężami są ludzie, którzy wzywali nas, byśmy stawiali opór — odrzekł Notaras kwaśno, wciąż jeszcze patrząc oskarżycielsko na Halila.

Mehmed zwrócił się do Halila, chwycił go mocno za brodę i szarpnął trzęsącą się starczą głową.

— Poznaję cię, przyjacielu Greków! — wykrzyknął dźwięcznym głosem, tak żeby usłyszeli to janczarowie. — Służyłeś jednak wiernie mojemu ojcu, podobnie jak twój ojciec i dziadek stali po prawej stronie sułtana jako wielcy wezyrowie. Dlatego też

ułaskawię cię i nie każę cię ściąć, choć na to zasłużyłeś. Ale nie pokazuj mi się nigdy więcej na oczy. Schowaj się jako żebrak w najdalszych okolicach mojego królestwa, podobnie jak twój dziad kiedyś jako żebrak stanął przed swoim sułtanem.

Ten nagły wyrok był śmiałym postępkim, ale była to chwila, na którą Mehmed czekał od swej młodości równie gorąco, jak na zdobycie Konstantynopola. Młodzi dowódcy w jego świcie zaczęli lżyć Halila, a po krótkiej chwili wahania także i janczarowie przyłączyli się do krzyków. Sułtan przypatrywał się bystro swemu otoczeniu i wskazał kilku starców, którzy nie poniżyli się do tego, by przyklasnąć jego sprawiedliwemu wyrokowi.

— Idźcie za Halilem — nakazał.

Czauszowie podbiegli i zdarli z nich honorowe kaftany. Na wpół nadzy i lżeni szli starcy wraz z Halilem drogą swego poniżenia. Janczarowie współzawodniczyli z sobą w obrzucaniu ich obelgami i miotali za nimi grudy skrwawionej ziemi.

Gdy odeszli, sułtan zwrócił się ponownie do greckich jeńców i zapytał:

— Gdzie jest cesarz? Co o nim wiecie?

Grecy spojrzeli po sobie i potrząsnęli głowami. Sułtan udał zdziwionego i zapytał drwiąco:

— Jak to możliwe? Czyście więc nie walczyli u jego boku?

Kilku z senatorów zwiesiło ze wstydem głowy, ale Łukasz Notaras odparł butnie:

— Cesarz Konstantyn zdradził naszą wiarę i sprzedał nas papieżowi i łacinnikom. Nie uznajemy go jako naszego cesarza, wolimy raczej służyć tobie.

Sułtan nakazał, by wszędzie obwieszczono, że należy odnaleźć trupa cesarza, jeśli padł w boju. Wyznaczył nagrodę dla tego, kto go znajdzie, jak również dla tego, kto udowodni, że zabił greckiego cesarza. Gońcy nie potrzebowali nawet wyruszyć na miasto, gdyż dwóch janczarów przecisnęło się natychmiast do sułtana. Obaj przysięgali na Allacha i na swoje brody, że własnoręcznie zadali cesarzowi cios łaski, i zaczęli się gwałtownie klócić przed sułtanem. Posłano ich, żeby szukali ciała, i pospieszyli na mury żywo gestykułując i przekrzykując się na temat, którego to z nich cios trafił cesarza.

Sułtan rozmawiał dalej życzliwie z Grekami, obiecywał im złote góry i oświadczył, że chce przekazać rządy miasta tym, którzy mają po temu warunki i są godni zaufania. Dlatego prosił pojmanych Greków o imiona i propozycje, żeby natychmiast móc wykupić notabli, z których mógłby mieć pożytek.

Łukasz Notaras wyliczył ze trzydzieści imion. Po naradzie inni Grecy dodali każdy imiona swoich przyjaciół. Wtedy nie mogłem się już dłużej powstrzymać, podszedłem do Notarasa i krzyknąłem:

— Szalony zdrajco! Nie pociągaj innych ze sobą do zguby!

Notaras wpadł w gniew, gdy mnie zobaczył w świetle sułtana, i zawołał gwałtownie:

— Giętka polityka nie jest zdradą. To jedyny ratunek dla ludu będącego w potrzebie. Jeśli zabrudziłem sobie ręce, zrobiłem to dla mego ludu. Ktoś musiał to uczynić. Może trzeba do tego więcej odwagi niż poświęcenie życia. Nie znasz mnie tak dobrze i nie możesz mnie sądzić.

Rzekłem:

— Twoja własna córka znalazła cię i osądziła. Twoi własni ludzie zamordowali ją pod Kerkoportą, gdy usiłowała oczyścić cię z hańby.

Notaras zbladł z przerażenia i wzrok jego stał się błędny. Gorzko zawołał:

— Nie mam żadnej córki! Nigdy nie miałem. Mam tylko dwóch synów. Co bredzisz o Kerkoporcie?

Patrzył błagalnie to na sułtana, to na swoich ziomków, którzy odsunęli się zostawiając wokół niego puste miejsce. Z gwałtownym wysiłkiem przewyciężył podniecenie, uśmiechnął się drżącymi wargami i zwrócił się do sułtana:

— Ten człowiek, twój posłannik, zdradził cię. Sam może zaświadczyć, że wiele razy na próżno proponowałem mu współpracę na twoją rzecz. Ale z czystej chciwości i żądzy sławy odrzucił moje poparcie, by działać na własną rękę i zyskać twoją łaskę moim kosztem. Nie wiem, co zdołał dla ciebie, ale nie może tego być dużo. Był w przyjaźni z łacinnikami i Giustinianim. Bóg niech mi będzie świadkiem, że lepiej niż on służyłem ci w Konstantynopolu.

Mehmed uśmiechnął się tylko zimno, mrugnął do mnie i znów powiedział:

— Nieprzekupny, zdobądź się na cierpliwość.

Wydał rozkaz swemu skarbnikowi, zwrócił się do Greków i rzekł:

— Idźcie z moim skarbnikiem i szukajcie wśród jeńców w obozie i na okrętach tych, których imiona wymieniliście. Wielu może przebrało się, by ukryć swoją rangę, i nie odważą się zdemaskować, jeśli sam tylko mój skarbnik będzie o nich pytał. Ale wam zaufają i was poznają. Wykupcie ich od handlarzy niewolników i żołnierzy. Pozwalam wam zapłacić tysiąc asprów za każdego. Uważam ich za tak ważnych dla moich planów.

Grecy, zachwyceni tą łaską, poszli chętnie za skarbnikiem żywo rozmawiając i rozdzielając już między siebie najbardziej dochodowe urzędy w mieście. A Mehmed patrzył na mnie z uśmiechem, wiedząc, że znam jego serce. Notarasa kazał odprowadzić do jego pałacu i przyjaźnie życzył jego żonie szybkiego wyzdrowienia.

Mnie nie poświęcił już więcej ani jednego spojrzenia, lecz odjechał ze swiątą z powrotem do obozu, by celebrować zwycięstwo. Towarzyszyłem mu aż do Blachern. Tam zatrzymał się, by rzucić okiem na sale pałacu, które Wenecjanie spustoszyli i splądrowali. Wobec swojej świty zacytował:

*Sowa krzyczy w kolumnowych salach Efrasiaba,
pająk pilnuje bramy cesarskiej.*

Wróciłem teraz do Kerkoporty i pochowałem Annę Notaras w dużej wyrwie, którą kula armatnia zrobiła w murze. Lepszego i szczytniejszego miejsca nie mogłem znaleźć. Pomyślałem też, że jej brązowe oczy pewnego dnia wzejdą jak ciemne kwiaty i patrzeć będą na miasto z ruin muru.

W tym mieście, pijanym krwią i gwałtem, życie ludzkie było tańsze i znaczyło mniej, niż kiedykolwiek było to do pomyślenia. Gdy tylko sułtan się oddalił, Turcy zaczęli bez wahania zabijać się nawzajem w bójkach o łup i niewolnice, które wzbudziły ich pożądanie. Nieuczni derwisze podniecali się do fanatycznych ekscesów i okaleczali nożami wielu greckich niewolników, wzbraniających się uznać Proroka.

Przez ten przeraźliwy chaos wędrowałem zdrętwiały z żałoby, ale nikt mi nie zrobił nic złego. Sam nie kierowałem moimi krokami, zdałem się na przypadek, gdyż przeznaczone było, że mam zobaczyć wszystko, co się stało. Jest jednak granica tego, co człowiek może wytrzymać. Kiedy miarka się wypełni, tępieją miłosiernie wszystkie zmysły i oczy patrzą, ale nie widzą. Teraz już nic nie raniło mego serca.

Wędrowałem dalej. Z szałasów, gdzie ranni Grecy i łacinnicy leżeli na okrwawionej słomie, wywleczono wszystkich chrześcijan i ścięto im głowy, a trupy zwalono ma kupę koło drzwi. Miejsca ich zajęli ranni tureccy. Ich jęki, ich odór, ich bezradność były takie same jak u chrześcijan. W wielu językach wołali rozpaczliwie o wodę albo błagali kolegów, by położyli koniec ich męczarniom.

Rannych pielęgnowało kilku tureckich felczerów, starzy derwisze i greckie mniszki, zmienione w niewolnice i zmuszone do tego brudnego i cuchnącego zajęcia,

gdyż z powodu starości i wyglądu nie nęciły zwycięzców. Pewna liczba czauszów utrzymywała porządek i przeszkadzała Turkom w ograbianiu własnych rannych.

Wśród mniszek rozpoznałem Charykleję. Habit miała porwany, cała była w sińcach, a jej brzydka twarz spuchnięta była od płaczu. Klęczała w słomie trzymając za rękę ślicznego anatolijskiego młodzieńca. Na jego górnej wardze i brodzie czerniły się smużki jedwabistego zarostu, ale twarz miał już żółtoblada i krwawił obficie z obandażowanej piersi.

— Charyklejo — powiedziałem. — Więc żyjesz! Co robisz?

Rzuciła na mnie spojrzenie, jakby było czymś najnaturalniejszym na świecie, że stoję obok niej, i odparła:

— Ten niedobry Turek złapał mnie za rękę i nie chce puścić. Nie rozumiem, co mówi.

I dodała pochlipując:

— Jest doprawdy taki młody i ładny, że nie mam serca wyrwać dłoni. Wnet umrze!

Swobodną dłonią otarła pot śmiertelny z czoła chłopca i pogłaskała jego dziecinne okrągłe policzki, tak że twarz jego, wykrzywiona bólem, nabrała spokoju. Charykleja wybuchnęła płaczem i wyszłochała ze współczuciem:

— Biedaczek nie może nawet wziąć udziału w plądrowaniu, choć dobrze sobie na to zasłużył tak dzielnie walcząc. Ma mnóstwo ran i krew nie chce przestać płynąć. Mógłby może znaleźć skarby i pieniądze i wiele pięknych dziewcząt, ale nie dostał nic w nagrodę prócz mojej starej kościstej ręki.

Młodzieniec otworzył oczy, spojrzał poprzez nas i wymamrotał coś słabo po turecku.

— Co on mówi? — zapytała Charykleja żywo, powodowana swą wieczną ciekawością.

— Mówi, że Bóg jest jeden — przetłumaczyłem. — Pyta, czy na pewno zasłużył sobie na raj.

— Ma się rozumieć, naturalnie — powiedziała Charykleja. — Oczywiście, że sobie zasłużył!. Turcy muszą chyba mieć swój raj, tak jak my chrześcijanie mamy nasze niebo. Z pewnością pójdzie do raj, biedny chłopak.

Derwisz, który przechodził obok przyciskając swą cuchnącą kozią skórę do piersi, schylił się nad umierającym chłopcem i odmówił nad nim strofy Koranu — o chłodnej wodzie raj, drzewach owocowych i wiecznie nietkniętych dziewicach.

Chłopak uśmiechnął się słabo. Gdy derwisz odszedł, powiedział dwa razy łamiącym się głosem:

— Matko, matko.

— Co on mówi? — zapytała Charykleja.

— Sądzi, że jesteś jego matką — odparłem.

Charykleja znów wybuchnęła płaczem i wykrzyknęła:

— Nigdy przecież nie miałam syna, bo żaden mężczyzna nawet nie spojrzał na mnie! Ale jeśli on tak myśli, nie mogę go zawieść i nie może to być żaden grzech.

Ucałowała dłoń chłopca, przytuliła policzek do jego policzka i zaczęła zadziwiająco łagodnym głosem szeptać mu do ucha pieszczotliwe słowa, jak gdyby wśród tego spustoszenia i bezmyślnej śmierci chciała wyrazić całą czułość, pogrzebaną w jej sercu. Chłopak, ściskając jej twardą dłoń, zamknął oczy i dyszał ciężko i boleśnie.

Wtedy sobie coś przypomniałem. Nie rozglądając się wokoło udałem się przez miasto do klasztoru Pantokratora. Musiałem uzyskać pewność. Musiałem zobaczyć to na własne oczy.

Plądrujący Turcy zrobili na klasztornym dziedzińcu stos z porąbanych ikon i gotowali sobie na ogniu posiłek. Przeszedłem obok nich do sadzawki, wziąłem ościę i wnet wyłowilem jedną z leniwych szarych jak błoto ryb. Gdy podniosłem ją z wody, zobaczyłem, że zrobiła się czerwona jak rdza. Rdzawo lśniły jej łuski w promieniach zachodzącego słońca, tak jak to przepowiadał mnich Gennadios.

Potem przyszedł zmierzch. Nastąpiła noc bestialstwa. Ze spuszczoną głową wróciłem do mego domu i usiadłem do pisania.

30 maja 1453

Przed południem przyszedł czausz, żeby strzec mego domu. Poznałem po tym, że sułtan Mehmed nie zapomniał o mnie. Manuel gotował mu jedzenie. Żaden z nich nie przeszkadzał mi w niczym.

Czausz nie zatrzymał mnie też, kiedy wyszedłem na miasto. Szedł tylko za mną w odległości dwudziestu kroków.

Na ulicach i placach trupy zaczęły puchnąć. Kruki z Europy i z Azji zebrały się w trzepoczące skrzydłami stada. Psy wyją na dziedzińcach. Część z nich już zdziczała, zlizują krew i szarpią trupy.

W ciągu nocy wojsko sułtana zmieniło swój wygląd w dziwny sposób. Tylko czauszów można jeszcze rozpoznać po ich zielonych kaftanach i janczarów po ich białych filcowych czapkach. Poza tym jest tak, jakby mężczyźni, którzy teraz poruszają się po ulicach, przebrali się na jakieś dziwne i straszliwe święto. Pastuch, który jeszcze wczoraj chodził boso, ma teraz miękkie buciki i jedwabny albo aksamitny płaszcz. Dziobaty Murzyn chodzi w ciężkim i haftowanym złotem płaszczu narzuconym na ramiona. Wszyscy obmyli się i oczyścili, jak nakazuje islam, ale trupi zaduch unosi się nad całym miastem i wciska się wszędzie.

Plądrowanie odbywa się teraz w sposób bardziej zorganizowany. Dom po domu opróżniany jest z mebli i statków domowych. Niezliczone wózki i wozy zaprzężone w woły, wyładowane po brzegi, wyjeżdżają przez bramy miejskie. Na każdym targowisku prowadzi się handel i objucza osły i wielbłądy. Najchytrzejsi spośród Turków przeszukują piwnice w domach znaczniejszych osób, opukują ściany i rozbijają je oskardami i młotami. Od czasu do czasu głośne krzyki świadczą o tym, że znaleziono nowe skrytki. Ludzi, którzy się ukryli, wywleka się za włosy z zamurowanych nisz i pustych cystern na wodę.

Głowa cesarza Konstantyna leży między kopytami cesarskiego konnego pomnika i patrzy zgasłymi oczyma na swoje miasto. Sułtan Mehmed kazał ją tam położyć na cokole kolumny pośrodku miasta, żeby pokazać Grekom, że ich cesarz nie żyje i władza należy do sułtana.

Mehmed jeździ bez ustanku po mieście i dokonuje oględzin pałaców i kościołów. Na przylądku Akropolis orzekł:

— Tutaj będzie stał mój seraj. — Pod kolumną Arkadiosa jest jego plac egzekucyjny. Tu znalazłem między innymi spuchnięte ciało ściętego weneckiego bailona Minotto.

To właściwe dla mnie miejsce — pomyślałem i usiadłem, żeby poczekać, aż sułtan przyjedzie tu, by ustanowić swój grecki rząd.

Musiałem czekać aż do południa. W ciągu dnia strażnicy przyboczni sułtana i czauszowie przyprowadzili blisko pięćdziesięciu Greków, wykupionych za sułtańskie pieniądze w obozie i na okrętach. Dostali wodę i zupę, i odzież odpowiednią do rangi. Ale nie usunęło to ich przygnębienia. Tylko niektórzy odważyli się ze strachem

szeptać pomiędzy sobą. Od czasu do czasu przychodzili czauszowie przynosząc nowe głowy dostojników i kładli je długim szeregiem na marmurowej balustradzie placu. Jeńcy pokazywali na nie i szeptali znane imiona. Wielu poległo na murach i zwłoki ich odszukano. Inni padli w obronie własnych domów.

W końcu przybył sułtan w towarzystwie swoich młodych wezyrów i zsiadł chwiejnie z konia. Twarz jego nabrzmiała od nocnego czuwania i wina. Słońce kłuło go w oczy, tak że musiał zasłaniać je ręką.

Jeńcy rzucili mu się do stóp i przycisnęli czoła do ziemi. Przemówił do nich z udaną życzliwością i prosił, żeby wstali. Skarbnik odczytał listę imion. Sułtan sprawdził starannie każdego i zażądał, żeby jeńcy zaświadczyli nawzajem o swojej tożsamości. Większość z nich należała do rodów o wieloletniej tradycji i imiona ich były dobrze znane w historii miasta. Tylko niewielu ze spisu brakowało.

Mehmed usiadł na marmurowym bloku skrzyżowawszy nogi, potarł obolałe czoło i powiedział:

— Jestem wprawdzie zmęczony i obciążony troskami, ale moje poczucie obowiązku nie pozwala mi zostawić tych szlachetnych ludzi w niepewności. Przyszedłem tu, jak obiecałem, by dziś ustanowić grecki rząd na nowych podstawach, tak aby lud grecki i moje inne ludy mogły odtąd żyć ze sobą w zgodzie i pokoju. Opowiadano mi, że wszyscy jesteście prawowiernymi ludźmi, którzy wbrew własnej woli zmuszeni zostali do chwycenia za broń przeciw mnie. Ale skoro już straciliście miasto, gotowi jesteście uznać mnie jako waszego cesarza i oddać całą swoją wiedzę i doświadczenie w sprawach państwowych do mojej dyspozycji, ażeby lud grecki bez wahania podporządkował się mojemu panowaniu. Czy to prawda?

Jeńcy wykrzyknęli żywo, że chcą mu służyć, jak najlepiej potrafią. Mehmed zmarszczył czoło, rozejrzał się dokoła i zapytał z udanym zdziwieniem:

— Ale gdzie jest lud grecki?

Żołnierze i członkowie świty zaczęli rozglądać się dokoła i śmiejąc się i nawołując powtarzać pytanie:

— Gdzie jest lud grecki? — Wnet kopniakami i uderzeniami spędzili garść na wpół nagich, wystraszonych starców i kobiet, wskazali na nich i krzyknęli: — Emirze, ojciec nasz, patrz, oto stoi lud grecki!

Mehmed skinął dumnie głową i powiedział:

— Niech więc wasz własny lud będzie waszymi świadkami. Czy przyrzekacie i przysięgacie na Boga i wszystkich waszych świętych, że gotowi jesteście ucałować

wasz krzyż na znak podporządkowania się i potwierdzenia waszej przysięgi, że chcecie mi służyć wiernie aż do śmierci, bez względu na to, jak wysoko chcę was wynieść?

Jeńcy wykrzyknęli i zrobili znak krzyża oraz okazali pełną gotowość, by ucałować krucyfiks. Tylko kilku z nich stało w milczeniu przypatrując się uważnie sułtanowi.

— Niech więc tak będzie — powiedział Mehmed. — Sami tego chcieliście. Ugnijcie zatem kolana po kolei i wyciągnijcie głowy, żeby mój kat mógł ściąć was wszystkich. W taki sposób służycie mi najwierniej i najlepiej, a wasze głowy wyniosę na kolumnę obok głów innych waszych męźnych rodaków. I nie postępuję nawet niesłusznie wobec was, gdyż dopiero co poprzysięgliście wiernie spełniać moje rozkazy, bez względu na to, jakie by były.

Grecy patrzyli na niego, jakby grom w nich uderzył. Potem zaczęli krzyczeć i potrząsać zaciśniętymi pięściami, a niektórzy poranili się sami o oszczepy strażników usiłując rzucić się na sułtana. A inni powiedzieli:

— Bracia, umrzyjmy jak mężczyźni, skoro sami wykopaliśmy sobie ten grób.

Sułtan podniósł dłoń i zawołał z udaną łagodnością:

— Nic nie przeszkadza wam w utworzeniu greckiego rządu w chrześcijańskim niebie, gdyż jest tam już bez porównania więcej Greków niż w Konstantynopolu. Spieszcie się więc, aby porozumieć się zawczasu co do stanowisk i godności.

Jego słowa były znakiem dla katów. Żołnierze chwycili jeńców za ramiona i zmusili ich do ukłęknięcia. Podczas gdy krew tryskała z przeciętych szyj, głowy toczyły się przed sułtana, który kazał je ustawić rzędem na balustradzie, tak że powykrzywiane, szczerzące się, łzawoogie i krwawe twarze otoczyły niebawem cały plac Arkadiosa.

Potem sułtan zwrócił się do skamieniałych ze zgrozy starców i kobiet i powiedział swoją łamaną greką:

— Na własne oczy zobaczyliście teraz, że nie przyszedłem tu jako zdobywca, lecz jako oswobodziciel, gdyż uwalniam grecki lud Konstantynopola od jego tysiącletniej niewoli pod cesarzem i szlachtą. Za cierpienia, których doznało wasze miasto, sami ponosicie winę, gdyż nie zrzuciliście w porę waszego jarzma i nie przywołaliście mnie. Ale cierpienie wnet przeminie. A potem zapewnię każdemu, kto przeżył, dom i mienie, i wykonywanie rzemiosła, a ci, którzy stąd uciekli, lecz powrócą, mieć będą takie same prawa. Allah jest łaskawy i miłosierny, zobaczycie to, biedni ludzie. Byliście wyzyskiwani, oszukiwani i ograbiani tak długo, że nie wiecie

jeszcze, co znaczy prawdziwa wolność. Ale ja doprowadzę miasto do takiego rozkwitu, o jakim nikt nigdy nie mógł marzyć. Będzie ono najwspanialszym klejnotem w moim turbanie i panować będzie na Wschodzie i na Zachodzie.

Kazał skarbnikowi rozdzielić po dziesięć asprów każdemu z Greków, których wezwał na świadków, tak aby mogli wykupić się na wolność. Była to dobra cena, gdyż niewolników z jakąkolwiek wadą sprzedawano na targu już za jedną srebrną monetę. Ale starcy i kobiety, którzy przeżyli całą dobę strachu wśród mordy i gwałtu, stali tępi i obojętni, nie rozumiejąc, co się z nimi dzieje.

Rozejrzałem się dokoła po zbryzganym krwią placu, podszedłem do sułtana i rzekłem:

— Ale gdzie jest megaduks Notaras? Nie widzę go tutaj. Jakie będzie jego miejsce w tym sprawiedliwym planie?

Mehmed spojrzał na mnie życzliwie, skinął głową i odparł:

— Uzbrój się jeszcze w cierpliwość, Aniele. Kazałem go przyprowadzić, a także i jego synów, ale to trochę potrwa.

Popatrzył na mnie badawczo i wyjaśnił:

— Notaras ukrył przede mną swoją córkę i mówi, że nic o niej nie wie. Dlatego posłałem do jego domu mego białego eunucha i kazałem mu zabrać najmłodszego syna Notarasa dla mojej rozkoszy. To piękny chłopiec i chcę, żeby jego ojciec sam przyprowadził go przede mnie, tak żebym mógł z nim zrobić, co mi się podoba.

— Piłeś — powiedziałem. — Łamiesz nakazy Koranu!

Mehmed uśmiechnął się błyskając zębami drapieżnika i wybuchnął:

— Sam jestem swoim własnym prawem. Nie trzeba mi już żadnego anioła, by szeptał mi do ucha, że jestem lepszy od każdego śmiertelnika. Nawet sam Bóg nie może ze mną współzawodniczyć o władzę na ziemi. Na skinienie mojej dłoni spadają głowy. Czy jeszcze przecyzysz, że jestem lepszy od zwykłego człowieka?

Spojrzałem mu w oczy i wiedziałem, że na swój sposób ma słuszość, gdyż wybrał ludzką prawdę i śmierć materii nad rzeczywistość Boga.

Rzekłem:

— Skoro otrząsas z siebie przeszłość jako stary przesąd i ustanawiasz siebie jako miarę wszystkiego, kujesz dla siebie samego straszliwsze kajdany, niż jakikolwiek człowiek nosił przed tobą. Więzy czasu i przestrzeni weźrą się w twoje ciało i zadławią twego ducha. A gdy kiedyś umrzesz, nie zostanie po tobie ślad.

Wykrzyknął:

— Pamięć o mnie żyć będzie tak długo, dopóki będą ludzie na ziemi. Powiedziałem ci wszak, że nie potrzebuję już żadnego anioła, by szeptał mi do ucha!

— Każ więc wreszcie mnie zabić — prosiłem. — Opuściłem cię przecież już w jesieni, kiedy zrozumiałem, czym jesteś, czego chcesz i co przyjdzie. Zmiłuj się nade mną i daj mi śmierć, tak aby krew moja mogła zmieszać się z krwią moich greckich braci.

Ale on uśmiechnął się tylko swym przekornym uśmiechem drapieżnika i powtórzył:

— Uzbrój się jeszcze w cierpliwość, Aniele. Zobaczymy wpierw wspólnie, jak głęboko może poniżyć się nawet najznamienitszy Grek.

Musiałem odejść na bok, gdyż w tejże chwili przyszli eunuchowie z Łukaszem Notarasem i jego obu synami. Kiedy Notaras usłyszał rozkaz sułtana, odgadł przypuszczalnie, jaki czeka go los. Szedł wyprostowany i nie rzucił się już na kolana przed sułtanem. Biały eunuch powiedział do sułtana:

— Panie, on nie usłuchał twego rozkazu i nie chce dobrowolnie oddać syna do twego haremu. Dlatego przyprowadziłem ich wszystkich tutaj, jak nakazałeś.

Mehmed wskazał na głowy otaczające plac i rzekł:

— Dlaczego nie słuchasz mnie, choć ustanowiłem grecki rząd i dokładnie stosuję się do rad, których mi udzieliłeś?

Notaras rozejrzał się wokoło z nieruchomą twarzą, zrobił powoli znak krzyża, spojrział ku niebu i wykrzyknął:

— Panie mój i Boże, uznaję Twoją sprawiedliwość. Jesteś doprawdy sprawiedliwym Bogiem! — Potem obszedł powoli mały plac i zatrzymując się przy każdej z głów mówił: — Mój bracie, przebacz mi. Nie wiedziałem, co czynię.

Kiedy wrócił na swoje miejsce, położył dłonie na ramionach synów i rzekł do nich:

— Pokażmy teraz, że potrafimy umrzeć jak mężczyźni, i podziękujmy Bogu, że możemy umrzeć jak Grecy i zachować naszą wiarę.

Sułtan rozłożył ramiona i zawołał z urągliwym zdumieniem:

— Nie musisz przecież umierać! Obiecałem wywyżżyć cię ponad tych Greków. Musisz tylko usłuchać i kazać swemu pięknemu synowi, by mi był posłuszny we wszystkim, co mu nakazę.

Megaduks Notaras odparł:

— Nie musisz zniżać się do szukania pretekstu, by mnie stracić. Ukorzyłem się już przed Bogiem. Dlaczego miałbym jeszcze upokarzać się przed tobą. To i tak nie uratowałyby ani mnie, ani moich synów. Ale chcę cię prosić o zaspokojenie mojej ludzkiej ciekawości.

Dlaczego muszę umrzeć, wbrew wszelkim rozsądnym politycznym zasadom?

Sułtan Mehmed pochylił ku niemu młodą i rozpaloną twarz i szepnął:

— Zdradziłeś swego cesarza, zdradziłbyś także i mnie.

Megaduks Notaras schylił głowę i powiedział raz jeszcze:

— Zaprawdę, jesteś sprawiedliwy, Boże.

Potem prosił o łaskę, by mógł wpierw zobaczyć stracenie swoich synów, gdyż chciał być pewny, że nie wyrzekną się greckiej wiary, aby ratować życie. Sułtan zgodził się na to. Notaras sam zmusił synów, by ukłękli na ziemi, najpierw starszy, a później młodszy, i przemawiał do nich spokojnie, gdy kat ścinał im głowy. Ani jedna łza nie pojawiła się w jego ciemnych oczach, choć sułtan Mehmed ciekawie pochylił się do przodu i obserwował jego oblicze.

Gdy obaj młodzieńcy już nie żyli, Notaras powiedział:

— Panie mój i Boże, apeluję do Twego trybunału. Ty masz prawo mnie sądzić, ale żaden człowiek nie ma takiego prawa. — Ale potem ukorzył się, schylił głowę, zalał się łzami i modlił się tak, jak modlą się prości ludzie: — Jezusie Chrystusie, Synu Boży, zmiłuj się nade mną grzesznym!

Modlił się jeszcze przez chwilę na uboczu, potem wstał i poszedł za czauszami do kolumny Arkadiosa, ukłękł we krwi synów i czekał spokojnie na śmierć. Sułtan kazał umieścić jego głowę na kolumnie, wyżej niż głowy innych Greków. Potem Mehmed odwrócił się, zmęczony widokiem krwi i odorem trupów, i odjechał do swego jedwabnego namiotu. Mnie odprawił, choć sądziłem, że wszystko jest już spełnione.

Ale gdy wracałem do domu, szedł za mną zielono odziany czausz w odległości dwudziestu kroków. Sułtan jednak o mnie nie zapomniał.

EPILOG

Pisze to Manuel, syn Demetriosia. Tego Demetriosia, który był nosicielem drzewa u starego cesarza Manuela. A on sam, Manuel, piszący te słowa, służył u pana Johanna Angelosa, którego łacinnicy nazywali Jeanem Ange, a Turcy określali imieniem Anioła i lękali się go.

Kiedy pan mój napisał to, co miał napisać, pokazałem mu pieniądze ukryte przeze mnie w piwnicy i złoty kielich na komunikanty, który uratowałem z klasztoru Chora. Powiedziałem:

— Jest wielu łacinników, którzy wykupili się od wezyrów sułtana. Wykup się i ty i ucieknijmy razem z tego miasta śmierci.

Odparł na to:

— Nie, nie, śmierć to największe dobrodziejstwo, jakie może mi być wyświadczona. Ale ty żyj dalej i zdaj się na łaskę Turków, bo ty należysz do tych, co zawsze pozostaną przy życiu, gdyż są takimi, jacy są, i sami nie mogą nic na to poradzić.

Mój pan czuwał przez wiele nocy, a w ostatnich dniach ani nie jadł, ani nie pił, lecz całkiem pościł. Dlatego głowę miał już zamroczoną tak, że nie rozumiał, na czym polega jego własne dobro.

Trzeciego dnia po zdobyciu miasta sułtan Mehmed przysłał rano posłańca po mego pana i wezwał go do siebie. Poszedłem za nim z daleka i nikt mi w tym nie przeszkadzał. Także inni Grecy zebrali się pod kolumną Konstantyna, by zobaczyć, co się stanie.

Przy kolumnie Konstantyna sułtan Mehmed wskazał na głowę cesarza Konstantyna, z której wypłynęły oczy i która zaczęła już cuchnąć, i zawołał:

— Mieczem zdobyłem Konstantynopol i mieczem zabiłem cesarza Konstantyna, by pojąć jego miasto! Czy jest ktoś, kto odmawia mi prawa do tego spadku?

Mój pan wystąpił przed niego i rzekł:

— Ja odmawiam ci prawa do spadku, turecki emirze Mehmedzie. Jestem urodzony w purpurowych butach i zatrzymam je aż do mojej śmierci. Będąc z

cesarskiej krwi jestem jedynym prawym bazyleusem Konstantynopola, choć ty nie chciałeś o tym wiedzieć.

Ale sułtan Mehmed nie zdziwił się wcale jego słowami, tylko potrząsnął głową i odparł:

— Wiem wszystko, co potrzebuję wiedzieć. Już mój ojciec wiedział o twoim pochodzeniu, choć sądziłeś, że ukryłeś je przed światem. To nie jest dla mnie żadna nowina, gdyż mam oczy i uszy we wszystkich chrześcijańskich krajach, także w Awinionie. Jak sądzisz, dlaczego pozwoliłem ci odejść w jesieni i nawet podarowałem ci garść klejnotów na pożegnanie?

Mój pan powiedział:

— Wiem, że kolekcjonujesz ludzi, tak jak Arystoteles zbierał dziwy natury. Sam kiedyś mówiłeś, że nic ludzkiego nie może cię zdziwić, bo potrafisz przejrzeć na wylot wszystkich ludzi. Zatem i ja ciebie nie zdziwiłem.

Sułtan Mehmed odparł:

— Tak, Aniele, zdziwiłeś mnie. Pozwoliłem ci pojechać do Konstantynopola, gdy wojna się zaczęła, bo miałem nadzieję, że podniesiesz bunt i będziesz współzawodniczył z cesarzem o władzę. Dlatego dostałeś środki, by zasiać niezgodę między obrońcami. Ale ty mnie zadziwiłeś. Czyż więc mam wierzyć, że w tobie spotkałem jedynego człowieka na ziemi, który nie dąży do władzy?

Mój pan rzekł:

— Dopiero teraz nadeszła moja chwila. Wobec twego wojska i ludu greckiego odmawiam ci prawa dziedzictwa i żądam od ciebie mego królestwa.

Sułtan Mehmed potrząsnął głową ze współczuciem i powiedział:

— Nie bądź głupcem, padnij przed mną i błagaj mnie jako zwycięzcę, a daruję ci życie. Inaczej uznam, że jestem zmęczony i wyrzucę cię na śmietnik, jak to uczynił Arystoteles, kiedy miał zanieść do domu krąg z grzbietu wieloryba.

Mój pan odparł:

— To nie ty jesteś zwycięzcą, tylko ja.

Jego upór rozdrażnił sułtana Mehmeda. Klasnął w dłonie na znak i zawołał:

— Niech się stanie, jak chcesz! Dajcie mu jego purpurowe buty, aby umarł w nich tak, jak się urodził. Jego pochodzenia nie będę zaprzeczał.

I zaraz kaci złapali mego pana i zdjęli z niego odzież, tak że tylko koszula go okrywała. Podtrzymywali go pod ramiona i przecięli mu nożem żyły na obu udach i

jego własna spływająca krew zabarwiała mu kolana i łydki, i stopy całkiem na czerwono.

Podczas gdy lała się krew mego pana, oparł się on obu rękami o barki swoich katów, zwrócił wzrok ku górze i modlił się:

— Niewytłumaczony Boże, tęskniłem do twojej rzeczywistości przez wszystkie moje dni. Ale w chwili śmierci proszę cię. Daj mi jeszcze raz powrócić. Daj mi jeszcze raz znowu więzy czasu i przestrzeni, twoje straszliwe i cudowne więzy. Daj mi to, bo wiesz, dlaczego tego pragnę.

Sułtan podniósł mu drżącą brodę, trzymał jego głowę wyprostowaną i powiedział:

— Patrz na twoje miasto, bazyleusie Johannesie Angelosie!

Mój pan wyszeptał dobywając ostatnich sił:

— Widzę piękność mojego miasta. Do tego miejsca wróci jeszcze raz moje ciało astralne. Wróci do ruin tego muru. Jako wędrowiec w kajdanach czasu i przestrzeni zerwę kiedyś w szczelinie muru ciemny kwiat na pamiątkę tej, którą kochałem. A ty, Mehmedzie, nigdy nie wrócisz.

W ten sposób skołał mój pan, Johannes Angelos, w purpurowych butach. Gdy życie z niego uleciało, Turcy odcięli jego głowę i wrzucili ciało do morza w porcie, gdzie inne trupy zatruwają wodę.

A kiedy sułtan dał się obwołać dziedzicem cesarzy, odesłał swoje wojsko i okręty z miasta i pozwolił Grekom, którzy zostali, obrać sobie patriarchę. Wybraliśmy mnicha Gennadiosa, najświętszego z mnichów w mieście, którego Turcy oszczędzili z powodu jego wielkiego rozgłosu. Sułtan przyjął go w swojej kwaterze i mianował patriarchą Konstantynopola, tak jak robił to przedtem cesarz, i w dowód łaski podarował mu drogocenny pastorał i złoty kielich na komunikanty. W ten sposób sułtan spełnił obietnicę i pozwolił Grekom swobodnie praktykować swoją wiarę w mieście i samym się sądzić. Także kilka kościołów sułtan podarował nam do odprawiania nabożeństw, inne zaś kazał opróżnić i są teraz meczetami na chwałę Boga islamu.

Miastu Pera po drugiej stronie portu sułtan podarował jego dawne prawa handlowe w nagrodę za neutralność i usługi w czasie oblężenia. Ale mury Pery od strony lądowej kazał zburzyć, a domy tych, którzy uciekli z Pery, są opieczętowane i ich mienie spisane, tak że przypadnie ono sułtanowi jeśli właściciele nie wrócą w ciągu trzech miesięcy i nie obejmą swej własności w posiadanie.

Także do Konstantynopola wróciło wielu uciekinierów i sułtan przyrzekł swoją szczególną łaskę wszystkim Grekom, którzy wrócą i potrafią udowodnić, że są szlacheckiego rodu. Tych kazał potem natychmiast stracić. Ułaskawił jedynie biednych ludzi i pozwolił, by zaczęli pracować dla dobrobytu królestwa, każdy w swoim zawodzie. Także uczonych geografów, badaczy historii i techników cesarskich sułtan ułaskawił i wziął ich na swoją służbę. Ale nie ułaskawił żadnych filozofów.